

JAN KOCHANOWSKI

F. HOESICK

JAN KOCHANOWSKI

W ŚWIETLE

DOTYCHCZASOWYCH WYNIKÓW KRYTYKI HISTORYCZNO-LITERACKIEJ



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1908



Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

PRZEDMOWA.

W roku 1878 ukazał się w warszawskiem *Ateneum* artykuł Romana Plenkiewicza p. t. *Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań*. Było to krytyczne sprawozdanie z świeżo wydanej wtedy niemieckiej rozprawy Rafała Löwenfelda o łacińskich utworach poety, rozprawy, która nietylko była syntezą wszystkiego, co do owego czasu w ogóle napisano o Kochanowskim, ale nadto poruszała cały szereg nowych kwestyj w zakresie życia i twórczości czarnoleskiego poety, a tem samem nastręczała obfity materyał do dyskusyi. Artykuł Plenkiewicza, wypowiadający w wielu punktach odmienne zapatrywania, które gruntownie uzasadniał, miał w sobie jednocześnie coś z pobudki: nawoływał do ponownych studyów nad Kochanowskim, w których zakresie od czasu Przyborowskiego i Gackiego zrobiono u nas stosunkowo bardzo niewiele, występował z inicyatywą pomnikowego wydania wszystkich dzieł poety, a wreszcie stwierdzał potrzebę wyczerpującej biografii autora *Trenów*, przyczem, w kwestyi takiego monograficznego opracowania życia i twórczości Kochanowskiego, pisał co następuje: „Życiorys poety winien być niemniej w obszerne ramy ujęty. Samo z siebie wynika, iż należałoby go skreślić, nietylko na tle swojskiem, ale powszechno-dziejowem, w otoczeniu renesansowej atmosfery, którą poeta oddychał. Taka zresztą biografia, oprócz zestawień wszystkich danych, odnoszących się do życia poety, powinna przedstawić najdokładniejszy obraz jego stosun-

ków, bliższego i dalszego otoczenia, charakteru, oraz wpływu tak na współczesną, jak i późniejszych czasów literaturę, jak niemniej krytyczną i estetyczną wszystkich dzieł jego ocenę".

Wezwanie to nie pozostało bez skutku. W roku 1884, w trzechsetną rocznicę śmierci poety, ukazały się trzy wspaniałe tomy istotnie pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego, wraz z zapowiedzią tomu IV, który między innemi miał objąć *Życiorys Jana Kochanowskiego wraz ze studyum nad jego dziełami,* skreślony przez Romana Plenkiewicza. Życiorys ten jednak dał długo na siebie czekać, bo aż trzynaście lat, w ciągu których — w roku 1888 — ukazało się świetne i po dziś dzień nieprześcignione dzieło Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim.* Po wyjściu tej książki, która w części biograficznej uwzględnia wszystko, *Co u nas o Kochanowskim pisano,* a w części krytycznej przynosi szereg mistrzowskich rozbiorów estetycznych, poświęconych dziełom poety, zadanie Plenkiewicza stało się o wiele trudniejszem, raz dlatego, iż jego przyszła monografia mimowoli wyzywała porównanie z niepospolitem dziełem Tarnowskiego, a powtóre, iż niechcąc powtarzać tego samego, co już czytelnik znajdował w książce autora *Pisarzy politycznych*, należało zapowiedziane od dawna dzieło nietylko oprzeć na innych podstawach, ale w niem o ile możności powiedzieć jak najwięcej rzeczy nowych, oryginalnych, które, inaczej oświetlając dany przedmiot, tem samem uzasadniałyby racyę bytu jeszcze jednej obszernej monografii o Kochanowskim. Nie było to przedsięwzięcie łatwe, nawet po odkryciach Brücknera, który na podstawie odnalezionego przez siebie rękopisu Osmólskiego rzucił w 1891 roku w *Ateneum* na kwestyę życia i twórczości Kochanowskiego całe snopy nowego światła. Jakkolwiekbądź, w roku 1897 ukazała się wreszcie część I tomu IV dzieł Kochanowskiego, olbrzymi wolumin o 661 stronicach, na który złożyła się wielka praca Plenkiewicza, zatytułowana: *Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.*

Przyszła kolej na recenzye. Wszystkie wypadły mniej lub więcej pochlebnie, wszystkie podniosły ogrom pracy, włożony w to wyczerpujące dzieło, wszyscy zarzucali autorowi, iż w bardzo wielu razach zbyt daleko dał się unieść wyobraźni, iż niejednokrotnie okazał się zbyt śmiałym w konstruowaniu niedość uzasadnionych hypotez, że zbyt obszernie i drobiazgowo podmalowane tło często pozostaje w rażącej dysproporcyi w stosunku do samej postaci Kochanowskiego, która miejscami ginie w niem zupełnie, że pierwsze rozdziały o rodzie Kochanowskich, choć przynoszą rzeczy nowe, raczej się nadawały do osobnej monografii, a przyczepione do życiorysu autora *Trenów* stanowią zbyt wielki balast, w architektonice książki, i tak już pod względem kompozycyi niemało pozostawiającej do życzenia; lecz niezależnie od tych zarzutów, którym zresztą niepodobna odmówić słuszności, wszyscy krytycy zgodzili się na jedno, iż dzieło posiada wartość wyjątkową, że ktokolwiek zechce pisać o Kochanowskim, nie będzie się mógł obejść bez pracy Plenkiewicza, który nią też zasłużył sobie na wdzięczność, nietylko czytającego ogółu, ale i badaczy piśmiennictwa. Nawet prof. Brückner, który w *Pracach filologicznych* najsurowiej i najbezwzględniej osądził całe dzieło, przyznał jej w końcu niemałe zalety. „Sprawiedliwość każe nam uznać — są jego słowa — że praca pana Plenkiewicza czyta się z przyjemnością i zajęciem; że może w czytelniku, nieświadomym czasów i ludzi, obudzić żywy interes ku świetnej i ruchliwej przeszłości; że stoi niemal na granicy między ściśle umiejętnem przedstawieniem a powieścią historyczną; że popularyzuje, co u nas nauka o tych nadzwyczaj ciekawych czasach i ludziach zdobyła i zestawiła. Że przytem Kochanowski nieraz zupełnie na dalszy plan zstępuje; że autor zanadto fantazyi popuszcza wodze; że w ocenie ludzi i czasów nieraz od naszych zapatrywań, zamiast od współczesnych, wychodzi; i że mylny probierz przykłada: nie chcemy mu tego za zbytnią winę poczytać, chociaż właśnie

pomnikowa biografia ani dla bujnych fantazyi, ani dla nowoczesnych wywnętrzań stosownem polem nam się nie wydaje. Nie wiemy, jak szersza publiczność przyjmie dzieło p. Plenkiewicza; może mimo ciężkiego formatu i zbytnich szczegółów rodowodowych, może mimo pisowni, zastosowanej niestety do pisowni poprzednich tomów (z barbarzyńskiem kreskowaniem *é* i z owym fatalnym *ji*, drażniącym nerwy najspokojniejszego czytelnika), da się ona skusić zajmującym obrazom miejsc, czasów, stosunków i ludzi: zasługiwałyby na to i rzetelne trudy autora i staranność wydawnictwa... Więc mimo wszelkich zarzutów, jakie przeciw metodzie i krytyce po kolei podnosiliśmy, życzylibyśmy pracy p. Plenkiewicza szerokiego rozejścia się i licznych czytelników; mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie czyniliśmy, mimo polemiki naszej przeciw całemu planowi, i pojedynczym szczegółom, uważamy dzieło jego za zdrową i posilną strawę duchową. Daleko mu do tego, by było ostatniem słowem o Kochanowskim, ale zdolne ono przygotować i usposobić do poznania i ocenienia utworów poety, zdolne ono wprowadzić choćby nowicyusza do głębszej znajomości owej przeszłości, przykuwającej naszą uwagę żywą wymianą myśli, pełnej kolorów, ruchów i namiętności, a brzemiennej w następstwa dziejowej wagi".

Mniej więcej na te same zalety i wady w dziele Plenkiewicza zwrócił uwagę w swej obszernej recenzyi w *Przeglądzie Polskim* prof. Tarnowski; tylko, że jego sprawozdanie, jak zwykle, bardzo wykwintne w formie, o ile jest ciepłem w tych ustępach, gdzie mówi o zaletach książki, o tyle tam, w dyskusyi z autorem, gdzie się nie zgadza z jego wywodami i sposobem przedstawienia rzeczy, trzymane jest w tonie łagodnym i pobłażliwym. „Autor — czytamy tam między innemi — podejmował się zadania ciężkiego, a chciał je spełnić nie powierzchownie, ale gruntownie i wszechstronnie. Chciał, żeby pierwsze pomnikowe wydanie Kochanowskiego kończyło się pomnikowym także jego żywotem, takim, który zostałby na zawsze, przynajmniej na długo, pewnym,

podstawnym, a gdyby się dało i klasycznym, czyli, żądał od siebie autor rozwiązania kwestyj zawiłych, wyjaśnienia ciemnych, sprostowania mylnie pojętych. W tym prawdziwym labiryncie niewiadomości i niepewności, sprzecznych podań, hipotez mniej lub więcej uzasadnionych, on zamierzył wyśledzić i wskazać rzeczywistą drogę, jaką szło życie Kochanowskiego. Kto miał sposobność dotknąć się tych zawiłych wątpliwości i sprzecznych odpowiedzi, ten wie, jaki to ogrom pracy zbadać je na prawdę i udowodnić to, co się ma za prawdę. Pan Plenkiewicz zaś chciał badać i dowodzić rzetelnie, szukać wśród tysięcy i tysięcy aktów stwierdzenia podań i domysłów; gdzie jaki ślad życia poety mógł się znajdować, tam on szuka, zagłębia się, i wydobywa jakiś wniosek, na którym opiera swoje przekonanie. Tak postępując, musiał opanować mnóstwo źródeł"... Jakoż istotnie, jeżeli chodzi o nowe źródła, książka budzi niemały podziw, zwłaszcza w części pierwszej, opowiadającej historyę rodu Kochanowskich. Na pytanie, jak się udała całość, tak odpowiada Tarnowski: „Rzecz wiadoma, że życie Kochanowskiego, znane nader ogólnikowo i niedokładnie, nasuwa mnóstwo pytań i wątpliwości, do rozwiązania bardzo trudnych, bo brak tych podstaw, na których możnaby oprzeć śmiałe i pewne twierdzenie. Stąd ta wielka ilość przypuszczeń odmiennych, lub wprost sprzecznych, odnoszących się do pierwszej młodości i nauk, do pobytu za granicą, do różnych młodzieńczych miłości i miłostek, do pierwszych lat po powrocie do kraju, do powodów goryczy, z jaką poeta opuszczał dwór królewski i t. d. Każdy badacz widzi inaczej, każdy innemi dowodami broni swego sposobu widzenia, a wszyscy prawie z większym skutkiem zbijają twierdzenia innych, niż popierają swoje własne. Z czytania wszystkich po kolei odnosi się to wrażenie, że wyjaśnił się tu i owdzie, nabrał prawdopodobieństwa, jeżeli nie pewności, jakiś szczegół, ale że całkowity ogólny zarys życia Kochanowskiego jest zawsze tak niepewny, takiemi wątpliwościami zamglony,

a brakami poprzerywany, iż całość jego złożyć się na prawdę dotąd nie daje. Czy p. Plenkiewicz rozwiązał to wielkie zagadnienie? jedno z najważniejszych i najciekawszych w naszej literaturze? Złożył całkowity ciąg życia Kochanowskiego, luki zapełnił, wątpliwości rozwiązał. Na pozór więc wszystko dobrze i nic więcej nie trzeba. Ale czy wszystkie dawniejsze podania i mniemania usunął zwycięzko, czy własne twierdzenia, lub przypuszczenia poparł dowodami pewnymi? O tem nie jesteśmy dostatecznie przekonani, i zdaje nam się, że po tym ostatnim *Żywocie Kochanowskiego* mogą się utrzymać i bronić niektóre podania dawniejszych, że po nim, jak przed nim, niejedna okoliczność zostaje niewyjaśnioną, niejeden brak pozornie tylko zapełnionym. Zdaje nam się, że znowu wyjaśniły się tylko niektóre szczegóły, ale całość tego żywota została tak niepewną, jak była". Zwłaszcza, że sposób, w jaki autor rekonstruuje życie poety, a więc metoda, której się trzyma jako biograf, nie zawsze jest dostatecznie ścisłą, że podstawy naukowe, na których opierają się liczne wiązania hypotez Plenkiewicza, nie zawsze są gruntowne. „Wszystko się składa, wszystko się logicznie łączy, niema żadnych przerw, pasmo snuje się gładko i rozwija jak z kłębka: jest cały żywot Kochanowskiego, od urodzenia do śmierci. Tylko czy pewny? Wszystko się składa, wszystko się logicznie łączy, wszystko mogło tak być. Ale czy tak istotnie było? To wielkie pytanie, na które twierdzącej odpowiedzi dać nie śmiemy. Nasze wrażenie i zdanie jest, że po tym żywocie, jak przed nim, stoimy przed zrównaniem o wielu niewiadomych, i zrównaniem nierozwiązanem. Pod te liczne iksy i ipsylony podstawione są ilości inne, niż bywały dawniej, ale czy prawdziwsze? Stoimy przed nowem rusztowaniem domysłów i hipotez; jedne z nich mają za sobą więcej, drugie mniej podobieństwa do prawdy, rusztowanie jest dobrze związane; ale rzadko która z jego części jest pewną i stałą. Domysły i hipotezy są inne, ale że nie dowiedzione, więc są zawsze tylko domysłami i hipo-

tezami. Nie mówimy tego o szczegółach rodzinnych i majątkowych, o datach i cyfrach; nie znamy tych aktów, a gdybyśmy nawet mogli zagłębić się w to morze, najpewniej nie umielibyśmy jeszcze tych źródeł i dokumentów krytycznie oceniać i sprawdzać. Widzimy ogromną autora sumienność i pracę, i przyjmujemy za pewne, że się w tej części swego dzieła nie pomylił. Ale okoliczności i koleje życia poety, te niepewne i niejasne, tę są, zdaniem naszem, rozjaśnione niby, ale tylko pozornie, a naprawdę tak niepewne, jak były. Prawdopodobnych jest wiele, udowodnionych, jako prawdziwe, mało. Nasze tedy zdanie jest, że gdyby p. Plenkiewicz był stawiał swoje twierdzenia warunkowo, wątpliwie, jako możliwe, nie jako pewne, jego dzieło miałoby większą wartość, budziłoby więcej zaufania. Konstrukcya historyczna jest rzeczą bardzo piękną i potrzebną, ale trzeba obchodzić się z nią ostrożnie: podawać za pewne to, co jest rzeczywiście dowiedzione, a przynajmniej uzasadnione, ugruntowane, to, co prawdopodobne, ale tylko prawdopodobne, oznaczyć wyraźnie jako hipotezę; bronić jej, dowodzić jej, ale nie podawać jej za pewną, za fakt. Pan Plenkiewicz tę ostrożność nie zawsze zachowuje; to zarzut największy, jaki mu mamy do zrobienia. Drugi byłby ten, że nic słuszniejszego i potrzebniejszego, jak tło historyczne, na którem rysuje się dopiero postać człowieka lub przebieg zdarzenia. Człowiek czy fakt, tylko w związku z całym swoim czasem może być należycie poznanym i zrozumianym. Ale i w tem trzeba umiarkowania, wstrzemięźliwości. W niniejszem dziele opowiadane są obszernie sprawy lub zdarzenia, do których Kochanowski nie należy i które nie wpływają na jego usposobienie, talent, czy życie. Śmierć Zygmunta Augusta n. p. musiała mieć miejsce w tem dziele; ale szczegółowy opis choroby i końca był zbyteczny. Książka rośnie przez takie epizody i dodatki, ale jej wartość nie rośnie. Czy zaś z tła tego występuje wyraźnie i plastycznie postać Kochanowskiego? Czy po przeczytaniu książki znamy i rozumiemy go

lepiej, niż przedtem? I na to pytanie odpowiedzi twierdzącej dać nie śmielibyśmy. Zdaje nam się, że zawsze jeszcze stoimy, jakeśmy stali, przed szeregiem wątpliwości, zagadnień nie rozwiązanych, bo do pewnego rozwiązania bardzo trudnych. Stanowczego pomnikowego żywota Kochanowskiego nie dał nam p. Plenkiewicz, jak nie dał żaden z jego poprzedników. Nie dał dlatego, sądzimy, że taki, przy materyałach, jakie posiadamy, danym być nie może. Ale ma on zasługę ogromnej imponującej długoletniej pracy i skrzętności, ma tę, że zebrał, uwzględnił, połączył wszystko, co się wyszukać, znaleźć i wiedzieć dało; ma tę, że złożył najobszerniejszy, najbardziej szczegółowy, najzupełniejszy żywot Kochanowskiego, na jakiśmy się przez trzy wieki zdobyli. To, co w nim niepewne, wyjaśnią, co niedokładne, sprostują nasi następcy, jeżeli im los posłuży i pozwoli odkryć źródła nam nieznane. My przyjmujemy wdzięcznie to, co jest, i cieszymy się, że ogół polski może się z jednej książki tyle o Kochanowskim dowiedzieć".

W podobnym tonie utrzymana była również obszerna recenzya w *Przeglądzie Powszechnym*, pióra Antoniego Mazanowskiego. „Autor — zdaniem krytyka — wziął sobie za zadanie nakreślić obraz życia poety z dokładnością taką, żeby usunąć wszelkie wątpliwości, a przynajmniej ograniczyć je, o ile można. Trzeba też przyznać, że cel swój osiągnął o tyle, że w biografii niemal z pewnością oznaczył szlaki, po których szło to życie". Za to w części estetyczno-krytycznej, poświęconej rozbiorowi i ocenie utworów poety, dzieło p. Plenkiewicza nie usuwa w cień dzieła prof. Tarnowskiego. „Nie znaleźć tutaj ani tej bystrej analizy estetycznej, ani tego subtelnego odczucia prawdziwych piękności, ani tej miary w szeregowaniu cennych i mniej cennych dzieł poety, jaką się zaleca poprzednia książka". Ale cokolwiekby można zarzucić książce Plenkiewicza, zasługa jego jest wielka. „Nawet i te rozdziały, w których w zbyt drobiazgowo odtworzonem tle ginie postać czarnoleskiego poety, pisane

są — zdaniem Mazanowskiego — z taką dzielną znajomością wieku i ludzi, zresztą pisane tak zajmująco, że czytelnik postępuje w głąb dzieła, prowadzony umiejętną dłonią autora w wir wydarzeń, nie gubi się wobec coraz szerszych widnokręgów, nie gmatwa się w ich labiryncie, lecz owszem rozciekawia się i rozmiłowywa w życiu przeszłych wieków, tak odmiennem od dzisiejszego życia. Profesor Tarnowski pisał w swej książce o poecie: „Jeżeli chcesz wiedzieć, jakim był wiek XVI w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralnem, umysłowem i towarzyskiem życiu, w nastroju jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesołości i żarcie, jeżeli chcesz poznać, czem była cywilizacya polska XVI wieku, jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, czytaj Kochanowskiego“... Ale nie dość czytać: trzeba i rozumieć. Dotąd zrozumienie było bardzo utrudnione; dzieło p. Plenkiewicza czyni je łatwem. Jako całość jest ono wybornym komentarzem XVI wieku, wypowiada na szereg lat ostatnie słowo o życiu Kochanowskiego i stanowi niewątpliwie najcenniejszy w okresie lat ostatnich nabytek wśród badań nad literaturą polską“.

Tak mniej więcej brzmiały i inne recenzye. W ogóle krytyka powitała dzieło Plenkiewicza nader przychylnie, choć nie bez poważnych zastrzeżeń.

Gdy dzieło świeżo wyszło z druku, zwrócił się do mnie ówczesny redaktor *Ateneum*, ś. p. Stosław Łaguna, z propozycyą, czy bym na podstawie dzieła Plenkiewicza nie podjął się napisania *poczytnego* szkicu o Kochanowskim, szkicu, któryby, po odrzuceniu ciężkiego balastu naukowego, dawał barwny i zajmujący opis życia i twórczości poety, oparty na ostatnich wynikach badań w tym kierunku. Chodziło o to, żeby rzecz czytała się gładko, żeby szersza publiczność, ta, którąby nigdy nie przebiła się przez olbrzymie dzieło Plenkiewicza, z łatwością mogła się zapoznać z biegiem życia

autora *Trenów*, z tem wszystkiem, co w tem życiu jest najbardziej zajmującem i pociągającem, co stanowi jego poetyczny urok, a co z Kochanowskiego czyni jedną z najpiękniejszych postaci w historyi naszej literatury. Propozycya była zaszczytną, jeśli się zważy, iż czynił ją autor *Dwóch elekcyj*, ale zadanie wcale nie należało do łatwych. Że jednak było bardzo ponętne, albowiem trudno o równie wdzięczny temat historyczno-literacki, jak nim jest Kochanowski, więc bez wahania postanowiłem spróbować, czy mi się nie uda napisać takiego artykułu, o jaki chodziło.

Nie krępowany co do rozmiarów, byle rzecz nie przenosiła dziesięciu arkuszy, niezwłocznie zabrałem się do roboty, poczem, co kilka dni, ile razy miałem większą partyę napisaną, szedłem na ulicę Maryańską, gdzie mieszkał Łaguna, aby mu przeczytać na głos, co napisałem.

Tych kilka posiedzeń wieczornych, spędzonych u sędziwego uczonego-ascety, w jego parterowem starokawalerskiem mieszkanku, nad wyraz mile zapisało się w mej pamięci. Profesor — bo ten tytuł dawało mu się w rozmowie — najczęściej w szlafroku, bo już coraz bardziej zapadał na zdrowiu, tak, iż całemi tygodniami nie wychodził z domu, siedział na kanapie, nie przestając palić papierosy, i słuchał uważnie, ja zaś, zajmując miejsce obok, przy okrągłym stole, zawsze zawalonym książkami i gazetami, których stosy zalegały cały pokój, czytałem moją pracę. Łaguna przerywał wtedy jedynie, gdy mu się nasuwała jakaś uwaga, a że do tych uwag był bardzo skłonny, bo go raził każdy powtórzony wyraz, każdy mniej szczęśliwy zwrot stylistyczny, każdy nie dość gładko utoczony frazes, więc co jakiś czas następowała dłuższa pauza w lekturze, a przychodziła kolej na mały wykład profesorski *ex cathedra*, wykład świetny, który musiał być z ogromną korzyścią dla słuchającego: czy to, gdy poruszał rozległe zagadnienia historyi lub literatury, czy też, gdy się obracał w ciaśniejszym zakresie metodyki naukowej. Nadmienić wypada, że Łaguna — niegdyś profe-

sor prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim — był urodzonym profesorem, bardzo pięknie wysławiającym się i lubiącym mówić. W ten sposób nieraz upływały godziny, tak, że te czytania w pokoju pełnym dymu — stale o godzinie 8-mej przerywane skromną wieczerzą z herbatą — prawie zawsze przeciągały się późno w noc, co również nie pozostawało bez wpływu i na zewnętrzny wygląd czytanego manuskryptu: ten bowiem, w miarę postępującego czytania, coraz bardziej zaczynał się pstrzyć od całego szeregu zmian i poprawek, ile że autor *Dwóch elekcyj* z zasady nie przepuszczał niczemu, co go pod jakimkolwiek względem nie zadawalniało w zupełności. Czasami po parę minut medytowaliśmy wspólnie, ażeby jakieś wyrażenie, które pozostawiało coś do życzenia, zastąpić właściwszem, odpowiedniejszem, dosadniejszem, ba, lepiej brzmiącem! Prawdziwy pedant, a raczej prawdziwy artysta i mistrz, z natury obdarzony subtelnym talentem pisarskim i konstrukcyjnym, czego tylokrotnie złożył dowody w swych pismach historycznych, Łaguna, gdy chodziło o formę, o sposób przedstawienia i ujęcia tematu, był wymagającym niezmiernie, nietylko względem siebie samego (choćby pisał zwykłą recenzyę do *Kwartalnika historycznego)*, ale i względem tych, co za jego redakcyi pisywali do *Ateneum*. I tak na punkcie wszystkiego, co się równało kompozycyi i architektonice literackiej, co miało związek z rozmieszczeniem i rozmiarami pojedynczych szczegółów i epizodów w stosunku do całości, stawał się wprost nieubłaganym i upartym, tak, że nigdy nie ustąpił, lecz przeciwnie z całą stanowczością domagał się zmian i przeróbek: bądź to rozwinięcia danej materyi, bądź — częściej jeszcze — skrócenia tego lub owego ustępu, który mu się wydawał nieproporcyonalnie długim lub rozwlekłym. Jakoż nie jeden raz musiałem — na poczekaniu u niego lub w domu u siebie — to, co zajmowało kilkadziesiąt wierszy, ściągnąć do kilku. Ale ponieważ wszystkie uwagi krytyczne, które czynił Łaguna, zawsze były słuszne, a przytem nacechowane nietylko

wielkiem doświadczeniem pisarskiem, nie mówiąc o wprost zadziwiającej erudycyi we wszystkich dziedzinach, ale nadto osobistą życzliwością dla mnie — co z chlubą zapisuję — więc nic dziwnego, że bardzo wiele korzystałem z tej lektury, iż był to rodzaj seminaryum literackiego, równie miłego, jak pouczającego. Najczęściej bywało tak, że co na jednem posiedzeniu zostało odczytane i przedyskutowane, to za parę dni, poprawione i przerobione, przynosiłem do powtórnego przeczytania, poczem dopiero rękopis, w ten sposób uzyskawszy redaktorskie *aprobatur*, szedł do drukarni. Nawiasem mówiąc, korekty, oprócz autora, robił jeszcze Łaguna, co niekoniecznie wywoływało zadowolenie zecerów, ale zato miało nader zbawienny wpływ na ostateczne wykończenie stylistyczne artykułów. Niemniej dobrze wyszła na tem i moja rzecz o Kochanowskim, wydrukowana w trzech zeszytach pierwszego tomu *Ateneum* z roku 1898.

W pracy tej — którą obecnie dla związanych z nią wspomnień poświęcam **Cieniom Stosława Łaguny** — starałem się o jaknajwierniejsze oddanie wyniku badań Plenkiewicza, a streszczając je, nie polemizowałem z autorem, co najwięcej w przypiskach dając wyraz niektórym nasuwającym mi się wątpliwościom. Albowiem nie chodziło o krytykę książki, ale o jej streszczenie, *resumé*, o rodzaj *essay'u*, skreślonego na jej podstawie. Cel, dla którego została napisana, był ten, żeby czytelnik dowiedział się z niej, w jaki sposób Plenkiewicz odtwarza przebieg życia i twórczości Kochanowskiego. Jakiemi drogami doszedł do danych wyników, słowem, całe rusztowanie, przy którego pomocy wznosił budynek, nie miało być pokazane. Czytelnik miał zobaczyć sam gmach, bez rusztowania. Wiadomo bowiem — a zwłaszcza wiedzą o tem dobrze redakcye czasopism — że takie naukowe rusztowania, choćby najkunsztowniejsze, nie budzą zainteresowania wśród szerszego ogółu czytelników. Co jest dobre i zajmujące dla uczonych, dla specyalistów, to nie interesuje, a więc nudzi zwykłego śmiertelnika. Z tem się trzeba liczyć.

Pracę tę, tak napisaną, wydaję dziś, po 12-stu latach, w formie niezmienionej, jeżeli chodzi o treść, ale prawie w dwójnasób powiększoną przypiskami. Jeżelim nie zmienił tekstu, który zostawiłem prawie nietknięty, to uczyniłem to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że do tekstu tego, przez pamięć Stosława Łaguny, mam pewne przywiązanie, a powtóre, że tekst ten, w danej postaci, jest wiernem odbiciem tego stanu kwestyi Kochanowskiego, w jakim się znajdowała w roku 1897, w chwili wyjścia książki Plenkiewicza. Już po ukazaniu się szeregu recenzyi pomienionego dzieła, zwłaszcza po recenzyach Brücknera i Tarnowskiego, kwestya ta przedstawiała się odmiennie, podobnie, jak całkiem inaczej przedstawia się dzisiaj, po wyjściu cennej książki Nehringa, wydanej w Petersburgu, i po szeregu nowych studyów, poświęconych Kochanowskiemu, a których od roku 1897 ukazała się liczba poważna. Dość wymienić studyum Stanisława Zatheya o *Fraszkach*, rozprawę Stanisława Dobrzyckiego o *Pieśniach*, tudzież cały szereg przyczynków do życia i pism czarnoleskiego poety, drukowanych w *Pamiętniku literackim*, a wśród których prym trzyma Windakiewicza *Erotyk Kochanowskiego*. Wszystkie te prace, każda w swoim mniejszym lub większym zakresie, prostowały i zmieniały bardzo wiele twierdzeń Plenkiewicza, tak, że gdyby mu dzisiaj wypadło robić nową edycyę swego dzieła, musiałby je zmienić i przerobić w niejednem miejscu. Wszystko, co te prace przyniosły nowego, uwzględniłem w przypiskach, w odnośnych miejscach, tak, że czytelnik łatwo sobie uświadomi, jaką ewolucyę przeszły niektóre kwestye w literaturze o Kochanowskim w ciągu ostatnich lat dwunastu: o ile sprawa postąpiła naprzód, w jakiej fazie znajduje się obecnie. To samo uczyniłem i w kierunku retrospektywnym, w równym stopniu uwzględniając — zawsze w przypiskach — literaturę o Kochanowskim, poprzedzającą wyjście dzieła Plenkiewicza, a której badania wykazywały inne rezultaty, dochodziły do odmiennych wniosków. A te wnioski i rezultaty niejednokro-

tnie bywały bardziej uzasadnione, silniej ugruntowane, niż wiele opinij Plenkiewicza, który często w swych wywodach idzie za daleko... Wszystko to, zestawione razem, systematycznie, daje dosyć plastyczny obraz tego, co do obecnej chwili zrobiono dla wyjaśnienia tej wielkiej historyczno-literackiej zagadki, jaką jest tak niedostatecznie znane życie Jana z Czarnolasu.

Z mojemi własnemi zapatrywaniami na wiele kwestyj w życiu i twórczości Kochanowskiego, streszczając poglądy innych, wstrzymywałem się o ile możności, w nielicznych wypadkach odstępując od tej zasady. Nie znaczy to, bym zawsze pisał się na te przedmiotowo streszczane opinie, podobnie, jak nie należy identyfikować objektywizmu, z jakim w tekscie streszczam wywody Plenkiewicza, z brakiem krytycyzmu z mej strony. Tak nie jest. Już wtedy bowiem, gdy pisałem mój szkic dla *Ateneum*, bardzo często nie mogłem się zgodzić z Plenkiewiczem, czemu nawet raz po raz — choć może za dyskretnie — starałem się dać wyraz. Cóż dopiero dzisiaj, gdy przed uzupełnieniem niniejszej pracy, na nowo przestudyowałem wszystko, co o Kochanowskim pisano przed i po Plenkiewiczu, kiedy sobie urobiłem bardziej ugruntowane zdanie w niejednej sprawie, zwłaszcza w całym szeregu kwestyj, dotyczączych młodości poety, jego *Lehr-* i *Wanderjahre*[1]).

Tymczasem winienem wytłómaczyć się przed czytelnikiem, co mię skłoniło do wydania niniejszej książki. Wszak nie jest to praca oryginalna, tylko streszczenie obcej. Niewątpliwie byłby to wystarczajacy powód, żeby jej nie wy-

[1]) Kwestyom tym poświęciłem dwa osobne studya literackie, które niebawem mają być drukowane. Pierwsze z nich, p. t. *Nowe hipotezy o najmniej znanych latach w życiu Jana Kochanowskiego*, zajmuje się głównie kwestyami, związanemi z młodością poety, z jego studyami za granicą przed ostatecznym powrotem do kraju; drugie, p. t. *Kochanowski i Reformacya*, przedstawia rozwój przekonań religijnych autora *Trenow*.

dawać osobno: niechby spoczywała w starym roczniku nieistniejącego już *Ateneum*. Być może, iż niejeden będzie tego zdania. A jednak, choć nie samoistna, kto wie, może się przyda, nawet jako taka. Dopóki niema popularnej książki o Kochanowskim, opartej na ostatnich wynikach krytyki historyczno-literackiej, niniejszy bezpretensyonalny zarys zastąpić może brak lepszej monografii o Janie z Czarnolasu. Dzieło Tarnowskiego, ze wszystkich, jakie są o Kochanowskim, najlepsze, jest całkowicie wyczerpane; Chlebowskiego *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów* o ile również się wyczerpał, o tyle z pewnością jest przestarzały; popularny szkic Tatomira, ślicznie napisany, także nie jest łatwy do dostania, chyba u antykwaryuszów; książeczka Nehringa, choć bardzo wartościowa, jest zbyt treściwa; a olbrzymie dzieło Plenkiewicza, istna kopalnia dla specyalistów, nie zawsze jest przystępne dla szerszego ogółu. Książki, którąby w sposób popularny, a jednak nieco obszerniej, opowiadała o życiu i twórczości Kochanowskiego, niema w tej chwili. Może niniejsza uświadomi potrzebę takiego zarysu, może pobudzi kogo zdolniejszego, że w końcu da nam książkę o Kochanowskim taką, jaką na swój czas była znakomita powieść Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Jeżeli książce mej uda się wywrzeć taki pobudzający wpływ, wówczas rola jej będzie skończona, a skromne zadanie spełnione.

Z tą myślą puszczam ją w świat, by, o ile ją na to stać, szerzyła kult Kochanowskiego, zachęcając do czytania jego nigdy nie starzejących się, a tem samem prawdziwie klasycznych utworów.

Kraków, dnia 30. grudnia 1906 r.

Autor.

Najsławniejszy poeto między poetami!
Ty nigdy nie umierasz, zawżdy jesteś z nami,
Bo zawsze poglądając na twój wiersz wspaniały
Musimy się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilku tysięcy stanęło z wierszami
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami...

Kasper Miaskowski.

Jan Kochanowski w Czarnymlesie
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiewa
Jakiego i Helikon podobno nie miewa,
A snadźby mieli mówić po polsku bogowie
Iścieby z Kochanowskim przestali na mowie.

Bartosz Paprocki.



Rozdział pierwszy.

W Sycynie (1530—1544).

Urodziny poety. I. Piotr i Anna z Białaczowskich Kochanowscy. II. Rodzina poety. Żyłka literacka „jakoby dziedziczna“ wśród Kochanowskich. Kraj lat dziecinnych. Pierwsze wrażenia. Wpływ rodziny. Atmosfera domowa. Kierunek wychowania. Uczucia katolickie matki. Pierwsze nauki. Pierwszy nauczyciel. Wyjazd do Krakowa.

Wśród falistych wzgórz, ciągnących się lewym brzegiem Wisły w okolicy Kazimierza, w rozległym ostępie leśnym, szumiącym konarami prastarych buków i dębów, nad stawem ogromnym, zwanym Przerwiny, a zasilanym wodami rzeki Sycynki, rozłożyła się wieś Sycyna, składająca się — już w XVI wieku — z dwudziestu kilku „dymów“ włościańskich, wieś, w której po prawej stronie stawu, „poza cegielnią“, stał „stary“ drewniany dwór szlachecki, z ogrodem i lamusem.

We dworze tym, obszernym, jak przystało na dom zamożnego ziemianina, w roku 1530 [1]), z ojca Piotra Kocha-

[1]) Tak twierdzi J. Przyborowski, na podstawie nagrobka poety, na którym czytamy, że umierając w 1584 r., liczył sobie lat 54. Tymczasem Szymon Starowolski, idąc za pierwszym bezimiennym biografem Kochanowskiego z roku 1612, twierdzi, że poeta urodził się w roku 1532 a umierając miał lat 52. — Ob. Józef Przyborowski, *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego.* (Poznań, 1857), strona 11.

nowskiego, sędziego ziemi sandomierskiej, i matki Anny z Białaczowskich herbu Odrowąż, urodziło się dziecię, któremu na chrzcie świętym dano imię Jan, a z którego przyjściem na świat nad cichą wioską sandomierską „wschodziło słońce narodowej poezyi, by po wszystkie wieki najdalszym pokoleniom przyświecać".

I.

Gdy się chce mówić o Piotrze Kochanowskim, jako ojcu przyszłego twórcy *Odprawy posłów greckich*, mimowoli przypomina się wiersz tego ostatniego, wypowiadający tę wielką prawdę życiową, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie". Bo czyż nie dziwnem zdarzeniem jest fakt, że właśnie ten Piotr Kochanowski, któremu było sądzone zostać ojcem pierwszego wielkiego poety polskiego, był niesłychanie prozaicznym, jako człowiek? Bardzo praktyczny i pozytywny z natury, nietylko pracował na roli (przyczem blizkość Kazimierza, głównego portu na Wiśle, ogromnie mu ułatwiała zbyt wszelkich produktów), ale nadto, zachęcony posiadaniem rozległych lasów dębowych sycyńskich i czarnoleskich, dających nieprzebraną moc żołędzi, uprawiał na wielką skalę hodowlę nierogacizny. Na hodowlę tę, którą uznawał za równie szlachetny proceder, jak handel pszenicą lub żytem, zapatrywał się wyłącznie z punktu widzenia dochodów, jakie przynosiła, a dochody przynosiła mu znaczne. Mimo to nie zadawalniał się niemi. Żądny ciągłego pomnażania zysków — a namiętność ta rosła w nim z biegiem lat — nie cofał się i przed niewdzięczną rolą usłużnego sąsiada, który innym chętnie udzielał mniejszych lub większych pożyczek, a który, co gorsza, niezawsze w takich razach, gdy chodziło o odbiór pożyczonej sumy, powodował się względami delikatności. Pod tym względem często nie miewał żadnych skrupułów, tak dalece, że „jako zastawnik budził w dłużnikach poważne obawy". Gdy chodzi

o przykłady, stwierdzające powyższe zdanie, stoi się wobec prawdziwego *embaras de richesse*. I tak na przykład St. Siedlecki, nie mogąc się uiścić w oznaczonym terminie, musiał w końcu, chcąc nie chcąc, oddać mu „na wieczne czasy“ wszystkie dobra we wsi Chechły, od Stan. Cierskiego nabyte. Inny dłużnik jego — a jest ich bardzo wielu — Floryan Krajowski, nie mogąc zebrać na termin wymaganej sumy, „wolał w niej oddać Krajów zastawem biskupowi chełmskiemu, niż jako zastawnika wpuszczać Piotra do niego“. Jako wierzyciel bowiem, a zwłaszcza jako zastawnik (to jest jako pożyczający na zastawę), był pan Piotr równie skrupulatny, jak niemiłosierny. Wielu przekonało się o tem niejednokrotnie, a między innemi i Anna z Sienna, wdowa po Stan. Kazanowskim, która, przyciśniona potrzebą, zaciągnęła podwójny dług u swego sąsiada z Sycyny, o tem zaś, jaki był przebieg tej sprawy, tak pisze uczony biograf poety: „Kochanowski i tym razem pożycza, ale już pod zakładem, żądając sto za sto w razie uchybienia na termin. Jak zaś go pilnował, widzimy z protestu, wniesionego przezeń w sam dzień św. Szczepana, a zatem w drugie święto Bożego Narodzenia! Rozumie się, że Anna nie przybyła z pieniądzmi i dług jej urósł w dwójnasób. Słowem, zakład była to lichwa, w formę prawną ujęta“. Wogóle, jeżeli chodzi o Piotra Kochanowskiego, to nie można powiedzieć o nim, żeby był czułym w stosunku do swoich dłużników; przeciwnie, odznaczał się pewną zaciekłością nawet, gdy chodziło o ściągnięcie swej należytości. Takie postępowanie, oczywiście, wywoływało nieuniknioną reakcyę ze strony przeciwnej, a że pan Piotr niezawsze na tej reakcyi wychodził korzystnie, za tem przemawia jego spór z właścicielką Woli Sycyńskiej, Katarzyną Nieczujską, która, pozwana przezeń, nietylko nie stawiła się w sądzie, ale gdy Kochanowski zyskał wyrok zaoczny, skazujący ją na zapłacenie jeszcze 1.004 grzywien, ona zacięła się także, a zacięła się tem słuszniej, że suma powyższa, wymagana przez

powoda, „na posiadaczkę cząstkowej własności była tak wielka, że przewyższała jej wartość". „Ale Kochanowski, powiada prof. Plenkiewicz, chciał Nieczujską puścić z torbami i, mając wyrok w kieszeni, sądził, że na swojem postawi. Tymczasem bez względu na obecność woźnego i dwóch ze szlachty, towarzyszących wykonaniu wyroku, Nieczujska stawiła opór, a co gorsza, syn jej, Feliks, napadł na dwór Kochanowskiego i zadał ranę jednemu z jego służebnych". Kto tak postępował ze swymi sąsiady, ten nie mógł się cieszyć ich szczególną sympatyą, bo nie pała się miłością do człowieka, który, jak on, niedość że „gromadził tylko pieniądze w celu nowego nabytku", lecz, jako zastawnik, „wyciągał strunę do niemożliwych granic", stawiając tak uciążliwe warunki swym dłużnikom, że ich nieraz swymi zakładami doprowadzał do majątkowej ruiny. To też „gdyby dziś na takiem, jak Piotr, stanowisku brał kto odsetki równe udzielanym pożyczkom, domagał się, nie straciwszy sam złamanego szeląga, tak wysokich nawiązek, udzielał wreszcie pożyczek na zastaw, z powziętym z góry zamiarem wyzucia z majątku po kilku naraz dziedziców, można być pewnym, że przeciw sobie powszechneby oburzenie wywołał". Na szczęście dla ojca poety, nadmienić i podkreślić należy, że takich, jak on, był legion, że prawie wszyscy postępowali tak samo, gdyż „prawo, w zasadzie uznając zakłady i zastawy, jako rękojmię przyjętych zobowiązań, tem samem osłaniało lichwę swą powagą". To jedna okoliczność łagodząca. Drugą, którą Piotr Kochanowski mógł przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, była ojcowska myśl o żonie i dzieciach: w razie, gdyby go dręczyły jakie skrupuły, mógł siebie tłómaczyć tem, że jako głowa licznej rodziny winien pamiętać o jej przyszłości, jak przystało na kochającego ojca. Że zaś był kochającym ojcem, tego dał liczne dowody... Co pewna, że był bardzo ambitny, że jeśli dbał o powiększenie majątku, to zwykłym groszorobem nie był. „Prócz naturalnego zresztą przywiązania do rodziny, drugim dziedzicznym rysem

jego charakteru jest żądza wyniesienia swego rodu nad zwykły poziom szlachecki. Obok niej występuje próżność, znajdująca zadowolenie w kolejnem używaniu tytułów własności nabytych przez się majątków". Już to w ogóle o tytuły dbał bardzo, a choć mu taki tytuł n. p., jak *Peter Cochanowski in Conary haeres*, widocznie schlebiał, to jednak zależało mu i na innych, mianowicie honorowych. Dlatego nie cofał się przed służbą publiczną, a że należał do najmajętniejszych w okolicy, więc zarówno w grodzie, jak w ziemstwie, piastował różne urzędy, które mu oprócz dochodów dawały jeszcze pozycyę społeczną. Zacząwszy od tego, że został komornikiem granicznym, po niejakim czasie awansował na sędziego grodzkiego radomskiego, aż skończył na zaszczytnym tytule sędziego generalnego ziemi sandomierskiej.

Z nierównie szlachetniejszej gliny była ulepiona jego druga żona[1]), Anna, w której żyłach płynęła rycerska krew Odrowążów. Nie była to kobieta pospolita; a 40-letni Piotr Kochanowski, żeniąc się z nią w roku 1525, w którym liczyła lat 18 dopiero, nietylko wchodził w zaszczytne koligacye ze znakomitszemi domami w Polsce, ale brał istotę, która się miała stać dobrym geniuszem jego domu. Ci, któ-

[1]) Pierwszą żoną Piotra była szlachetna Zofia, córka Jana Zasady, a wdowa po Mikołaju Kroguleckim. Ona to wniosła Piotrowi część Sycyny, należącą do pierwszego jej męża. Ożenił się z nią w roku 1522 i miał córkę Druzyannę, którą w roku 1537 wydał za Walentego z Tynicy. Zofia umarła po niespełna trzechletniem pożyciu z Piotrem, który wkrótce po jej śmierci, bo już w roku 1525 ożenił się powtórnie. Oto, co o tem jego pierwszem małżeństwie pisze Plenkiewicz: „Nawzajem Piotr Kochanowski, aktem w tymże terminie spisanym, zabezpieczył jej na Czarnolesiu 100 grzywien posagu i tyleż przywianku, z zastrzeżeniem, które pod pewnym względem jego charakter maluje. Gdy bowiem Zofia przypadłe na nią części w Sycynie oddaje mu w bezwarunkowe posiadanie, on tymczasem, przyznając jej dożywotnią używalność z Czarnolasu, stawia warunek, że w razie jej śmierci majątek przez nią, jak wiano, wniesiony przejdzie na niego i na jego potomstwo".

rym była znana osobiście, nazywali ją *spectatae pudicitiae prisciquc moris*, co się pozwala domyślać, że musiała być dobrą, łagodną, pobożną i surowych obyczajów, taką jednem słowem, jaką powinna być białogłowa z rodu Odrowążów. Z tego bowiem, że jako Białaczowska [1]), pochodziła z tak znamienitego rodu, była i mogła być dumną. Zawsze pamiętała o tem, że Odrowążanką była bł. Bronisława zwierzyniecka, która, jako Norbertanka w klasztorze pod Krakowem, na wieczne czasy zapisała się w pamięci okolicznego ludu, a jeżeli sąsiednia góra, porastająca krzewami róż, zowie się górą bł. Bronisławy, to dlatego, że owe róże, jak głosi miejscowe podanie, wyrosły z jej różańcowych paciorków rozsutych podczas modlitwy. Nie zapomniała też, iż Iwo Odrowąż był kanclerzem Leszka Białego, a jako biskup krakowski, którym został po śmierci Wincentego Kadłubka, fundował liczne klasztory i kościoły, w tej liczbie i krakowski kościół Panny Maryi. Pierwsi Dominikanie polscy, św. Jacek i św. Czesław, tak słynni z cudów, które czynili pomiędzy ludem, także byli z rodu Odrowążów. A ów błogosławiony Prandota z Białaczowa, biskup krakowski, co to wyjednawszy kanonizacyę św. Stanisława, ciało jego, w srebrnej tru-

[1]) W recenzyi o dziele Plenkiewicza, zamieszczonej w *Przeglądzie Polskim* z sierpnia 1898 roku prof. St. Tarnowski z pewnem niedowierzaniem pisze o pani Piotrowej Kochanowskiej, jako Białaczowskiej z domu, przyczem sam nazywa ją Anną z Białaczowa „Czy słusznie jest nazywać ją Białaczowską? Czy to nazwisko wyrobiło się i ustaliło w jakiej gałęzi Odrowążów? Nie śmiemy przeczyć, ale nie wydaje się to pewnem". Wątpliwość tę rozstrzygnął Plebański (w recenzyi dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim) wykazawszy na podstawie *Źródeł dziejowych* Pawińskiego (t. XV), że już w księgach poborowych z roku 1508 spotykamy się z tem nazwiskiem, użytem trzykrotnie z zakończeniem przymiotnem. „Nazwisko to więc w tej formie było upowszechnione już na początku XVI stulecia, a jeżeli go używali męzcy przedstawiciele rodu (Abraham, Piotr i Stanisław Białaczowscy), dlaczegożby nie miało służyć i niewiastom należącym do niego?".

mnie złożone, na Wawel ściągnął, wszak i on był Białaczowskim, a więc Odrowążem! A nietylko błogosławionych i świętych wydał ten znakomity ród. Gdy chodziło o powołanie się na swych przodków, mogła pani sędzina, niedługo szukając w pamięci, wymienić cały poczet kasztelanów i marszałków nadwornych, oraz takich, co piastowali pierwsze godności w kraju: Mikołaj, kasztelan sandomierski, był podskarbim koronnym, Krzysztof zaś, naprzód wojewoda, następnie „Pan Krakowski“ od roku 1515, dzierżył pieczęć większą, przyczem wywierał ogromny wpływ na Zygmunta Starego. Nie brakło też i Odrowążów arcybiskupów... Cóż dziwnego tedy, że Anna Białaczowska odziedziczyła, jako Odrowążanka niepospolite przymioty umysłu i serca, że wybiegała nad poziom zwykłej ówczesnej szlachcianki [1]). Jakoż tak było istotnie: nie ulega wątpliwości, iż w jej usposobieniu było wiele poetycznego, że i Kochanowski, jak Słowacki, mógł powiedzieć do swojej matki: „Jeżeli miałem jaką poezyę w duszy, to ją od ciebie wziąłem“. Ten pierwiastek uczuciowy, który tak silnie zaprawia poezyę i charakter Jana z Czarnolasu, najprawdopodobniej miał swoje źródło w duszy sędziny. Co pewna, to, że po za głęboką pobożnością, która ją cechowała przez całe życie, i po za tem, coby w niej Göthe nazwał *eine schöne Seele*, inteligencya i dowcip także należały do jej cech charakterystycznych. Obdarzona umysłem żywym i bystrym, a bardzo wrażliwa z natury, była znana ze swego wrodzonego dowcipu. Dość powiedzieć, że

[1]) O tych różnych cnotach, odziedziczonych po różnych Odrowążach, Tarnowski pisze nie bez sceptycyzmu. „Naturalnie (przy charakterystyce matki poety) wtrącona obszerna wiadomość o Odrowążach, od Iwona i św. Jacka, po których Anna odziedziczyć miała pobożność i cnotę, aż do kwitnących Szydłowieckich i innych, z którymi znowu wspólność herbu ma utrzymywać jeszcze resztki związków rodzinnych“. Ten ironiczny ton, w jakim Tarnowski streszcza opinię Plenkiewicza, najwymowniej dowodzi, że hypoteza nie zdaje mu się być opartą na zbyt silnych podstawach.

Łukasz Górnicki, pisząc swojego *Dworzanina polskiego*, gdy mu przyszło podać kilka przykładów dowcipu, przytacza jedno z trefnych słówek sędziny. W ogóle „pani Kochanowska" słynęła z tego, że nietylko była „stateczna pani", ale i „bardzo trefna". Dowcip, który tryska z *Fraszek* Kochanowskiego, był spuścizną, odziedziczoną po matce.

Poeta kochał ją bardzo.

II.

Na nagrobku, który Jan Kochanowski położył swoim rodzicom, nazwani są Piotr i Anna Kochanowscy „najczulszymi rodzicami". Dowodzi to, że musieli być w pożyciu z sobą szczęśliwi, że Bóg błogosławił temu związkowi. Że tak było, dowodził tego między innemi, także fakt, że pan sędzia sandomierski był „najczulszym" ojcem aż jedenaściorga dzieci, siedmiu synów: Kacpra, Jana, Piotra, Mikołaja, Andrzeja, Jakóba i Stanisława, oraz czterech córek: Katarzyny, Elżbiety, Anny i Jadwigi. Trudno o wymowniejszy dowód błogosławieństwa boskiego!

Co ciekawsze, że w tej licznej rodzinie, nieśmiertelnej przez to, że do niej należał tłumacz Psalmów Dawida, nietylko on jeden zaciągnął się w szeregi sług Apolina i Muz. Należy podkreślić ten szczegół, bo jeśli chodzi o wykrycie źródła talentu autora *Trenów*, to okazuje się, że z tej krynicy czerpali także i dwaj bracia poety, Mikołaj i Andrzej. Że tem źródłem była ich matka, to prawie nie ulega zaprzeczeniu. Jakkolwiekbądź, Mikołaj Kochanowski, który za młodu kształcił się na uniwersytecie lipskim, także bawił się piórem, poezye zaś, które zostawił po sobie, wydane przez jego żonę p. t. *Rotuły*, są nader cenną pamiątką po nim, bo malują człowieka o sercu czystem i prawem, rozmiłowanego w starożytnych pisarzach, z których przetłómaczył całego Plutarcha. Nadto, zostawił po sobie *Napisy pod obrazy kontrefektu żywota ludzkiego*, tudzież „ksiąg pełną komorę", co

tem wymowniej świadczy o jego żyłce literackiej. Literatem także, i to wcale nie poślednim, był młodszy brat Mikołaja, Andrzej Kochanowski. I on poszedł w ślady swych starszych braci. Ożeniony z Zofią Sobieską, choć miał niemało zajęcia, gospodarując w Baryczy, jednak wszystkie wolne chwile, ukradzione pracy około roli, poświęcał poezyi. W roku 1590 wyszedł jego całkowity przekład *Eneidy*, z listu zaś, pisanego w roku 1593 do Zamoyskiego, okazuje się, że zamierzał tłómaczyć i Liviusza. Ale nie koniec na tem. Usposobienie literackie, wyssane z mlekiem matki, nie wygaśnie jeszcze i w trzeciem pokoleniu. Wszak Urszulka Kochanowska, gdyby nie była umarła, stałaby się, zdaniem ojca, „Safoną słowiańską", bo skoro, dzieckiem będąc mówiła wierszami, to z pewnością, dorósłszy i dojrzawszy umysłowo, pisywałaby poezye. Ale cokolwiekby się stało, pewnem jest, że syn Mikołaja Kochanowskiego, autora *Rotuł*, Piotr Kochanowski, zasłynął jako wyborny tłómacz *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa, a syn Kacpra Kochanowskiego, najstarszego z braci Jana, wydając *Proporzec* swego stryja, poprzedził go wierszowaną przedmową, której sam był autorem. Podobnież i o synu Andrzeja Kochanowskiego, tłumaczu *Eneidy*, powiadano, że był „uchowany w Helikonie z Muzami". Jako taki, odznaczył się w bohaterskiej bitwie pod Chocimem, a Samuel Twardowski, opiewając jego męstwo, tak pisze o nim:

. . . Dotąd się Phebową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową
Y jakoby dziedziczną. Teraz na pogany
Do ostrego pałasza kształtnie przypasany,
Od katedry do bębnów, od pióra do piki,
Między stawa drugimi obok wojowniki...

Tyle poetyckich usposobień i talentów w jednej rodzinie, to nie prosty chyba przypadek. „Wprawdzie nikt z Odrowążów — jak to stwierdza Plenkiewicz — nie zespolił swego imienia z literaturą ojczystą, ale zato w samych jego dziejach znajdujemy wiele poetycznego żywiołu. A jeżeli już historya

niejedną postać, należącą do tego rodu, przyodziała w szatę poezyi, to o ileż poetyczniej przedstawiały się one w wyobraźni idących z niego niewiast, podtrzymujących życie w przekazanych im tradycyach, których wątek bezwątpienia o wiele był bogatszy, niż go piśmienne zachowały pomniki. Przy ograniczonych wiadomościach, jakie niewiastom ówczesne wychowanie dawało, podania owe rodzinne wraz z prawdami wiary, stanowiły niemal całą treść duchowego ich życia. Taki zaś podkład psychiczny musiał odpowiednio oddziaływać na kierunek uczuć i myśli, które utrwalając się i potęgując przez całe szeregi pokoleń, wytworzyły w końcu jakby duchową dziedziczność, która przez Annę przeniesiona na szczep Kochanowskich, wydała tyle poetyckich uzdolnień. Im wrażliwsze, podnioślejsze były umysły, tem silniej oddziaływały na nie poetyczne tradycye. Że do takich należała sędzina, to własny jej syn złożył o tem w *Trenach* świadectwo".

Tymczasem płynęły lata, a poeta — podobnie jak Mickiewicz w Zaosiu — pierwsze wrażenia swoje, które tak wielki wpływ wywierają na usposobienie człowieka, czerpał z natury wiejskiej, sielskiej. Tym „krajem lat dziecinnych", który tak rzewnie przez całe życie wspominał inny poeta, była dla niego Sycyna, jedna z tych polskich „wsi spokojnych, wsi wesołych", których urok później z takiem umiłowaniem opisywał w *Sobótce:*

Dzień tu: ale iasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżli mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki.

Ażeby powziąć wyobrażenie o tem, w jakiem środowisku wzrastał przyszły autor *Sobótki*, wystarcza przeczytać pieśń jej ostatnią, w której poeta opisuje błogości życia na wsi:

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź, y wszytek
Opatruje swóy dobytek.

Iemu sady obradzają,
Iemu pszczoły miód dawają:
Nań przychodzi z owiec wełna
Y zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi:
Skoro też siew odprawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy,

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne pląsy z ukłony,
Tam cenar, tam y goniony.

A gospodarz wziąwszy siadkę,
Idzie mrokiem na usadkę:
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy co przyniesie.

W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze:
A rozliczni ptacy w koło
Ozywają sye wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni.
A Faunowie skaczą leśni.

Za tym sprzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni...

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona y spuszczać pomoże,
Męża wzmaga iako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc sye ku starszey głowie
Wykną przestawać na małe,
Wstyd y cnotę chować w cale.

Tą samą poezyą sielskości, którą tchnie ten wierszyk, oddychał i Kochanowski, kiedy podrastał w Sycynie, a jest wiel-

kie prawdopodobieństwo, że niejedno wrażenie, wyniesione ze wsi rodzinnej, odbiło się w tym epilogu *Sobótki*. Bo kiedy się czyta o tych gęstych więcierzach w rzece, to mimowoli staje na myśli Sycynka, przepływająca nieopodal dworu sędziego, tak samo, jak czytając o owych stadach igrających przy wodzie, mimowoli widzi się wielki staw, w którego lśniącej tafli przeglądało się całe gospodarstwo rodziców poety. Podobnież można być pewnym, iż takich pieśni rozmaitych i gadek, śpiewanych i opowiadanych przy kominie, przy którym i tańczono nieraz, poeta niemało nasłuchał się w dzieciństwie, w Sycynie, gdzie również widywał matkę swoją, jak na podobieństwo owej „sprzętnej gospodyni" liczyła bydło powracające z pola, a potem „pilność czyniła" około wieczerzy. Na wszystko to Kochanowski patrzał oczyma dziecka i pacholęcia; wszystko to, począwszy od owych „obradzających" sadów i pasiek „miód dających", a skończywszy na owych „prostych pieśniach", które przy wtórze „rozlicznych ptaków" pastuszkowie grali na fujarkach, sączyło w duszę przyszłego autora *Sobótki* tę poezyę pól i lasów, która choćby dlatego tylko jest poezyą prawdziwą, rzetelną, że jest poezyą natury. Lasy, otaczające Sycynę, „tworzyły nader zacieśniony widnokrąg, w którym myśl, nie znajdując szerszych przestworów, równie jak oko, nie mogła się rozstrzelać: skupiona, nawykła raczej do refleksyi, niż bezcelowego bujania. Wrażenia też, jakich tu w dzieciństwie przyszły poeta doznawał, nastrajały jego duszę do odczuwania całej błogości sielskiego życia, płynącego spokojnym nurtem wśród rodzeństwa i dostatków ojcowskich, i utrzymując w harmonii rozwijające się władze jego umysłu, wytwarzały w nim ów nastrój psychiczny, który w późniejszem życiu pozwalał mu zakłócające wewnętrzną harmonię namiętności do równowagi sprowadzać".

Niemniejszy wpływ, aniżeli wieś i natura, wywierało nań najbliższe otoczenie, w którem się chował od dziecka, tudzież atmosfera domowa, którą oddychał do 14-go roku

życia. Przedewszystkiem ulegał wpływowi obojga rodziców, których, że kochał, tego dał dowód, nazywając ich „najczulszymi rodzicami". Na zapytanie, czyjemu wpływowi ulegał bardziej, matki czy ojca, zdaje się, że jest tylko jedna odpowiedź, mianowicie, że głównie urabiał się pod psychicznym wpływem matki. Ojciec, zajęty sprawami urzędu, oddany interesom i gospodarstwu, rozrzuconemu w różnych miejscowościach (bo oprócz Sycyny, był właścicielem Czarnolasu, Woli Sycyńskiej, Konar i Baryczy, na której „ryb nie zliczy"), mało mógł się zajmować dziećmi, a tem samem i nie oddziaływał na nich. Co najwyżej mógł w nie przelać dziedzicznie część swojej energii życiowej, która u niego skierowana do czysto materyalnych zabiegów, u Jana stanie się podnietą do zdobycia rozległej wiedzy, a następnie przekazać im swoje usposobienie, będące kontrastem rycerskiego ducha i fantazyi. „Jest on w całem znaczeniu ziemianinem, który od czasu do czasu odrywa się od zajęć rolniczych i za stołem sędziowskim zasiada, ale który przedewszystkiem miłuje pokój, wygody, jak je pojmowano ówcześnie, i bynajmniej nie pragnie własnej krwi, ani cudzej, przelewu. To usposobienie odziedziczają po nim synowie, a przedewszystkiem poeta". Ale jeżeli wpływ ojca da się ograniczyć do tak ciasnego zakresu, to wpływ matki, wychowującej swe dzieci *in severissima disciplina*, był prawie niepodzielny, wyłączny, a znaczny. Ona uczyła je prawd wiary [1]), ona wpa-

[1]) Oboje państwo Kochanowscy odznaczają się pobożnością w duchu katolickim. Nawet sędzia! Gdy Andrzej Białaczowski, brat sędziny, pragnie stawić kościół w Policznie, Piotr zaznacza swą obecność przy akcie erekcyjnym, co wprawdzie przemawiało na korzyść jego uczuć katolickich, ale nie bardzo świadczyło o jego szczodrobliwości: bo mogąc do tej budowy dołożyć się jaką ofiarą ze swej strony, nie uczynił tego. „To już nie tkwi w jego naturze". Ale na katolickie i religijne wychowanie, gdy chodziło o dzieci, zwłaszcza o Jana, kładł nacisk niemały, i pod tym względem bynajmniej nie hamował swej żony. „Wszakże i bez tego katolickie przekonania obojga występują w sposób niedwuznaczny w przezna-

jała w nie zasady cnoty, ona wreszcie, zasilając ich dusze skarbami własnego ducha, karmiła je tradycyami własnego rodu, czem najwięcej może — zdaniem uczonego biografa poety — wpływała na rozbudzenie poetyckich uzdolnień Jana. Ona też, wpływając na rozwój jego uczuć i wyobraźni, ukrzepiała w nim tego ducha katolickiego, który cechował cały ród Odrowążów, a który i pod dachem dworu sycyńskiego gorzał bardzo silnym płomieniem.

Nie znaczy to, ażeby pod dach tego katolickiego domu nie przedostawały się echa reformy, którą w tym czasie wrzało tyle umysłów w Polsce. Jak tyle innych dworów, podobnie i dwór w Sycynie, zwłaszcza przy liczniejszym zjeździe sąsiadów, niejednokrotnie rozbrzmiewał religijnemi sporami, czyli, że i przyszły autor fraszki *Do Ojca świętego* niejednokrotnie przysłuchiwał się tym rozmowom. Że to nie pozostało nań bez wpływu, za tem przemawia jego dalsze życie...

Tymczasem rozpoczął pierwsze nauki, człowiekiem zaś, który, choć sam nie posiadał uniwersyteckiego wykształcenia, największą wagę przywiązywał do edukacyi synów, szczególniej Jana, przeznaczonego do stanu duchownego, był sędzia. Ostatecznie nie było tajnem dla niego, że tylko człowiek „uczony" może się wybić na znaczniejsze stanowisko: wiedział, że zarówno dwór, jak i kancelarya królew-

czeniu naszego Jana do duchownego zawodu. Oboje zapewne pragnęli widzieć go na najpierwszych godnościach kościelnych, choćby na stanowisku biskupa krakowskiego, i w tym celu niezawodnie do wyższych sposobili go nauk; tylko każde z nich prawdopodobnie innemi kierowało się pobudkami. Dla ojca przyszły ten zawód był środkiem do wyniesienia rodu; dla matki — urzeczywistnieniem gorących pragnień, by w synu dała krajowi drugiego Jana Prandotę; bo że ta postać błogosławionego biskupa wciąż się Białaczowskim marzy, to widzimy nietylko z nadania jego imienia poecie, ale i w tej, napozór drobnej okoliczności, że Andrzej, budując kościół w Policznie, poświęca go czci św. Stanisława, którego kanonizacya nastąpiła głównie za staraniem Prandoty".

ska, roiły się od humanistów, którzy stąd posuwając się na wyższe godności i urzędy, w końcu niejednokrotnie zasiadali stolice biskupie. A co im ułatwiało robienie tak świetnej karyery? Przedewszystkiem to, że byli „ludźmi nauk włoskich". Przeświadczony o tem, gdy chodziło o wykształcenie synów, sędzia nie żałował grosza. Jakoż wszyscy otrzymali wychowanie, jak na swój czas, bardzo staranne. Szczególniej Jan. Kto mu udzielał pierwszych początków czytania i pisania? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tym pierwszym nauczycielem — zawsze najlepszym — była jego matka [1]). Wprawdzie było zwyczajem w owym czasie, że mężowie i ojcowie przestrzegali zasady, „aby białe głowy pisma syę nie uczyły y xiąg żadnych co się tyczy biegłości a wyćwiczenia rozumu nie czytały", ale pani sędzina, jako Odrowążówna, z pewnością należała do „pań littery znających", a jako słynąca ze swego „ostrego dowcipu", pewno, jako panna, była — za przykładem innych Odrowążówien — na wychowaniu w którymkolwiek z klasztorów. W każdym razie, jeżeli tą, która nauczyła czytać i pisać przyszłego tłómacza Psalmów Dawidowych, była matka poety, to książką, na której go czytać uczyła, mógł być tylko — obok *Żywota Pana Jezu Krista* Baltazara Opecia — którykolwiek z *Psałterzów*, bądź Wietora, bądź Walentego Wróbla, których wydanie przypada właśnie na lata pacholęce Kochanowskiego [2]). „Jeżeli zaś już teraz do duszy jego przemawiały te obrazy wielkości, potęgi i dobroci Boga, skreślone natchnionem piórem króla-proroka, to jakże to rozjaśniałoby nam genezę jego działalności, jako tłómacza *Psałterza!*"

Ale nauki początkowe, których mu mogła udzielać sędzina, były tylko wstępem do dalszej edukacyi chłopca,

[1]) Tak twierdzi też Starowolski, a więc i pierwszy bezimienny biograf poety z roku 1612, na którym chyba w danym razie zupełnie polegać można

[2]) Profesor Brückner w swej recenzyi o dziele Plenkiewicza (*Prace filologiczne* tom V, str. 640—664) wcale nie jest przekonany

a jeśli go nie chciano posyłać do którejkolwiek ze szkółek okolicznych, do Sieciechowskiej naprzykład, to należało go powierzyć **preceptorowi** domowemu, którym zwykle bywał bakałarz nauk wyzwolonych Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z tych, co, nie mogąc na dalszej nauce pozostawać w Krakowie i dobijać się stopni magistrów, „szli na guwernerkę do szlachty biedniejszej, albo obejmowali posady kierowników szkółek katedralnych, parafialnych i innych pomniejszych". Zapas wiedzy, którą posiadał taki bakałarz, nie był imponujący, choć wystarczał w zupełności, ażeby chłopcu dać średnie wykształcenie. „Pisał dwie słowie po łacinie, a dwie po polsku: *sanctus* święty, *maledictus* przeklęty"... Następnie zadawał dzieciom wierszyki, które na język ojczysty tłómaczył: *Ama Deum super omnia, Homo sine litteris speculum impolitum*... Później, w miarę zdobywania coraz większej słów obfitości, zadawano takich wierszy od 12 do 20, a naukę ich ułatwiały *Distichia moralia* Katona, świeżo w roku 1535 w Krakowie u Wietora wydane i zaopatrzone polskim i niemieckim przekładem; słowem, przechodzono, jak mówi Gliczner w swej *Książce o wychowaniu dzieci*, „do zupełnie dobrej łaciny, t. j. do tłómaczeń łatwiejszych rzymskich pisarzów, dopóki nie przyszedł czas na celniejszych prozaików i poetów". W podobny sposób kształciła się większość synów szlacheckich. Jeżeli trafnem jest przypuszczenie Małeckiego [1]), że takim *preceptorem*, pod

przez biografa poety, gdy ten „każe malutkiemu Jasiowi na psałterzu polszczyzny się uczyć", niezależnie od tego, czy to był psałterz Wróbla, czy jaki inny.

[1]) Plenkiewicz przyjmuje w danym razie hypotezę Antoniego Małeckiego, z jego gruntownej pracy o *Młodości Kochanowskiego*, tylko że Małecki każe pobierać nauki Kochanowskiemu w szkole Sieciechowskiego klasztoru, której przełożonym był Jan Sylwiusz, a Plenkiewicz czyni Jana Sylviusza nauczycielem domowym w Sycynie. Hypoteza Małeckiego wydaje mi się nierównie prostszą a tem samem bliższą prawdy. Natomiast odrzuca hypotezę J. Przyborowskiego, który Kochanowskiemu każe pobierać pierwsze nauki

którego kierunkiem kształcił się — wraz ze starszym swym bratem Kacprem — Jan Kochanowski, był Jan Czarnolas, z łacińska zwany *Silvius*, który w roku 1539 ukończywszy w Krakowie wydział *artium*, nietylko stopień bakałarza ale i magistra otrzymał, to o lepszego nauczyciela było trudno. Silvius bowiem, z Czarnolasu Kochanowskich, ze stanu kmiecego pochodzący, a przez Macieja z Ryczywołu, opata klasztoru Benedyktynów w Sieciechowie, kosztem zgromadzenia na nauki do Krakowa wysłany, posiadał wszelkie dane, ażeby być doskonałym kierownikiem takiego, jak przyszły autor *Trenów*, ucznia. Jakoż wszystko przemawia za tem, że on, nie kto inny, przyjąwszy obowiązki pedagoga w Sycynie, przygotował młodego Jana Kochanowskiego do słuchania nauk akademickich, czyli że przeszedł z nim, pomiędzy rokiem 1539 a 1544, tak zwane *trivium*, t. j. kurs, obejmujący gramatykę, dyalektykę i retorykę.

Cokolwiekbądź, jedno jest pewnem: że z nadejściem roku 1544 czternastoletni Jan Kochanowski już był przygotowany o tyle, że mógł pojechać do Krakowa na uniwersytet. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że tam pojechał razem ze swym mentorem, Sylviusem, który mu ułatwi pierwsze kroki w stolicy...

---

w szkole w Krasnymstawie Obacz *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*, strona 13. Nawiasem mówiąc, znaleźli się i tacy, według których Kochanowski chodził do szkoły w Policznej, gdzie jego głównym nauczycielem miał być niejaki Maciej z Zalesia Gdzie dowody jednak? albo przynajmniej jakie takie uzasadnienie hypotezy?





Rozdział drugi.

Lata nauki i wędrówki (1544—1557).

Kraków i Uniwersytet Jagielloński w XVI wieku. I Kochanowski na wydziale *artium*. Wykłady w półroczu letniem 1544 roku. Wojciech Nowopolski Szymon Marycki. Atmosfera reformy i... gamratek Zofia. Pierwsze próby poetyckie Przyjaciele. II. Śmierć ojca. Wyjazd do Tarnowa. Na dworze kasztelana. Wyjazd do Włoch. III W Wiedniu. Wenecya. Paweł Manucyusz i jego akademia Jędrzej Dudycz. Jędrzej Barzy. Franciszek Robortello i szkoła rządowa wenecka. Lato roku 1551 w Sycynie. Dwa półrocza studyów pod Robortellem. IV. Padwa i jej uniwersytet. Andrzej Patrycy Nidecki. Kochanowskiego twórczość łacińska Wpływ Petrarki. Wiersze polskie. Zebrania koleżeńskie. „Przyjaciółki". Lydia. Andrzej Dudycz w Padwie. Obawy Nideckiego. Zaraza Kochanowskiego podróż do Rzymu i Neapolu. Królowa Bona w Padwie. Wyjazd do kraju. Powrót do Padwy. Wyjazd do Paryża. V. Paryż. Sorbona *Collège des trois langues* Poezya francuska. Piotr Ronsard Twórczość Kochanowskiego. „Czego chcesz od nas Panie"... *Venusta Galla* Ossoliński i elegia do niego. Smierć matki poety. Powrót do kraju.

Okolony podwójnym pierścieniem wysokich murów, nastroszonych 46 basztami o dachach w formie stożków, a umocnionych wałem ziemnym i fosą, którą zalewała woda z Rudawy; wystrzelający w niebo mnóstwem wież kościelnych, nad któremi królowały ratuszowa i Maryacka, zdobna wiankiem drobnych wieżyczek, a co godzina rozbrzmiewa-

jąca swymi smętnymi hejnałami; rozłożony u stóp Wawelu, którego wzgórze, dźwigając olbrzymie budowle królewskiego zamku i gotyckiej katedry, panowało nad masą dachów i kominów miejskich; opłukiwany modremi nurtami Wisły, nad której krętą wstęgą szarzały poblizkie Krzemionki z zielonym kopcem Krakusa; a wreszcie rzucony na tło krajobrazu, który ze swemi szmaragdowemi błoniami i wzgórkami na pierwszym planie, a rozłożystą Babią Górą i śnieżnemi Tatrami w głębi widnokręgu, należy do najbardziej malowniczych widoków w całej Polsce: Kraków, w chwili, gdy doń przyjeżdżał czternastoletni Jan Kochanowski, był jeszcze miastem średniowiecznem z wyglądu, w stylu Norymbergi i innych miast niemieckich.

Począwszy od bramy Tworzyjańskiej, do której wchodziło się po moście zwodzonym, a skończywszy na Wielkim Rynku, w którym się koncentrowało ruchliwe życie stolicy, wszystko tu nosiło niezatarte piętno ubiegłego stulecia, wszystko przypominało świetne czasy kwitnącego mieszczaństwa, którym się już miało pod koniec... Patrząc na gotyckie mury kościoła Panny Maryi, Sukiennic i ratusza, otoczone imponującym czworobokiem szarych kamienic zamożnych mieszczan krakowskich, a zwłaszcza przechadzając się ciasnemi, niewszędzie brukowanemi ulicami miasta, pośród wązkich, dwu- lub trzypiętrowych domów, charakterystycznych swemi wystającemi facyatami i rynnami o smoczych paszczach, swemi kamiennemi godłami, wyobrażającemi różne przedmioty lub świętych i zwierzęta, i wreszcie swemi okratowanemi oknami, o drobnych, krągłych, jak gomółki, w ołów oprawnych szybkach, przypatrując się tym średniowiecznym budowlom, a mając zwróconą uwagę i na zewnętrzną stronę życia, pulsującego na rynku, na ulicach, w kościołach, w gospodach i sklepach, obserwując bogatych mieszczan, w aksamitnych, futrem podbitych opończach, wielkich panów, jeżdżących karocami, a przybranych w karmazynowe delie i szuby, szlachtę w barwnych żupa-

nach lub kaftanach z bufiastymi rękawami, kobiety w złotogłowach i strojach krzyczącego koloru, chłopów w jaskrawych sukmanach, wieśniaczki w kraciastych chustkach, żydów w czarnych chałatach i sobolowych czapkach, widząc to wszystko, a nie znając miejscowych stosunków, trudno było, sądząc z pozorów, domyśleć się i przeczuć, że nad tem pstrem mrowiem ludzkiem, zamieszkującem takie miasto, już się unosi powiew włoskiego renesansu...

Była to epoka bujności i pełni życia. W powietrzu, przesyconem miazmatami zażartych sporów religijnych, sporów o Kościół, o celibat i małżeństwo księży, o kalwinizm, luteranizm i aryanizm, unosiła się jakaś horyacyuszowska woń rozkoszy i podniecony ch zmysłów, zdrowych nerwów, silnych mięśni i rozkiełznanych namiętności, a wszystko to, zaprawne lubieżną żądzą użycia, rozpościerało swe nieograniczone panowanie, jeżeli nie nad całem miastem, to przynajmniej nad znaczną większością jego cywilizowanych mieszkańców. Wszystkie kulturalne umysły ulegały temu prądowi renesansu w życiu i w sztuce, a ulegały choćby tylko dlatego, że ten prąd szedł z góry, że jego głównym rozsadnikiem, nadającym mu impuls i piętno mody, była królowa Włoszka, małżonka zniedołężniałego Zygmunta Starego, kobieta wytwornego smaku i poczucia artystycznego, mądra i wykształcona, która z chwilą swego przyjazdu do Polski, „pod niebem północnem stworzyła dla siebie atmosferę południowego artyzmu, i jakby w cieplarni, wyhodowała przepyszne kwiaty sztuki, których najświetniejszym okazem była kaplica Zygmuntowska, zbudowana w roku 1520 przez mistrza Bartolda Berecci, a przystrojona w owe przecudne sztukaterye przez Jana Cini'ego z Syjeny, który tu rokiem Berecci'ego wyprzedził. Za nimi podążają do Krakowa inni włoscy artyści, którzy, jako sztukatorowie, medalierzy, rzeźbiarze kamei, budowniczowie i malarze, zdobią dwór Zygmunta i Bony, oraz dwory panów, nietyle może rozmiłowanych w artyzmie, ile w okazałości i przepychu". Ci włoscy

przybysze sprawili, że mnóstwo gmachów gotyckich — który to styl dotąd przeważał nad Wisłą — poczęło się stroić w renesansowe okna weneckie (nie zawsze licujące z dawniejszymi ostrołukami), i że kiedy przyszło do odbudowania spalonego zamku na Wawelu, Zygmunt powierzył roboty te Franciszkowi della Lore, który, wznosząc owe pyszne dwupiętrowe krużganki, strojne w krągłe renesansowe arkady, nadał całemu zamkowi, nietylko z zewnątrz, ale i wewnątrz, zupełnie włoski charakter.

Podobnej metamorfozie uległ i gmach uniwersytetu, którego gotyckie mury, począwszy od roku 1520, jęły się przyozdabiać w prostokątne okna weneckie. „I tu renesans, niby przylotna jaskółka, zdołał ulepić sobie gniazdo pod średniowiecznem sklepieniem audytoryów". Niestety, duch, jaki w owym czasie panował pod sklepieniami tej Jagiellońskiej wszechnicy, bardzo wiele pozostawiał do życzenia. Ostatecznie była to siedziba scholastyki, która tu czuła się jeszcze wszechwładną panią domu, tak, iż zachodnio-europejski humanizm, lubo reprezentowany przez kilku dzielnych profesorów, robił wrażenie nieśmiałego małżonka, zahukanego przez swą magnifikę. Mimo to, przewaga moralna, jeżeli chodziło o wpływ na „żaków", t. j. na młodzież uniwersytecką, była po stronie młodych profesorów-humanistów. „Dość było przy wykładach mówić o tej słonecznej Italii, co się kąpała w blaskach poezyi starożytnego świata; ukazywać na mistrzów, przodujących rozwojowi wiedzy klasycznej na uniwersytetach Padwy i Bononii, wreszcie na takich mężów, jak Piotr Tomicki, Jędrzej Krzycki, Klemens Janicki, co choć już zeszli ze świata, aż nadto jednak wymownym byli przykładem, czem są wrodzone dary krasomówstwa lub poezyi, gdy je rozwinie nauka, z tych ożywczych źródeł czerpana. A cóż mówić o żyjących wychowańcach tych uniwersytetów, jak Samuel Maciejowski, jak Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Stanisław Górski, i nad wszystkimi górujący zdolnościami Stanisław Orzechowski,

który od lat trzech wróciwszy z Rzymu, głośny był już w całej Polsce nietylko z zatargów o beneficya z biskupem przemyskim Tarłą, ale i przez świeżo na sejm krakowski w roku 1543 wydane pismo *De ordinanda republica* i pierwszą w tymże roku ogłoszoną drukiem *Turcykę*. Ludzie ci byli najwymowniejszą ilustracyą ujemnych stron akademii krakowskiej i przykładem swym oddziaływali zarówno na zdolniejszych magistrów, którzy często bez pozwolenia nawet władzy uniwersyteckiej wyruszali za Alpy, jak i na młodzież akademicką, która nie mogąc jeszcze, lub nie mając o czem na dalsze studya za granicę wyruszyć, przynajmniej myślą odrywała się od żmudnych zaciekań scholastycznych i wybiegała nią ku owej zaczarowanej krainie, gdzie naówczas kwitnęły nauki i gdzie, jak mówiono, rozum się rodził".

I.

Taką była atmosfera Krakowa i uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy na początku letniego półrocza roku 1544, w albumie akademickim, Michał z Główna, ówczesny dziekan wydziału *artium*, zapisał — pomiędzy 162 nowowstępującymi scholarami — nazwisko poety: *„Joannes Kochanowski, Petri de Syczynow, dioc. Cracov. 3 (scil. grossos) solvit"* [1]).

Odtąd zaczyna się jego życie studenckie, życie „żaka" krakowskiego, które miało swoje uroki, jak każde czasy szkolne, ale i swoje strony nieprzyjemne. Przedewszystkiem odrębność, w jakiej trzymano żaków, bakałarzów i licencyatów, była mocno krępująca dla każdego z nich. „Wszyscy, z rzadkimi wyjątkami, obowiązani byli mieszkać w bursach, pod nadzorem magistrów, i podlegać prawom, przepisanym osobnymi statuty. Tu wiedli oni życie wspólne na podo-

[1]) Obacz nader cenne, „na podstawie metryk uniwersyteckich" skreślone studyum Józefa Kallenbacha: *Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim*, drukowane w *Ateneum* z roku 1884, tom III, strony 552—564.

bieństwo kleryków. Bo też istotnie uniwersytet uważano nietylko za ognisko oświaty, ale i za rozsadnik duchowieństwa. Teolog, prawnik, nawet bakałarz wydziału *artistarum*, mógł przyjmować święcenia. Należało więc wcześniej usposabiać młodzież do tego stanu i ducha w niej odrębności zaszczepiać. Nie wolno też było scholarom używać sukni świeckich, trzewików z długimi szpicami, broni, czapek lub kapeluszy, słowem, wszystkiego, coby ich zewnętrznie do ludzi innych stanów zbliżało! Natomiast nosili spodnie obcisłe, na nogach półbuciki zamszowe, dalej *żupicę* czyli odzienie do pasa bez rękawów, kabat z sukna lub aksamitu, a na to wszystko nakładali *vestem clericalem*, czyli długą tunikę czarną, przepasaną pasem, wreszcie *czamlotową*, sukienną lub kitajkową czapeczkę na głowę". W takim stroju ukazywali się na mieście, w takim stroju chodzili na wykłady. Te zaczynały się bardzo rano, bo już o godzinie piątej, szóstej i siódmej, aż do południa. Tym sposobem, w zimie, pierwsze wykłady odbywały się przy świecy, co pociągało za sobą nie zawsze przyjemną konieczność zrywania się do dnia. Tembardziej, że znowu nie było tak dalece do czego się zrywać! Lektorya, w których słuchano lekcyi, były bardzo pierwotne. Słuchacze, siedząc w drewnianych ławkach bez pulpitów, wszystkie notatki byli zmuszeni robić na kolanie, a pióro maczali w kałamarzu przytwierdzonym do pasa. Wykłady zaś? Te były rozmaite.

W półroczu, na które się zapisał Kochanowski, magister Jakób Wyrzykowski objaśniał *Veterem artem*, czyli pierwszą część logiki, obejmującą sylogizmy i wnioski, co także wykładał Marcin *Cracovita*, najstarszy z kolegiatów na wydziale *artium*, a podobno „bardzo tępa głowa" scholastyczna w każdym calu. Jan Dobrosielski, Sandomierzanin, wykładał w lektorium Ptolemeusza *Questiones posteriorum*, które były przygotowaniem do dysput, oczywiście w duchu scholastyki. *Priora*, to jest drugą część logiki, obejmującą rozbiór wszystkich składników pojęcia, jego określenie i po-

dział, wykładał Feliks Bendorski, jednocześnie słuchacz wydziału teologicznego. Jan ze Trzciany, Arundinensis, uważany za człowieka wyższych zdolności, wykładał w lektorium Galena *Librum de anima* podług Arystotelesa, a jednocześnie w lektorium Marona, prowadził *Questiones parvorum naturalium*, będące roztrząsaniami przedmiotów, objętych w krótkich traktatach z fizyki Arystotelesa [1]). Nakoniec Tomasz z Krakowa wykładał filozofię Alberta W., jako wstęp do fizyki Arystotelesa. To były wykłady scholastyczne, a czternastoletni Jan musiał ich słuchać obowiązkowo. Czy go zajmowały? Czy był dość rozwinięty umysłowo, ażeby ich słuchać z korzyścią dla swego rozwoju intelektualnego? Prawdopodobnie trzymał o nich to samo, co Rey z Nagłowic, który zauważył, że „gramatyka z logiką mogą się i staremu uprzykrzyć". Na szczęście nie brakło i innych wykładów, owianych ożywczem tchnieniem wiedzy humanistycznej, do których młodzieniec, jak Kochanowski, bardziej mógł się zapalić. Do takich należały przedewszystkiem wykłady Wojciecha Nowopolskiego, po łacinie zwanego Novocampianus; był to wybitny humanista, jedyny przytem, który na uniwersytecie krakowskim — w tej chwili — uchodził za niepośledniego znawcę języka i literatury greckiej. Szkoda tylko, że w półroczu letniem 1544 roku wykładał gramatykę grecką. Ale i to mogło być z pożytkiem dla przyszłego tłómacza *Monomachii Parysowej*. Inni profesorowie o humanistycznym pokroju, jak Adam z Chęcin, objaśniający w tem półroczu *De officiis* Cycerona, wyłącznie zajmowali się literaturą rzymską: kilku, jak Zygmunt Obrębski,

[1]) W swym „szkicu literackim", poświęconym rozbiorowi *Filozofii Jana Kochanowskiego*, (Kraków, 1888). Kallenbach, wykazawszy w utworach poety ślady nauki Platona, Lukrecyusza, Cycerona i Seneki, podkreśla fakt, że Kochanowski ani słówkiem jednak nie wspomina nigdzie o Arystotelesie „Czy mamy w tem widzieć rodzaj odwetu za owo przykre przeładowanie Arystotelesem, jakiego doznał z pewnością za lat młodocianych w Krakowie?"

lub Jan Więckowski, komentowali pisma Cycerona, reszta zaś, jak Michał de Wojnicz lub Hieronim z Łowicza, czytali Wergiliusza: pierwszy *Eneidę*, drugi *Georgiki*. Nadto Marcin z Brzezin objaśniał *Epistolas* Horacego, a substytut, Bartłomiej Sabinka, zapoznawał z Terencyuszem.

Ale to letnie półrocze [1]), do którego i następne zimowe było podobne pod względem nieświetnego programu wykładanych przedmiotów, nie mogło iść w porównanie z letnim semestrem roku 1545, w którym humanizm, w ogóle dość po macoszemu traktowany w Jagiellońskiej *Alma mater*, wystąpił wyjątkowo świetnie: dość powiedzieć, że na 40 magistrów, wykładających na wydziale *artium*, aż 15 zapowiedziało wykłady o różnych pisarzach greckich i rzymskich. Novocampianus, obok wykładu gramatyki Linacriusa, objaśniał *Iliadę* i Hezyoda *in graeco;* Maciej z Łomży czytał *Bukoliki* Wergiliusza, którego *Eneidę* i *Georgiki* objaśniało nadto dwóch innych profesorów; Michał z Wojnicza analizował *Satyry* Persiusza; Michał Kotarski komentował *De bello Jugurthino* Sallustiusza; a różne mowy i traktaty Cycerona, który zawsze był pupilem humanistów, zajmowały aż pięciu magistrów [2]).

Ale wszystko to było niczem wobec faktu, że w tem półroczu znowu — po paroletniej przerwie — rozpoczął swoje

---

[1]) Po tem letniem półroczu wraca Kochanowski na wakacye do Sycyny, a po skończonych feryach, pod jesień, znów jedzie do Krakowa, lecz nie na długo, gdyż z powodu wybuchłej zarazy, wraca do Sycyny. Do Krakowa udaje się dopiero w drugiej połowie zimowego półrocza... Są to wszystko przypuszczenia, na których poparcie Plenkiewicz nie przytacza żadnych dowodów.

[2]) Małecki wymienia jeszcze Jana Leopolitę (Nicza), który w tych latach był docentem prywatnym, a jako młodzieniec, odznaczający się porywającym darem wymowy, również mógł wywierać swój wpływ na Kochanowskiego. Uczony ten, choć z czasem zasłynął, jako jeden z naszych najpierwszych tłómaczów pisma świętego, wtedy w latach 1544 do 1547 wykładał tylko przedmioty świeckie. Obacz *Jana Kochanowskiego młodość* str. 11.

wykłady Szymon Marycki, Maricius, najświetniejsza gwiazda na humanistycznym firmamencie uniwersytetu. Wykształcony w literaturze klasycznej, którą studyował w Padwie, Bononii i Rzymie, pod takimi mistrzami, jak Łukasz Bonamico i Jędrzej Alcyates, nie miał sobie równego w Krakowie, gdy chodziło o znajomość Cycerona lub Demostenesa. Sam Novocampianus blakł przy nim, jak księżyc przy słońcu. To też wiadomość, że Marycki, świeżo przybyły z Włoch, gdzie w dalszym ciągu poświęcał się studyom humanistycznym, rozpoczyna swoje wykłady, musiała zelektryzować żaków z wydziału *artium*, a w tej liczbie i Kochanowskiego. Niestety, nie wszyscy cieszyli się tym powrotem Maryckiego, tymi zaś, którym jego przyjazd najmniej był na rękę, byli profesorowie-scholastycy. A że stanowili większość nauczycielskiego grona, że stali u steru zarządu, więc sprawili, że znakomity humanista musiał humanizm, wstępując na katedrę, zawiesić na kołku, i zamiast mówić o Cyceronie, w którym celował, wykładać przez całe letnie półrocze *Copiam verborum* Erazma z Rotterdamu i... Matafizykę, czyli, że był zmuszony przeżuwać scholastyczne wióry, które doskonale mógł przeżuwać kto inny. Ale starszyźnie uniwersyteckiej chodziło o to właśnie, ażeby o ile możności zmarnować humanistyczną wiedzę Maryckiego, a zarazem do *minimum* ograniczyć jego wpływ na młodzież, więc nań wywarto taką presyę, że pod jej parciem jeszcze i przez całe zimowe półrocze z roku 1545—1546 wykładał *Nową logikę* i *Posteriora*, a w ciągu dwóch lat następnych, 1547 i 1548, miał wykłady z dziedziny astronomii! Swoją drogą nie dał za wygranę, i nie mogąc działać z katedry, działał słowem drukowanem. W tym celu wydał w roku 1546, w tekscie i przekładzie łacińskim, mowę Demostenesa *de Pace*, nie tając w przedmowie do tego wydania, że „jak dlatego zaraz po powrocie z Włoch wydał z komentarzami mowę Cycerona *pro Publio Quintio*, by z jednej strony wypłacić się za pomoc daną mu przez Kmitę, a z drugiej uczynić za-

dość *cupidae juventutis expectationi*, tak obecnie, ogłaszając po niej mowę Demostenesa, nie inną kieruje się pobudką, tylko, by młodzież polska, niepoślednie wykazująca zdolności, gdy się jej umysł starannej podda uprawie, z takiego zestawienia języków greckiego i łacińskiego, kształcąc się pod jego przewodnictwem, do obu literatur zamiłowania nabyła". W tymże roku jednak, w półroczu letniem, oprócz scholastycznych *Posteriorów*, które wykładał gwoli dogodzenia staremu Cedroviusowi i jego stronnictwu, zaczął objaśniać także mowę Cycerona *pro Quintio*, a w półroczu zimowem zdecydował się na rozbiór jego dyalogu *de Oratore*. Tym sposobem korzyść, którą Kochanowski mógł odnieść z wykładów Maryckiego[1]), naprawdę redukuje się do dwóch semestrów tylko. Ale i to coś znaczyło, tego bowiem, co z zakresu humanistyki usłyszał od Maryckiego, nie usłyszałby od żadnego z cyceronianów krakowskich. „Przecież jednoroczny czas tych wykładów zaledwie starczył, by do tak gruntownych studyów rozłakomić żądnego nauki młodzieńca, nie dając mu w dalszym ciągu możności zaspokojenia rozbudzonych pragnień przez mistrza, który marniał, w obcą sobie sferę zepchnięty. Bezwątpienia, wydając

[1]) O Maryckim i jego możliwym wpływie na Kochanowskiego pisze także i Małecki (*Jana Kochanowskiego młodość*, str 11—12) Brückner zarzuca Plenkiewiczowi, że zbyt obszernie rozpisał się o Maryckim, „o którym wcale nie wiemy napewno, czy kiedy uczył lub wpływał na Kochanowskiego"... (str. 642, *Prace filologiczne*, tom V). Cokolwiekbądź, Plenkiewicz w tym razie ma za sobą powagę Małeckiego, który o wpływie, i to bardzo silnym, Maryckiego na Kochanowskiego, nie wątpi, uważając go za człowieka, którego dążność najwięcej zaważyła na szali w kolejach dalszego zawodu tego młodego tak z tamtym spokrewnionego ducha. „Marzenie Jana zwiedzenia klasycznej Italii, poznania ludzi nadających ton Europie w zakresie smaku, sztuki, wiedzy i poetyckiej piękności, zaszczepione mu zostało niewątpliwie przez tego to pierwszorzędnego w kraju naszym wtedy przedstawiciela onej dążności". *Przegląd polski*, rok 1884, sierpień, str 12.

w roku 1547 mowę Demostenesa *pro libertate Rhodiorum*, chciał on podtrzymać zapał w młodzieży do stydyów klasycznych i bądź co bądź, poszanowanie dla nich na uniwersytecie wywalczyć. Sam druk przecież nie mógł żywego jego słowa zastąpić, ani usuwanemu od katedr humanistycznych, na ogół młodzieży skutecznego wpływu zapewnić. Wpływ ten był jednak na poetę niezaprzeczony. Jak bowiem z jednej strony Marycki dał mu pierwszy prawdziwej umiejętności pojęcie: tak z drugiej, własnym przykładem jeszcze go więcej w tem przekonaniu utwierdził, iż tylko Włochy mogą dać mu wiedzę prawdziwą".

Tymczasem bawił w Krakowie, a ulegając wpływom otoczenia, nasiąkał nietylko wiedzą humanistyczną, ale i modnemi doktrynami reformy, wyznawanemi nawet przez takich ludzi, którychby o to najmniej podejrzewać należało. A jednak było tak w istocie! Przykładem Lismanin Włoch, który, choć był nadwornym kaznodzieją i spowiednikiem królowej Bony, nietylko sprzyjał kalwinizmowi, ale, wraz z Trzecieskim, należał do jej najgorliwszych apostołów. A wszystko to działo się pod okiem prymasa-arcybiskupa Gamrata, który, jako tępiciel protestantyzmu, siał postrach między zwolennikami Kalwina i Lutra. Wszak pamiętano śmierć Wajglowej, mieszczki krakowskiej, która, że się wierze katolickiej sprzeniewierzyła, spłonęła na stosie, a spłonęła z rozkazu Gamrata. Na szczęście, biskup ten, choć prześladował heretyków, nie przez wszystkich był traktowany na seryo. Wiedziano o jego obżarstwie i opilstwie, a że i jego amory, nietylko z Dorotą Dzierzgowską, wojewodziną mazowiecką, z którą stosunki sama Bona mu ułatwiała, ale i z całym szeregiem nierządnic, w których nie przebierał, nie były tajemnicą, tego dowodziła choćby nazwa *gamratki*, którą w tym czasie zaczęto nadawać wszystkim kobietom złego prowadzenia.

Taką „gamratką" była również i owa Zofia, którą Kochanowski unieśmiertelnił w jednej ze swoich *Fraszek*,

a z którą znajomość niewątpliwie przypada na te lata studyów poety w Krakowie. Była to istotka ładna, dowcipna i miła, choć kto wie, czy w tym razie Kochanowski nie był trochę podobnym do Mickiewiczowskiego Tadeusza, któremu tak się spodobała Telimena, że, uniesiony młodzieńczym temperamentem, nie dostrzegł bielidła i drobnych zmarszczek na twarzy.

Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Zdaje się, że i Kochanowski nie był wolny od złudzeń co do młodości Zofii, która, jeżeli nie była jego pierwszą miłością, to w każdym razie odegrała niemałą rolę „w sercu" poety. Inaczej nie pisałby o niej:

Ona była nadobna, ona wdzięczna była,
A wszystko jej przystało, cokolwiek czyniła.
Jej żart każdy był trefny, a gdy co kazała,
Zawżdy wielką powolność po każdym poznała.

Jeżeli „po każdym", to i po nim także, a jeśli mu się wydawała tak nadobną i wdzięczną, to z pewnością niejeden wierszyk napisał pod jej wpływem. Bo że już w uniwersytecie będąc, pisywał wiersze, przeważnie łacińskie, to się rozumie samo przez się: raz, że „każdy chłopiec w tych latach składa wierszyki", cóż dopiero chłopiec z tak poetycką duszą, jak Kochanowski, a powtóre, że jest kilka utworów poety, jak pieśń VIII jego *Fragmentów*, jak ustęp o „Mnichu" w *Carmen macaronicum* lub epigramat 33, poświęcony Royzyuszowi, które nie dadzą się odnieść do innej epoki w życiu przyszłego autora *Trenów*, jak do tych jego studyów krakowskich [1]).

[1]) Zbija to twierdzenie Plenkiewicza w recenzyi swej prof. Brückner, opierając się na własnych słowach poety: *solus amor docuit blandos me fingere versus.* Słowa te, zdaniem recenzenta, odnoszą się „wyłącznie do wierszy łacińskich, a stanowczo wykluczają polskie, bo te zaczął poeta składać dopiero w Padwie, do-

A jeśli pisywał wiersze, to się z niemi nie krył przed przyjaciółmi, których zdania mógł być ciekawy. Tembardziej, iż grono jego przyjaciół krakowskich, choć nieliczne, składało się z samych ludzi wyborowych, wykształconych humanistycznie, z którymi rozmowy w godzinach wolnych od pracy, bądź w mieszkaniu którego z nich, bądź za sto-

piero dla Lidyi, chociaż ta ani ich, ani łacińskich nie rozumiała; ją to bowiem *Latia atque recens* (świeża!) *Slavika Musa* śpiewała. I łatwo to pojąć. W Krakowie pisywał Kochanowski, jeśli tylko pisywał, jak wszyscy scholarze, wiersze łacińskie (ówczesnych polskich, on klasyk, i za wiersze wcale by nie uważał); we Włoszech dopiero uderzył go wdzięk poezyi w języku narodowym", (str. 644). Nie godzi się też Brückner, by utwory, które Plenkiewicz zalicza do epoki przedpadewskiej, istotnie dały się odnieść do tego czasu.

Fragment VIII, który Plenkiewicz odnosi do roku 1545, domyślając się, że w nim poeta opowiedział losy Elżbiety, pierwszej żony Zygmunta Augusta, należy, zdaniem Brücknera, traktować razem z podobną Pieśnią I, 17. Nie godzi się też Brückner, by w *Carmen macaronicum* mogły się znajdować ustępy z czasów przedpadewskich.

Innego zdania w tej kwestyi jest prof. Małecki, który przypuszcza, że wrodzony Kochanowskiemu pociąg poetycki władać nim zaczął we wczesnym już wieku i że nie ograniczał się u niego do samego tylko podziwiania obcych kreacyi. „Wobec tego pierwsze próby poetyckiej twórczości Jana odnieść nam się godzi pewnie już do krakowskiej życia jego epoki. Mógłże nie poznać i nie odczytywać utworów w owych latach, które właśnie tam w Krakowie wychodziły z pod pras drukarskich". Były to przecie już czasy, gdzie A. Trzycieski, Rej i różni inni, z imienia dziś nam nieznani pieśniarze, ogłaszali swoje rymy, które dla samej choćby już tej przyczyny, że to były polskie pieśni, zwracały na się uwagę powszechną, a zwłaszcza w gronie młodzieży krążyły z ręki do ręki. Wtedy to, za bytności Jana w Krakowie, pojawił się Rejowski *Żywot Józefa* (rok 1545); w tymże roku wyszedł z druku zbiór owych rzewnych i wielkiej piękności, choć w łacińskim wypowiedzianych języku *Elegii* Janickiego — że już inne tamtoczesne publikacye pominę. A jeżeli czytając to wszystko, podlegał Kochanowski wrażeniom, dającym nam się łatwo odgadnąć, to jakoż nie miało go to porwać i do próbowania sił własnych". *Jana Kochanowskiego młodość*, strony 22—23.

łem którejkolwiek z gospód na Rynku, mogły być nietylko źródłem umysłowej przyjemności, ale i z korzyścią.

Do takich przyjaciół poety, oprócz Sylviusza, należał przedewszystkiem Piotr Ruyz, Aragończyk, z przydomkiem de Moros, Hiszpan, zwykle nazywany Royzyuszem. Prawnik z wykształcenia, uczeń trzech akademii, dwóch włoskich i jednej hiszpańskiej, protegowany Gamrata, był profesorem prawa rzymskiego, a jako taki, odznaczał się nietylko głęboką nauką, ale i porywającą wymową, co sprawiło, że na swe wykłady ściągał tłumy słuchaczów. Była to postać nadzwyczaj oryginalna, a wysoko ceniona przez młodzież, która w Royzyuszu widziała uosobienie europejskiej nauki. Nadto dał się poznać także, jako poeta: jego wiersz łaciński, napisany z powodu zaślubin Zygmunta Augusta z Elżbietą Rakuszanką, zwrócił nań uwagę dworu i wszystkich wykształconych umysłów. Serdeczny w obejściu, dowcipny, a często i złośliwy, lubił otaczać się młodzieżą akademicką, na którą, jako humanista, wywierał olbrzymi wpływ. Kochanowski, wnosząc z jego epigramatu, gdzie Royzyusza nazywa „obywatelem świata", zdaje się, także należał do tego grona, które się skupiło koło osoby ekscentrycznego Hiszpana, za czem poszło oczywiście, że pod wieloma względami przejął się jego sposobem myślenia. Tak naprzykład Royzyuszowi zawdzięczał swe sympatye dla domu habsburskiego.

Drugim przyjacielem Kochanowskiego, z którym go teraz mógł łączyć o wiele poufalszy stosunek, niż ze sławnym cudzoziemcem, był Jakób Górski, humanista, o pięć lat starszy od poety, bo już w roku 1542 zapisany na wydział *artium*, a człowiek niepospolity pod każdym względem. Można być pewnym też, że taki przyjaciel bardziej odpowiadał Kochanowskiemu, niż wielu innych, jak Andrzej Krajowski lub Grzegorz Podlodowski, choć temu ostatniemu było sądzone zostać szwagrem poety. Zato Stanisław Grzepski, o którego niezwykłej biegłości w językach łacińskim

i greckim świadczy *Epitaphium* Kochanowskiego, był jakby stworzonym na towarzysza dla poety. Był to umysł wszechstronny, równie zapalony humanista, jak matematyk, a przytem, zdaniem Jana, uosobienie „nauki, cnoty, rozumu i postępków świętych" [1]).

II.

W pierwszej połowie roku 1547 umarł Piotr Kochanowski. Poeta zjechał do Sycyny. Tutaj, po pogrzebie sędziego, zaczęły się długie debaty w sprawach majątkowych i podziałowych, a jednocześnie i narady familijne, pomiędzy sędziną i jej opiekunami, co robić z Janem? Czy ma jeszcze wracać na uniwersytet krakowski, na którym już spędził blizko sześć semestrów, czy też ma przedsiębrać co innego? On w każdym razie, gdy chodziło o jego zdanie, do Krakowa powracać nie miał ochoty, bo 1. co mógł skorzystać z wykładów tamtejszych, to już miał za sobą, 2. w Krakowie panowała zaraza, i 3. gdyby to od niego zależało, najchętniej pojechałby do Włoch. Niestety, o ile to było możebne za życia ojca, o tyle teraz po jego śmierci, wobec rozprzężenia w gospodarstwie, do czego nadto przybywała konieczność uregulowania interesów spadkowych, nie pozostawało nic innego, tylko sobie Włochy wybić z głowy. Chwilowo przynajmniej. Więc co robić?

Według hypotezy prof. Plenkiewicza, w chwili właśnie, gdy poeta, w rozmowach z matką i starszym bratem Kacprem, zastanawiał się nad tem pytaniem, mającem rozstrzygnąć o jego przyszłości, nadszedł list od hetmana Jana Tarnowskiego, list kondolencyjny, który, o ile był zaszczytnym dla sędziny, o tyle upoważniał do powzięcia decyzyi, ażeby Jan na czas jakiś udał się na dwór hetmana, w roli

[1]) Obacz Kallenbach, *Książka ofiarowana Grzepskiemu przez Kochanowskiego*, *Przegląd polski*, 1884, sierpień, str. 173—176.

dworzanina. Wszystko przemawiało za tem, że hetman nie sprzeciwi się temu. W roku 1544, kiedy bawił w Sycynie [1]), jako członek komisyi w sprawie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia, okazał się bardzo życzliwym dla sędziego, a jako ożeniony z Zofią Szydłowiecką, która, podobnie jak i sędzina, była Odrowążówną, a więc współherbowną z matką poety, mógł się poczuwać do powinowactwa z nią. Jakoż zdaje się, że tak było, skoro w liście kondolencyjnym do wdowy, zapewniał ją łaskawie, że zawsze może liczyć na jego życzliwość, gdyby się znalazła w jakiej potrzebie. W takich warunkach prosić hetmana, ażeby zechciał przyjąć młodego Jana, jako dworzanina, na swój dwór w Tarnowie, nie przedstawiało najmniejszego ryzyka.

Zatem poszło, jak przypuszcza prof. Plenkiewicz, że następne dwa lata, aż do roku 1549, spędził poeta, jako dwo-

---

[1]) Jest to hypoteza oczywiście, którą Plenkiewicz opiera na akcie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia. Nastąpiło to w roku 1544, latem, a pomiędzy członkami komisyi, która zjechała dla dopełnienia tego aktu, figuruje i hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, jak o tem świadczy jego własnoręczny podpis na rzeczonym dokumencie. Plenkiewicz, opierając się na tym podpisie, idzie tak daleko (czy nie za daleko?), że przypuszcza, iż hetman wraz z liczną asystą, zaproszony przez właściciela Sycyny, tamże zetknął się z 14-letnim Janem Kochanowskim, którego mu nie omieszkano zaprezentować. Niemniej śmiałą hypotezą, mojem zdaniem, jest ów list kodolencyjny hetmana, wystosowany do sędziny po śmierci jej męża

Już to w ogóle, zdaniem Tarnowskiego, Plenkiewicz często grzeszy zbytnią domyślnością. „Weźmy n. p. (czytamy na str 404) pierwszą młodość i nauki. Nic naturalniejszego, jak że sędzina Kochanowska chętnie oddała syna na dwór hetmana Tarnowskiego; nic naturalniejszego, jak, że hetman chciał go mieć towarzyszem syna. Podobieństwo do prawdy jest; ale jej rzeczywistości nie widzimy. Prawdopodobna chęć obu stron nie dostarcza jeszcze dowodu, a nazwisko Kochanowskiego zapisane między dworzanami hetmana, nie dowodzi, żeby to był ten Kochanowski. Opowiadanie zaś, jak hetman z okazyi jakiegoś sądu granicznego do Czarnolasu

rzanin hetmański, w Tarnowie, na zamku kasztelana krakowskiego [1]). „Patrz na Tarnów, mówi Orzechowski w żywocie hetmana, jakie bogactwo u mieszczan, jako oprawne jest miasto wałami, mury i strzelbą ku obronie". W obrębie tych murów obronnych i wałów, miała teraz 17-letniemu Kochanowskiemu, w atmosferze rezydencyi wielkopańskiej, upływać jego *vita nuova*. Czy mu było dobrze z tą rolą młodego dworzanina? Zdaje się, że odrazu miał możność korzystania z różnych przywilejów, których nie mieli inni dworzanie, i że od pierwszej chwili, gdy wstąpił na dwór hetmański, nietyle pełnił funkcye zwykłego dworzanina, ile został przeznaczony na towarzysza dla 10-letniego kasztelanica, Jana Krzysztofa, który wraz ze Stanisławem Latalskim herbu Prawdzic, wojewodzicem poznańskim, i Mikołajem Mieleckim herbu Gryf, synem wojewody podolskiego, pod ochmistrzowstwem księdza Jakóba Niemieckowskiego, kształcił się w naukach. „Otóż dla tego grona młody, świeżo wyszły z akademii młodzieniec mógł być pożądanym nabytkiem.

---

zjechał, jak rodzice pokazali mu małego Jana w nadziei, że bystry chłopiec zwróci na siebie uwagę możnego protektora, jeżeli nawet przypadkiem zgadza się z prawdą, to jest zupełnie dowolnem, a za jedyną podstawę ma domysł".

[1]) I na to niema żadnego dowodu, prócz faktu, że w jednym z rękopisów, przechowanych w bibliotece ordynacyi Zamoyskich, zatytułowanym „Dwór sławnej pamięci nieboszczyka Jana hrabie z Tarnowa, kasztelana krakowskiego" i t. d., a obejmującym cały składający go personal, figurują na końcu, w spisie kilkudziesięciu dworzan, i Kochanowscy także, lubo nie wymienieni imiennie. „Jeżeli jednak było ich kilku, to — zdaniem Plenkiewicza — nikt, tylko Jan mógł im tu drogę torować. Tym jedynie sposobem można sobie wytłómaczyć ów ton poufały, w jakim on później do hetmana w Elegii V, księgi I przemawia; nieco mentorski, gdy w Elegii I tejże księgi zachęca młodego Jana Krzysztofa, by w ślady rodzica wstępował, lub gdy po jego zgonie koi boleść jego synowską. Jakby zresztą poeta doszedł do tak zażyłego z Mikołajem Mieleckim lub Radziwiłłem Czarnym stosunku, gdyby w tym właśnie czasie (1547 do 1549) nie bawił na dworze hetmana i gdyby go tam nie uwa-

Kto wie nawet, czy ten wzgląd nie zaważył w postanowieniu Tarnowskiego co do przyjęcia na swój dwór 17-letniego Jana?"... Kochanowski bowiem, „jako starszy młodych paniąt towarzysz, mógł z jednej strony łagodzić surowość tego stosunku, w jakim do nich ze stanowiska ochmistrza i kapłana ksiądz Niemieckowski zostawał, a pomimo to, podzielając z nimi zabawy, zachować tyle powagi, by nie dopuścić swawoli. Że towarzystwo to było dla niego za młode,

---

żano za współherbownika, którego powinowactwo było zapewne w stopniu bardzo dalekim, ale którego, bądź co bądź, Odrowążanka rodziła".

W interesującej pracy Chlebowskiego, który niezaprzeczenie należy do głębszych znawców życia i dzieł Jana Kochanowskiego, znajduje się ustęp, który tu warto przytoczyć, jako potwierdzający hypotezę prof. Plenkiewicza „W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnej roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia" *(consolatio)*, pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił Szachy) poufnomentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowskiego z domem Tarnowskich musiał łączyć blizki stosunek, (żona Mikołaja Radziwiłła, z domu Szydłowiecka, której dedykowana jest Zuzanna, była rodzoną siostrą matki Krzysztofa Tarnowskiego) Jak w dedykacyi Szachów, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia", „Jeśli cię dobrze znam"). *Ateneum* 1897, *Artyzm Kochanowskiego.*

Niezależnie od tego, prof. Tarnowski w sprawozdaniu książki Plenkiewicza nie bardzo jest skory do uwierzenia, by istotnie Jan Kochanowski pozostawał w tak blizkich stosunkach z hetmanem Tarnowskim. Streściwszy ten ustęp książki Plenkiewicza, Tarnowski tak pisze między innemi: „To tłómaczy ten blizki, poufały stosunek z hetmanem, z jego synem i z Mieleckim, który się daje widzieć w jego wierszach. Nie jest to zaś domysł, tylko fakt. Na dowód przytacza biograf rękopis biblioteki Zamoyskich: *Dwór nieboszczyka Jana z Tarnowa* i t. d. i t. d., w którym między wieloma imionami jest i nazwisko Kochanowskich, tylko bez imienia chrzestnego. Streszczamy na teraz, nie dyskutujemy". Znaczy to, że tematu do dyskusyi może by nie zbrakło.

że wobec niego musiał się wbrew swemu usposobieniu i nawyknieniom do tonu pedagoga dostrajać, to więcej niż pewna; ale chyba rozumiał, że wszystko to było koniecznem następstwem stanowiska, jakie w domu wielkiego pana zajmował, i że, jeżeli stracił dawną swobodę (której zresztą, i jako żak krakowski, skazany na zakonne życie w bursie, zbytnio używać nie mógł), to z drugiej strony zawiązywał z tymi 10- i 12-letniemi panniętami na dalsze życie stosunek". Ale jakiekolwiek posługi spełniał na dworze hetmańskim, zawsze miał dość czasu, ażeby się ćwiczyć w dalszym ciągu w naukach, a choć w rozerwanem dworskiem życiu nie mogło być mowy o systematycznej pracy literackiej, to jednak miał możność korzystania z przebogatej biblioteki hetmana, zasobnej w najrzadsze rękopisy i dzieła. Dodać należy, że były to przeważnie dzieła humanistyczne, rękopiśmienne kopie i *editiones principes* autorów greckich i rzymskich, hetman bowiem, sam będąc mężem „uczonym", wykształconym w prawie, a w wolnych chwilach piszącym dzieje narodu, otrzymał wykształcenie humanistyczne, w duchu rzymskim. Kochanowskiemu mogło to wyjść tylko na dobre! Powtóre mógł korzystać ze światłych wskazówek księdza Niemieckowskiego, który był tak niezwykłej miary człowiekiem, iż Ferdynand, król rzymski, wyraził się o nim, że swoim synom pragnąłby dać takiego mistrza. Następnie, to przebywanie na dworze takiego potentata, jak hetman, pozostającego w ciągłych stosunkach nietylko z najpierwszymi dostojnikami korony, nietylko z Zygmuntem Starym i Zygmuntem Augustem, ale i z wielu obcymi monarchami, mogło być dla młodzieńca, jak Kochanowski, nader pożądaną szkołą życia. Ostatecznie obracał się między ludźmi wysokiej nauki, surowej staro-rzymskiej cnoty i biegłości w sprawach rycerskich, do których przedewszystkiem należał sam hetman, a stojąc przy boku tak wysokiego dygnitarza, mógł się wyrobić wszechstronnie, bo użyty do posług kancelaryjnych, mógł nabyć wprawy pisarskiej, przywy-

knąć do form dyplomatycznych, do liczenia się z użyciem każdego wyrazu. Pozatem nawykał do łask, do rozumnego szafarstwa i karności, tej ostatniej bowiem, której wzorem była karność wojskowa rzymska i spartańska, podlegał zarówno cały dwór hetmana, jak i jego syn własny: syn może więcej nawet, niż podwładni. Podobna atmosfera nie mogła pozostawać bez wpływu na dojrzewający charakter poety, tak samo, jak nie mogła nie wpływać na jego katolicyzm, w którym go ukrzepiała. Pod tym względem największy wpływ wywierał na niego, jak i na całe otoczenie, sam hetman, który nietylko — jak o nim opowiada Orzechowski — „naśmiewał się z tych nowowierników, którzy opak pismo wywracając, piątą ewangelię wymyślili ku wiecznemu potępieniu swemu“, ale „zakonności starodawnej chrześcijańskiej tak pilnie strzegł, że najmniejszej odmiany ani na dworze swym, ani na dzierżawach swych, około wiary nie cierpiał“. Nie cierpiał również, ażeby w jego obecności źle mówiono o dynastyi habsburskiej, której był szczerze oddany. I pod tym względem, gdy chodzi o przekonania polityczne, miał mu Kochanowski niemało do zawdzięczenia. „Wszystko to tembardziej oddziaływało na jego umysł, że wszedł w ten okres rozwoju, gdy siły ducha, naraz rozbudzone przyjaznemi warunkami, zaczynają działać w kierunku, wyrokującym o przyszłem powołaniu człowieka. Po czasach łamania się z trudnościami języka i wersyfikacyi łacińskiej, nastąpił w rozwoju jego okres nowy: ubogi jeszcze co do myśli, uczuć i obrazów, ale nie pozwalający już wątpić o uzdolnieniu do poezyi. Próby jego muzy zwróciły może księdza Niemieckowskiego uwagę i, przez niego doszedłszy do wiadomości hetmana, wywołały postanowienie, które go miało na bity gościniec, wiodący do przyszłej sławy poetyckiej, wprowadzić“ [1]).

[1]) Inaczej wypełnia te dwa lata w życiu poety Małecki w swej pracy o *Jana Kochanowskiego młodości*. Zdaniem autora *Listu żelaznego* 17-letni Kochanowski spędził lata 1547—1549 w Krakowie,

Było to w roku 1549. Syn hetmana, Jan Krzysztof, miał lat dwanaście. Hetman postanowił wysłać go z księdzem Niemieckowskim i dwoma dotychczasowymi towarzyszami, za granicę, do Wiednia, na dwór Ferdynanda, a przy tej okazyi — jak przypuszcza biograf poety — umyślił wyprawić i młodego Kochanowskiego, tylko nie do Wiednia, ale do Włoch, o których utalentowany młodzieniec marzył od tak dawna.

Oczywiście, że i sędzina, dowiedziawszy się o szlachetnym zamiarze hetmana, nie miała nic przeciwko temu

na uniwersytecie. „Nie podzielam przypuszczenia — słowa są Małeckiego — żeby koniec tutejszym jego naukom położyła śmierć ojca w roku 1547. Krótka przerwa w owej chwili z tego powodu mogła była nastąpić, ale jakże miał 17-letni wtedy młodzieniec, chciwy wiedzy i rozmiłowany w swoim zawodzie, a bynajmniej nie mający do walczenia z brakiem funduszów, osiadać dla tej żałoby na kilka lat próżnowania przy boku matki? W kłopotach gospodarskich miała ona dość pomocy w najstarszym swym synu, przezornym i przez całe rodzeństwo cenionym Kacprze. Dla idealisty Jana nie było nic właściwszego, jak do Krakowa powrócić". I choć, zdaniem Małeckiego, (które to mniemanie podzielają i inni), brzebywał Kochanowski w Krakowie aż do roku 1549, to jest aż do sławnej owej, choć smutnej, wszystkich uczniów z uniwersytetu i miasta secesyi i rozsypki na wszystkie strony świata, secesyi, która, jako *Wyjście żaków z Krakowa* (odtworzone na jednym z obrazów Matejki) wydarzyło się 15. kwietnia 1549 roku. Z zapatrywaniem powyższem godzi się w zupełności i Windakiewicz w swej pracy o *Pobycie Kochanowskiego za granicą* (Kraków 1886). Odmiennego zdania jest Kallenbach, który uderzony „wyjątkowem milczeniem Kochanowskiego o uniwersytecie krakowskim", wnioskuje stąd, że „Uniwersytet Jagielloński choćby dlatego tylko tak niewyraźnie zapisał się w pamięci Kochanowskiego, że w nim przyszły poeta b a r d z o k r ó t k o z a b a w i ł". Pięcioletni pobyt (do r. 1549), jak chce Małecki, zdaniem Kallenbacha, „z pewnościąby jakiś bodaj drobny ślad zostawił w pismach i do jakiejkolwiek wzmianki, czy o uniwersytecie, czy o kolegach swoich, zniewolił". *(Jan Kochanowski w Uniwersytecie krakowskim*, str. 562). Jeżeli chodzi o uniwersytet krakowski, to zdaje mi się, że Kochanowski źle o nim nie trzymał, skoro w *Satyrze*, z wyraźną aluzyą do Jagiellońskiej Wszechnicy,

wyjazdowi. Wszak wyjazd ten wprowadzał go na drogę, która go dowieść mogła do tych wysokich godności, jakie niegdyś Iwo i Jan Prandota z Białaczowa zajmowali w kościele! Dlatego, nie chcąc, ażeby jej syn podróżował wyłącznie na koszt swego znakomitego protektora, zaopatrzyła

---

tak się sprzeciwia wysyłaniu młodzieży na studya uniwersyteckie za granicę:

Tego baczyć nie mogę, dla której przyczyny
Wolicie do Włoch, abo do Niemiec słać syny,
Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeździli
Cudzoziemcy, którzy się nauką parali?
Widzą się wam podobno prostacy mistrzowie;
Ba, będą z nich po chwili Gregoryankowie,
Jesli im i tę trochę weźmiecie, co mają
Na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślają.
Ale niech ma zapłatę godność między wami,
Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami!
Nakoniec, ważcie doma taki koszt na dzieci,
Ujrzycie, że się do was wszystka Padew zleci.

Ja bym w słowach tych widział wymowne wstawienie się poety za uniwersytetem krakowskim. Zdaniem Kallenbacha, Kochanowski już w roku 1545 (a więc po jednorocznym zaledwie pobycie w Krakowie) wyjechał za granicę. Tak przynajmniej sądził w roku 1884. W wydanej jednak w roku 1888 *Filozofii Jana Kochanowskiego* i Kallenbach staje się skłonnym do przedłużenia studyów Kochanowskiego w Krakowie do roku 1549. Rok 1549, jako ten, w którym Kochanowski opuścił uniwersytet krakowski, przyjmuje również i Tatomir (*Jan Kochanowski*, opowiadanie z XVI w., Lwów 1884).

Co się tyczy wspomnień z lat uniwersyteckich krakowskich, to nie zdaje mi się, żeby Kochanowski mniej wspominał Kraków, niż inne miasta uniwersyteckie, w których studyował. Wierszy zaś, dających się odnieść do czasów studyów w Krakowie, nie brak, zarówno we *Fraszkach*, jak w *Pieśniach*, a *Carmen macaronicum*, zaczyna się od wspomnienia czasów, gdy poeta był żakiem jagiellońskiej wszechnicy. „Jest blizko wysokiego Krakowa (czytamy tam) las słynny, odznaczający się dębami, zadziwiający mnogością żołędzi, położony nad Wisły wodą i gościńcem gdańskim: Dąbie nosi nazwę, Dubiem mianowali go przodkowie. Tam więc, gdy Syryusz palił suche pola i kanikuła niemądra rozganiała żaków, szedłem”... O Krakowie nie brak też wzmianek w *Apophtegmatach*.

go na drogę w 48 dukatów *in auro veri et justi ponderis*, które *notabene* pod dość ciężkiemi warunkami pożyczyła od Jana Zaborowskiego.

Z funduszem tym, który jak na owe czasy był wcale znaczny, puścił się Kochanowski, w grudniu roku 1549, z taborem i towarzyszami Jana Krzysztofa Tarnowskiego, do Wiednia.

III.

W Wiedniu, gdzie podziwiał „szeroki Dunaj", zabawił niedługo. Wprawdzie mógł, korzystając z tego pobytu w naddunajskiej stolicy, zapisać się na uniwersytet miejscowy [1]), o wiele wyżej stojący od krakowskiego, ale mu było pilno do Włoch. Tam, przeczuwał, znajdzie to, czego mu nie mógł dać Kraków, tymczasem Wiedeń, który posiadał tylko jedną nadzwyczajność, mianowicie cudowny kościół św. Szczepana, także był miastem północnem.

A tymczasem jemu dusza rwała się na południe, w krainę słońca i starożytności. Nie zwłócząc więc, ni zważając na ostrą porę zimową, niesprzyjającą przeprawie przez „Alpy krzywe" [2]), pożegnał swych towarzyszów, którzy właśnie szykowali się do uroczystego przedstawienia się cesarzowi, i powędrował za góry, do „sławnego miasta", Wenecyi.

Wenecyą, „w pośród morza" leżącą, jej mozajkami i marmurami, jej czarem i oryginalnością, jej Wielkim Kanałem i Placem św. Marka, był zachwycony. Zwłaszcza entu-

---

[1]) Również i Kallenbach przypuszcza, że Kochanowski w Wiedniu nietylko podziwiał „szeroki Dunaj", ale mógł być ciekawy i tutejszego uniwersytetu, do którego, kto wie, czy nie zajrzał, t. j. czy tu nie zatrzymał się czas jakiś, ażeby pochodzić na niektóre humanistyczne wykłady. Obacz *Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim. (Ateneum* tom IV, str. 563).

[2]) To jest przez Semmering, którędy prowadziła najbliższa droga do Włoch.

zyazmował się dla jej czarujących kobiet, którym z pewnością przyglądał się *con amore*, skoro na samym wstępie zaraz napisał zmysłowy epigram *In puellas Venetas*, a wkrótce po tem, niezawodnie pod wpływem jednej z tych czarnobrewych „Nereid, które Neptun, wyludniwszy Adryatyk i Ocean, sprowadził do uroczego miasta Wenetów", dowodził w łacińskiej elegii, że „jeszcze taka mądrość nie postała w jego sercu, ażeby kochanie uważał za wielkie przestępstwo".

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że młody autor tej elegii, wydostawszy się na wolność, o którą było tak trudno w Tarnowie, tylko się uganiał za pięknemi Wenecyankami, któremi roiły się słoneczna Piazetta i Plac św. Marka, a w których on dopatrywał się samych Cyrcei i Syren, dowodząc, że choćbyś, jak Ulisses, „uszy zalepił woskiem, a nawet ogłuchł, jeśliś tylko wzroku nie pozbawiony, zginąłeś". Ostatecznie, choć na nim „dziewczęta weneckie" robiły bardzo silne wrażenie [1], doskonale sobie zdawał sprawę z celu swojej podróży za granicę: przedewszystkiem wiedział, że nie po to przyjechał tutaj, ażeby tylko, „jako jeden z kochających, szedł za sztandarem Kupida", a powtóre był spragniony wiedzy, której w Wenecyi, w akademii słynnego humanisty Manucyusza, biło tak życiodajne źródło. Jeśli mu chodziło o należyte wniknięcie w ducha dzieł Cycerona, to lubieżna stolica Dożów, była jedynem miastem na świecie, któremu, jak się wyraził Franciszek Filelfus, nietylko nie zbywa na uczonych do kształ-

[1]) Nawet zakosztował ich interesowności, sądząc z Elegii XIV księgi I, a zaawanturowawszy się z jedną, niebawem przekonał się, co to jest zdrada niewieścia. „Bezwątpienia (powiada Plenkiewicz) Włoszka wabiła go do siebie, dopóki mniemała, że ma do czynienia z bogatym forestierem; gdy spostrzegła pomyłkę, poszukała sobie innego, który mógł jej pieszczoty opłacać". Z tych czasów pochodzi także epigramat *de spectaculis S. Marci* (o widowiskach św. Marka).

cenia młodzieży, ale które ich umie nagradzać odpowiednio. Do takich uczonych należał przedewszystkiem Paweł Manucyusz, przełożony słynnej akademii humanistycznej, będącej jego własnością. Był to rodzaj pensyonatu, w którym młodzież szlachetnych rodów, przeważnie z obcych krain przybyła, pobierała wykształcenie humanistyczne. Kochanowski zapisał się do tej akademii [1]), a choć z zapałem wziął się do studyowania Cycerona i elegików rzymskich, to jednak zauważył niebawem, że, jak i na słońcu są plamy, tak i Manucyusz, lubo nieporównany jako znawca literatury starożytnej, ma swoje wady, jako pedagog: mianowicie, zbyt gorliwie opiekuje się swymi uczniami, zbyt ojcowską pieczą stara się otaczać każdego z nich, w czem dochodził tak daleko nawet, że radził im unikać pokus Amora, a zalecał miłość platoniczną [2]). Podobne morały nie mogły się podobać poecie, któremu się tak podobały „dziewczęta weneckie", więc poruszony temi strofowaniami swego mistrza, napisał elegię, w której „prosił grzecznie męża surowych zasad, by przecież soku kwitnącej nie pozbawiał wiosny, by pozwolił młodocianym roślinom na zie-

[1]) W dziele Papadoppolego, *Hist. Gymn. pat* tom II, str. 266 czytamy: *Ejus (Cochanovii) nomen inscriptum est albis Polonicis (ad anno 1552 seqq.) palamque est, ipsum fuisse discipulum Robortelli, postquam operam dedit Venetiis institutioni Manucii.* Kallenbach przypuszcza, że studya Kochanowskiego w Wenecyi u Manuciusza przypadają na pięciolecie 1545—1550. Przerwa w studyach roku 1551 nastąpiła widocznie wskutek interesów familijnych, po ich załatwieniu wraca nasz Kochanowski do Włoch i przenosi się do Padwy.

[2]) Kazimierz Morawski w swem dziele o Nideckim (str. 72, wyd. II) powiada, że miejscem stałego pobytu Manucyusza stała się Wenecya dopiero w roku 1555, co by oczywiście podcinało podstawy wielu twierdzeń Plenkiewicza. Że jednak w Wenecyi i przed rokiem 1555 zamożniejsza młodzież pobierała wykształcenie humanistyczne, dowodzi w tejże książce K. Morawskiego ustęp o Jędrzeju Dudyczu, który „od roku 1550 zaczął swe studya w Weronie i Wenecyi", (strona 88).

lonej niwie delikatnemi listki ku słońcu wybujać". Ale nie poprzestając na tem, poszedł dalej, i w tejże elegii wystąpił z twierdzeniem, że „nawet i ci, co się mistrzami cnoty mianują i cnotę samą słowem i czynem wynoszą, i ci pragną, by ich darzono nazwą kochanków, tak, że nie jest wstydem kochać za ich przykładem". Była to wcale niedwuznaczna aluzya do Manucyusza, który, choć nie młody, w roku 1546 poślubił młodą Małgorzatę Odoni, a ta go już w następnym roku obdarzyła potomkiem.

Co pewna, to, że młodzi ziomkowie poety, z którymi kolegował a następnie zaprzyjaźnił się w akademii Manucyusza, niezawodnie podzielali zdanie swego towarzysza, a jeśli pod tym względem nie można ręczyć za Jędrzeja Barzego, to można ręczyć za Jędrzeja Dudycza, który, choć sobie dopiero liczył rok 16-ty, i choć jako protegowany swego wuja, arcybiskupa Granu, sposobił się do stanu duchownego, jednak w rzeczach miłości, do której pociąg wyssał z mlekiem matki swej, Wenecyanki z wielkiego rodu Scarbellatich, był o wiele doświadczeńszy, aniżeli 19-letni poeta. Tego doświadczenia, popartego rozległemi stosunkami wśród patrycyuszowskich rodzin weneckich, Kochanowski trochę zazdrościł Dudyczowi, z czem się nie taił nawet: najlepszy dowód, że pisząc elegię do przyjaciela — a przez tego przyjaciela należy rozumieć Dudycza — chwalił go, „iż się nikomu ze swej miłości nie zwierza, gdy on tymczasem, nie umiejąc jej ukryć, wszystkich oczy zwraca na siebie". W każdym razie namiętny temperament płochego Dudycza, bardzo przemawiał za nim, zwłaszcza, że pozatem był to wielce sympatyczny młodzieniec, nietylko rozrywkom oddany i zabawom, w których awanturnicze miłostki grały główną rolę, ale i poważnej nauce, do której czuł niewymowny zapał[1]). Zwłaszcza Cycerona uwielbiał. W zupełnie

---

[1]) Prof. Brückner (w recenzyi dzieła Plenkiewicza), opierając się na dziełku Stieffa o Dudyczu stawia znak zapytania z po-

innym rodzaju był Andrzej Barzy, kontrast Dudycza. Skromny, nieśmiały, hołdował cnocie, na której zasadzał prawdziwą wartość człowieka. Widocznie był zwolennikiem filozofii Seneki i Stoików. Kochanowski był innego zdania, i dlatego, w elegii do Barzesa, przekonywa go, że „niezawsze należy być cnotliwym", tam bowiem, gdzie idzie o dogodzenie żądzy, najlepiej nie mieć żadnych skrupułów; żeby cnotliwy Hipolit, który się tak spodobał Fedrze, nie był tak cnotliwy, z pewnością wyszedłby na tem lepiej, niż na swej cnocie. „A lubo ty, Barzesie, nie masz macochy, to przecie nie sądź, bym słowa te na wiatr powiedział".

Tymczasem płynęły miesiące, skończyło się letnie półrocze roku 1550, a z jego upływem miało się zakończyć także istnienie akademii Manucyusza, który postanowił zwinąć swój zakład. Czemu? Przedewszystkiem finansowe położenie akademii, pomimo sławy, jaką się cieszyła, wiele pozostawiało do życzenia, a to samo dało się powiedzieć i o zdrowiu jej przełożonego, który trapiony różnemi *frequenti malatti* oraz uporczywą chorobą oczu, musiał się zacząć oszczędzać, jeśli chciał, żeby jego młoda żona nie została wkrótce wdową. Wobec tego, uczniowie akademii, a w ich liczbie i Kochanowski, musieli myśleć o przeniesieniu się do jakiego innego zakładu naukowego. Skończyło się na tem, że Dudycz pojechał do poblizkiej Padwy, Kochanowski zaś, któremu widocznie nie chciało się rozstawać z poetyczną Wenecyą, zapisał się, razem z Barzym, do weneckiej szkoły państwowej, *Scuola dello Stato Veneto*. Tutaj miał możność studyowania pod przewodem Franciszka Robortella, świeżo powołanego przez szkarłatny senat Dożów. Był to humanista niemniejszej sławy niż Manucyusz, a rozgłos, jaki potrafił wzbudzić koło swego imienia, zawdzięczał nietylko swym wykładom, jakie miewał po ró-

wodu tej przyjaźni Kochanowskiego z Dudyczem w Wenecyi i twierdzi, że gdyby autor znał dziełko Stieffa, „nie byłby Kochanowskiego z Dudyczem już w Wenecyi tak stanowczo zapoznawał".

żnych miastach włoskich, lecz i wybitnym pismom swoim, będącym rozprawami o rozmaitych przedmiotach z zakresu świata i literatury starożytnej. Kochanowski, zapisując się na jego wykłady, mógł być najlepszej myśli o swem wykształceniu humanistycznem, od takiego mistrza bowiem, jak autor *Paraphrasis artis poeticae Horatii* oraz traktatów *de Epigrammate, de Elegia* i t. d. mógł skorzystać niezmiernie wiele [1]).

Niestety, ledwo się zabrał do studyów pod Robortellem, gdy nagle, najniespodziewaniej w świecie, na samym początku roku 1551, otrzymał list z domu, od rodziny, wzywający go, ażeby natychmiast wracał do kraju, albowiem obecność jego, z powodu różnych spraw majątkowych, jest

[1]) Całe to opowiadanie o pobycie i studyach Kochanowskiego w Wenecyi, o ile jest streszczeniem ostatecznych konkluzyi Plenkiewicza, o tyle jest podobne do mozajki, żmudnie złożonej z samych hypotez. Wszystko, o czem jest mowa w tej części opowiadania, jest piramidą z kart, która może runąć za lada podmuchem krytycznym. Niestety, jedynym materyałem, jakim rozporządzamy, chcąc odtworzyć ten okres wenecki w życiu Kochanowskiego, są jego elegie i epigramaty łacińskie, o których krytyka wyraziła zdanie, że mogły być napisane w Wenecyi, na co jednak niema dowodów niezbitych, a przeciwko czemu Brückner nawet „protestuje" w swej surowej recenzyi dzieła Plenkiewicza. To samo da się powiedzieć o studyach Kochanowskiego. Czy rzeczywiście był w akademii Manucyusza? Czy istotnie, po jej zwinięciu, zapisał się do szkoły państwowej weneckiej? Wszystko to są hypotezy, może prawdopodobne, ale niestety, nie poparte dokumentami. Nawet i to nie jest pewne, czy Kochanowski istotnie przez rok 1550-ty bawił w Wenecyi. I pod tym względem dzielą się zdania krytyków W ostatnich czasach jeden Nehring (w recenzyi książki Tarnowskiego) „przystaje na tę kombinacyę, że Kochanowski z Wenecyi roku 1552 przeszedł do Padwy i wiadomość Papadoppolego pod tym względem zdaje mu się, pomimo wszelkich krytycznych zastrzeżeń, być wiarygodną". Zdaniem Brücknera cały ten „okres wenecki" w życiu Kochanowskiego jest arcywątpliwym, wymarzonym może. Obacz *Op. cit.* str. 646. Dlatego też i owych „aż sześć elegii łacińskich", które Plenkiewicz uważa za napisane w Wenecyi,

nieodzownie potrzebna. Nie pozostawało nic innego, tylko stawić się na wezwanie.

Przybywszy do rodzinnej Sycyny, dowiedział się, co było powodem, że go musiano oderwać od studyów. Sprawa była bardzo prozaiczna i nieprzyjemna, źródłem zaś, z którego wzięła początek, były jeszcze zawikłane interesy ś. p. Piotra Kochanowskiego, które żonie i synom zostawił w spuściźnie. Chodziło o jego spór z Erazmem Zielińskim z Zielanki, spór o granicę między Baryczą a Zielanką, który Zielińscy postanowili rozstrzygnąć w ten sposób, że jeden z nich, Feliks, nadciągnął z ludźmi konno i zbrojno (*superequitando alias* n a y e c h a w s z y, mówi pozew sędziów) i rozpędziwszy pracujących przy grobli kmieci baryckich, podobno naruszył kopce graniczne. Stąd sprawa, proces, Kochanowscy pozwali Zielińskich, a że spór był tego rodzaju, że nieobecność pełnoletniego Jana dawała Zielińskim możność przeciągnięcia procesu, więc Kochanowscy, żeby zapobiedz temu, sprowadzili Jana. Przyjechał, ale niebawem zaczynał mieć dosyć tej pieniackiej atmosfery domowej, tych ciągłych rozmów o procesach, zakładach i mani-

Brückner odnosi do okresu padewskiego, gdzie im, jego zdaniem, „pewniej i bezpieczniej". Za Wenecyą, przed przyjazdem do Padwy, świadczy tylko Papadoppo i. Tarnowskiemu te studya w Wenecyi — jeszcze przed wyjściem książki Plenkiewicza — wydawały się bardzo problematycznemi. Jest to zresztą zapatrywanie Windakiewicza, który w swym *Pobycie Kochanowskiego za granicą* również posyła młodego poetę wprost z kraju do Padwy, do Wenecyi zaś każe mu robić częste wycieczki. „W każdym razie nie przebywał on tam długo. Wyniósł bowiem stamtąd dwa tylko wspomnienia, do tych czasów odnosić się dające"... (str. 36). Podobnemi wycieczkami do Wenecyi tłómaczy sobie także Windakiewicz znajomość Kochanowskiego z Manucyuszem (str. 39). Wycieczki te odbywał Kochanowski najczęściej z Patrycym Nideckim, to też gdy Manucyusz pisze do Nideckiego, by się od niego pokłonił „swemu towarzyszowi, młodzieńcowi niezwykłych zdolności", prof. Kazim. Morawski ma wszelką zasadę do przypuszczenia, że przez tego towarzysza *(contubernalis)* miał Manucyusz na myśli Kochanowskiego.

festach, pozwach i protestach, zwłaszcza, gdy po dniu 16. czerwca 1551 roku, w którym to dniu i jemu przyszło osobiście stawać w sądzie, sprawa obróciła się na niekorzyść Kochanowskich. Dla młodego humanisty i poety, przywykłego do spokojnych studyów nad Cyceronem i poetami, przerywanych miłostkami i wesołemi sympozionami w gronie kolegów, to ciągłe procesowanie się z sąsiadami, tak absorbujące umysły jego rodziny, nie mogło być pożądanem i przyjemnem, jako atmosfera. Przywykł do innej. Jego wytworna natura czuła się nieswoją w tem otoczeniu, wśród tak nizkiego poziomu spraw i zabiegów. Wiele rzeczy musiało go razić, tak, że nawet pobyt na wsi, której poezyę i sielskość zawsze odczuwał tak żywo, nie zachęcał go do dłuższego pozostania w kraju, wśród swoich. Jakoż zaczął tęsknić do tej „Auzońskiej krainy“, którą niedawno porzucił. Patrząc na żółte łany zbóż, obramowane ciemną linią lasów, wzdychał za błękitami Adryatyku, a rozmawiając z matką i braćmi, których wyłącznie absorbowały sprawy majątkowe, czuł niesmak i tęsknotę za zajęciami podnioślejszej natury. „Zdarzały się wprawdzie chwile, w których rodzina zapominała o swych kłopotach i w towarzystwie dochowujących dawnej przyjaźni bliższych lub dalszych sąsiadów, oddychała swobodniej. A wtedy to Jan rozpowiadał o swym w ziemi włoskiej pobycie, prawił o uroczej lagun i Adryatyku królowej, o jej wspaniałych gmachach, placach, kanałach, cudnych niewiastach, kosztownych szatach, nagromadzonych z całego świata bogactwach, dziwnych zwyczajach, uroczystościach[1]), gondolach i różnych własnych przygodach; przecież chwile podobne trafiały się rzadko i nieraz może przerywało je urzędowe kołatanie laską we drzwi, przybyłego z nowym pozwem woźnego“.

[1]) „Św. Marek miał urządzić widowisko i już orszak uroczysty postępować począł, gdy nagle deszcz lunął i ciemna wszczęła się nawałnica, która baldachiny i obrazy świętych zmoczyła“. Epigram *O widowiskach św. Marka*.

Jednocześnie prowadzono rozmowy, dotyczące przyszłości poety, którą miała być karyera duchowna, karyera dostojnika kościelnego. Takie było życzenie matki, która mu narzucała stan duchowny, nie przeczuwając zgoła, że Jan coraz mniej do niego powołania uczuwał, że mu się wcale nie uśmiechało „chwytać beneficya, ubiegać się o godności katedralne, tyć na duchownym chlebie i nigdy nie zaznać godziwych życia słodyczy". Wszystko to, a zwłaszcza celibat, przejmowało go wstrętem na samą myśl, i dlatego zaczął sprzyjać reformie, która mu mogła zgodniejszą z jego usposobieniem ukazywać przyszłość. Ostatecznie katolicyzm zdawał się bankrutować, tymczasem nowe doktryny przybierały coraz dotykalniejsze kształty. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że stary porządek ustępował miejsca nowemu „i w duszy poety zabrzmiało *Pereat!* streszczające w sobie najgorętsze jego pragnienia". Ale się do tego nie przyznawał, bo tylko utrzymując rodzinę swą w tem przekonaniu, że się nie rozstaje z myślą o przywdzianiu sutanny, mógł liczyć na poparcie z jej strony, gdy powie, że pragnie wracać do Włoch. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: gdy stanęła kwestya jego dalszego kształcenia się, powrót do Włoch, w celu dalszych studyów, zarówno matka, jak i stryjowie, uznali za konieczny. Skończyło się na tem, że poeta, udzieliwszy swemu starszemu bratu, Kacprowi, plenipotencyi do prowadzenia w jego imieniu wszystkich spraw majątkowych, pod jesień wyruszył z powrotem do Wenecyi.

Jechał na Kraków, gdzie zabawił czas jakiś, oczekując na jakąkolwiek okazyę do Wiednia. W Krakowie miał wielu znajomych i kolegów, więc nie potrzebował uskarżać się na osamotnienie. Mimo to, mimo możności widywania się i gawędzenia z takimi ludźmi, jak Jan Silviusz, Jan Leopolita, Wojciech Nowopolski, Stanisław Grzepski i kilku innych, z którymi go łączyły serdeczniejsze stosunki, był nastrojony smutnie, a ze smutkiem tym zdradził się na wy-

jezdnem, w dedykacyi tragedyi Seneki, których tom, „mając odjeżdżać w kraj tak wielce oddalony", ofiarował Grzepskiemu „w zakład wiecznej miłości".

Stanąwszy w Wenecyi, zapisał się na wykłady Robortella, pod którego kierunkiem też, oddany studyom klasycznym[1]), przez całe zimowe półrocze 1551 roku, oraz półrocze letnie 1552, z zapałem, a niezawodnie i z korzyścią wielką, pracował.

Wtem rozeszła się wieść, że stary Łazarz Bonamicus, chwała uniwersytetu w Padwie, przeniósł się do wieczności, i że senat powołał na opróżnioną katedrę Robortella. Upodobawszy sobie w wykładach mistrza, Kochanowski zdecydował się podążyć za nim. Tym sposobem, na następne półrocze zimowe przeniósł się do Padwy, zapisując się na wydział artystów.

IV.

„Czyż poeta nie doznawał żywszego bicia serca, na myśl, że znajdzie się w murach jednego z najsłynniejszych, najstarożytniejszych po Salernie i Bononii uniwersytetu; że w tem ognisku i on zaczerpnie nowego światła, którego promienie, poczynając od XIII stulecia, rozjaśniały mrok

[1]) Felicyan (Faleński) w swojej *Pogadance o Fraszkach Jana Kochanowskiego (Biblioteka Warszawska*, 1881) zwraca także uwagę na możliwy wpływ Aretina, widoczny we fraszce *Dobrym towarzyszom gwoli* Bawiąc w Wenecyi Kochanowski nie mógł nie słyszeć o rozgłośnem życiu i twórczości Aretina. Nie należy zapominać, że Aretino zmarł dopiero w roku 1556, i że za bytności Kochanowskiego we Włoszech mieszkał i prowadził niesłychanie bujne i hulaszcze życie w Wenecyi, skąd jego sława promieniowała na cały półwysep Jego wiersze — mistrzowskie pod względem formy a w treści rozwiązłe — musiały być czytane przez młodzież uniwersytecką w Padwie. Tak rozumuje Felicyan. Mimo to St. Zathey, który do swego studyum o *Fraszkach* Kochanowskiego wciągnął i utwory Aretina, nie odnalazł w nich ani wiersza, od któregoby się dała wyprowadzić którakolwiek z *Fraszek* Kochanowskiego.

i jego własnej ojczyzny?" Trudno w tym względzie odpowiedzieć coś stanowczego, bo choć świeża tradycya Klemensa Janickiego, który, jako żak padewski, był ulubieńcem Bonamika, mogła pobudzać wyobraźnię 22-letniego Kochanowskiego, to jednak, wjeżdżając w mury Padwy, którą prawdopodobnie znał przedtem, nie mógł być ślepym na to, że pod względem okazałości gmachów, przepychu życia, zaludnienia i bogactw, Padwa nie mogła się mierzyć z czarującą królową Adryatyku. Wenecya kipiała życiem stołecznem i handlowem, Padwa zaś, niezależnie od tego, że jej uniwersytet zaćmiewał szkołę państwową wenecką, była prowincyą. „Położona na równinie, otoczonej od południa malowniczemi Euganejskiemi wzgórzami, które od niepamiętnych czasów okrywały bujne winnice; objęta nieforemnie łamiącym się murem, umocnionym szeregiem baszt w blanki zębionych; przerznięta wreszcie rzeką Bacchiglione, która swemi ramiony w środku miasta tworzyła obszerną wyspę: ówczesna Padwa z krętemi i źle brukowanemi ulicami, nosiła czysto średniowieczny charakter, któremu panujący tu w kościołach gotyk jeszcze więcej wyrazistości dodawał". Ale niepoczesna w porównaniu z marmurową stolicą Dożów, Padwa miała także niejedno, z czego mogła być dumną, a jeśli mogła się chlubić pięknemi freskami Mantagna i Tycyana, zdobiącemi mury jej kościołów, lub sarkofagiem Liviusza, odkrytym w roku 1547, to przedewszystkiem szczyciła się podaniem miejscowem, według którego Padwę, dawne Patavium, założył po zburzeniu Troi Antenor. Że podanie to nie przeszło bez wrażenia na Kochanowskim, tego dowodzi chociażby jego *Odprawa posłów*, gdzie Antenorowi wyznaczył tak dużą i sympatyczną rolę [1]). Ale nie brakło i innych względów, dla których mógł niebawem zasmakować w życiu padewskiem, bo jeśli chodziło

[1]) Nadto elegia XVII księga III zaczyna się od słów: „Pomnę, co pewien mistrz brodaty (Robortello) zwykł był mawiać do mnie tam, gdzie Antenor leży po zgonie".

n. p. o życie studenckie, to tutaj „żacy" grali taką rolę, o jakiej nie mogli nawet marzyć w Wenecyi. Tam ginęli w masie ludności, a tu, zwłaszcza artyści t. j. zapisani na wydział *artium*, rej wodzili w całem mieście. „Wiadomo na przykład, iż wiele ulic padewskich mają z arkadami podsienia, któremi w czasie upałów lub deszczu wygodnie można krążyć po mieście. Otóż podsienia te bywały zwykle placem burd i figlów studenckich. Z nadejściem bowiem mroku, młodzież akademicka zbierała się tu gromadnie i zbitą masą całą ich szerokość zająwszy, szorowała pod ich sklepieniami, wołając: *Qui va là? Qui va li?* i, albo roztrącała przechodniów, albo w razie doznanego oporu torowała sobie drogę kijem lub sztyletem. Niekiedy znowu wynikały krwawe bójki pomiędzy studentami z powodu przyjaciółek, któremi się Padwa roiła". Tak bywało przez cały okrągły rok, a że nawet statut uniwersytecki nie sprzeciwiał się zabawom studentów, powołując się na starorzymską maksymę, „aby po pilnej nauce następowała zabawa i rozweselenie, a to w tym celu, by umysły odświeżone stawały się chętniejszemi do przyjmowania nauk", więc bawiono się całą duszą. Zwłaszcza bawiono się raz do roku, w epoce turniejów, tańców i widowisk teatralnych, urządzanych przez młodzież akademicką, pod patronatem rektora i konsyliarzów. Był to karnawał padewski, okres awantur, pijatyk i szczególniejszego kultu dla złotowłosej Wenus! „Pojedyncze jednak nacye nie poprzestawały na tej wspólnej zabawie, ale urządzały widowiska na własną rękę. Tak nacya niemiecka w dzień św. Jana dawała każdorocznie przy ulicy św. Katarzyny widowiska teatralne, na których ku uciesze zebranego ludu wystawiano tragedye i komedye".

Ale zabawa zabawą, a nauka nauką. Bawiono się w wolnych chwilach, pozatem uczono się, uczęszczano na wykłady; takich bowiem, dla których sama nauka była jedną z największych przyjemności życia, nie brakło między żakami padewskimi. Powtóre, sam uniwersytet stał bardzo

wysoko. Oprócz przedmiotów scholastycznych, do których należały filozofia moralna, logika, sofistyka, astronomia, etc. etc., przedmioty humanistyczne, choć ilościowo przedstawiające się mniej świetnie, jakościowo nie pozostawiały nic do życzenia. Wykłady takiego Robortella, który w roku 1553 wykładał retorykę łacińską, były rozkoszą intelektualną dla jego licznych słuchaczów. Znakomite również, lubo mniej rozgłośne, były prelekcye Jana Faseoli'ego, Paduańczyka, który w roku 1553 wykładał literaturę grecką, niezależnie od tego, że w tej dziedzinie właśnie, zwłaszcza gdy chodziło o Eschylosa, Robortello położył znamienite zasługi. Niemniej wybitne były wykłady z dziedziny scholastyki, bo trzeba nadmienić, że uniwersytet padewski, chociaż był rozsadnikiem humanizmu, jednocześnie cieszył się sławą ostatniej twierdzy Arystotelizmu. Tylko, że tu Arystotelesa wykładano w greckim oryginale. Najświetniejszą gwiazdą tego wydziału był Antoni Pessera, powstający przeciwko Platonowi, w czem mu wtórowali nawet i młodzi humaniści, gdy chodziło o kobiety i miłość.

Poza uniwersytetem istniały tak zw. akademie studenckie, czyli korporacye, zawiązywane przez młodzież różnych narodowości. Polacy, za czasów studyów Kochanowskiego, jeszcze się nie byli zorganizowani w oddzielną akademię, stanowili tylko część nacyi ultramontańskiej. Że Kochanowski bywał na zgromadzeniach tych akademii, na których toczyły się — przy winie — rozprawy o filozofii, o Platonie i Cyceronie, o epikureizmie i stoicyzmie, o Marku Aureliuszu i Senece, tego pozwalają domyślać się jego padewskie elegie.

Podobnie, jak wątpić nie można, że brał udział w ożywionych dysputach akademickich, tak nie ulega wątpliwości, że na nich nie bywał sam, jeno w towarzystwie swych kolegów-ziomków, pomiędzy którymi prym trzymał Andrzej Patrycy Nidecki, wymarzony towarzysz dla niego, choć wiekiem starszy, bo już liczący sobie 32 lata. Umysł

humanistyczny *par excellence*, w Cyceronie fanatycznie rozmiłowany, zaprzyjaźniony z Lismaninem, pod którego wpływem, jako młody kleryk, pozostawał w Krakowie, protegowany Jędrzeja Zebrzydowskiego, biskupa krakowskiego, u którego był w wyjątkowych łaskach, (choć przedtem, już po otrzymaniu czterech mniejszych święceń, nagle wystąpił z zakonu Franciszkanów), zażyły przyjaciel Piotra Myszkowskiego i Łukasza Górnickiego, w roku 1549 poseł do Siedmiogrodu, do królowej Izabelli, aż wreszcie podkopany na zdrowiu, kosztem Zebrzydowskiego wysłany do Włoch, aby mógł uczynić zadość gorącej chęci zdobycia wyższej nauki, był to już człowiek wyrobiony, dojrzały, dworski, obyty z ludźmi, a że, jako uczeń Maryckiego i Nowopolskiego, posiadał wiele punktów stycznych z Kochanowskim, więc wystarczało, ażeby się te „dwa *lumina* zacne korony polskiej" zbliżyły do siebie, ażeby się po niedługim czasie związały najściślejszym węzłem przyjaźni i „mało nie jako brat z bratem doma żyjąc, wszystkie *secreta ingenii* z sobą *communicowali* i jeden nad drugiego nie mieli ani mieć chcieli rzeczy swych cenzora wiernieyszego y przednieyszego". Zdaje się nawet, że w końcu zamieszkali razem. Bądź co bądź, polubili się nadzwyczajnie, raz dlatego, że jak powiada wspólny kolega obu, Jędrzej Januszowski, „pospolicie równy równego szuka", powtóre, że, choć nierówni wiekiem, bardzo do siebie przystali usposobieniami i zamiłowaniami humanistycznemi. Jeśli się różnili, to chyba pod jednym względem tylko: Nidecki, wytrwale oddany pracy, a przytem zmuszony zważać na swe słabe zdrowie, już był obojętny na młodzieńcze rozrywki i wybryki, kiedy Kochanowski szumiał jeszcze.

Mimo to, zachęcony przykładem Nideckiego, nie zaniedbywał się w studyach, gorliwie rozczytując się w poetach rzymskich, którymi, pisząc swoje łacińskie elegie i epigramata, przejmował się z całym pietyzmem i rozmysłem. O tem, iż we Włoszech już się miało pod koniec poezyi

łacińskiej, która po takim zastępie sław, jak kardynał Bembo, Buonacorsi, Boiardo i wielu innych, coraz bardziej traciła prawa do bytu, nie pamiętał, a przynajmniej zapominał bardzo często [1]). Co prawda, to go parły w tym kierunku nietylko dzieła mistrzów poezyi rzymskiej, ale i blizkość miejsc unieśmiertelnionych w jej arcydziełach. „Sąsiednia Mantua była kolebką Wergiliusza; niemniej blizka Werona — Waleryusza Katulla; wybrzeże zaś południowe jeziora Garda, zwanego za czasów Rzymian *Benacus*, ulubionem miejscem pobytu tego poety. Tu na przylądku Sirmio, wciskającym się w wód błękity, wznosiła się jego willa, po której jeszcze do dziś dnia ślady murów pozostały... Wergiliusz, z powodu panujących na niem burz, które wysoko jego fale podnoszą, przyrównywał je do morza. Katullus zaś przylądek Sirmio nazywa wysp i półwyspów ozdobą. Nic też dziwnego, że powróciwszy z Bitynii, na jego widok z pełnej piersi wykrzyknął: *Salve, o venusta Sirmio!* To samo powitanie zapewne się i z piersi Kochanowskiego wydarło,

[1]) O ile Kochanowski w swych utworach łacińskich korzystał z poetów rzymskich, o tem czytelnik może się dowiedzieć z gruntownych rozpraw w tej materyi, z których najważniejsze są:

1. Józef Kallenbach: *Kilka słów o Elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego.* Obacz *Rozprawy Wydziału filologicznego*, (1884) strony 20—24.

2. Jan Maksymilian Pawlikowski: *Elegie łacińskie Jana Kochanowskiego w stosunku do rzymskich wzorów.* Obacz *Rozprawy Wydziału filologicznego*, tom XII.

3. Kazimierz Bronikowski: *O Foricoeniach Jana Kochanowskiego*, Kraków, 1888.

Pawlikowski wykazuje wpływy Tibulla, Kallenbach dowodzi niezbicie, że poeta, obok innych poetów rzymskich, prócz Owidyusza, Propercego, Katulla i Tibulla, nie mówiąc o Horacym i Wergiliuszu, ani o poetach greckich, w bardzo wielu miejscach szedł wiernie za Lukrecyuszem, którego poemat *de rerum natura* musiał znać bardzo dokładnie. „Gdzie i kiedy go poznał, trudno oznaczyć, wobec braku historyi studyów Kochanowskiego. Być może, że w czasie pobytu swego w Padwie".

gdy do tej miejscowości z Nideckim lub innymi towarzyszami zawitał" [1]).

Ale wczytując się w poetów rzymskich, nie zaniedbywał i włoskich, których utwory, pisane w narodowym i żywym języku, rugowały poezye łacińskie. To też, począwszy od Dantego, dla którego jednak został obojętny w rezultacie, a skończywszy na Petrarce, w którym sobie upodobał szczególniej, karmił się poezyą włoską, zwłaszcza studyując jej dział erotyczny, dział sonetów, nad którym panowała wszechwładnie *donna gentile*, Beatrice i Laura. Oczywiście, że lektura ta, w miarę, jak mu coraz bardziej zaczęła trafiać do przekonania, coraz wyraźniej jęła się odbijać na jego twórczości: nietylko, że zachwycony Petrarką, napisał dwa łacińskie epigramaty na jego cześć, jeden na jego grób, a drugi na pisma tegoż, ale pisząc, zaczął się zapożyczać u niego, żywcem biorąc jego wyrażenia, zwroty, pomysły[2]).

[1]) Że tu był, okazuje się z Elegii IV, księgi III, w której opisując Włochy wspomina to jezioro. Porównaj St. Windakiewicza *Pobyt Kochanowskiego za granicą*, str. 37. Kochanowski zwiedził prawie całe Włochy. W jednej z elegii wylicza 13 rzek włoskich, dwa jeziora i bagna Lukryńskie, a rzekom daje przymiotniki, które każą wnosić, że je własnemi oczyma oglądał.

[2]) Odmiennego zdania w tej kwestyi wpływu Petrarki jest prof. Stanisław Windakiewicz, który w swem subtelnem studyum p. t. *Erotyk Kochanowskiego* (drukowanem w *Pamiętniku literackim* z roku 1902) choć obszernie omawia wpływ Petrarki na niektóre utwory czarnoleskiego poety, to jednak nie wierzy, by Kochanowski zbyt gorliwie wczytywał się w Petrarkę, nawet w czasach Padewskich. „Kochanowski, zdaniem Windakiewicza, studyom literatury włoskiej nie oddawał się z równem przejęciem, jak klasycznym; wpływ petrarkizmu polega u niego raczej na lekturze przygodnej". Swoją drogą i prof. Windakiewicz przyznaje, a nawet to w rozprawie swej podkreśla, że „Kochanowski przebywał w Padwie w czasie najwyższego rozwoju petrarkizmu i dał się pociągnąć ogólnemu prądowi uwielbienia dla poety, odwiedził osobiście grób jego w Arqua dal Monte", (str. 194).

Odmiennie na tę kwestyę zapatruje się Małecki, który na ten wpływ poezyi włoskiej, a zwłaszcza Petrarki i Ariosta, bardzo silny

Odtąd „panna najpiękniejsza" zaczyna figurować i w jego utworach, a co ważniejsza, że, choć nie przestaje pisać po łacinie, to jednak, idąc w ślady Petrarki i całej plejady współczesnych poetów włoskich, piszących w swoim języku, coraz więcej zaczyna pisać po polsku. Cały szereg

kładzie nacisk. „*Orland szalony* miał 60 osobnych wydań w ciągu samego XVI stulecia, a Petrarka takiem był już bożyszczem wszystkich, że każde słowo, każda sylaba przezeń użyta, służyła za przedmiot podziwu u jednych, komentarzy u drugich, naśladowania u wszystkich. Żył w atmosferze takiej (wśród ludu, który poetów swoich umiał na pamięć), jakże to nie miało działać na wyobraźnię tego młodego Polaka, wprowadzać go w nowe światy, wzbudzać w nim aspiracye, nieznane dla niego w ojczyźnie". *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 23.

Felicyan (Faleński) w swem studyum o *Fraszkach*, o ile ironizuje na temat wpływów francuskich na Kochanowskiego, o tyle gorąco oświadcza się na rzecz wpływów włoskich. „Jak Dante i Petrarka przedewszystkiem nauczyli go dla tak zwanej pospolitej mowy łaciny się wyrzec, a następnie o tem tylko myśleć, jakby tu na wszelką miarę nie kim innym być, tylko sobą. Toćże on, wzorem pierwszego, powagę i głębokość sobie przyswoił; toćże on wprost od Petrarki miłośne pojął natchnienie". Zdaniem Felicyana, należy także zwrócić uwagę na wpływ Boccaccia (zwłaszcza we *Fraszkach)*. „Ten świetny umysł tyleż realistyczny, ile tamci (Dante i Petrarka) duchowi; tyleż ciekawy rzeczy tego świata, ile tamci zagłębieni w sobie; tyleż niesforny, ile tamci powściągliwi; a jednocześnie znowu tyle biegły artysta, że aż go to zrobiło godnym stać z nimi na równi. Więc oto skąd wziął Kochanowski przykład zmysłu poglądowego, potoczystość opowiadania, żartu swobodę i powabne słowo, nierzadko nawet swawolę. Ale na tem też i koniec. Bo zresztą u nowelisty włoskiego ani szukać tego co w naszym Janie: obok pustoty zwrotu w siebie, słodkiej zadumy, a nieraz i pobożnego westchnienia. On rozpustny tylko i szyderski, wiary jest płochej, a żadnej miłości. To tedy użytkowanie na swą potrzebę stron tylko mistrza tego niektórych, miarę nam daje bystrej rozwagi, z jaką Kochanowski we włoskie wzory swoje patrzał".

Skoro mowa o wpływach włoskich, to należy się tutaj także wzmianka cennej i bardzo subtelnej (zbyt subtelnej niekiedy) pracy Br. Chlebowskiego *O wpływie Ariosta na polskiego poetę (Tygodnik illustrowany*, 1884, tom II, str. 147), gdzie wpływ *Orlanda szalo-*

Fraszek i drobnych wierszy, jak niektóre Anakreontyki, a przedewszystkiem *Monomachia Parysowa* [1]), dadzą się odnieść do tej epoki twórczości poety.

Czy wiersze te czytywał swoim ziomkom, Nideckiemu, Barzemu, Januszowskiemu i innym? Z pewnością tak było, skoro swoich łacińskich poezyi nie chował pod korcem. Wszystko upoważnia do wniosku, że swoje elegie i epigramaty łacińskie, szczególniej te, które były na temat miłości, czytywał na akademiach studenckich, gdzie go nietylko znano i lubiano, ale i zaszczytnie wyróżniano z pośród siebie: gdyby było przeciwnie, z pewnościąby go „nacye cyzalpińskie" nie wybrały na zastępcę konsyliarza, tak, jak to miało miejsce przy końcu roku akademickiego 1553. A gdzieżby go mieli sposobność poznać lepiej i z lepszej

---

nego na niektóre utwory Kochanowskiego wykazany jest dowodnie. „Wrażenie (czytamy tam między innemi), jakie poemat Aryosta zostawił w duszy Kochanowskiego, było tak silne i trwałe, że w ostatnich nawet latach życia, opłakując najboleśniejszą stratę swoją, nie może wyzwolić się z pod tego wpływu i w żalach Orlanda, cierpiącego po utracie Angeliki, znajduje formę dla wyrażenia własnych uczuć".

W głęboko przemyślanym i gruntownie uzasadnionym szkicu o *Filozofii Kochanowskiego*, mówiąc o wpływie Cycerona i Seneki na sposób myślenia poety, Kallenbach pierwsze poważniejsze wpływy tych filozofów wiąże pośrednio z wpływem Petrarki. „Z autorów klasycznych, wskrzeszonych niejako do życia w dobie humanizmu, żaden bodaj nie miał takiego uznania, jak dwaj praktyczni filozofowie Rzymu: Cycero i Seneka. Wiele pod tym względem zależało od pierwszego impulsu. Petrarka pierwszy pokochał ich obu, przyswoił sobie ich mowę, myśli, uczucia, a miłość pierwszego humanisty przeszła też na jego duchowe potomstwo". Bobrzyński w swym artykule o *Stanowisku politycznem Jana Kochanowskiego* powiada, że poeta we wszystkich swoich przekonaniach politycznych kształcił się na Cyceronie.

[1]) Co się tyczy III księgi *Iliady*, to Brückner stanowczo jest zdania, że przekładu tego nie można żadną miarą odnieść do czasów padewskich, lecz późniejszych. *Op. cit.* str. 645. Br. Chlebowski odnosi przekład ten do epoki czarnoleskiej, do roku 1574.

strony, jak nie na tych różnojęzycznych a wesołych i gwarnych zebraniach koleżeńskich, na których, obok polskiej, włoskiej, niemieckiej i francuskiej mowy, panowała uniwersalna łacina, a których uczestnicy, noszący — zwyczajem humanistycznym — greckie lub rzymskie przezwiska Ligurinów, Nicephontów, Diodorusów, Torquatów etc. byli równie skorzy do słuchania miłosnych poezyi łacińskich, jak do swobodnych rozmów o miejskich i uniwersyteckich plotkach, o wypadkach politycznych, lub kwestyach naukowych. „Istotnie należąca do nich różnych narodowości młodzież niewiele się zapewne troszczyła o nowe w literaturze włoskiej dążności i w erotycznych poezyach Kochanowskiego znajdując własnych uczuć odbicie, widziała w nim prawdziwie natchnionego śpiewaka. A jeśli w elegiach wyższego zadowolenia szukała, to epigramata, zostające nieraz w ścisłym związku z wypadkami i osobistościami dobrze jej znanemi, mogła uważać słusznie za najcenniejszą zebrań koleżeńskich przyprawę". Zebrania te, które najłatwiej wyobrazić sobie na tle miejscowych winiarni, odbywały się przy winie i dziewczynie, co im nadawało specyalnie renesansowy charakter, a *Wein, Weib und Gesang* święciły tu największe tryumfy: przy brzęku kielichów i roztruchanów, przy gwarze rozmów s o d a l i s ó w, sypały się grube żarty i koncepty w stylu *Fraszek* i niektórych epigramatów łacińskich Kochanowskiego, a wybuchom śmiechu, od którego trzęsły się wszystkie stoły, wtórowały piskliwe śmiechy „przyjaciółek", różnych Krokalid, Filid, Neer, Korynn i Cypassyd [1]).

---

[1]) Najwymowniejszą ilustracyą tych biesiad koleżeńskich są niektóre epigramaty łacińskie Kochanowskiego, niewątpliwie powstałe w tych czasach. Do takich należy *Votum*, w którem poeta pragnie, by mu się puhary pieniły słodkiem winem, a dzban dostarczał niewyczerpanego nektaru; „a gdy piję (powiada), niech przy mnie siedzi wesoły towarzysz, niegardzący Bachusem, a czeladź niech ma pieczę o winnicy". To samo da się powiedzieć o epigramacie *Ad Sodales* (Do towarzyszów), w którym poeta ich

I Kochanowski, jak tylu innych jego kolegów, nie stronił od takich „przyjaciółek", których pieszczoty niekiedy aż opiewaniem ich opłacał. Do takich należała „słodka", „uporna" i „rozkoszna dziewczyna", Neera, której oczy „z gwiazdami walczyły o lepszą", a której toczone ramiona Kochanowski wspominał z podobnem rozmarzeniem, z jakiem Rafael wspominał *candidi braci* Fornariny; do takich należały Krokalida i Filis, którym epigramat poety *Ad Sodales* zapewnił nieśmiertelność; do takich należała „śniada" Cypassyda, co zaproszona przez poetę na wieczerzę, „przyszła z dwoma kozłami"; do takich należała rozpustna Korynna, którą „za dwa grosze" można było mieć „bez żadnych zabiegów".

Wszystko to były miłostki przelotne, będące uciechą dla zmysłów, a godne dowcipnych i nieprzyzwoitych epigramatów; z miłością jednak, absorbującą duszę, a godną namiętnej elegii, nie miały nic wspólnego. Ale przyszła kolej i na taką miłość.

Było to mniej więcej w połowie roku 1554 [1]). Poeta poznał się z Lidyą. Była to dziewczyna zepsuta, choć mniej

zachęca, ażeby „pili póki los pozwala". „Wszak w podziemnym orku winnica nie rośnie, a beczki nie pienią się winem, lecz smętne rzeki siarką tam płyną i cis blady brzegi osłania. Tu, przyjaciele, trzeba kochać; bo skoro sroga Kloto nić przetnie, i ciebie Krokalido, i ciebie, Filido, opuścim, i przez Styks na ponurej łodzi popłyniem"... Do tejże kategoryi należy zaliczyć i epigram *In Bacchum:* „Pijmy wino wesoło i opiewajmy Bachusa, ojca pląsów i przyjaciela pieśni... Gdy służba podaje nam dobrze doprawione puhary, wnet ucieka smutek... Więc winem się krzepmy i o troski nie dbajmy... Gdy sobie podchmielę, pragnę przewodzić w tanach, pragnę obficie skropiony wonnościami z wesołemi dziewami pląsać".

[1]) Jabym sądził, iż początek tego romansu należałoby przesunąć przynajmniej o rok wcześniej, przeciąg czasu bowiem od roku 1554 do 1556 wydaje mi się zbyt krótki. Przypuszczenia moje opieram na Elegii II, a (X w ręk. Osm.). W elegii tej, pocieszając Liguryna, płaczącego nad uporem Neery, i radząc mu bolu nie oka-

zepsuta od innych. W każdym razie była ładniejsza! Jako taka, była na ustach wszystkich, zwłaszcza na ustach kolegów Kochanowskiego, między którymi słynęła ze swej niepospolitej urody i wdzięku. Wystarczy powiedzieć, że była blondynką... „Co do urody, powiada o niej Kochanowski w jednej elegii, Lidya [1]) wytrzyma porównanie ze wszystkiemi i raczej je przewyższy, niż pokonana ustąpi. Lice jej jak śnieg, włos jak złoto, oczy jak gwiazdy, a wspaniałą postawą podobna do bogiń starożytnych. Czy chodzi, czy się

---

zywać, Kochanowski wskazuje na swoją „wierną kilkuletnią służbę" Lidyi, co chyba upoważnia do przypuszczenia, że poeta w ciągu swego kilkuletniego pobytu w Padwie niemal przez cały czas był uwikłany w miłosną kabałę z Lidyą, która widać, że go dobrze potrafiła usidlić, skoro jej był „wiernym". Na pytanie zaś, do jakiej sfery należała Lidya, w jakim rodzaju była to cortegiana, o tem najlepiej informuje *Kultura Odrodzenia* Burckhardta, rozdział o kurtyzanach tej epoki.

[1]) Aż do chwili odkrycia przez prof. Brücknera w bibliotece petersburskiej tak zw. „rękopisu Ośmólskiego", wszyscy, piszący o Kochanowskim, z jedynym wyjątkiem Windakiewicza, odnosili jego romans z Lidyą do epoki paryskiej. Dopiero Brückner w swym arcyważnym artykule w *Ateneum* z roku 1891 rozstrzygnął kwestyę tego romansu na korzyść Padwy. Za nieodparty argument posłużyły mu w danym razie dwie elegie Kochanowskiego, o których na stronie 18 i 19 tak pisze:

Elegia VIII rękopisu, w druku II, 6. do Lidyi, pełna wyrzutu i gniewu. Różnice głównie stylowe, ale zarazem dla tego, kto w bajkę pana Löwenfelda niezręcznie skleconą o Lidyi w Paryżu uwierzył, dowód z dokumentu, że romans z Lidyą w Padwie się rozegrał: uchodząc przed niegodną chce poeta, by jego oczy już nie widziały „nienawistnych pagórków" *(invisos... colles)*, ale w rękopisie „euganejskich pagórków" *(euganeos... colles)*, to znaczy padewskich wedle sposobu mówienia rzymskich poetów. Dziesiąta elegia rękopisu, w druku II, 9. Różnice stylowe, nieznaczne; wzmianka o miejscu romansu z Lidyą znowu zatarta, bo w tekscie druku czytamy: „jeśli mię widzisz chodzącego po samotnych miejscach", a w rękopisie „chodzącego nad brzegami Meduaku *(Meduaci ripis me Ligurine vides)*; Medoacos *(minor)*, to Bacchiglione, nad którym Padwa leży.

śmieje, czy mówi, sądzisz, że przepasana opaską Wenery. Robót kobiecych, zdaje się, Pallada ją nauczyła; wszystko lekką igiełką wyszyć potrafi. Gdy dźwięcznym głosem z lirą Orfeusza słodkie łączy słowa, sądziłbyś, że Syrena śpiewa". Tak pisał poeta, oczarowany pięknością „złotej Lidyi", która swe jasne włosy „trefiła żelazkiem", a która, usidliwszy go, takie żary zdołała rozniecić w jego młodzieńczem sercu, słowem, tak go potrafiła opętać, że ze swawolnego birbanta zmienił się w zakochanego Romea. Co prawda, to nie była to zwykła hetera, jak owe Neery i Korynny z *Epigramatów;* zdaje się nawet, że mieszkała przy rodzicach, że chcąc się widywać z poetą, musiała walczyć z pewnemi trudnościami, wynikającemi z jej położenia, co ją niezmiernie podnosiło w oczach kochanka [1]). Powtóre nie była wcale łatwa do

[1]) O Lidyi Kochanowskiego da się powiedzieć to samo, co o Cassandrze Ronsarda, tak przezeń sławionej w Odach i Sonetach, a której rzeczywiste imię nic nie miało wspólnego z tem zmyślonem Kassandry. Sam Ronsard powiada o swej poetycznej kochance:

Soit le nom faut ou vrai, jamais le temps vainqueur
N' ostera ce beau nom du marbre de mon coeur

W swoim artykule w *Ateneum* roku 1891, przynoszącym tak cenne *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego*, Brückner wychodzi z założenia, że elegie do Lidyi są poważnym materyałem biograficznym, na którym można się oprzeć z całą pewnością, chcąc odtworzyć dzieje tej romansowej przygody w życiu poety. Zastanawiając się nad tem, co nam rękopis Osmólskiego przyniósł nowego dla poznania Kochanowskiego, stwierdza Brückner, że jeśli chodzi o daty zewnętrzne, biograficzne, zbiór ten wczesnych utworów poety zawiera niemal jedynie odbicie wrażeń włoskich. „Najsilniejsze między niemi wywarła Lidya i romans z nią kilkoletni, z najrozmaitszemi pojęciami, z całą skalą uczuć od łatwego poznania, chwilowego zdobycia, od przemijających rozstań i łączeń do wzajemnych wyrzutów, nieufności, zdrady, bo i poeta, wedle własnego wyznania, u innych umyślnie pociechy szukał, choć nie znajdował; z biegiem czasu częstsze, dotkliwsze upokorzenia miłości własnej, na jakie się natrętny a ubogi kochanek narażał; zrywa się nieraz, dumny ze swego rodu i własnego dowcipu, wy-

zdobycia, bo moralnie wyższa od innych „przyjaciółek“ młodzieży akademickiej, przepadającej za nią, oddawała się tylko wybranym z pomiędzy wielu, przebierając w nich, jak w ulęgałkach. To jej cenienie się sprawiało, że gdy wyróżniła kogo, to go zaraz przykuwała do siebie, a przykuwała tem silniej, że działając na zmysły, jednocześnie budziła i czystsze uczucia. Tak było i z Kochanowskim. Na swoje szczęście, poeta miał wiele danych po temu, ażeby i taką Lidyę zainteresować swoją osobą. Musiała słyszeć o nim, jako poecie, a że odznaczała się „umysłem wykształconym“, więc mógł jej nawet imponować trochę. Dość, że zaprzyjaźniła się z nim, że zaczęła lgnąć do niego, że się zgodziła na jedną i drugą samotną przechadzkę nad brzegami Meduaku, że w końcu, zmuszona kryć się ze swoją zakazaną miłością, na romansowe schadzki z poetą, które z nim miewała wieczorami, musiała przychodzić potajemnie, przebrana po męsku. Wszystko to rozniecało coraz gorętszy płomień miłości w młodym poecie, a rozniecało tembardziej, że Lidya, choć się stawiała na umówione schadzki, była oporną, pozwalała na wiele, ale nie na wszystko. Poeta napróżno pukał do jej drzwi: nie otwierały się. Cierpiał więc, odchodził z niczem, zapewniając samego siebie, że taka nieufność

---

lewa swą gorycz w ucinki, sarkazmy, przekleństwa; ślubuje zapomnieć, nigdy nie wrócić, a wraca, usilnie kryjąc łzy i niepokój, by ich na domiar nie wyśmiano. Cały był uwiązł w tej nieszczęsnej miłości i dopiero obca ręka, której później dziękował, przyspieszyła zerwanie, na jakie sam nie umiał się zdobyć“.

To dogmatyczne stanowisko, zajęte w roku 1891 w *Ateneum* wobec stosunku elegii do rzeczywistości, zmienił Brückner w ciągu lat kilku na bardziej sceptyczne i niedowierzające, czemu dał wyraz w roku 1897 w *Pracach filologicznych* w recenzyi dzieła Plenkiewicza. Bo gdy Plenkiewicz tę miłość ku Lidyi przedstawia jako „wulkaniczną“, recenzent widzi w tem podnoszeniu jej do jakiejś niezwykle wysokiej temperatury bardzo wiele przesady. „Podejrzywam poetę — pisze Brückner — że jak wedle własnego zeznania pijane rymy po trzeźwu pisywał, tak i miłość do Lidyi więcej go w wyobraźni, niż w rzeczywistości, bawiła i trapiła“, (str. 655).

ze strony ukochanej, „śmierci się równa", ale gotów był „znieść wszystko, byle tylko nie odjęto mi wszelkiej nadziei przebłagania ciebie, o Lidyo!" Przebłagał ją w końcu. Zaczęły się dni szczęścia, a choć nie łudził się co do cnoty swej złotowłosej pieszczotki, to jednak uważał ją za cnotliwą o tyle, że oddawała się jemu jednemu tylko... Słowem, rozkochany w ślicznej dziewczynie, zapominał o jej płochości, a miłość swą, pod której wpływem pisał coraz piękniejsze elegie, traktował na seryo [1]). O niej śpiewała jego łacińska i „młoda słowiańska Muza", co znaczy, że go pobudzała i do pisania polskich wierszy, a sławiąc ją, jako swą „pannę najpiękniejszą", przekonany był, że jeśli pieśni jego „mają jaki powab", to zawdzięczał to Lidyi. Tymczasem i ona zdążyła zakochać się w poecie, tak dalece nawet, że stała się chorobliwie zazdrosną o niego, że chciała go mieć dla siebie wyłącznie. Ta zazdrość z jej strony, która tak mogła schlebiać Janowi, stała się przyczyną pierwszego dysonansu w ich stosunku. Oto zdarzył się niegodziwiec, który, chcąc poecie odbić kochankę, zaczął jej w wątpliwość podawać jego uczucia. Na samą myśl o tem, że się Kochanowski sprzeniewierza jej, że ją zdradza z inną, Lidya wpadła w rozpacz, czem wzruszony poeta, chcąc ją przekonać o swej wierności, napisał elegię, jedną z najczulszych, jakiemi go natchnęła miłość ku Lidyi. „Dopókiż moje życie, gorzkie łzy wznawiać, dopókiż białe lica łzami skrapiać będziesz? To nie łzy twoje, lecz krew moja własna, co z twych oczu płynie, co zrasza twe szkarłatne jagody!"

W takim nastroju zastał poetę Andrzej Dudycz [2]). Przyjeżdżał z Paryża, gdzie studyował pod francuskimi mistrzami,

---

[1]) Kallenbach w szkicu o *Filozofii Jana Kochanowskiego*, mówiąc o wpływie Lukrecyusza, odnosi zajęcie się nim poety do czasów, „kiedy krewkość młodzieńcza igrała miłością ku Lidyi i szydziła z formalności Kościoła".

[2]) Tak utrzymuje prof. Plenkiewicz. Czy się nie myli jednak? Co pewna, że Kazimierz Morawski w swej krytycznej monografii

a jeśli przyjechał do Padwy, to w tym celu jedynie, ażeby tu pod słynnym Gidonem Poncirollą rozpocząć studya prawne. Poza temi studyami jednak, któremi, płochy z natury, nie obciążał się zbytnio, prowadził życie wesołe, rozpustne, które sobie osładzał miłością „czarującej Menofili", ale miłości tej, pomimo namiętnego przywiązania ze strony kochanki, nie traktował poważnie. Bawił się, ale serce miał wolne, widząc zaś, że Kochanowski naprawdę zakochał się w swojej Lidyi, że się przywiązał do niej, jak się do tego rodzaju „przyjaciółki" przywiązywać nie należy, starał się amory te wybić mu z głowy. Ale przekonał się niebawem, że Kochanowski zabrnął głębiej, niż on przypuszczał pierwotnie. Dlatego, kiedy mu w drugiej połowie roku 1554 wypadło jechać do Anglii, postanowił nakłonić poetę, ażeby jechał z nim razem. Poprostu chciał go oderwać od Lidyi, a nie przewidywał zupełnie, że trafi na zacięty opór z jego strony. Widząc, że go Anglia nie nęci, doradzał mu Paryż, z którego sam miał najrozkoszniejsze wspomnienia, a którego zakładom naukowym, zwłaszcza nieporównanemu *Collège des trois langues*, przyznawał pierwszeństwo nad Padwą. Ale daremnie perswadował poecie, że sama zmiana mistrzów, a więc poznanie odmiennych metod wykładów i badań, może być tylko z największą korzyścią dla niego, że Padwa, jako miasto, nie może iść w porównanie z świetną stolicą Francyi: Kochanowski, choć mu się wyjazd taki uśmiechał pod wieloma względami, wobec łez i narzekań Lidyi, oświadczył stanowczo, że zostanie, a odjeżdżającemu Dudyczowi, który z lekkiem sercem porzucał w nim rozkochaną Menofilę, napisał elegię na pożegnanie, elegię, w której wyrzuca przyjacielowi, że wyjeżdża mimo zaklęć nieszczę-

---

o *Andrzeju Petrycym Nideckim* twierdzi z całą stanowczością (str. 88), że Dudycz dopiero lata 1554 do 1557 w Paryżu „po części współcześnie z Kochanowskim" na naukach spędził. Stąd przyjaźń Kochanowskiego z Dudyczem odnosi Morawski do epoki paryskiej poety.

snej kochanki, a porzuca ją nie dla innej, lecz dla karyery. „Ach kamieniem jest, kto dla zysku miłość porzucił; we mnie nie znajdzie on naśladowcy. Czyż bowiem mógłbym patrzeć na płaczącą kochankę, lub powstrzymywać łzy na suchych policzkach, gdyby szalona poczęła uszy trapić skargami i gniewną ręką twarz sobie do krwi ranić? Niechaj pozostanę biednym, bylebym z tobą był, moja Lidyo! Gdy ciebie posiadam, wszystkie mi królestwa za nic!"... Skończyło się na tem, że Dudycz pojechał sam, a poeta został w Padwie, przy boku złotowłosej Lidyi [1]).

Widząc to, Nidecki, przed którym poeta nie robił tajemnicy z tego, że tylko dla Lidyi został we Włoszech, zaczął się niepokoić o niego. Wprawdzie o małżeństwie nie było mowy, skoro sama Lidya zapewniała swego kochanka, że choć zazdrosna o niego, „nie pragnie go od ziemi ojczystej odciągać lub poślubiona łoże jego dzielić" (na to nie był dość bogaty dla niej), ale nie ulegało wątpliwości, że go ten romans z piękną zalotnicą pozbawiał spokoju i zdrowia, że go kosztował mnóstwo czasu, odjętego poważnym studyom (nie mówiąc już o wydatkach). Więc zaczął tłómaczyć poecie, że stosunku z Lidyą nie powinien uważać za inny, tylko za przemijającą miłostkę, i dlatego źle zrobił, jego zdaniem, że nie pojechał z Dudyczem do Francyi. Lecz te morały Nideckiego, choć podyktowane przez prawdziwą przyjaźń i życzliwość, nie znalazły oddźwięku w psychice zakochanego poety: tyle tylko, że na nie odpowiedział żartobliwym epigramatem łacińskim *Do Andrzeja Patrycego*, epigramatem, w którym zapewnia swego przyjaciela, że na

---

[1]) Stanisław Windakiewicz na str. 34 swej cennej rozprawy o *Pobycie Kochanowskiego za granicą*, umieściwszy jego romans z Lidyą na tle życia studenckiego w Padwie, zwraca uwagę na Elegię II, 6, w której poeta zaznacza, że wiersze, które pisał do Lidyi, głośnem uczyniły jej imię w całym uniwersytecie.

Lecz i ta obniesiona wdzięków twoich chwała
Mnie należy, bo moja miłość cię wsławiała

Amora niema sposobu. „Sam nie wiem, co począć z tym niegodziwcem: chociaż bowiem chciałbym względem niego być okrutnym i choć na to zupełnie zasługuje, nie mogę. Nie brak mu skarg, żeby mię zmiękczyć, nie brak próśb, któremi mnie nietylko przejednać, lecz nawet zniewolić umie. Czy to pieszczotliwemi rączkami szyję obejmie, czy krasnemi ustami pocałuje, ten jego uścisk i srogą burzę morską zdołałby uśmierzyć, a ten gorący pocałunek nawet zagniewanemu Jowiszowi piorun wytrąciłby z ręki".

Więc trwał w tym „okrutnym żarze, co przedtem zdaleka go parzył", ale tymczasem coś się zaczęło psuć w jego stosunku do Lidyi. Zauważył, że była jakby obojętniejszą, że jej jakby coraz mniej zależało na widywaniu się z nim, aż w końcu raz i drugi, kiedy on stawił się na umówioną schadzkę, ona nie przyszła, pozwoliła mu czekać napróżno. Co gorsza, to, że go taki zawód spotkał kilka razy z rzędu. Upłynął czas jakiś, a on nie mógł się zobaczyć z ukochaną. Co to jest? myślał sobie, i zaraz opadły go furye podejrzeń. A nuż go Lidya zdradza. W tem uczuciu, szarpany wściekłą zazdrością, napisał namiętną elegię, pełną wyrzutów i złorzeczeń pod adresem Lidyi. „Niecna! dla ciebie całą noc czuwam i ptak już pełnem gardłem dzień zapowiada; tymczasem ty, z włosami strojnemi w kwiaty, siedzisz pomiędzy pełnemi puharami, albo przy dźwięku lutni przewodniczysz tańcom, a zamiast mnie, towarzyszy ci kto inny... Ach, niewierny rodzie! Tylko zdradzać umiecie i z biednych mężczyzn się naigrawać. Nieszczęsny, kto łatwe daje wam ucho, albo mniema, że słowa u was jakąś wagę mają. Ten może wierzyć, że deszcz suchy, a ogień mokry, kto wierzy, że wy bez zdrady mówicie".

Ale mężczyzna, gdy kocha, jest łatwowierny, a kobiety, gdy chodzi o wytłómaczenie, o wybicie czegoś z głowy mężczyźnie, bywają wielce pomysłowe w takich razach. Była też nią i Lidya, która, jeżeli nawet chwilowo zdradzała poetę, to jednak zdecydowawszy się nie zrywać z nim osta-

tecznie, tak mu potrafiła usprawiedliwić swoją nieobecność na kilku schadzkach, tak go potrafiła przekonać, że ją podejrzewał niesłusznie, ba, że ją krzywdził swemi podejrzeniami, bo ona jego tylko jednego kocha, że uspokojony poeta, nietylko uwierzył jej zapewnieniom, ale tej swojej wierze w niezachwianą miłość Lidyi dał wyraz w osobnej elegii, w której woła z zachwytem: „O, trzykroć, czterykroć, bez liku szczęśliwi ci, w których sercu wzajemna gore miłość!"

Taki stan rzeczy trwał aż do maja 1555 roku. Swoją drogą, choć pewny wierności i miłości kochanki, nie mógł się chwilami opędzić refleksyi (zwłaszcza, gdy obliczał, ile złota kosztowała go ta „złota" *gentil donna)*, czy gdyby był mniej hojny, mniej skory do wydawania pieniędzy, gdy chodziło o zaspokojenie różnych zachcianek Lidyi, czy i wtenczas byłby kochany równie namiętnie: jednem słowem, czy go Lidya nie wyzyskiwała przypadkiem, zarówno jego zaufania, jak trzosa. „Teraz bowiem (czytamy w jednej elegii, w tej samej, gdzie jest mowa o wzajemnej miłości Lidyi) złoto jest w cenie: złoto, wierzaj mi, trzeba przynieść z sobą, kto chce miłością się parać... Tu nic nie znaczy szlachectwo, ani rodziców starożytna chwała, tu ani cnota, ani dowcip popłaca. Kto dał, zrównał się czynami z wielkim Achillesem; kto dał, zwycięży twe wiersze, Homerze! Ale ubogiego wyśmieją i o próg wilgotny często szlachetnego boku nadetrze, wytrzymując mróz silny i deszcze nocne, gdy inny na łonie pani spoczywać będzie".

Na szczęście dla poety, podobne refleksye rzadko wytrącały go z równowagi: był zakochany, a więc łatwowierny i ślepy na różne ujemne strony swej lubej. Ostatecznie posiadał ją, a tego żądał przedewszystkiem.

Nagle wypadło mu rozstać się z nią, i to na nieokreślony przeciąg czasu. W mieście wybuchła zaraza. Znaczna część mieszkańców, uciekając przed koszącą śmiercią, chroniła się w górzyste okolice, a zdaje się, że w tej liczbie byli

i rodzice Lidyi: przynajmniej ona „uszła w szerokie pola, wartkiem uniesiona kołem". Poeta pozostał sam, a w jakiem usposobieniu był po rozstaniu się z kochanką, jak patrzył na wszystko przez pryzmat tęsknoty za nią, o tem świadczy początek Elegii XIII, napisanej po wyjeździe Lidyi, a w której Padwa jest nazwana „niewdzięcznem miastem".

Tymczasem zaraza wzmagała się z dniem każdym, tak, iż w uniwersytecie musiano przerwać wykłady. Studenci poczęli się rozpraszać, a senat wenecki zaczął się zastanawiać nad przeniesieniem uniwersytetu. W takich warunkach i Kochanowski nie miał co robić w Padwie. Co począć więc? Dokąd jechać? Najchętniej pojechałby tam, gdzie przebywała Lidya, ale to było niemożebne. Bądź co bądź należało myśleć o znalezieniu jakiego bezpiecznego schronienia przed pomorem. Wszystkie te wątpliwości rozstrzygnął Nidecki, któremu właśnie wypadła w interesach Kościoła, z polecenia Zebrzydowskiego, podróż do Rzymu. Namówił więc Kochanowskiego, żeby jechał z nim razem. Poeta zgodził się, ile że nic nie wiązało go z Padwą, skoro ją opuściła Lidya, i pojechali[1]).

---

[1]) Nie jest to wcale pewnem, motywy jednak, które Plenkiewicz przytacza na poparcie tej hypotezy, są dosyć przekonywujące. „Dowiadujemy się z życiorysu Andrzeja Nideckiego, iż ten za pierwszą swą bytnością w Padwie (1554—1556) „dotarł do bram wiecznego miasta i tu wszedł w stosunki z kardynałami Moronim i Puteonem, generalnym inkwizytorem Kościoła i wielkim przyjacielem Polaków". Do przedsięwzięcia zaś tej podróży skłaniały Nideckiego nietylko naukowe pobudki, ale i poruczone mu przez biskupa krakowskiego sprawy Kościoła, które on miał Puteonowi przedłożyć. Bez rozminięcia się przeto z prawdą, jesteśmy w prawie przypuścić, że poeta w jego towarzystwie zwiedził *Romam aeternam*. Jeżeli bowiem kiedy do tego stosowna nadarzała się pora, to bezwątpienia w czasie, gdy panująca zaraza w Padwie zmuszała szukać bezpieczniejszego schronienia".

Do tegoż czasu odnosi podróż poety po Włoszech (do Rzymu i Neapolu) także i Windakiewicz *(Pobyt Kochanowskiego za granicą*, str. 36—39). Kreśląc przebieg tej podróży, Windakiewicz

Na pytanie, jakie wrażenie zrobiła na Kochanowskim *Roma aeterna?* odpowiada jedna z jego elegii łacińskich, w której tak pisze o wiecznem mieście: „Czegoż czas niszczący w ciągu długich lat nie pokona, czegoż — choćby było najszczytniejszem — dnie żarłoczne nie pochłoną? Owo siedlisko bogów, stolica świata, złoty Rzym, na pół zapadły, ledwo imię swoje zachowuje; zaprawdę, takie już twarde prawo rzeczom ludzkim przeznaczone, że co najwyżej się wzniesie, najniżej upadnie. Taki los i Rzym spotkał". Widoczna, że wrażenie, jakie na poecie zrobił Rzym, było smutne, przygnębiające! Dziwna rzecz! Bo przecież Rzym ten, po którym teraz błądził Kochanowski, roił się jeszcze tłumem artystów ze starym Michałem Aniołem na czele, artystów, „którzy w pełni twórczości wznosili na podziw światu tchnące wspaniałością świątynie, wille i pańskie pałace, zdobili pędzlem ich facyaty i wnętrza, lub w przysionkach, dziedzińcach i na placach publicznych stawiali posągi, walczące o pierwszeństwo z grecką skulpturą!" Wszak była to epoka najświetniejsza dla chrześcijańskiego Rzymu, epoka najwyższego rozkwitu renesansu w sztuce, mogąca pochlubić się takimi papieżami-mecenasami, jak Juliusz II i Leon X; takimi artystami, jak niedawno zmarły Rafael, i takiemi arcydziełami malarstwa i architektury, jak *Loggie* Rafaela, jak kościół świętego Piotra, jak sklepienie kaplicy Sykstyńskiej. A ogrody watykańskie, a tyle arcydzieł rzeźby starożytnej, zdobiących rezydencyę papieży, a *Laokoon*, a Apollo Belwederski, a *Mojżesz* Michała Anioła? Czyż Kochanowski nie

---

tak pisze: „Droga do Rzymu (z Padwy) prowadziła na Ferrarę, Bolonię, Florencyę, Sienę, oprócz Florencyi, same miasta uniwersyteckie i głośne w całym świecie". Nie kwestyonując podróży Kochanowskiego po Włoszech, owszem, uważając ją za fakt nie podlegający najmniejszej wątpliwości, prof. Kallenbach w swej rozprawie o *Janie Kochanowskim w uniwersytecie krakowskim* przesuwa ją o cały szereg lat wcześniej, mianowicie do roku 1550 lub początku roku 1551, jakkolwiek wcale się nie upiera przy swem przypuszczeniu. *Ateneum*, 1884, tom III, str. 563.

widział tych cudów? Owszem, widział, bo inaczej byłby nie pisał w tejże elegii: „Mamże jeszcze wspominać grody, silnym obwiedzione murem, i tylu sławnych mistrzów? mamże wspominać obrazy i posągi, świątynie bogów, od złota błyszczące, tylu dzieł pomniki i ogromy, groźne jak piramidy?" Nie ulega wątpliwości, że to wszystko Kochanowski oglądał za swego pobytu w Rzymie, tak samo, jak nieraz patrzył zamyślony na „bystry Tyber", bieżący „pod dawny mur", ale również nie ulega wątpliwości i to, że go zarówno te świątynie „od złota błyszczące", przez które należy rozumieć kościół św. Piotra, jak i te „obrazy i posągi", pozostawiły zimnym. Czemu? Bo nie miał zmysłu do odczuwania piękna w sztukach plastycznych, z czego sobie nawet sam doskonale zdawał sprawę, jak tego dowodzi jeden z *Fragmentów:*

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmurem postępować umiem.

Jednem słowem, nie znał się na malarstwie, ani na rzeźbie. Powtóre, wybierając się do Rzymu, jechał nie po to, ażeby tu podziwiać arcydzieła dłuta i pędzla mistrzów odrodzenia włoskiego: czego innego szukał, czego innego był ciekawy. A tego nie znalazł, to zaś, co znalazł, rozczarowało go. Bo nie o Rzym współczesny mu chodziło, ani o stolicę katolicyzmu (w której był raczej skłonny dopatrywać się — jak protestanci — apokaliptycznego Babilonu, aniżeli zachwycać się pompą obrzędów religijnych, lub przepychem dworu papieskiego), ale o Rzym starożytny, Rzym z czasów Cycerona i Wergiliusza. Niestety, o ile przyjechał spragniony oglądania i podziwiania resztek starożytnej Romy [1]), o tyle

[1]) Windakiewicz, opisując *Pobyt Kochanowskiego za granicą*, również podkreśla z naciskiem, że podróż po Włoszech podjął młody autor Elegii w celu czysto humanistycznym, aby obaczyć ten świat starożytny, znany mu zaledwo z wykładów, zwłaszcza zaś, aby stanąć na miejscach, na których rozgrywała się mityczna opowieść Wergilego. Dlatego też uczucie, w jakiem Kochanowski zwie-

zawód, jaki go spotkał pod tym względem, równał się pierwotnemu zapałowi na myśl, że zobaczy to wszystko: to bowiem, co zostało po dawnej stolicy imperyum, równało się stosom rozwalisk i gruzów. Na *Forum Romanum*, gdzie się rozlegał głos Cycerona, z pośród grubej, wiekami nagromadzonej warstwy nasypisk, sterczały głowice kolumn, lub szczyty łuków tryumfalnych, ukryte wśród drzew i krzewów, porastających wśród rozwalin. Na rozłożystym Palatynie, wznosiły się olbrzymie mury i arkady pałacu Cezarów, porosłe krzewami i chwastem, a na sklepieniach, pokrywających niższe piętra budowy, wznoszono wille, zakładano ogrody, siano zboże. Podobny widok przedstawiały Termy Karakalli, forum Trajana. Cóż więc dziwnego, że poeta-cyceryonianin, patrząc na te kupy gruzów, odwracał od nich oczy, jak od upiora minionej wielkości i chwały, i że nie mogąc w nich odnaleźć ducha dawnych Kwirytów, zwrócił się wyłącznie ku literaturze rzymskiej, w której był tak biegły, a w której ów duch starożytnej Romy, zaklęty w spiżowe słowa wielkich mowców, historyków i poetów, przetrwał wszystkie kataklizmy stuleci. Poetycznem odbiciem tego wrażenia, jakie na nim uczynił „nawpół zagrzebany" Rzym starożytny, jest fraszka *O Rzymie*:

> Jako wszytki narody Rzymowi służyły,
> Póki mu dostawało y szczęścia, y siły:
> Także też, skoro mu się powinęła noga,
> Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.
> Fortunnieyszy był język: bo ten y dziś miły:
> Tak zawżdy trwalszy owoc dowcipu, niż siły.

Czytając tę *Fraszkę*, mimowoli myśli się o *Irydyonie* Krasińskiego, a wyobrażając sobie Kochanowskiego, przy-

---

dział naprzykład Rzym, było inne zupełnie, niż to my sobie wyobrazić możemy. „Rzym bowiem chrześcijański, sądząc z tych źródeł, które posiadamy, nie wywarł nań żadnego wrażenia, z lubością zaś oglądał świątynie i budowle starożytne, a uniesienie go rwało, gdy się przypatrywał tym szczątkom klasycznego świata", (str. 37).

patrującego się — z Nideckim pospołu — tym „nawpół zagrzebanym“ ruinom dawnych pałaców i świątyń rzymskich, myśli się o wstępie do *Irydyona*. „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie patrycyusze twoi, z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemięzcy plebejanów, ukróciciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu? Gdzie mowce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów?... Wszyscy zniknęli jedni po drugich: przeszłość ich zagarnęła i, jak matka, tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości... Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne, jak półbogi, ni silne, jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem... Kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym bluszczem“. Można być pewnym, że w takim samym nastroju, jak ten, który tak po mistrzowsku oddają poetyczne słowa *Irydyona*, i Kochanowski błądził nad brzegami Tybru, „smętnie teraz toczącego swe wody“.

Dlatego z przyjemnością uciekał do poblizkiego Tiburu, nad „miłe brzegi Anijenu“ [1]), dokąd go, oprócz górskiego orzeźwiającego powietrza, nęciły wspomnienia Horacego. Zrobił także wycieczkę do Neapolu, wrażenie zaś, jakiego doznał, zwiedzając ten starożytny gród Parthenopy, odbiło się w jednej z *Fraszek* poety:

Dojedź y Parthenopy, a uirzysz te lasy,
Gdzie złotey rózgi szukał Eneasz przed czasy;
Tamże y piekło będzie y ogromna skała,
Z którey wieszcza Sybilla odpowiedź dawała.

---

[1]) Elegia XIII, księga III.

Neapol, do którego, zdaje się, pojechał sam (Nidecki bowiem, zajęty sprawami kościoła krakowskiego, nie mógł się ruszać z Rzymu), bardziej mu się podobał, niż wieczne miasto; tutaj bowiem, wśród lazurów i opalowych blasków zatoki Baja, znalazł mniej ruin, a więcej wspomnień o poetach, o Cyceronie. Tutaj słynny mowca rzymski posiadał dwie wille, a w jednej z nich, zwanej akademią, a położonej nad morzem, wykończył większą część swoich pism filozoficznych. Tutaj znajdowały się owe dawne Baje, o których mówi Horacy, „że ich żadne na świecie ustronie nie przewyższa powabem". Tutaj, na tych rozkosznych wybrzeżach, uwieńczonych dymiącym Wezuwiuszem, rozgrywały się najnamiętniejsze sceny romansu Propercyusza i Cyntyi. Tutaj znajdowała się willa Cezara, ulubiona rezydencya Oktawii, siostry Augusta, której Wergiliusz — w tej willi właśnie — czytywał wyjątki z *Eneidy*. I tutaj wreszcie, w północnej stronie Neapolu, u samego wstępu do groty Pauzylipu, już opisanej przez Senekę, znajduje się grobowiec Wergiliusza, „na którym, za czasów Kochanowskiego, w całej świeżości zielenił się laur, zasadzony ręką poświęconą Petrarki". Wszystko to musiało głęboko wzruszać poetę.

Tymczasem minęło lato, zbliżał się początek roku akademickiego, a z Padwy dochodziły pomyślne wieści o wygasającej zarazie. Jednocześnie i Nidecki zdążył uporać się ze sprawami biskupstwa krakowskiego, w których pertraktował z kardynałem Puteonem. Spełniwszy swój obowiązek, mógł wracać do Padwy. Wrócił tedy, a Kochanowski pojechał z nim razem. Było to na jesieni roku 1555.

Wracając do grodu Antenora, Kochanowski nietyle myślał o Robortellu i jego wykładach, na które miał uczęszczać w dalszym ciągu, ile o Lidyi, co do której najwięcej interesował się pytaniem: wróciła już, czy nie jeszcze? Okazało się, że nie wróciła. Stąd smutek poety. Elegia IX, księgi I, opiewająca żale nieszczęśliwego Likota, pasterza, za Filidą, jest wyrazem tej tęsknoty za Lidyą: Likotas — to Kocha-

nowski, Filida — to Lidya. „Filido, bez ciebie niema żadnej pociechy dla biednego Likota: po rozłączeniu z tobą utracił on wszystkie radości. Bez ciebie, czy to dzień, czy noc wilgotna panuje na niebie, ni nocą, ni we dnie płakać on nie przestaje; strudzone oczy nie kleją mu się do snu słodkiego; ni pióro, ni muza, nie sprawiają mu już przyjemności. Ciebie jednej szuka on ustawicznie w strapionem sercu, o ciebie pytają wszystkie pagórki i gaje... Opłakują go i sosny szyszkorodne, i wawrzyny zielone, i strome skały na wierzchołkach gór. Ty jedna twardszą jesteś od skały i dębu; ty jedna nie użalisz się nad ludzkiem nieszczęściem; ty pozwalasz, by Likotas od frasunku okrutnego zmarniał; tyś obojętną na to, czy żyje on, czy ginie. Jeżeli go stracisz, któż ci wtedy pieśni nucić, kto pod wysokie niebiosa sławić cię będzie?" A nie wiedział poeta, że kiedy pisał o tej obojętności kochanki, twardszej od skały, miał jakby wieszcze przeczucie tego, co go miało spotkać niebawem. Bo któż mógł przewidzieć, że Lidya, wróciwszy do Padwy, wróci na to tylko, ażeby nie chcieć odnowić dawnego stosunku z młodym *forestierem*. A jednak cios taki miał spotkać poetę. Lidya wróciła, ale wróciła zajęta kim innym. Poeta spostrzegł to odrazu, a kiedy płocha dziewczyna dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wszystko już skończone pomiędzy nimi, porzucony kochanek wpadł w rozpacz. Nieszczęście chciało, że nawet poskarżyć się nie miał przed kim, Nidecki bowiem, który był jego powiernikiem w takich razach, właśnie bawił w Wenecyi, u Manucyusza. W tem uczuciu napisał epigram *Ad Andream Patricium*, w którym zapewnia przyjaciela, że nikogo tak widzieć nie pragnie, „jak ciebie, mój Patrycy, w tym moim smutku. Jeżeli przeto życie me jest ci drogie, nie zwódź-że mnie wciąż, błagam cię, nadzieją swego powrotu; gdyż albo ty, albo nikt nie potrafi uleczyć mej boleści"... A kiedy Nidecki powrócił wkońcu, poeta, na powitanie jego, napisał taką smutną fraszkę *Do Jędrzeja:*

Który mój nieprzyjaciel, y człowiek tak srogi,
Trzymał cię po te czasy, Jędrzeju mój drogi,
Kiedym cię ja najbardziej smutny potrzebował,
Abyś mię był w mym ciężkim frasunku ratował?
Serce mi bowiem żarły troski nieuśpione,
Jakie nieleda komu mogą być zwierzone
By mi cię wżdy nakoniec odesłał był cało,
Nie takby mię nieszczęście moje frasowało.

A po tej fraszce [1]) nastąpiła inna, w której strapiony poeta prosił Andrzeja, ażeby mu radził, co ma czynić w tem dopuszczeniu, ażeby go ratował, starał się wyrwać z niedoli:

. . . Jakiem ja dary dawał? jakiem rymy składał?
A dziś mię wstyd: bom więcej, niż było, przykładał.
Równałem często jej płeć ku rumianej zarzy,
A ona kramną barwę nosiła na twarzy.
Chwaliłem jej niegodne chwały obyczaje,
Więc mi też mą nieprawdę fałszem dziś oddaje
Przeto póki gniew świeży w mym sercu panuje,
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię, jako możesz, a wyrwi z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość sercu boli.

---

[1]) St. Zathey w swem studyum o *Fraszkach Kochanowskiego* (strona 408) zwraca z powodu wiersza tego uwagę, że nie wszystkie Fraszki, które poeta pisał *Do Jędrzeja*, dadzą się odnieść do Nideckiego. „Fraszka 51, księgi II, *Do Jędrzeja* mówi o zdradliwej kochance, którą poeta przedtem chwalił bez miary, a teraz się wstydzi tego, że chwalił. Koniec wiersza taki:

. . . póki gniew świeży w mym sercu panuje,
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię jako możesz a wyrwij z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość w sercu boli

otóż jeśli tę Fraszkę porównamy z wierszem *Do Andrzeja Trzecieskiego* (Fraszka 78, księgi II) zostającym w związku z miłością do Hanny:

Bóg ci zapłać Jędrzeju, coś mię dziś upoił;
Boć we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły... etc

powstanie w nas wątpliwość, czy rzeczywiście, jak przypuszczano dotychczas, dwie Fraszki do Jędrzeja odnoszą się do Nideckiego.

Tymczasem Lidya uciekała mu z oczu, unikała okazyi do spotkania się z nim, i pozwalając mu „ginąć stroskanemu“, upoważniała do przypuszczeń, że kto inny zażywa jej słodkich pieszczot. Zrozpaczony poeta zaczął — w elegiach — myśleć o samobójstwie, a zanim się zdecydował targnąć na własne życie, pocieszał się trunkiem. Zaczął pić na umor, chcąc w winie zatopić swe „troski nieuśpione“. Doszło do tego, że koledzy jego, widząc, w jaki sposób szukał pociechy, aż go musieli powstrzymywać od nadmiernych libacyi na cześć Bachusa. Jednocześnie, uniesiony ambicyą, postanowił nie wysługiwać się przewrotnej dziewce, tudzież zaprzestać wszelkich starań o odzyskanie jej utraconych względów. Porzuciła go, trudno: trzeba się pogodzić z tą myślą! Ot, lepiej uczyni, gdy sobie poszuka innej, która go oceni tak, jak na to zasługiwał. I kto wie, czy nie zaczął rozglądać się za jaką nową przyjaciółką. Dowiedziawszy się o tem, Lidya, urażona w swej miłości własnej, poczęła czynić jakby pewne kroki ku zgodzie, a gdy poeta nie pozostał obojętny na te zwodnicze nadzieje, któremi go dawna kochanka zdawała się pociągać ku sobie, gdy dostrzegła tylko, że gotów wrócić do niej, w tejże chwili odzyskiwała swą mrożącą obojętność dla niego. Wyczerpany tem wszystkiem, zwątpił ostatecznie, ażeby kiedykolwiek wróciła do niego, i przekonany o jej zmienności, cały żal, jakim mu wezbrało zranione serce, wylał w namiętnej elegii: „Nieszczęsny to był dzień, gdy ciebie, Lidyo, ujrzały moje oczy! Biada mi, żem równocześnie nie poznał się na twoich obyczajach, nie ocenił twego umysłu! Czemuż nie jesteś tak stałą, jak celujesz urodą? Serce twe, niestety, nie odpo-

Czemu nie do Trzecieskiego?... Z *Foricoeniów* wiemy, że poeta przed Nideckim zwierzał się ze swych kłopotów sercowych. Z Fraszki zaś 78 księgi II, że zwierzał się przed Trzecieskim, a prawdopodobniejszem nawet wydaje się przypuszczenie, że Fraszka 51, księgi II, odnosi się do zdrady Hanny, niż, że (jak to twierdzi p. Plenkiewicz) zostaje w związku z miłością do Lidyi.

wiada piękności. Ale i sławę z niej, niegodziwa, zawdzięczasz mnie jedynie! Lecz przyjdzie czas, gdy sobie moją wierność przypomnisz. Ale ja ucieknę wtedy, wiarołomna, od ciebie".

Tymczasem zaszedł fakt, który jego uwagę zwrócił w innym kierunku. W marcu 1556 roku rozeszła się wieść, że królowa Bona, jadąca z Polski, będzie przejeżdżała przez Padwę. Jakoż niebawem zaczęto czynić przygotowania na jej przyjęcie, wznoszono bramy tryumfalne, etc., a wkrótce Padwa zaroiła się mnóstwem przyjezdnych z Wenecyi i Neapolu, przybyłych na powitanie Bony. Zjechało się dużo arystokracyi, aż wkońcu, dnia 27. marca przybyła królowa, witana przez wysłańców senatu, którzy ją zapraszali do Wenecyi, oraz przez miejscowego podestę, a przedewszystkiem przez gremium profesorów uniwersytetu, „którego rektorzy przedstawili jej Polaków na naukach bawiących". Tym sposobem chyba i Kochanowski został zaprezentowany królowej. Następnie, po świetnej uroczystości przyjęcia, Bona, wraz z całym orszakiem dworzan i fraucymeru, zatrzymała się w Padwie, a z nadejściem wielkiego tygodnia, dla odbycia rekolekcyi i spowiedzi, zamknęła się w miejscowym klasztorze św. Stefana. Dopiero dnia 27. kwietnia, a więc po całomiesięcznym pobycie w grodzie Antenora, udała się do Wenecyi. W ciągu tego miesiąca, Kochanowski, któremu hołdy składane Bonie, jako królowej polskiej, musiały mile głaskać jego uczucie narodowej dumy, zbliżył się do dworu, w którym było wielu Polaków, a bardzo być może, iż starał się także o zawarcie bliższych znajomości z pannami z fraucymeru królowej [1]). Nie uszło to baczności Lidyi, która, może

[1]) Niestety, wszystko to są tylko domysły Plenkiewicza, nie poparte żadnemi dowodami. Adam Bełcikowski w swym „wizerunku" o Kochanowskim, zamieszczonym w kilku numerach *Tygodnika illustrowanego* z roku 1884, pomimo wszystkich argumentów przeciw doszukiwaniu się w elegiach łacińskich materyału biograficznego, cały romans z Lidyą uznaje „za fakt historyczny" (str. 129),

powodowana odrobiną zazdrości, a niewątpliwie wyrachowaniem, że jednak ten młody poeta nie musi być byle kim, skoro ma przystęp i do królewskiego dworu, znowu zbliżyła się do Kochanowskiego, zaczęła nań zastawiać sidła, a poeta, w którego sercu jeszcze nie była wygasła namiętność dla pięknej kurtyzany, odrazu dał się ułowić w ten kuszący potrzask. Tym sposobem pogodzili się znowu.

Po chwilowem złudzeniu jednak, jakiemu uległ poeta, niebawem przyszło ponowne rozczarowanie. Lidya bowiem,

---

przebieg zaś tej miłostki wyobraża sobie w ten sposób: „Młodzieniec z poetyczną wyobraźnią, w najgorętszym wieku, bo w trzecim dziesiątku lat, młody humanista, przepędzający za granicą żywot bez wątpienia w samych tylko męskich towarzystwach swoich kolegów, nie mający łatwego przystępu do domów prywatnych i nie myślący pewnie o tem, aby na obcej ziemi szukać sobie dozgonnej przyjaciółki, cóż dziwnego, że poszedł za prądem czasu, za przykładem swoich mistrzów starożytnych (Katulla i Tibulla) w poezyi i na łonie pięknej kurtyzanki szukał zaspokojenia pragnień serca. Nieszczęściem dla niego było tylko to, że do tych związków wnosił także pewną część szlachetniejszej swojej natury, że dla niego miłość nie była zupełną i nie mogła mieć powabu bez prawdziwej namiętności i bez uczucia. Rozkochany poeta dawał także serce i w zamian serca żądał. Tego nie mógł otrzymać; doznawał więc zawodu, czuł się oszukanym i cierpiał. Cierpiał tem więcej, że mimo całego zaślepienia miłości, musiały mu się niezadługo otworzyć oczy. I odezwała się w jego piersi ta tak trudna napozór do pojęcia, a w rzeczywistości tak naturalna dysharmonia dwóch sprzecznych uczuć. *Odi et amo*, musiał powtórzyć za Katullem... Skargi i żale na kochankę mięszają się też ciągle do namiętnych wybuchów uczucia. Poeta wie dobrze, że ta miłość była dla niego nieszczęściem, że w ulubionej nie znalazł duszy równie pięknej, jak ciało... Rozgoryczenie stawało się coraz większe; wyrzuty i napomnienia nie trafiały pewnie do celu, spotykając się z obojętnością, albo nowym fałszem. Przyszło wreszcie do tego, że wiarołomstwo nie mogło już ulegać wątpliwości... Nigdy później tak namiętne i rozpaczne dźwięki nie brzmiały na erotycznej lirze Kochanowskiego; w elegiach (do Lidyi) czuć żar krwi młodzieńczej i zarazem nieprzezwyciężony urok, jakim go pierwsza zapewne w życiu kochanka aż do zapomnienia się podbiła i zhołdowała".

o ile okazała się skorą do odnowienia stosunku z porzuconym kochankiem, o tyle przekonawszy się, że jej wielbiciel, pomimo swych stosunków z dworem królowej polskiej, wcale bogatszym nie jest po jej wyjeździe, niż przedtem, zaczęła bardzo szybko ostygać w swej miłości dla niego, a kiedy sobie upatrzyła bardziej intratną zdobycz, porzuciła go. Kochanowski wpadł w rozpacz, a że był recydywistą na punkcie swej miłości ku Lidyi, więc od tego nowego miłosnego zastrzału cierpiał tem silniej. Widząc to Nidecki postanowił raz nareszcie koniec położyć tej namiętności swego przyjaciela. W jaki sposób? Uważał, że Kochanowski bądź co bądź powinien wyjechać z Padwy. Ale dokąd? Do Paryża. Cóż, kiedy Paryż nie uśmiechał się poecie: miał jakąś nieumotywowaną odrazę do niego. Nagle zaszła okoliczność, która Nideckiemu ułatwiła zadanie nakłonienia Kochanowskiego, ażeby porzucił mury Padwy: był to list od Zebrzydowskiego, naglący Nideckiego do powrotu, albowiem obecność jego w kraju, jako biegłego w redagowaniu urzędowych aktów łacińskich, była niezbędną. Nidecki nie wahał się ani chwili, lecz postanowił jechać zaraz; że jednak było to pod sam koniec roku akademickiego 1555/1556, więc decydując się na natychmiastowy wyjazd, postanowił wyjechać nie sam, lecz z Kochanowskim, dla którego dalsze pozostawanie w Padwie, w blizkości Lidyi, uważał za zgubne. W tym celu, niezrażony tem, że go nie zdołał namówić na wyjazd do Paryża, zaczął namawiać go, ażeby z nim na czas wakacyi pojechał do kraju, do Sycyny; tam (myślał sobie) wpływ matki, braci i sióstr, poparty wpływem atmosfery rodzinnej, patryarchalnej, będzie najzbawienniejszem lekarstwem na jego „troski nieuśpione". Kochanowski dał się nakłonić, i w czerwcu już, razem z przyjacielem opuścił gród Antenora, tracąc z oczu „nienawistne mu euganejskie wzgórza". Wyjechał prawie chyłkiem, nie pożegnawszy się z nikim; Nidecki bowiem, z obawy, aby zręczna Lidya w ostatniej chwili nie zniweczyła jego zachodów, wszystko

urządził tak, iż nikt nie wiedział, że i Kochanowski jedzie z nim razem. Stąd po wyjeździe ich rozniosła się pogłoska po Padwie, że Jan gdzieś przepadł bez wieści. On tymczasem, na wyjezdnem, na myśl, że uwalnia się z pod syreniego czaru Lidyi, napisał taką fraszkę *Do Jana*, przez którego rozumiał siebie samego:

Radzę, Janie, day pokój przedsięwzięciu swemu:
Bo bądź krótko, badź długo, przecie przydzie k'temu,
Że się człowiek obaczy: a co mu dziś miło,
To mu będzie za czasem wstyd w oczu mnożiło.
Tę rozkosz, którą teraz tak drogo szacujesz,
Puścisz taniey po chwili, gdy prawdę poczujesz.
A tak co ma czas przynieść, uprzedź go ty raczey,
Odmień swóy bieg, a żagle nakręć wczas inaczey.
Świadomeś słów łaskawych, y piękney postawy,
Zdradę widzisz: znayże więc, co przyjaciel prawy.
A ty, o morska Wenus, chluśni zraz tey paniey,
A pomści się wzdychania, y moich złes, na niey.

Na początku lipca był już Kochanowski w Sycynie [1]). Wprawdzie, zjeżdżając w tym czasie, zrobił ogromną niespodziankę swym najbliższym, których witał po czteroletniej rozłące, ale tembardziej ucieszono się z jego przyjazdu, iż właśnie dwie siostry jego, Katarzyna i Elżbieta, wychodziły za mąż: pierwsza za Pawła Komorowskiego, druga za Mikołaja Kozła. Temci lepiej, że przyjechał, bo będzie na dwóch weselach!... Szkoda tylko, że przyjechał jakiś „smutny", mizerny, bladolicy, z jakąś gorączką w podsiniałych oczach. Ale choć była to bladość, o której Heine powiedziałby, że pochodziła *vom vielen Studieren*, to jednak zostawała nadzieja, że parę miesięcy, spędzonych na wsi, wrócą młodemu humaniście dawną czerstwość i rumianość lica. I on był tego zdania, byle mu zbyt nie suszono głowy szczegółowemi opowiadaniami o nigdy nie kończących się proce-

[1]) Już w połowie lipca, w dniu św. Małgorzaty 1556 roku stawał Kochanowski osobiście w grodzie radomskim.

sach z sąsiady, o wynikających stąd kosztach i stratach; bo 1. były to sprawy, które go mniej interesowały, jako zbyt poziome, a 2. przyprawiały go o niemiłe wyrzuty sumienia, że „kiedy jego ukochanym tak gorzko i kłopotliwie życie płynęło, on tymczasem oddawał się płochym miłostkom, i dla istoty, jego uczuć niegodnej, marnował zdrowie, pieniądze i czas naukom kradziony". Swoją drogą nie mógł zapomnieć o Lidyi; choć musiał przyznać, że już zaszła w nim zmiana pod tym względem: był smutny, ale nie dlatego, że się rozłączył z Lidyą, że jej nie widział, że go od niej dzieliły setki mil, lecz że, choć pragnął, nie mógł się pozbyć tej „zastarzałej miłości". A pragnął szczerze wyleczyć się z niej ostatecznie. W tem uczuciu napisał nową fraszkę *Do Jana*, fraszkę dziwną jednak, bo zakończoną pobożnem błaganiem, ażeby się raz uwolnił od tego wrzodu.

. . . Wieleś ty, Janie, sobie pozyskał radości [1])
Na czas potomny z tej to nieszczęsnej miłości.
Bo co jeno kto komu abo mówić dobrze.
Abo y czynić może, obojeś to szczodrze
Wypełnił, czego serce niewdzięczne przechować
Nie mogło: a tak przecz się dalej masz frasować?
Owszem umysł swóy utwierdź, odeym sie swey woli,
A szczęściu na złość nie bądź dłużey w tey niewoli.
Trudno nagle porzucić miłość zastarzałą,
Trudno, lecz się już na to uday myślą całą.
To samo zdrowie twoje, na tym wszystko tobie,
Możno, albo nie możno, przełóm to na sobie

Panie, jeśli należy tobie się zmiłować,
A możesz y w ostatniem zginieniu ratować,
Weyźrzy na mię smutnego: a jeśli cnotliwy
Żywot mój, oddal ten wrzód odemnie szkodliwy,
Który wkradszy się, jako gnusność, w skryte kości,
Wygnał mi wszytki prawie z serca me radości
Już nie o to ja stoję, by mię miłowała,

[1]) Mojem zdaniem, wiersz ten należy odnieść do czasów późniejszych, do miłości ku Hannie, do epoki przekładania *Psałterza*.

Abo, co niepodobno, cnotliwą być chciała,
Sam zdrów być pragnę, a ten ciężki wrzód położyć:
Panie, za mą pobożność chciey mi to odłożyć.

Jakoż powoli zaczął przychodzić do siebie: szarpnięty organizm, pod wpływem świeżego powietrza, zaczął się odradzać szybko, a w uzdrowionem ciele wyzdrowiała niebawem i dusza. Otoczony kochającą rodziną, zarówno jej, jak i swym przyszłym szwagrom, odznaczającym się wyśmienitym humorem, miał do zawdzięczenia, iż odgryzał się nadzwyczaj szybko. Wesołe gawędy z nimi i ich przyjaciółmi, jowialny humor szlachty, która przy stole, a zwłaszcza przy winie lub miodzie, nie znosiła zadumy na twarzy uczestników biesiady, najwięcej przyczyniły się do rozpędzenia jego chmur padewskich, a że je rozpędziła niebawem, o tem świadczą liczne *Fraszki* poety, niewątpliwie powstałe w tych czasach, a tak wesołe i dowcipne, że aż nieprzyzwoite niekiedy, jak ta n. p., w której jest mowa o Koźle i... piskorzu.

Tymczasem upłynęło lato, zbliżał się termin wyjazdu poety. Jak zwykle w takich chwilach, poprzedzających rozstanie na czas dłuższy, rozmowy, które Kochanowski prowadził z matką i braćmi, zączęły przybierać poważniejszy nastrój, aż w końcu zeszły na narady, dotyczące jego dalszego pokierowania: kwestya, która pani sędzinie leżała bardzo na sercu. „Nie było jej zamiarem tamować mu drogi do dalszego kształcenia się za granicą, skoro go ku temu wiodła ochota, ale jako matka przezorna chciała te jego studya skierować na drogę bardziej praktyczną. Wszak w naukach greckich i rzymskich był już mistrzem skończonym; czas więc było poświęcić się teraz naukom, które w przyszłości mogły go wynieść na najpierwsze w kraju stanowiska. Za takie zaś uważała teologię i prawo. Jak jedna bowiem, tak drugie, czy w kościele, czy na dworze królewskim, zapewniały mu przed innymi pierwszeństwo". Poeta nakłonił się do życzeń matki, ale zataił przed nią, iż pod względem przekonań religijnych rozchodził się z nią całko-

wicie: o sutannie przestał myśleć prawie zupełnie, choćby dlatego tylko, że „kapłanowi żenić się niema być wolno". Temu był absolutnie przeciwny.

Nakoniec pożegnał się ze swoimi i, zaopatrzywszy się w pieniądze na drogę, które w sumie 70 florenów wypożyczył od stryja swego, Mikołaja Kochanowskiego, podstarościego radomskiego, ruszył do Krakowa, gdzie mu powierzono 16-letniego Piotra Kłoczowskiego, ażeby go zabrał do Włoch. Kochanowski podjął się tej odpowiedzialnej opieki, a wyjechawszy razem ze swym młodym Telemakiem, już na początku semestru zimowego, a więc pod jesień roku 1556, był z powrotem w Padwie.

Kto wie, czy pomimo wszystkiego, co pisał o chęci wyleczenia się ze swej „zastarzałej miłości" ku Lidyi, czy nie ona była powodem, że znowu zdecydował się na Padwę. Co pewna, to, że przyjechawszy tutaj, kiedy się dowiedział od kolegów, że Lidya na wieść o jego tajemniczem zniknięciu płakała rzewnemi łzami, był niemniej wzruszony tą niespodziewaną nowiną, jak się mógł śmiać z niesłychanego zdziwienia tych swoich przyjaciół, którzy, nie wiedząc nic o jego wyjeździe do kraju, odrazu pogodzili się z myślą, że go na jakiejś wycieczce podmiejskiej musieli zamordować bandyci. W tem przeświadczeniu powiedzieli także i Lidyi, że zbójcy zabili jej kochanka, co — wbrew ich przewidywaniu — tak rzewne łzy wycisnęło z pięknych oczu dziewczyny. A więc płakała, kiedy jej powiedzieli, że on nie żyje? Płakała, oddawała się rozpaczy, czyli, że go kochała, że jej był drogi, że mylił się, gdy ją posądzał o obojętność i wiarołomstwo, czyli, że ona była niewinna, a tym, który ją krzywdził samem posądzeniem o płochość i zmienność, był on. To go rozbroiło tak dalece, że gotów był wrócić do Lidyi. Ta ostatnia zdziwiła się zapewne, gdy poetę, rzekomo zabitego przez bandytów, nagle spotkała znowu, żywego i zdrowego, a co najważniejsza, skłonnego do pojednania z nią, do nawiązania przerwanego stosunku, ale nie miała

nic przeciwko temu. I znowu nastała zgoda, zaczęły się miodowe chwile gruchań i schadzek, a poeta był bardziej zakochany, niż kiedykolwiek. Dziękował przypadkowi, który zrządził, że Lidya chwilowo opłakiwała jego zgon, bo mu to pozwoliło przekonać się o jej „miłości i poczciwości", a biorąc asumpt z tego pomyślnego epilogu tej rzekomej śmierci, napisał nową elegię do Lidyi, w której tak mówi między innemi: „Więc, gdyby się tak było spodobało Parkom i losowi, chętniebym żywot złożył, a łzy, jakiebyś, moje życie, wylewała, byłyby dość wspaniałym obchodem mego pogrzebu". Tymczasem, ponieważ był zdrów i cały, i „czuł się bezpieczny na każdem miejscu", był spragniony pocałunków i pieszczot swej ukochanej. „Teraz należy się bawić, teraz, moja Lidyo, kochać, teraz pełną dłonią chwytać radości, teraz są stosowne lutnie i pieśni, teraz wolno się błąkać po mieście, tak, że ledwie późną nocą powrócisz do domu".

Ale niedługo trwało to uniesienie. Bo chociaż Lidya płakała na wieść o zgonie poety, co rzeczywiście dowodziło, że jej zupełnie obojętnym nie był, ale i to nie ulega wątpliwości, że go sobie nie upodobała bezinteresownie: za miłość swoją, a raczej za tę komedyę miłości, którą, mniej lub więcej przejmując się swoją rolą, grała przed nim, wymagała zapłaty, nie pocałunkami i poezyami, ale gotówką. To sprawiło, że zaślepiony poeta przejrzał wkońcu, że ostatecznie poznał się na przebiegach pięknej hetery, i zrazu, płacąc za każde dłuższe sam na sam, bawił się tą farsą udawanej namiętności, aż wreszcie sprzykrzyło mu się i to: zaczynał mieć dosyć Lidyi. Już w nim budziła niesmak [1]).

[1]) Zdając sprawę w *Kwartalniku historycznym* w roku 1892 z artykułu Brücknera w *Ateneum* z roku 1891, prof. Nehring bardzo krytycznie zapatruje się na kwestyę romansu z Lidyą, wysnutego z łacińskich elegij poety. „Bardzo ważną jest kwestya — słowa są Nehringa — o ile w elegiach łacińskich, a po części w pieśniach polskich Kochanowskiego treść miłosna wzięta jest z życia. Niektórzy biografowie Kochanowskiego (Tarnowski w ich liczbie), którzy

Ażeby się raz na zawsze odczepić od niej, postanowił wyjechać z Padwy, zwłaszcza, że tu, w braku towarzystwa Nideckiego, coraz bardziej zaczynało mu być obco i nieswojo. Lecz dokąd jechać? Rozmyślając nad tem pytaniem, przypomniał sobie, jak go w swoim czasie Dudycz namawiał

---

szczegółowo wchodzili w treść jego łacińskich elegij, umieszczali n. p. Lidyę w Paryżu: prof. Brückner na podstawie rękopisu petersburskiego przenosi ją do Padwy i ma niezawodnie słuszność za sobą, niwecząc tkaninę biograficznych szczegółów, wysnutych z niektórych drukowanych elegij, sam jednakże w elegiach petersburskich szuka przyczynków do biografii Kochanowskiego i wychodzi z tego przekonania, że poeta w Padwie był w słodkich więzach miłości Lidyi i że w tej miłości doznał rozmaitych przejść i przygód; wedle jednego miejsca w nieznanej dotąd elegii zdawałoby się, że kochanka miała raz jakoby fałszywą wieść o zginieniu (lub zgonie?) Kochanowskiego. Autor podaje zysk wysnuty z elegij łacińskich, szczególniej petersburskich, na str. 20; mnie trudno zgodzić się na to, aby można miłość do Lidyi w Padwie ze wszystkiemi szczegółami wcielić do biografii Kochanowskiego, i zawsze stoję na stanowisku wątpiącego, zaznaczonem w recenzyi o dziele prof. Tarnowskiego w tem tu piśmie, III, 276 i n. Lidya wydaje mi się być imieniem wziętem z Horacego i adresem idealnym, do którego młody poeta zwraca wyrazy miłości; później, zdaje mi się, ze znacznie później, n. p. w elegii 6, księgi I w druku, wielbił on także Lidyę; zresztą owe miłosne westchnienia, miłe nadzieje, kłopoty, katusze lub rozkosze miłości, rozstania się z kochanką, zazdrość szczęśliwszemu i t. d., także w niektórych pieśniach polskich są zbyt znanemi tematami liryków rzymskich, Petrarki i jego naśladowców, aby w konwencyonalnych miłosnych sytuacyach Kochanowskiego znaleźć coś indywidualnego, czego nie było już w innych erotykach. Jeżeli Kochanowski później zmieniał sytuacyę, n. p. zmieniając Włochy na Francyę, kiedy oddawał elegie do druku, to czynił to niekoniecznie, aby zatrzeć ślady niemiłych wspomnień, ale że może nie przywiązywał wagi do treści. Zresztą, choć pozory teraz są za tem, że kochanka Kochanowskiego w dwu petersburskich księgach elegij, nie zawsze po imieniu nazwana, jest jakoby jedną i tą samą osobą, co Lidya (prof. Brückner też w tem przekonaniu upatruje n. p. w Likocie i Filidzie w elegii I a. Jana i Lidyę), to jednakże trudno wszystko do jednej i tej samej Lidyi odnieść, n. p. że Kochanowski do owej płochej i chciwej złota pa-

na wyjazd do Paryża, do *Collège des trois langues*, jak mu to samo niedawno doradzał Nidecki. Jakoż zdecydowawszy się na Paryż, zaczął się zbierać do podróży, a w trakcie tych przygotowań, święcąc wyzwolenie swego ducha z pęt „zastarzałej miłości", napisał jedną ze swych najpoetyczniejszych elegij. Na jaki temat? Na temat miłości, której bogi-

dewskiej kochanki odzywał się z kwestyami dogmatycznemi o zbawieniu i o usprawiedliwieniu przez cnotę lub łaskę". W swym zarysie biograficznym o *Janie Kochanowskim* (Petersburg, 1901) prof. Nehring w dalszym ciągu z niedowierzaniem odnosi się do kwestyi Lidyi, pisząc o niej na stronie 7. i 8. co następuje: „Już w recenzyi o dziele prof. Tarnowskiego wypowiedziałem to zdanie, że miłosne wynurzenia poety były ćwiczeniami poetycznemi, naśladowanemi wedle rzymskich liryków i włoskich Petrarkistów; później zaś, zdając sprawę z artykułu prof. Brücknera oświadczyłem się znowu przeciwko wcieleniu zawartości tych elegii, w których Lidya jest kochanką, do biografii Jana Kochanowskiego, jeszcze raz twierdziłem, że niepodobna w tych wynurzeniach do Lidyi, której imię jest wzięte z Horacego, przez wzgląd na naśladowanie i przez wzgląd na to, że poeta i równocześnie i później nawet w polskich poezyach pisał erotyki do przeróżnych nazwanych i nienazwanych kochanek, upatrywać coś indywidualnego". W ogóle prof. Nehring, jak to zaznacza o kilkanaście wierszy dalej, „nie może się przekonać, że Kochanowski rzeczywiście kochał się w heterze Lidyi" i życiorys poety ułożyć wedle tego postanowił. Mimo to, ustęp o Lidyi i elegiach padewskich, choć osłabiony zastrzeżeniami, wypadł w swej zasadniczej treści tak samo mniej więcej, jak w artykule Brücknera i w książce Plenkiewicza. Skonstatowawszy fakt, że Kochanowski łacińskiemi elegiami opiewał różne padewskie hetery, z któremi uprawiał miłostki, prof. Nehring wyszczególnia Lidyę, jako „najszczęśliwszą niby pomiędzy niemi". „Była piękniejszą i wykształceńszą od innych, i w ręcznych robotach, i umysłowo; oddając się Kochanowskiemu, musiała wzbudzić i zacniejsze uczucia. Różne koleje z nią przechodził poeta, jak zwykle bywało z zakochanymi poetami w starożytnym świecie i u Petrarkistów; wzdychał do nieużytej, był szczęśliwy, kochanka go odjeżdżała lub oddawała się bogatszemu, bo złoto i w tej miłości odgrywało rolę niepoślednią, zrozpaczony oddawał się trunkowi, wreszcie wszystko ustało. Poeta sam porzucił rozkosze i katusze miłosne, wyjeżdżając do Rzymu i Neapolu, wreszcie po wznowionych bezskutecznie stosunkach

nię błagał, ażeby „pomna na łzy przezeń wylane, chciała z jego serca wyprowadzić załogę i gdzieindziej zatknęła swoje sztandary“, i na temat Lidyi, którą żegnał tą elegią, a żegnał równie czule, jak sarkastycznie. „I ty, Lidyo, zasypiaj w spokojnych marzeniach; nie wzniecaj w sobie więcej ani nadziei, ani bojaźni. Nie będziesz płakała, o światło

przeniósł się do Francyi“ (str. 13). Omawiając zaś twórczość poety z tego czasu, łacińską głównie, czyni przytem prof. Nehring uwagę, że „większa część elegij i ód wysnuta jest z własnych życia wypadków i wrażeń, nawet erotyki do Lidyi i innych kobiet czynią poniekąd wrażenie obrazów z własnych przygód i wspomnień miłosnych“ (strona 22).

Ignacy Chrzanowski w swej *Historyi literatury polskiej* bardzo sceptycznie zapatruje się na rzetelność uczucia Kochanowskiego dla Lidyi, o której powątpiewa nawet, czy to była rzeczywista kobieta z krwi i kości, czy też tylko wytwór bujnej wyobraźni poety. „Podczas pobytu za granicą — słowa są Chrzanowskiego — pisał (Kochanowski) za przykładem Tibullusa i Propercyusza elegie miłosne, w których opiewał swą miłość ku jakiejś Lidyi i smutki, o jakie go ta miłość przyprawiła. P r a w d z i w e g o, s z c z e r e g o u c z u c i a w t y c h e l e g i a c h n i e m a; p r a w d o p o d o b n i e o w a L i d y a z u p e ł n i e n i e i s t n i a ł a: p o e t a p i s a ł e l e g i e j e d y n i e d l a w p r a w y w w i e r s z u ł a c i ń s k i m“.

Nawiasem mówiąc, istnieją w literaturze rosyjskiej dwie rozprawy krytyczne o Kochanowskim, obie drukowane w Kijowie, jedna z roku 1897, druga z 1898. W pierwszej z nich, pióra p. M. Glocke, zatytułowanej *J. Kochanowski i jewo znaczenje w istorii polskoj obrazowannosti XVI w.*, autor, opierając się na pracach uczonych polskich, nie mówi nic nowego dla nas; w drugiej zaś pióra p. J. F. Kożin'a, zatytułowanej *Kriticzeskija etiudy o niekotorych liriczeskich proizwiedienijach Jana Kochanowskaho*, autor, również opierając się na rozprawach polskich, wysnuwa niektóre oryginalne wnioski, które jednak w niczem nie zmieniają ustalonych już poglądów w kwestyi Kochanowskiego. Nierównie lepszą, aniżeli część druga, analizująca *Treny*, a powtarzająca wywody uczonych polskich, jest pierwsza część pomienionej rozprawy, zastanawiająca się nad l i r y k ą e r o t y c z n ą poety, przyczem autor wypowiada swe niedowierzanie na punkcie miłości do Lidyi, twierdząc, że Kochanowski naśladuje Tibulla i Horacego, a Lidyi używa jako pretekstu do pisania erotyków.

moje, nad wyłamanemi przezemnie drzwiami, ani doznasz gróźb zmieszanych z prośbami. Nie zazielenią się w twych progach zawieszone wieńce, ani flet ochrypły zajęczy u podwojów... Desyć-em już przeniósł zdrad, dostateczniem poznał waszą niegodziwość. Czas mi pamiętać o zaszczytnym znaku wysłużonego żołnierza". W takim nastroju gotował się do drogi, a kiedy wreszcie przyszła chwila wyjazdu z Padwy, zdaje się, że wyjechał bez pożegnania z Lidyą [1]).

Było to w końcu października 1556 roku, zanim jeszcze zdążyły się rozpocząć wykłady w uniwersytecie. Zamiast jechać lądem, przez „Alpy krzywe", obrał drogę na Marsylię.

---

[1]) Ta romansowa historya o Lidyi, której za tło miała służyć Padwa, budzi poważne wątpliwości w prof. Tarnowskim, który ją w swojej książce o *Janie Kochanowskim* przedstawił odmiennie, a przedewszystkiem odniósł ten romaus z Lidyą do czasów paryskich poety. Stąd w recenzyi o książce Plenkiewicza znalazł się w tej kwestyi (na str. 409—410) następujący ustęp: „Ważniejsza jest kwestya Lidyi. Czy Kochanowski tyle razy z nią zrywał i tyle razy do niej powracał, czy od niej chciał go oderwać Nidecki, kiedy go wywiózł do Rzymu, czy dla niej pisane były śliczne pieśni: *Acz mnie twa droga* i *Próżna rada w tej mierze* — o to mniejsza. Jedno wydaje nam się niedowiedzionem, drugie wątpliwem; ale niepodobna dyskutować o wszystkiem. Istotną wagę ma tylko pytanie, czy ta miłość opanowała poetę we Włoszech, czy we Francyi? Jeżeli we Włoszech, to tem samem upada przypuszczenie p. Löwenfelda i przyłączenie do Elegij paryskich tych, które się odnoszą do Lidyi. Wiemy, że w tej sprawie p. Plenkiewicz nie jest sam; stoi za nim, czy przed nim, p. Windakiewicz. Wiemy i wierzymy, że pobyt we Włoszech trwał dłużej, niż pobyt w Paryżu. P. Plenkiewicz przytacza zaś fakt, bardzo w tej mierze znaczący, Kochanowski był w Polsce w lipcu roku 1556, skoro podpisywał jakiś akt w Radomiu. Czy byłby na to spieszył z dalekiej Francyi i zaraz znowu do Francyi wracał? Padwa była bliższa; zatem skłonni jesteśmy uwierzyć, że do Paryża pojechał dopiero po połowie roku 1556. Ale to skracałoby tylko jego pobyt we Francyi, nie znaczyłoby, że Lidya była we Włoszech. Nie będziemy się upierać, ani sobie życia nie odbierzemy z rozpaczy, jeżeli się pokaże, żeśmy się (w dziele z roku 1888 o *Janie Kochanowskim)* pomylili, jak inni, i że romans z Lidyą odbywał się we Włoszech. Ale te argumenta, które dotąd przywo-

W tym celu, w Livorno lub Genui, wsiadł na okręt, i mając przy sobie, obok innych książek, także i poemat Vidy *Scacchia ludus*[1]), ażeby się nie nudzić zbytnio, gdy okręt będzie

---

dzone były na dowód, do zupełnego przekonania jeszcze nie wystarczają" (strona 410)

Nadmienić wypada, że prof. Nehringa przekonały argumenty prof. Plenkiewicza, bo w swej pracy o *Janie Kochanowskim* (z roku 1900) zaliczył elegie do Lidyi, a więc i romans z nią, do padewskiego okresu w życiu poety (strony 13, 22).

[1]) Według twierdzenia Plenkiewicza w czasie przeprawy morzem z Włoch do Francyi powstały pierwsze rzuty *Szachów*, na co nie godzi się Brückner *(Op. cit.* 646). Jego zdaniem, nie można zarodku tego poematu odnosić do podróży morskiej, bo równałoby się to dosłownemu pojmowaniu tego, „co poeta obrazowo wyraził". Prof. Nehring wszakże, w swej pracy o *Janie Kochanowskim* (Petersburg, 1900) podziela opinię Plenkiewicza, przyjmując fakt, że Kochanowski, jak sam powiada, w czasie podróży morzem układał swój utwór wedle łacińskiego poematu humanisty Widy. („Widę przejmował"), więc prawdopodobnie roku 1556, kiedy z Włoch płynął do Francyi, (strona 67).

Nawiasem mówiąc, prof. Małecki (przed Witkowskim) bardzo silnie zaznacza różnicę między utworami Vidy a Kochanowskiego, przyczem odnosi *Szachy* do epoki padewskiej. Małecki kładzie nacisk na okoliczność, że Vida napisał swój poemat, gdy był na studyach w Padwie, mając lat 20. „W początkowej swojej części (dopóki chodzi o wykład prawideł gry) *Szachy* Kochanowskiego są parafrazą poematu Vidy. W dalszym wątku jednak autor polski porzuca swój oryginał, zastępując go własną inwencyą. Choć rzecz sama, od tego miejsca począwszy, jest więc zupełną własnością Kochanowskiego, to któżby jednak w jej przeprowadzeniu całem nie widział oczywistego wpływu Aryosta? U tego to tylko mistrza w tym rodzaju poezyi mógł się nasz młody poeta tej elegancyi w traktowaniu przedmiotu i tej lekkiej potoczystości w dykcyi nauczyć". *Jana Kochanowskiego młodość*, str. 24. Br. Chlebowski, który w swej pracy o Janie Kochanowskim poświęca *Szachom* cały osobny rozdział (jeden z najlepszych w książce), również uważa, że wdzięk, którym się ten poemat odznacza, niewątpliwie ma źródło swe w poezyi włoskiej, mianowicie noweli włoskiej.

Z powodu kwestyi *Szachów* w książce Plenkiewicza pisze Antoni Mazanowski w swej recenzyi, co następuje: „Czas pisania

płynął z rozpiętemi żaglami, puścił się na pełne morze, wstępując w nowy — ostatni tym razem — okres swych humanistycznych lat nauki i wędrówki. Jechał nie sam, lecz w towarzystwie jednego ze swych kolegów padewskich, nieja-

Szachów nie jest oznaczony, a choć bystre dostrzeżenie w dedykacyi porównania młodego Tarnowskiego do nowego miesiąca istotnie odsyła wydanie tego wiersza po za rok 1561, to jednak niekoniecznie wyznacza mu ono rok 1562/3, bo w roku 1564 i 1565 aż do roku 1566 mógł jeszcze poeta to samo mówić. Wszak młody Tarnowski zmarł w roku 1567 i nikt zapewne na pięć lat przed śmiercią jego nie wiedział, że w tym roku umrze. Kwestya tedy wydania *Szachów* pozostaje nierozstrzygnięta, skoro p. Plenkiewicz nie obalił zdania prof. Tarnowskiego, że wyszły w roku 1567, ani p. Witkowskiego, że pierwsze wydanie *Szachów* wyszło w Krakowie u Wierzbięty w roku 1566. Autor snać tej ostatniej rozprawy nawet nie przeglądał, ani *Szachów* ze *Sacchia ludus* nie porównywał, skoro mówi, że cały przebieg gry w poemacie Kochanowskiego jest najzupełniej zgodny we wszystkich szczegółach z opisem przez Vidę skreślonym".

Prof. Teodor Wierzbowski w *Pamiętniku literackim*, tom III, z roku 1904, w „notatce" pod tyt. *Ze studyów nad Kochanowskim* występuje z kunsztownie skonstruowaną hypotezą, że w poemacie Kochanowskiego *Szachy* królewna Anna, to Anna Jagiellonka, Fiedor — carewicz moskiewski, Borzuj — Magnus, książę ostrogski, a Tarses — to ów król wahający się i trzymający w rezerwie pretendentów do ręki królewny, słowem Zygmunt August, król kunktator, Tarsesem przezwany przez poetę, od łacińskiego słowa *tardus*, nieskwapliwy, nierychły. „Pojmując w ten sposób genezę poematu i stosunek jego do współczesnych wypadków, wnioskować muszę (pisze Wierzbowski), że *Szachy* napisane zostały w roku 1562. Jadąc w roku 1556 z Włoch do Francyi, Kochanowski tłómaczył na polskie poemat Vidy, ale dopiero roku 1562 powziął myśl przerobienia poematu, w sposób oryginalny, zgodnie z ukrytą tendencyą". Tem się, zdaniem Wierzbowskiego, tłómaczą ustępy w poemacie, dosłownie tłómaczone z Vidy, i ustępy, napisane oryginalnie i samodzielnie. Czas pierwotnej edycyi, wobec braku roku wydania na pierwszym druku, odnosi Wierzbowski najwcześniej do roku 1563, najpóźniej do roku 1566.

Twierdzenie to zbija prof. Brückner (*Pamiętnik literacki*, t. III, str. 277, *Ze studyów nad Kochanowskim)* dowodząc, że w roku 1561

kiego Karola, dobrze znającego Francyę i Paryż, i z nim, wylądowawszy w Marsylii, przebył wzdłuż całą Francyę, zdążając „tam, gdzie błękitna Sekwana bystremi nurty gród wielki przerzyna“ [1]).

V.

Wnosząc z elegii do owego tajemniczego Karola, który poecie ceceronował po Paryżu, wrażenie, jakie na nim uczyniła ówczesna stolica Francyi, wypadło nader korzystnie.

---

do 1562 młody (nie stary) Iwan liczył lat 31, miał wtedy 4-letniego syna, któremu Anna, nie matką, ale babką być mogła. Dalej nie wierzy Brückner „w istnienie tego wiersza przed rokiem 1560“, a prócz tego odrzuca legendę, osnutą na złem zrozumieniu słów poety, że pisał, czy zaczął pisać *Szachy* na pokładzie okrętowym. „Ja wiem z lepszego źródła (pisze Brückner), że słabość morska w ostatniej chwili przeszkodziła, a inni domyślili się jeszcze czegoś więcej“.

St. Witkowski przypuszcza, że jeżeli Kochanowski nie czytał *Szachów* Vidy jeszcze w Krakowie (gdzie pisma Vidy drukowano już w roku 1534), to z pewnością musiał je czytać w Padwie, wnet po swojem tamże przybyciu i one to natchnęły go myślą napisania w ojczystym języku poematu o szachach. „Jakkolwiek więc dla powstania *Szachów* można oznaczyć na pewno tylko jako *terminus a quo* rok 1552 (początek studyów w Padwie), zaś jako *terminus in quem* rok 1566 (pierwsze wydanie *Szachów* u Wierzbięty) to jednak wiele powodów zdaje się przemawiać za powstaniem tego poematu przed rokiem 1557 (powrót do kraju). Kto wie nawet, czy Kochanowski nie znał osobiście poety kremońskiego (sławionego już w *Orlandzie* Ariosta). Vida został biskupem Alby w roku 1532. W roku 1551 opuścił Albę i usunął się do swego rodzinnego miasta Kremony, gdzie go widzimy jeszcze w roku 1563. Mógł więc Kochanowski mieć sposobność poznania osobiście autora *Szachów* i *Chrystyady*, bawiącego za czasów jego studyów padewskich w bliskiej Kremonie“.

[1]) Nie brak takich (Przyborowski), co w tym towarzyszu podróży poety widzą słynnego humanistę, rywala Robortella, Karola Sygoniusza. Uzasadniając tę hypotezę, przytaczają fakt, że Karol Sygoniusz był serdecznym przyjacielem Andrzeja Petrycego Nide-

Szczególniej musiało mu się podobać wesołe życie studenckie w *Quartier Latin*, w którem znajdowała się słynna Sorbona i inne zakłady naukowe, a w tej liczbie i *Collège des trois langues* (dzisiejsze *Collège de France*). Odrębny charakter tej dzielnicy, absolutnie różniący się od charakteru innych dzielnic Paryża, ujmował każdego przybysza, jeśli ten przybysz był młody i spragniony nietylko wiedzy, lecz i rozrywek. Pod tym względem *Quartier Latin* górowało nad resztą stolicy, choć i tam, zarówno na wyspie, w tak zwanej *cité*, jak i na prawym brzegu Sekwany, w okolicach wspaniałego Louvre'u, najwięcej myślano o zabawie. Widocznie, że w Paryżu nigdy nie było inaczej. W roku 1556, gdy tu przyjechał Kochanowski [1]), „dwór Henryka II, utrzymując świetne tradycye dworu Franciszka I, oddany był jedynie ucztom, tańcom, maskaradom, karuzelom, kawalkadom, łowem, turniejom, których słońcem była sławna, niestarzejącej się piękności Dyana de Poitiers, która, pomimo 55-go roku życia, umiała stale w swych sidłach utrzymać 36-letniego Henryka II i zepchnąć na podrzędne stanowisko prawowitą jego małżonkę".

---

ckiego, z którym razem pracował nad wydaniem Cycerona. Nie godzi się na to Windakiewicz, który w owym Karolu widzi jakiegoś Francuza a przeciwko Sygoniuszowi ma argumenty z dzieła Krebsa: *Carl Sigonius*, Frankfurt, 1840. W elegii VIII, księgi III, pisze Kochanowski, zwracając się do owego Karola: „Lecz, gdybym nawet za ryfejskie oddalił się góry, sercem zawsze z tobą będę, Karolu! bo twe wielkie przywiązanie i twą przychylność dobrze poznałam wówczas, gdy jako podróżnik w obcych błąkałem się krajach. Pod twoim kierunkiem zwiedziłem Akwitany i belgijskie niwy, i Marsylię nad samym brzegiem morza leżącą, i domy Celtów"

[1]) Broniąc swego założenia (wbrew twierdzeniu R. Löwenfelda), że elegie do Lidyi łączą się z okresem padewskim w życiu poety, St. Windakiewicz zaznacza mimochodem (w przypisku na stronie 40), że „niema najmniejszego dowodu, żeby Kochanowski roku 1556 lub 1557 we Francyi się znajdował, a kilka jest dowodów, że rok 1559 tamże przebywał" *Pobyt Kochanowskiego za granicą*.

Odmienna atmosfera panowała przy ulicy Fouar, w poważnych murach Sorbony, pretendującej do zaszczytnego miana świątyni nauki, a dumnej z tego, że między uczniami jej było siedmiu papieży i wielu najpierwszych dostojników Kościoła, że tutaj uczyli się tacy ludzie, jak Dante Alighieri, Roger Bacon, Brunetto Latini, Erazm z Rotterdamu i wielu innych. Ale ta miniona chwała nie wyszła na dobre Sorbonie, albowiem wbiła ją w pychę, za którą w chwili właśnie, gdy tu po światło przyjechał przyszły autor *Trenów*, pokutowała ciężko. Zasklepiona w ciasnym konserwatyzmie, odrzucająca wszelką myśl naukowej reformy, zniewoliła Franciszka I, że namówiony przez słynnego humanistę francuskiego Budé'go, założył w roku 1530 świeckie *Collège royale*, inaczej zwane *Collège des trois langues*, które, wyjęte z pod władzy uniwersytetu, było jego humanistyczno-liberalnem uzupełnieniem, a posiadało nietylko katedry hebrajszczyzny, greczyzny i łaciny, ale i matematyki, filozofii i medycyny. Odtąd zaczęło się współzawodnictwo między starą Sorboną a młodem kolegium królewskiem, współzawodnictwo, które się tak dalece obróciło na niekorzyść pierwszej, że kiedy młodemu cudzoziemcowi, jak Kochanowski, żądnemu prawdziwej nauki, wyzwolonej ze scholastyczno-klerykalnych powijaków, przyszło wybierać pomiędzy temi dwoma zakładami, to przekonał się niebawem, że tylko w *Collège royale* nauka jest traktowana naukowo i postępowo, w Sorbonie zaś... Co myślał o Sorbonie, do jakiego stopnia lekceważył jej autorytet, o tem poucza jego *Satyr*, w którym między innemi znajduje się taki dwuwiersz:

Niech ma zapłatę godność między wami,
Ręczę wam, że zrównacie z ich tam Sorbonami.

„To wyrażenie ostatnie, tak pełne lekceważenia, najwymowniej wskazuje, jak się zapatrywał na tę uczelnię, żyjącą minioną już sławą. Zarówno zacofanie pod względem humanistycznym, jak i duch jej, pełen nietolerancyi, krępujący

wszelką swobodę umysłową, musiały w nim budzić odrazę. Kolegium królewskie więcej odpowiadało jego nawyknieniom, wyniesionym z wszechnicy padewskiej. Przyznać też trzeba, że oprócz oryentalisty Postel'a, zmarłego jeszcze w roku 1544 i hellenisty Dané'go, który na dwór królewski wstąpił, skład profesorów był prawie ten sam, jak w chwili założenia kolegium. Turnèbe wykładami języka greckiego ściągał młodzież ze wszystkich krajów Europy; Lambin objaśniał ody Horacego, komedye Plauta i pisma Cycerona. Poeta, jeżeli przyszłe swe studya teologiczne czy prawne brał na seryo, to je zapewne na czas późniejszy odkładał; obecnie zaś mogło go tylko pociągać kolegium królewskie, w którem wykłady porównywał z wykładami mistrzów padewskich" [1]).

Ale więcej, niż prelekcye w *Collège Royale*, więcej, niż uczone prace humanistów francuskich, jak dzieła Budé'go, Doleta i słynnego Skaligera, interesowała Kochanowskiego — w którym już poeta brał górę nad humanistą — współczesna poezya francuska, święcąca swoje odrodzenie. Na czem zasadzało się ono? Przedewszystkiem był to zwrot do klasycyzmu, do źródeł greckich i rzymskich. Na miejsce rond, ballad, piosnek i „wszystkich przestarzałych poezyi francuskich", zaczęto lutnię, za przykładem Du Bellaya,

---

[1]) Zdaniem prof. Małeckiego, Kochanowski, wybierając się do Paryża, „nie dla nauk tam jechał, a zwłaszcza nie dla uniwersytetu", albowiem „byłoby to zaprawdę rzeczą dziwną, gdyby po tem wszystkiem, co przeszedł, on, młody człowiek, lat sobie już liczący wtedy conajmniej 25, miał był podjąć ową podróż do Francyi, jako presumptywny student szkoły, w którejby nie bez pożytku dla niej mógł zająć miejsce i profesora. Tak być w żaden sposób nie mogło. Mógł chcieć kraj zwiedzić, stolicę jego poznać, języka się nauczyć, wreszcie rozerwać się po kilkoletniej mozolnej pracy". *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 21. Odmiennej opinii jest w tej kwestyi St. Windakiewicz, którego zdaniem tylko „szkoły paryskie" mogły być celem podróży Kochanowskiego do Francyi. *Pobyt Kochanowskiego za granicą*, strona 52.

„dostrajać do dźwięków liry greckiej i rzymskiej", pisząc ody w stylu Horacego, hymny w rodzaju pindarycznym, elegie na wzór Owidiusza i Tibulla, oraz sonety na wzór Petrarki. Nadto wzięto się do tłómaczenia tragedyi Sofoklesa i Eurypidesa, poetą zaś, który w tym grecko-rzymskim kierunku poszedł najdalej, a raczej najbardziej zbliżył się do starożytnych wzorów, i który siłą swego talentu dokonał istotnego przewrotu w literaturze francuskiej, był Piotr Ronsard, przezwany zaszczytnie *Prince de l'ode*, autor *Francyady* i niezliczonej ilości ód, hymnów, elegii, sonetów etc. Poeta ten, Węgier z pochodzenia, uprawiał wszelkie rodzaje poezyi, prócz dramatu, a szczególniej był skorym do pisania erotyków, *Les Amours*, choć mówią, że jego miłości więcej były literackie, niż prawdziwie namiętne, i że w nich większą rolę grała wyobraźnia, niż serce, a nawet zmysły. „Napisanie sonetu, pieśni, madrygału, nic go nie kosztowało. Gdy mu zabrakło myśli, sztukował Owidyuszem, Wergilim, Bembusem, a przedewszystkiem Petrarką; gdy nie dopisywało uczucie, nadstawiał grą słów lub jakimś zgrabnym konceptem". Kochanek, t. j. dam, do których pisywał wiersze, miał mnóstwo, ze swoją *Jeanne impitoyable* na czele. Niemniej jednak, aniżeli na wdzięki niewieście, był wrażliwy na zaszczyty, i dlatego można powiedzieć o nim, iż był równie próżny, jak kochliwy. Jego panegiryki i eklogi na cześć królewskiej rodziny Walezyuszów, których przedstawiał pod czułemi postaciami sentymentalnych pasterzy i pasterek, zarówno jak i jego wiersze na cześć Maryi Stuart i Elżbiety angielskiej, świadczyły, że choć w młodości podobno zraził się do życia dworskiego, w którem, jak mówił, bezpieczniej „więcej słyszeć, niż widzieć" (a on tymczasem był głuchy jak pień), to jednak w wieku dojrzałym, kiedy zasłynął, jako książę poetów, bardzo sobie cenił stosunki z koronowanemi głowami. „Na cześć jego pisali łacińskie wiersze: Adryan Tournèbe, Belleau, d'Aurat i Joachim du Bellay. Nawet Torquato Tasso, nie mówiąc już

o wielu sonetystach włoskich, składa mu hołdy w Paryżu [1]). Nie dość na tem: wszyscy członkowie domu Walezyuszów, poczynając od Henryka II, obsypują go monarszemi względami i nadają bogate opactwa, nie narzucając żadnych obo-

[1]) W swoim artykule o Kochanowskim, drukowanym w roku 1878 w *Ateneum*, Plenkiewicz, wbrew Löwenfeldowi, nie wierzył we wpływ Ronsarda, sądził natomiast, że na zmianę kierunku twórczości poety daleko więcej innych razem wziętych i ogólniejszego znaczenia przyczyn wpływało „Naprzód we Włoszech pod tchnieniem renesansu rozwinęła się już bogata narodowa literatura. W czasie swego pobytu w Padwie mógł się był Kochanowski przekonać, że sława Dantego, Petrarki, Boccaccia, Aryosta, Machiavela nic na tem nie ucierpiała, choć owi mężowie dzieła swe w ojczystym pisali języku. Za Alpami znowu, gdziekolwiek religijna reforma swoim wpływem dosięgła, wszędzie używała krajowego języka do przekładu Pisma świętego i służby bożej, wszędzie wpływała na jego udoskonalenie. Była więc powszechna dążność do jego uprawy i podniesienia go na stanowisko książkowego języka. Nadto, trudno przypuścić, by Kochanowski, wyjeżdżając z kraju, nie wiedział nic o działalności Marcina Bielskiego, który już w roku 1545 wydał *Żywoty filozofów*, a w roku 1550 *Kronikę świata*, lub o *Żywocie Józefa* Mikołaja Reja, ogłoszonym w roku 1545, oraz o zasłudze Jana Seklucyana w przełożeniu Pisma świętego (1551—1552). Prace te mogły go już wtedy przekonać o możliwości użycia narodowego języka w poezyi. Jeżeli jednak koniecznie idzie o wpływ literatury francuskiej na kierunek naszego poety, to wpływu tego raczej w teoryi Du Bellay'a, niż w utworach Ronsarda, szukać należy". Tutaj Plenkiewicz wymienia dzieło Du Bellay'a *L' Illustration de la langue française*. „W książce tej — powiada Nehring — bardzo czytanej podówczas, Bellay powstaje przeciwko tym, którzy zaniedbują język ojczysty i piszą po łacinie, i przeciwko tym, którzy, nie znając dostatecznie literatury starożytnej, piszą wedle smaku średniowiecznego. Książka ta była niejako manifestem tych, którzy pragnęli zaszczepić kierunek klasyczny na pniu ojczystego języka". W liczbie poetów francuskich, którzy mogli wpływać na Kochanowskiego, wymienia profesor Nehring jeszcze i Klemensa Marot, liryka i tłómacza psalmów. „Studya klasyczne, Petrarka i dążenia plejady Ronsarda, to były — zdaniem Nehringa — szkoły Kochanowskiego: hasłem zaś dla niego stały się sztuka klasyczna i język ojczysty". Zdaniem Faleńskiego (bardzo zasłużonego w literaturze

wiązków, nie krępując niczem jego swobody. Poetyczna Małgorzata Sabaudzka i również układająca rymy Marya Stuart uznają w nim swego mistrza i brata w Apolinie; Ka-

o Kochanowskim) o wpływie Ronsarda na Kochanowskiego mowy być nie może. „Nic nadto niedorzeczniejszego. Kto wie, jak dziwnie pedantycznym Ronsard był kuglarzem, ten wprzódy zwątpiłby musiał o niezmiernie zdrowym naszego Jana rozsądku, niżby jakiekolwiek pomiędzy tymi dwoma upatrzył zbliżenie. Owszem, wiadomo jest przecie, że Ronsard, całkiem przeciwnie, sztukę u siebie swojską wszelkiemi sposoby ku przestarzałemu naśladownictwu źle zrozumianej starożytności cofał i zwietrzałym Olimpem zanieczyszczał; i bodaj, czy nie on to właśnie jest praojcem tego fałszywego klasycyzmu, z którym w następstwie odrodzenie romantyczne miało tyle kłopotu. Więc u takiego, pytam, cóż podobnie trzeźwy umysł, jak był Kochanowskiego, mógł do skorzystania znaleźć". Że jednak Ronsard imponował Kochanowskiemu, dowodzi elegia do Karola, gdzie Ronsard tak wysoko jest podniesiony. Mimo to Małeckiemu wpływ Ronsarda na Kochanowskiego, podobnie jak i Faleńskiemu, wydaje się być... żaden! „Jak styczności z żywiołami niemieckiemi nie mogłem się w niczem u Kochanowskiego dopatrzeć, tak też i owe mniemane wpływy Ronsarda na niego zdają mi się być przywidzeniem. Wpływ i kierunek stanowczy nadawała mu tylko starożytna i włoska literatura w tej epoce jego młodzieńczej, którą zamknął powrotem z Paryża do ojczyzny w roku 1557" *Jana Kochanowskiego młodość*, str. 29. Przeciwnie prof. Tarnowski: dla niego wpływ Ronsarda na Kochanowskiego, o ile nie nosi śladów naśladownictwa, o tyle nie da się zaprzeczyć, jeżeli chodzi o przykład. Jeżeli Kochanowski zaczął pisać po polsku, to, zdaniem Tarnowskiego, sprawił to głównie przykład Ronsarda. „Kto nie chce przyznać, że Ronsard wywarł wpływ na Kochanowskiego, ten przyznaje tem samem, że poezya jego miała związek tylko z poezyą starożytną lub z nowszą łacińską, a nie z żywemi powstającemi poezyami europejskich narodów; bo najsilniejszym łącznikiem pomiędzy temi a Kochanowskim musiał być Ronsard, i nikt inny być nim nie mógł". Dlatego też, zdaniem Tarnowskiego, słuszność jest niewątpliwie przy tych, co jak Wiszniewski i Löwenfeld wpływ ten widzą i przyznają, a nie przy tych, co jak Przyborowski, wpływ ten wykluczają. *Jan Kochanowski*, strona 135.

Chmielowski w swej recenzyi dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim (*Ateneum*, 1888, IV, 359) również oświadcza się przeciwko

rol IX pisuje do niego wiersze, a Elżbieta angielska, wdzięczna za nucone na jej cześć hymny, zaszczyca go swemi listami i przesyła bogate podarki".

Cóż dziwnego tedy, że i Kochanowski powiększył ten poczet chwalców Ronsardowej Muzy, że i on uważał się za szczęśliwego, gdy mógł zobaczyć tego nowożytnego Pindara, a nawet zbliżyć się do niego, co mu, jak przypuszcza Plenkiewicz, miał ułatwić młody Jan Baptysta Tęczyński [1]), syn Stanisława, wojewody krakowskiego, przebywający na

---

jakiemukolwiek wpływowi Ronsarda, a nawet ma za złe Tarnowskiemu, iż tej kwestyi aż 25 stron poświęcił w swojej książce, „a więc temu, co z przedmiotem dzieła w ścisłym związku nie jest". Zdaniem Chmielowskiego, jak i wielu innych zresztą, nie Ronsard, ale Włosi, a głównie Petrarka, dokonali tego przełomu w Kochanowskim, że zaczął tworzyć w ojczystym języku. Od nich nauczył się poeta, „jak formy starożytne przenosić do mowy i literatury ojczystej, boć poezya tamtych była świetniejsza i bogatsza od ówczesnej francuskiej, bo tam o wiele wcześniej i lepiej zrobiono to, co zrobił później Ronsard".

Tegoż zdania jest i Chlebowski w swej recenzyi książki Tarnowskiego, drukowanej w *Życiu* z roku 1888, (nr 47), gdzie pisze: „Podczas gdy usilne starania całego szeregu zwolenników wpływu Ronsarda nie wykryły jednego wiersza, jednej myśli, obrazu, zwrotu, któryby stwierdził oddziaływanie francuskiego poety na czarnoleskiego śpiewaka, istnieją w jego poezyach, zarówno w formie, jak i treści, układzie i stylu, liczne bardzo odbicia wpływu włoskich utworów, często nawet bezpośrednie pożyczki, niemal przekłady z Aryosta. O wpływach włoskich wiedziano u nas od dawna. Maciejowski już zaznaczył związek niektórych pieśni Kochanowskiego z poezyami Petrarki; Spasowicz wspomina o przyswojeniu poezyi polskiej form tercyny i sonetu, i oddziaływaniu liryków włoskich, twierdząc, że z Aryostem nie mógł się spokrewnić poeta polski. Tymczasem okazało się, że właśnie Aryost najsilniejszy wpływ wywierał na mistrza poezyi polskiej, wpływ, który spotykamy zarówno w *Pieśniach*, jak w *Sobótce* i *Trenach*, w postaci bezpośrednich pożyczek, a w *Szachach* odbił się on zarówno w układzie i stylu poematu, jak i w żartobliwym, sceptycznym nieco tonie opowieści".

[1]) To przypuszczenie Plenkiewicza o poznaniu się Kochanowskiego z Ronsardem za pośrednictwem młodego Tęczyńskiego

dworze francuskim. Jakkolwiek to się odbyło, jedno jest pewnem, że w elegii VIII, księgi III, poeta, wspominając o swym pobycie w Paryżu, z dumą rozpisał się o tem, że *Ronsardum vidi*. „Tu (powiada) ujrzałem owego Ronsarda, na lutni ojczystej wygrywającego pienia, i nie mniej byłem zdumiony, jak gdybym słyszał Amfiona, na którego śpiew kładły się mury tebańskie, lub Orfeusza i Linusa, z Feba zrodzonego: zdało mi się, iż rzeki zachwycone wstrzymały swój bieg, skały zaś, na głos niezwykły, puściły się w pląsy. On to chwałę bogów i miłego pokoju pożytki opiewał wówczas, kiedy Mars na powietrznych koniach unosił się w obłoki". To zetknięcie się z Ronsardem, który wtedy stał na szczycie chwały, a który wygrywał swe pienia „na ojczystej lutni", nie pozostało bez wpływu na poetę, a przedewszystkiem wpłynęło na zmianę jego kosmopolitycznego stanowiska, jakie dotychczas zajmował w swych utworach łacińskich i polskich. Studyując jego francuskie poezye, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jednak, chcąc być prawdziwym poetą swego narodu, należy uderzać w struny „ojczystej lutni": można nie zrywać z łaciną, ale nie należy jej dawać pierwszeństwa przed mową rodzinną, bo skoro Ronsard, posługując się językiem francuskim, dorównywał nieśmiertelnym wzorom starożytnej poezyi, to czemużby on nie miał z równą maëstrią posługiwać się językiem ojczystym. Wszak to samo, przed Ronsardem, czynił z takiem powodzeniem Petrarka, krórego łacińska *Afryka* utonęła w fali zapomnienia, a włoskie sonety i kancony były na ustach wszystkich! I Ronsard, gdyby był to samo, co pisał po francusku, pisał po łacinie, nie byłby tak powszechnie wielbiony! Pod tym względem godziło się iść w jego ślady. „Być wieszczem swego narodu, pozyskać uznanie zarówno uczonych, jak i możnych

wydaje się prof. Tarnowskiemu „możliwem niezawodnie, ale znowu na domyśle tylko opartem"

tego świata, zgromadzić koło siebie poetów tychże dążności, a obok tego w uznaniu zasług, położonych dla literatury ojczystej, pozyskać niezależne, dające swobodę stanowisko: oto, co mogło być szczytem marzeń dla młodego człowieka, czującego swą wartość i wyższe poetyckie zdolności".

W tej myśli, przejęty utworami Ronsarda, nie ustawał w pracy na niwie poezyi, a choć nie rozstał się ze swoją muzą łacińską, to jednak „młoda słowieńska muza" coraz bardziej nabierała znaczenia w jego oczach. Najlepszy dowód, że jeden ze swoich polskich wierszy, zatytułowany *O dobrodziejstwach Boga*[1]), a napisany trochę pod wpływem Ronsardowej *La prière à Dieu*, zdecydował się — na

[1]) W rękopisie Osmólskiego nosi ten wiersz tytuł łaciński: *Gratiarum actio pro victu*. Według mniemania prof. Brücknera, który rękopis ten odkrył w bibliotece petersburskiej, wszystkie zawarte w nim utwory Kochanowskiego, a w pierwszym rzędzie elegie łacińskie, odnieść należy do czasu przed rokiem 1562. Na tem założeniu opierają się wszystkie wnioski prof. Brücknera, zarówno w jego artykule o *Nowych przyczynkach do dzieł Jana Kochanowskiego (Ateneum*, 1891, II, str. 1—26), jak i w recenzyi dzieła Plenkiewicza *(Prace filologiczne*, 1898). Prof. Nehring ma jednak niejakie wątpliwości pod tym względem i w takich słowach daje im wyraz *(Kwartalnik historyczny*, 1892, strona 370): „Autor odnosi elegie łacińskie zawarte w rękopisie petersburskim do roku 1862, opierając się widocznie na zawartej w nim na karcie 70 instrukcyi o obowiązkach panów seniorów (ewangielickich) ze stanu rycerskiego roku 1562 dla seniora lubelskiego, Jana Osmólskiego (ewangielika), z tego powodu przypisuje własność manuskryptu Osmólskiemu i odnosi czas powstania rękopisu do roku 1562. Wniosek ten co do daty manuskryptu, w braku innych wskazówek, nie jest dostatecznie uzasadnionym, w rękopisie petersburskim znajdują się bowiem odpisy i znacznie późniejszych rzeczy, n. p. kontrakt Osmólskiego z pewnym kopaczem łąk z roku 1588, pisany na pierwszem miejscu, wprawdzie przez drugą rękę, ale ta druga ręka, która pisała dyaryusz sejmowy z roku 1556 zdaje się być współczesną ręki pierwszej. Sama instrukcya, nie wiadomo czy właśnie roku 1562 w manuskrypt była wpisana, nie mamy więc, przynajmniej wedle

próbę — posłać do Polski, ażeby się przekonać, jak też będzie przyjęty, czy się to religijne pienie spodoba ucześńszej szlachcie. Prawdopodobnie te były pobudki, jakiemi się powodował Kochanowski, kiedy swój wiersz posyłał do kraju, a jeśli nie był zupełnie pewny wrażenia, jakie wywrze, to wrażenie to, może nad wszelkie spodziewanie poety, wypadło na jego największą korzyść. Oto, co o niem pisze Jan Szczęsny Herburt z Dobromila, w przedmowie do *Herkulesa Słowieńskiego* Kacpra Miaskowskiego: „Gdy tedy o Polakach uczonych mówił (Zamoyski), wspominał, że był w młodości swei ná jednym zieżdżie w sandomierskiéj ziemi, gdżie przyjaćiele Janá Kochánowskiego, na ten czas w Paryżu ná náuce będącego, ukazali gościom tamecznym pieśń, ktorey jest początek: Czego chcesz po nas, Panie. Był téż tám Mikołai Rei, którego narod nász ma miéć w tey cénie, iako Grekowie Hezioda, Rzymianie Enniusza... Wziął tedy Rei tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onei przypatrzywszy się, zawołał támtych wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swych pracach i naukach, wielce dowcip i wymowę Kochanowskiego chwaląc, záwarł mowę swą temi wierszami:

> Temu w náuce dánk przed sobą dawam,
> I pieśń Bogini słowieńskiéi oddawam" [1]).

dotychczasowego opisu, także i co do dwu ksiąg łacińskich elegii Jana Kochanowskiego pewności, że roku 1562 w rękopis petersburski wpisane były. W każdym razie przypuścić można napewno, że redakcya ich jest rychlejszą, niż wydanie elegii J. Kochanowskiego w czterech księgach roku 1584"... Tegoż zdania jest Pleńkiewicz, czemu w przedmowie do swego dzieła o Janie Kochanowskim w zasadniczej polemice z prof. Brücknerem o rękopis Osmólskiego obszernie daje wyraz.

[1]) Prof. Brückner w *Archiv für slavische Philologie*, zakwestyonował to podanie (zaczerpnięte od Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana), dowodząc, że wiersz ten żadną miarą nie da się odnieść do epoki paryskiej, lecz że powstał w epoce przekładania *Psałterza*, któremu nastrojem i całym szeregiem podobnych wyra-

Tymczasem poeta, któremu w ojczyźnie Rey „dank przed sobą dawał", prowadził życie, nie zawsze licujące z pobożnym nastrojem swego wiersza. Wszedłszy w stosunki z młodzieżą akademicką, bywając na różnych zebraniach studenckich, w których, jak na podobnych padew-

żeń jest pokrewny. Za Brücknerem poszedł w roku 1888 Chmielowski w recenzyi książki St. Tarnowskiego o Kochanowskim. Plenkiewicz, choć znane mu były wywody Brücknera, nie dał się im zachwiać i w książce swej — podobnie jak Tarnowski — trzyma się relacyi Herburta. Dało to asumpt prof. Brücknerowi, że w swej recenzyi w *Pracach filologicznych* raz jeszcze wznowił daną kwestyę, w następujący sposób starając się osłabić kategoryczne twierdzenie Plenkiewicza:

Szczytna pieśń *Gratiarum actio pro victu* (Czego chcesz od nas, Panie) ma być napisana w Paryżu, a więc w czasie z roku 1556 na 1557 i przesłana do kraju, gdzie wedle znanej anegdoty Rey, pilnie ją obejrzawszy, zaimprowizował przemowę o własnej pracy literackiej (chociaż się z reguły do niej nie przyznawał) i zawarł wierszami, w których oddał młodemu rywalowi „pieśń Bogini Słowieńskiej". Piękną tę facecyę odrzuciłem jako zupełnie niewiarygodną (*Archiv für slavische Philologie*, VIII, str. 495); ujął się za nią p. Bobowski (*Polskie pieśni katolickie*, Rozprawy Akademii wydziału filologicznego, XIX, str. 21, nota) i p. Plenkiewicz (str. 216—221). Pomyliłem się coprawda w jednym szczególe: naznaczyłem pieśni powstanie zbyt późne, w czasie, gdy poeta nad psałterzem pracował, dla tonów Dawidowych, jakie z tej pieśni przebrzmiewają. Otóż rękopis Osmólskiego, mieszczący odpis tej pieśni na stronie 56 dowodzi tym samem, że powstała ona przed rokiem 1564, i rzeczywiście, już Grzegorz Paweł Aryanin w wierszu z roku 1564 naśladuje, zdaje się, niektóre jej zwroty (porównaj *Ateneum*, 1896, II, str. 13 i 14). Przyznając więc pieśni powstanie znacznie wcześniejsze, przeczę stanowczo wiarogodności owej anegdoty. Dlaczego? „W każdym razie, jeżeli co tej anegdocie cechę prawdy nadaje, to ów dwuwiersz Reja, który jest jakby żywcem z ust jego wyjęty" (strona 218). Dziwna rzecz: dla mnie właśnie ów dwuwiersz, odpowiedni stylowo Herburtom, Miaskowskim, Kochanowskim, niemożliwy zaś w ustach Reja, był zawsze dowodem nieautentyczności anegdoty! Proszę niech mi p. Plenkiewicz w całym Reju wykaże choćby jeden zwrot, przypominający „Boginię słowieńską" a chętnie ustąpię. Lecz dla samej „Bogini słowieńskiej" nie-

skich, uczestniczyły rozpustne syreny nadsekwańskie, nie gardził wesołemi pohulankami w dobranej kompanii, nawet takiemi, gdzie płoche córy Lutecyi, dowcipniejsze i zalotniejsze od „przyjaciółek" włoskich, dowodziły swem zachowaniem się, że są i bardziej zepsute od tamtych. Ko-

podobna, żeby to były wiersze Reja: wygłosił je ktoś inny, nie Sardanapal nagłowicki, który nigdy o swej „nauce" wiele nie mniemał, zawsze się „kamieniem" nazywał... Pieśń ową nazwaliśmy szczytną i przekonaliśmy niemal, że właśnie od niej rozeszła się sława poety po całym kraju. Kiedy ona napisana? Nie wiemy, może około roku 1560, bo pachnie nam ona nie Paryżem ani Ronsardem, lecz łanami sandomierskiemi i ziemią ojczystą. I anegdota, nieprawdziwa co do formy, trafia w sam rdzeń rzeczy: dopiero tą pieśnią „dowiódł poeta, że przed wszystkiemi jemu pienia swe muza słowiańska oddała" (strona 648)

Powyższe argumenty Brücknera, sformułowane w roku 1898, nie przekonały prof. Nehringa, ktory w roku 1900 w swym „zarysie biograficznym" o *Janie Kochanowskim* z całą stanowczością idzie za Plenkiewiczem, nie Brücknerem, pisząc bez żadnych zastrzeżeń na stronie 25 o pierwszych wierszach polskich Jana Kochanowskiego, że poeta „już roku 1557 przysłał z Francyi wspaniałą pieśń: Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary — prawdziwy hymn psalmowy". To samo twierdzenie, w równie kategorycznej formie, powtarza Nehring na stronie 55, analizując *Pieśni* Kochanowskiego. „Tym sposobem — słowa są Nehringa — Jan Kochanowski, podobnie, jak później Z. Krasiński, odrazu sięgnął do wyżyn poezyi, choć mogłoby się zdawać, że hymn ten jest owocem długiej pracy nad psałterzem i późniejszym od niego". Innego w kwestyi tej zdania był prof. Nehring w roku 1889, kiedy w *Kwartalniku historycznym* zdawał sprawę z dzieła prof. Tarnowskiego o Janie Kochanowskim, pisząc wówczas, co następuje: „Trudno mi się zgodzić na podanie od dawna ustalone i powtórzone przez prof. Tarnowskiego, że Kochanowski pieśń *Czego chcesz po nas* i t. d. napisał za pobytu we Francyi i stamtąd przysłał do Polski i t. d. Wiadomość ta, którą podał naprzód Herburt w zaleceniu *Herkulesa Słowieńskiego* K. Minkowskiego w roku 1612, nastręcza różne wątpliwości. Herburt sam nie słyszał powieści o odczytaniu owej pieśni „z czasów paryskich" na jakimś sejmiku w ziemi Sandomierskiej wobec Reja — od Zamoyskiego, słyszał tylko od innych, że Zamoyski na tym sejmiku miał być, i miał słyszeć po-

chanowski wszakże, nie gardząc biesiadami w swobodnem towarzystwie różnych paryskich Fryn i Aspazyi, wcale nie był skory do wplątania się w jaką nową awanturę romansową... Ta jego obojętność i nieczułość na wdzięki uróżowanych syren czyniła go interesującym w ich oczach, tak,

chwałę Reja; tymczasem Jan Zamoyski wtedy, kiedy Kochanowski był w Paryżu, odbywał studya za granicą (w Paryżu, w Strasburgu, w Padwie); trudno więc przypuścić, żeby będąc od małego chłopca *(puer)* za granicą, mógł jako 15-letni podrostek (rodził się r. 1541) być na sejmiku gdzieś w Sandomierskiej ziemi. Ale są wątpliwości więcej zasadnicze, to jest język wymienionej pieśni. Wszystko, co prof. Tarnowski mówi o zaletach tego języka, pokazuje, że Kochanowski pisząc tę pieśń, może po skończeniu psałterza, był mistrzem już skończonym" (strona 279). Idzie tu Nehring z Brücknerem...

Chmielowski w recenzyi dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim również godzi się z Brücknerem (nieuwzględnionym przez Tarnowskiego), że przyjmować opowieści o przysłaniu wiersza: „Czego chcesz od nas, Panie", z Paryża, bez krytyki już niepodobna, choć i Chmielowski liczy się z faktem, że skoro pieśń ta po raz pierwszy drukowaną była przy *Zuzannie*, należącej do najpierwszych druków Kochanowskiego, wnieśćby należało, że już wtedy poeta nasz tłómaczeniem psalmów się zajmował. Ostatni wniosek bardzo osłabia poprzednie przypuszczenie.

W świeżo wydanem studyum o *Pieśniach Kochanowskiego* prof. Stanisł. Dobrzycki „wcale nie chce twierdzić o hymnie *Czego chcesz od nas, Panie*, aby pieśń ta była napisana wtedy, kiedy poeta pracował nad *Psałterzem*, albo, że przekładanie psałterza zaczęło się już w tym okresie (t. j. przed rokiem 1564). Zdaniem Dobrzyckiego napisanie pieśni tej przypaść musi na lata 1557—1562. „Utwór mógł powstać i przed rokiem 1560, i po nim; wielkie zbliżenie do *Phaenomenów* kazałoby go umieścić bliżej niego, po tym roku. W każdym razie to jest pewne, że określenie tego wiersza przez prof. Tarnowskiego, jako wschodu słońca poezyi polskiej, nie straciło wartości. Czy utwór ten był pierwszym utworem polskim Kochanowskiego, czy nie był, pozostaje zawsze pierwszym naprawdę „pięknym". *Geneza pieśni Kochanowskiego* „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary", *Pamiętnik literacki*, tom I, str. 433.

W *Pamiętniku literackim*, tom III, z roku 1904, strony 88—93, prof. Teodor Wierzbowski, występuje w obronie opowieści Herburta, opierając się przedewszystkiem na „nieznanym Brücknerowi

iż reagując przeciw jego dziwnej odporności, jęły nań czynić zamachy. Do takich, co mu się narzucały same, należała niemłoda i nieświeża już Licena. Niestety, odprawa, jaka ją spotkała ze strony poety, wyrażona w jego ciętej odzie VII, mogła nietylko ją, ale i inne zniechęcić od putyfarowych nagabywań. „Gdy Wenus i zbiegły Amor z twego

fakcie", że pieśń „Czego chcesz od nas, Panie", znaną już była w druku przed rokiem 1564, gdyż wydrukowaną została na ostatniej stronicy poematu *Zuzanna*. Zdaniem prof. Wierzbowskiego pieśń Kochanowskiego dostała się z Francyi do Polski za pośrednictwem Hieronima Ossolińskiego, który w roku 1557 bawił w Paryżu, widział się z Kochanowskim, któremu wyświadczył niejedną przysługę, o czem wiemy z Elegii VII, księgi III. „Tak rzecz pojmując — słowa są Wierzbowskiego — nie mam podstawy do zaprzeczenia wiarogodności opowiadania Herburtowego. Jeżeli prof. Brücknerowi „pachnie ta pieśń nie Paryżem ani Ronsardem, lecz łanami sandomierskiemi i ziemią ojczystą", jest to zapewne wrażeniem nawskróś osobistem. Ja takich argumentów nie uznaję, choćby dlatego, że Mickiewicz i inni najpiękniejsze utwory poezyi narodowej napisali, mieszkając nie na ziemi rodzinnej, lecz na obczyźnie" *Ze studyów nad Kochanowskim*.

„Notatkę" tę prof. Wierzbowskiego nie pozostawił prof. Brückner bez odpowiedzi, lecz w tymże *Pamiętniku literackim*, w kwartał później, na stronie 277, stanął w obronie swego twierdzenia, wypowiedzianego w swych *Dziejach literatury polskiej*, a, w którem, zwalczając ową „bajeczkę dla grzecznych dzieci, ukleconą z Herburta", przypuszcza, że pieśń Kochanowskiego napisaną została „około roku 1560". *Ze studyów nad Kochanowskim*, str. 276—7.

Ignacy Chrzanowski w swej świeżo wydanej *Historyi literatury polskiej* (Warszawa, 1906) przyjmując opowieść Herburta, pisze o wierszu tym, jako o powstałym w Paryżu i stamtąd przysłanym do Polski. „We Francyi — czytamy na stronie 152 — silniej jeszcze (aniżeli we Włoszech) rozwinęło się w Kochanowskim poczucie obowiązku tworzenia w języku narodowym; i tutaj to, w Paryżu, powstała (jak wieść niesie) pierwsza natchniona pieśń polska, wzniosły hymn do Boga: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?" Jak jaskółka, zwiastująca wiosnę, przyleciała ta pieśń z Paryża do Polski, która dowiedziała się, że ma nakoniec natchnionego poetę. A tymczasem młody poeta wciąż jeszcze bawił we Francyi i uczył się".

obozu w inną się zwrócili stronę i starość złowrogiemi zmarszczkami twarz twoją szpeci, a niegodny Demochares swą ulubioną Licenę porzucił, dziś mnie sama przyzywasz, sama się o mnie dobijasz, po to zapewne, by gdy inny mięsem się przesycił, jam resztki kości ogryzał" [1]).

Ale niedługo wytrwał w tem stoickiem panowaniu nad sobą (jeżeli w niem trwał wogóle). Za mało unikał pokus, ażeby w końcu nie spotkać się z taką, której przezwyciężenie nie przechodziłoby jego siły charakteru. Jakoż, po niedługim przeciągu czasu, ledwo dał odprawę Licenie, natknął się na kobietę, która go zdołała opętać. Trafił na swoją. Niestety, i ta przyjaciółka nie była lepsza, ani mniej

[1]) Tak charakteryzuje tę pierwszą fazę uczuć J Kochanowskiego w Paryżu prof Plenkiewicz. Zdaniem jego „właśnie ta obojętność, z jaką się do wesołych cór Lutecyi odnosił, była dla nich podnietą do knucia zamachów na jego swobodę. Widocznie z początku poeta trzymał się ostro, skoro narzucającej mu się Licenie" i t. d. Zdaniem autora, Kochanowski stykając się z heterami paryskiemi, „doznawszy rozczarowania w stosunkach z Lidyą, nie myślał w tej sferze zawiązywać już nowych. Zanadto był pewnym siebie, zanadto wytrzeźwiał z szałów miłosnych, by nie odczuwał grożącego mu z tej strony niebezpieczeństwa". Czy tak było jednak w istocie, to jeszcze pytanie. W tejże samej Odzie VII, *Do Liki*, z której zakończenia prof. Plenkiewicz dobył argument na poparcie swojej tezy, znajduje się niezbity dowód, że Kochanowski i w Paryżu wcale nie wytrzeźwiał z szałów miłosnych, i że bynajmniej nie trzymał się ostro w stosunku do wesołych cór Lutecyi. Do tejże samej Liceny, którą gardził teraz, z początku płonął bardzo gorącym afektem. Oto, co sam w tej kwestyi mówi na początku pomienionej Ody VII: „Liko, dopóki ci szczęście sprzyjało, póki miłość wdzięcznie ci się uśmiechała, póki twarz twoja szła o lepszą z liliami i różami, dopóty i ów twój Demochares łatwy miał przystęp do ciebie i wszelkich zażywał rozkoszy; nie troszczyłaś się o mnie bynajmniej, iżby spojrzeć na leżącego przed twemi drzwiami i ogrzać u swego ciepłego łona, gdy mię srogie dreszcze nielitościwie trapiły". Zdaje się, że powyższy ustęp nie bardzo świadczy o owej „obojętności", z jaką się poeta miał odnosić z początku do Liceny i jej podobnych istot.

interesowna od Lidyi: równie zepsuta, była o wiele sprytniejsza, a nawet cyniczniejsza. Nie dziw! Wszak była Francuzką z moralnym pokostem Paryżanki. Dlatego i sposób, w jaki na siebie zwróciła uwagę poety, był bardziej wyrafinowany, niż wszystkie przebiegi Lidyi. Przebiegła Francuzka, widocznie mistrzyni w sztuce udawania, poznała odrazu, że na to, aby sobie podbić tego wytwornego cudzoziemca, należy czem innem podziałać na jego imaginacyę, aniżeli zwykłą wesołością i wyuzdaniem. Przeczuła, że na ten lep nie da się złapać; jakoż zaczęła go kokietować... smutkiem. Sposób okazał się odpowiednim, bo poeta, zaintrygowany ponurym wyrazem twarzy tej niezwykłej *beauté diabolique* (tak ją nazywa Plenkiewicz), ani się spostrzegł, jak połknął haczyk zręcznie zarzuconej wędki. Że tak było, świadczy jego oda IX, napisana wyraźnie pod wpływem ód pindarycznych, a będąca prośbą do bogini miłości. „Złota Afrodyto, córo wielkiego gromowładcy, ciebie, co umysły ludzkie koisz, błagam, byś serce me ciężkiemi troskami dręczyć przestała. Zlituj się raczej nad memi skargami i przybywaj wysłuchać prośby stroskanego, które niegdyś łaskawem zwykła byłaś przyjmować uchem... Przezacna Cyprydo, przybywaj i teraz, i uwolnij mnie od tych utrapień, a cokolwiek serce posiąść pragnie, niechaj posiędzie przy twojej pomocy". I znowu zaczął prowadzić podobny tryb życia, jak w Padwie, znowu powtórzyły się bachiczne biesiady, z tą różnicą, że poeta, o ile dawniej „bolejąc w sercu", nieraz, zrozpaczony i zgnębiony zmiennością kochanki, „żądał więzów na zbiegłego Amora", o tyle dziś, doświadczony, gdy mu ze strony dziewczyny „dolegała jaka cięższa przygoda", pocieszał się, że „jeśli cię kochanka unika, sama wkrótce poszukiwać cię będzie; jeśli gardzi twemi podarunkami, niedługo sama swoje ci przysyłać zacznie; a jeżeli cię nienawidzi, to mimowoli pokocha cię i rozkazy twoje wypełni". Poetyckiem odbiciem jednej z takich wesołych uczt koleżeńskich, na której królowała

jego *venusta Galla*, był namiętny epigram *Ad Gallam*, z którego widać jednak, że już poeta mniej był skłonnym do miłośnych porywów, niż dawniej. Wprzódy szalał bez opamiętania; teraz wymagał od kochanki, ażeby w nim podniecała zapał młodzieńczy, jeśli chce, żeby się dał porwać tej bachanalii. „Dopóki Bachus, Dyana i Amor skrzydlaty panują; dopóki ciebie, piękna Gallo [1]), oczy moje oglądają: dopóty z całych sił szał mój podniecaj, i nie wzbraniaj, smutna, kwiatami się wieńczyć, lub w struny arfy uderzać.

[1]) Lat temu kilkanaście wygłosiła w paryskiem Towarzystwie historyczno-literackiem Seweryna Duchińska odczyt o Kochanowskim w Paryżu, w tym odczycie zaś podała do wiadomości publicznej fakt, o którym dotychczas nie śniło się żadnemu z biografów Kochanowskiego, fakt, że tą „piękną Gallą", do której się odnoszą paryskie elegie poety, „miała być markiza d'Aubusson". Co prawda, p. Duchińska nazywa ją Lidyą, t. j. przypuszcza, że z Lidyą poeta romansował w Paryżu, nie w Padwie, ale historyjka jest bardzo ładna, wymyślona nie bez fantazyi, więc choć jej na seryo brać nie można, nie zaszkodzi zarejestrować ją na tem miejscu, choć w przypisku, czerpiąc jej streszczenie z dzieła Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim*.

„Miały tedy być dwie siostry, panny d'Aubusson, panny emancypowane, bogate, a przynajmniej zamożne, bardzo uczone, czytające i mówiące po grecku, humanistki zapalone, które z greckiej historyi, czy literatury, czy filozofii, nabrały takiego uwielbienia dla ateńskich czasów i obyczajów, że wzgardziły naszemi głupiemi przesądami a pozazdrościły Aspazyom stanowiska i swobody. Ideał swój miały też urzeczywistniać w praktyce, i bez skrupułu otwarcie z różnymi Periklesami lub Alcibiadesami czytywać Platona, a bynajmniej na tem nie poprzestawać, co my nazywamy platoniczną miłością. Nie koniec na tem: jedna z tych emancypowanych humanistek miała przez czas pewien być przyjaciółką Ronsarda, druga siostra, Lidya, naszego Kochanowskiego. Co by się za to dało, żeby wiedzieć, że to naprawdę prawda! Historya jest śliczna i bardzo powabnie ułożona. Naprzód ta egzystencya wyższych nad przesądy margrabianek, co za ciekawa ilustracya do epoki odrodzenia! ta mięszanina filozofii, kultury i swawoli, te panny z przewróconemi głowami, bawiące się w Aspazye; te sympozyony, jakie się w ich domu odbywać musiały, nieskończone w późną noc rozmowy ze

Wierz mi, jutro już nie ten sam dzień będzie, co dziś, a i ty będziesz całkiem inną, a nawet już wczoraj wydałaś mi się nie taką, jak dziś". Zdaje się atoli, że „smutna" Francuzka tak doskonale potrafiła podniecać animusz w trochę wystudzonym poecie, że dużo wody upłynęło w Sekwanie, zanim „przekonany dowodami chciwej kochanki", spostrzegł się, że dopóki miał pieniądze, był najwierutniej wyzyskiwany przez nią, a skoro wydał wszystko prawie, co miał, naraził się na to, że mu z całym cynizmem powiedziała bez ogródki: „Moje życie, jeżeli mnie chcesz posiąść, musisz płacić, a jeżeli nie masz czem, opuść moje progi". Mimo takie oświadczenie, opętany zmysłowym powabem pięknej hetery, nie miał sił, żeby z nią zerwać. Przeklinał chciwość niewieścią, przeklinał świat, który tak „ulega mamonie", przeklinał złoto, „przyczynę i początek wszystkiego złego", ale, opanowany przez namiętność, którą w nim rozbudziła ta „smętna" Paryżanka, dogadzał jej chciwości, a gdy mu nie wystarczało, zaciągał długi, byle tylko posiadać tę „piękną Gallę", byle tylko niedopuścić do tego, ażeby go porzuciła. I choć na każdym kroku zdradzała się ze swą in-

znakomitymi mężczyznami o filozofii greckiej, a potem do białego dnia czulsze rozmowy z wybranymi; wśród tego ten niedoświadczony, młody, oczarowany, północny poeta! A jeszcze Ronsard w dodatku! cóż prostszego, jak zażyłość i przyjaźń między tymi czułymi przyjaciółmi dwóch sióstr, co prostszego, jak że starszy i sławny wywarł potężny wpływ na młodszego i nieznanego? Ot mamy i stosunek z Ronsardem (jedną z ważnych zagadek w życiu Kochanowskiego), rozwiązany i wyjaśniony. Wszystko składa się tak doskonale jak w romansie: i wszystko też, aż do czasu, kiedy się znajdą dowody, musi być uważane za wymysł i romans. Na czem opiera się ta historya? na czem choćby tylko to odkrycie nazwiska d'Aubusson? pytanie ważne, na które nikt odpowiedzi nie daje. Między kochankami Ronsarda (prawda, że nie wszystkie znane są z rodzinnego nazwiska), nie wymieniają Francuzi żadnej panny d'Aubusson: a zajmowali się tym poetą tak uczeni i bystrzy, jak St. Beuve, który mu wiele pracy, więcej może, niż każdemu innemu poświęcił".

teresownością, on, zamiast ją obrzydzić sobie, pisał elegię do niej, a w tej elegii, złorzecząc wszystkim chciwym córom Ewy, życząc im, ażeby je spotkało wszystko najgorsze, choroby, starość, „jad partenopejski" etc., jej jednej życzy najlepiej. „Takiemi przekleństwami słusznie obarczam wszystkie chciwe kobiety; lecz ciebie, moje życie, niechaj ten los ominie! Tak, niechaj cię ominie, jeżeli w niczem mi nie zawinisz, a choćbyś i zawiniła, niechaj Amor łaskawym na cię będzie!"

W takiem położeniu, tembardziej opłakanem, że już *dura paupertas* poczęła zaglądać do studenckiej izdebki poety, zastał go Hieronim Ossoliński [1]), świeżo przybyły z kraju. Był to bogaty pan, któremu mniejszy lub większy datek, udzielony ziomkowi, nie robił żadnej różnicy. Jakoż, widząc, że Kochanowski jest przedewszystkiem w gwałtownej potrzebie pieniężnej, wspomógł go; widząc jednak, co leży na dnie jego materyalnych kłopotów, starał się go wyrwać z syrenich objęć powabnej Paryżanki. Niestety, nie osiągnął celu: poeta zabrnął tak głęboko, że go z tej kałuży „niepozbędnej miłości" wyciągnąć perswazyami, przemawianiem do rozsądku, było niepodobna. Stanowczo, choć w zasadzie zawsze był przeciwny filozofii głośnego mędrca z Samos, mógł w tej chwili, jak Horacy powiedzieć o sobie, że był „jednym z trzody Epikura". Nie znaczy to, ażeby nie był zdolny ocenić czyjejś „życzliwości i dobrodziejstw"; za dowód zaś, że tak nie było, może posłużyć piękna elegia łacińska, w której poeta — po niejakim czasie — wy-

[1]) St. Tarnowski, w recenzyi życiorysu Jana Kochanowskiego przez K. Bartoszewicza, nie wierzy, by tym Ossolińskim był właśnie Hieronim (*Przegląd Polski*, 1884, wrzesień). Również i Windakiewicz ma poważne wątpliwości, czy to był istotnie Hieronim Ossoliński, sławny mowca sejmowy. Co ważniejsza, że Windakiewicz cały ten epizod z Ossolińskim odnosi do epoki padewskiej, do romansu z Lidyą. Obacz *Pobyt Jana Kochanowskiego za granicą*, strona 41

raził swą wdzięczność Ossolińskiemu. „Ile ci, Ossoliński, winienem, za to wywdzięczyć się tobie, choćbym nawet pragnął najusilniej, nie jest w mojej mocy. Bo kiedy na mnie nagle podwójne zmówiło się nieszczęście, i twarde ubóstwo, i miłość niepozbędna, tyś pierwszy przybył na pomoc stroskanemu przyjacielowi i nie dopuścił, bym ciężki cierpiał niedostatek; nadtoś wszelakich dróg próbował, by mnie z obłędu mego i szaleństwa wyleczyć. Lecz wówczas taki żar do szpiku kości moje przejmował, jakim gore Etna lub gorąca woda apońska; i jak gdybym lotusu skosztował, albo ziół przykuwających do miejsca, anim myślał o powrocie do kraju". Okazuje się, że go Ossoliński namawiał, aby się zdecydował na wyjazd z Paryża, aby z nim razem wracał do domowych pieleszy; ale poeta nie dał się nakłonić: nie mógł się wyrwać z uroczych więzów.

Wyrwał się przecież. W styczniu 1557 roku umarła sędzina. Na wieść o jej zgonie, poeta, nie namyślając się długo, pospieszył do domu [1]): raz dlatego, żeby zapłakać na świeżej mogile matki, a powtóre, że go „dom nieszczę-

[1]) Tym sposobem przypadłoby na pobyt Kochanowskiego we Francyi zaledwie parę miesięcy, jeśli się zważy, że według Plenkiewicza poeta opuścił Padwę w końcu października 1556 roku, z Paryża zaś wyjechał już na samym początku roku 1557, na wieść o zgonie matki, zmarłej w styczniu. Kombinacya taka jest nie do przyjęcia. Przypuściwszy nawet, że pobyt we Francyi trwał krócej, niż w Niemczech lub we Włoszech, trudno pobyt ten mieścić między końcem roku 1556 a początkiem 1557. Inni biografowie poety, Windakiewicz i Tarnowski w pierwszym rzędzie, wyznaczają na pobyt ten we Francyi cały rok, a i to jeszcze wydaje się Plebańskiemu przeciągiem czasu zbyt krótkim. „Inna rzecz (pisze w recenzyi dzieła Tarnowskiego), czy po tej powtórnej do Włoch wycieczce, Kochanowski wyprawił się do Francyi, jak to p. Windakiewicz przypuszcza. Na podróż do Paryża w tym czasie możnaby się zgodzić chyba dlatego, by dociągnąć do owego *septenium*, które na pobyt Kochanowskiego za granicą nieznany biograf z roku 1612 przeznacza. Nie jest to przecie ani konieczne, ani możliwe. Niekonieczne,

śliwy, obojga rodziców pozbawiony, głośno wzywał do ojczystej ziemi, by, nieco zwlekając, jak drugi Ulisses, wraz ze starym psem, strat swych nie opłakiwał" [1]). Ten wzgląd rozstrzygnął o decyzyi poety [2]): postanowił nie zwlekać, a choć „i Loara i Rodan odczuły jego boleść, gdy przyszło galskie opuszczać kraje", to jednak przemógł się i pojechał.

---

gdyż poeta, odprowadziwszy do Włoch Kłoczowskiego, mógł do kraju powrócić; niemożliwe zaś, gdyż na pobyt we Francyi przez ciąg roku 1557 byłoby czasu za mało".

[1]) Zobacz Elegia VIII, księgi III.

[2]) W *Pobycie Kochanowskiego za granicą*, Windakiewicz zupełnie odmiennie opisuje jego życie w roku 1557, po śmierci matki. Zdaniem Windakiewicza, poeta w roku 1557 wrócił do kraju z Padwy, a przybywszy do domu, dowiedział się o śmierci matki, ale już w drugiej połowie tego roku (1557) wybrał się powtórnie, tym razem z Kłoczowskim, do Włoch, do Padwy, gdzie, nie zastawszy Robortella, który tym czasem przeniósł się do Bolonii, z przyjaciół zastał St. Fogelwedera, Mikołaja Gelazyna, Jędrzeja Patrycego, Łukasza Górnickiego, a może i Jędrzeja Dudycza. Z tego czasu ma pochodzić napisane przez Kochanowskiego epitafium na śmierć Erazma Kretkowskiego, zmarłego w Padwie 6. maja 1558 r. Tym sposobem do Paryża udałby się poeta dopiero w połowie roku 1558. Wyjechał zaś stamtąd do Polski „po 2. kwietnia a przed 26. lipca 1559 roku". W Paryżu poznał się Kochanowski, według Windakiewicza, z Janem Zamoyskim (przed jego wyjazdem do Padwy) i z Janem Tęczyńskim. Mniej więcej w połowie maja 1559 — jak przypuszcza Windakiewicz — wyjechał poeta z tym samym Karolem, z którym z Padwy przyjechał do Paryża, zupełnie spokojny ze stolicy, nie wiadomo, w jakim celu, ale zapewne z zamiarem powrotu do Paryża, kiedy gdzieś w drodze mniej więcej w okolicy Lyonu, doszły go wiadomości od rodziny, aby coprędzej wracał do domu. NB. W *Życiu dworskiem Kochanowskiego*, pisze Windakiewicz, że poeta „w czasie pobytu Nideckiego we Włoszech posyła do Padwy wiersze nagrobkowe dla zmarłego tamże kasztelana Erazma Kretkowskiego, a przypuszczalnie i list do nieznanego Karola", strona 5.





Rozdział trzeci.

Dworzanin (1557—1571).

Początkowe przykrości. I. Na dworach możnowładców. *Wanda.* Kłoczowski i pokusa nowej podróży do Włoch. Pierwszy drukowany utwór poety. Konszachty z Nideckim. W Piotrkowie. Łukasz Górnicki. W Sycynie. Czarnolas. Sprawa umieszczenia się w kancelaryi królewskiej. II. Wilno. Na dworze Padniewskiego. *Zgoda* i *Szachy.* Myszkowski. *Satyr.* W Warszawie. III. Kapituła poznańska. Dworzanin królewski. Stosunek i przyjaźń z Myszkowskim. Tryb życia. *Wróżki.* Znowu Wilno. Sejm w Piotrkowie. Dudycz i Regina Straszówna. Na Litwie. Probostwo zwoleńskie. Sejm lubelski. Warszawa i Piotrków. Jan Zamoyski. Małżeństwo Dudycza. *Carmen macaronicum.* Wilno i Radoszkowice. Orator. Unia lubelska. *Proporzec.* Babin. Rozstanie z Myszkowskim. W Warszawie. Wyjazd do Czarnolasu. IV. Hanna-Pazyfila. Sroga zima. Troski „nieuśpione". „Niepobożna niewola". Nagły zwrot. Brak złudzeń. Zaręczyny. W Czarnolesie. Konkury. Grom z jasnego nieba. Czarne chwile. *Psałterz.* Myszkowski i *Muza.*

Przybywszy do Sycyny, zastał Kochanowski rodzinę w kłopotach gospodarskich, naradzającą się w drażliwej kwestyi podziału majątkowego. Nadto przybyło mnóstwo spraw sądowych, czemu towarzyszył obowiązek zasiadania w sądach grodzkich, obowiązek, któremu i Jan, jako celniejszy ziemianin w powiecie, musiał się poddać chcąc nie chcąc. Wszystko to, wraz z obowiązkiem objeżdżania krewnych, przyjaciół i znajomych, ciotek, stryjów, szwagrów,

wpływowych sąsiadów i t. d., którym wypadało się przypomnieć po powrocie z zagranicy, drażniło go, a tem samem potęgowało ową „boleść", w jakiej rozstawał się ze słoneczną ojczyzną „pięknej Galli". Bo i wspomnienie tej „smutnej" kochanki, niby kuszące widmo słodkiej — i zdaje się niepowrotnej — przeszłości, raz po raz mąciło mu spokój.

Na domiar złego, nie brakło i innego widma, które nań nie wpływało kojąco, a tem była myśl o niepewnej przyszłości. Czy obrać stan świecki, czy duchowny?! Pod tym względem był całkowicie niezdecydowany, a pełen najróżnorodniejszych wahań. Jedyna pewność, w której trwał dość stanowczo, to było przeświadczenie, że polem, na którem będzie mógł zużytkować swe zdolności i przyszłość sobie zapewnić, jest kancelarya królewska [1]). Wiedział jednak, że chcąc sobie utorować drogę do niej — co zawsze było połączone z trudnościami — należało mieć poparcie ludzi możnych, posiadających wpływy w sferach dworskich.

W tym celu umyślił objechać poblizkie domy możnowładcze, ażeby z niemi wejść w bliższe stosunki.

I.

Zaczął od Firlejów [2]), z którymi jego rodzina oddawna pozostawała w stosunkach, a których rezydencya w Dąbro-

[1]) Że poeta już w roku 1557 był z powrotem w kraju, dowodzi tego, zdaniem Przyborowskiego (i innych) Elegia VII, księgi II, w której Kochanowski wita Zygmunta Augusta, szczęśliwie powracającego z wyprawy inflanckiej przeciw mistrzowi Wilhelmowi Fürstenbergowi. Wyprawę tę podjął i ukończył Zygmunt August w roku 1557, z całego zaś toku elegii pokazuje się widocznie, że ją poeta napisał w kraju bezpośrednio po ukończeniu wyprawy (aspirując do kancelaryi królewskiej).

[2]) Tak przynajmniej utrzymuje Plenkiewicz. Windakiewicz przypuszcza, że nastąpiło to w drugiej połowie 1562 roku, już po kilkomiesięcznym pobycie na dworze Padniewskiego. *Życie dworskie Kochanowskiego,* strona 22.

wicy, wykwintnie przystrojona na sposób włoski, łacno go mogła pociągać. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, z pewnością nie napisałby swego epigramatu *Na wieś Dąbrowicę*: „Gościu! gdy marmurowy próg przestąpisz, pokłoń się geniuszowi miejsca, ten dom bowiem szczyci się, że wychowuje Firlejów". Jakoż wychowanie to, wybitnie nacechowane kalwinizmem, istotnie przynosiło zaszczyt Firlejom. Sam kasztelan kształcił się w Lipsku, gdzie się przejął zasadami reformy, a następnie stydyował w padewskiej wszechnicy, gdzie kolegował z J. Kochanowskim. Młodszy brat jego, Mikołaj, słynął, jako *alter Cycero*. Niemniej „uczoną" była młoda pani kasztelanowa, Zofia, z domu Bonarówna, głośna z wielkiej piękności, dziś 23-letnia matka kilkorga dzieci, które wszystkie wychowywano w zasadach wyznania helweckiego: Firlej bowiem, jako głowa i najgorliwszy krzewiciel kalwinizmu, „nietylko na swym dworze utrzymywał współwierców, ale nadto łupił w swych dobrach kościoły i zamieniał na zbory; matka zaś od dziecka w otoczeniu różnowierczem wzrastała". Na szczęście, była córką ojca, który przy wielkich bogactwach lubił się uczonymi otaczać; stąd przywykła cenić naukę. „Tem więcej przeto względów mogła okazywać młodemu Kochanowskiemu, jako niepowszedniej miary poecie". Jakoż nie narzekał, a rola „domownika", w jakiej tu przebywał, wcale mu przykrą nie była [1]). Po za chwilami, spędzanemi na hu-

[1]) Prof. Tarnowski w swej recenzyi o dziele Plenkiewicza nie bardzo okazuje się skorym do uwierzenia, by Kochanowski istotnie w roli domownika przebywał na dworze Firlejów. „Twierdzi prof. Plenkiewicz, że bawił tam jako domownik, przyjaciel, nie jako niższy sługa, jakiego oznacza wyraz *servitor*, położony przy jego nazwisku, w pełnomocnictwie danem przez Firleja, odkrytem przez p. Windakiewicza. Janów Kochanowskich było kilku; nic nie dowodzi, iżby owym *servitorem* miał być ten właśnie". Tarnowski idzie tu za Plebańskim, który właśnie w recenzyi dzieła Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim* pierwszy zwrócił na to uwagę, że „rzekomy ten pobyt poety w charakterze *servitora* żadną miarą uzasadnić się

manistycznych gawędach z Andrzejem Trzecieskim, także domownikiem Firlejów, który nietylko był znakomitym humanistą, poetą, znawcą trzech języków, ale i „hulaką, co pił dobrze w imię Jezusa Chrystusa", i po za serdecznym stosunkiem ze Stanisławem Meglewskim, wesołym młodzieńcem, a również dworzaninem Firlejów, używał swobody, „towarzyszył Firlejowi na łowy, na których marznąc, układał chłodne wierszyki, dotrzymywał mu placu w wyszydzaniu świeckiego i zakonnego duchowieństwa w tych *Fraszkach*, pełnych dosadnego humoru, których wiele może nawet w Dąbrowicy powstało; bawił zresztą panią bełską opowiadaniem o włoskich i galskich krainach, dopadał do Lublina dla wypitki lub awantury miłosnej, a w chwilach większego skupienia ducha opracowywał dawniejsze, lub obmyślał nowe utwory". Tak powstała fraszka *Do Stanisława Meglewskiego*, z którym nieraz „brząkając w struny" i „przyśpiewując" sobie, śmiali się, wspomniawszy na swego „gospodarza dobrego" [1]; tak powstała fraszka *Do Andrzeja Trzecieskiego*, który w poecie „niepotrzebne troski" uspakajał trunkiem; tak powstał epigram łaciński *Do Jana Firleja;* i tak wreszcie, w Dąbrowicy zapewne, powstał fragment *Do Jego M. Pana Mikołaja Firleja*, w którym go poeta prosi, ażeby był życzliwy jego „nowotnym rymom".

Z Dąbrowicy, w końcu sierpnia lub na początku września 1557 roku, udał się Kochanowski do Kraśnika, na dwór wojewody krakowskiego, Stanisława Tęczyńskiego. Tu go odrazu owiała inna atmosfera. O ile w Dąbrowicy panował duch reformy i włoskiego renesansu, o tyle w średniowie-

nie da", jeżeli się zważy, że w tomie XIV *Źródeł dziejowych* Pawińskiego znajdujemy kilku Janów Kochanowskich. Zobacz *Biblioteka Warszawska*, 1888, tom IV, str. 269.

Wszystko, co o Kochanowskim, jako *servitorze* Firlejów, napisał Windakiewicz w swych *Nieznanych szczegółach o rodzinie Kochanowskiego* zakwestyonował Plebański, na podstawie dokumentów.

[1]) Firleja.

cznym zamku nad Stróżą hołdowano tradycyi i surowemu katolicyzmowi. W mecenasów się nie bawiono, co nie znaczy, żeby gorąco nie miłowano nauk. Wszyscy Tęczyńscy, jak się wywodzili od jednego z 12 wojewodów, byli znani z zamiłowania do nauk i dalekich podróży. Pytanie: czy tu Kochanowski czuł się w swoim żywiole, czy go niekiedy nie nudziła zbytnia powaga tego zamku? Bardzo być może, że tak było, ale na szczęście dla poety, o którym wiedziano w Kraśniku, że w Paryżu spotykał się z młodym wojewodzicem, bawił tu Mielecki, dawny znajomy z Tarnowa, a towarzysz pierwszej podróży do Wiednia. Z nim mieli sobie, po ośmioletniem niewidzeniu się, niemało do powiedzenia, za czem także przemawia piękna elegia Kochanowskiego, poświęcona Mieleckiemu, a niewątpliwie napisana w tym czasie. W jego towarzystwie spędzał poeta „słodkie chwile" na dworze Tęczyńskich, a że te chwile istotnie były słodkie, to wynika z początkowych słów elegii, po przez które jakby się oglądało widok z Kraśnickiego zamku: „Nie grozi nam tu szalona swawola złowrogiej wojny, ani też niwom naszym nie zagraża nagłe spustoszenie. Nie słychać tu strasznej trąby wojennej, coby nam sen słodki płoszyła i nieopatrznych trwogą przejmowała. Tu błogi panuje pokój, tu goszczą wczasy przy otwartych wrotach, tu miłość i z lutnią w ręku Apollo łaskawy. Tu pająk tarcze mężów białą powleka tkanką, tu rdza zjada miecze i srogie pociski. Zato w ludnych wioskach kwitną biesiady młodzieży, a powietrze mile rozlega się radosnymi okrzyki". Wnosząc ze słów powyższych, nie musiało Kochanowskiemu być źle w Kraśniku. Mimo to nie zabawił tu długo. Wszystko przemawia za tem, że wyjechał razem z Mieleckim, któremu towarzyszył aż do jego rodzinnego Mielca [1]).

[1]) Te jazdy Kochanowskiego do Mielca i Wiewiórki, jak i wiele innych epizodów w książce Plenkiewicza, budzą niejakie wątpliwości w prof. Tarnowskim, którego zdaniem, choć „możliwe niezawodnie", ale znowu opierają się tylko na domyśle (str. 410).

Stąd udał się do pobliskiej Wiewiórki, do hetmana Tarnowskiego, pogrążonego w żałobie po świeżo zmarłej „pani krakowskiej“. Była to okoliczność nie sprzyjająca odwiedzinom poety, który pod zwykłym pretekstem ofiarowania swych „powolnych służb“ hetmanowi, naprawdę chciał tylko polecić się jego łaskawej protekcyi na przyszłość. Ale w jakiemkolwiek usposobieniu zastał hetmana, mógł z przyjęcia, jakiego doznał, być tylko zadowolonym: wszak stawał przed Tarnowskim [1]) już nie jako młodzieniaszek obiecujących zdolności, lecz jako skończony humanista, a przytem poeta, któremu nawet sławny Rey „dank przed sobą dawał“. Sędziwy zwycięzca z pod Obertyna, jako mąż wykształcony w tych samych uniwersytetach, z których właśnie wracał Kochanowski, umiał ocenić jego umysłową kulturę i talent poetycki. Zresztą, ponieważ i Włochy i Francya, doskonale były znane hetmanowi z czasów jego młodości, „tysiące więc nasuwało się przedmiotów, obudzających ciekawość wielkiego pana, który zarówno pragnął wywiedzieć się o zaszłych w nich odmianach od czasu swego w nich pobytu, jak i ożywić się wspomnieniami lat młodych. Nie jedną też zapewne chwilę, czy to w hetmańskiej komorze, czy za stołem obiadowym, spędzał poeta na opowiadaniu o tem, co widział, czego doświadczał, jakich poznał ludzi, czy to biegłych w nauce, czy też w sprawie rycerskiej, a to z tem większą swadą, że mu szło o przekonanie hetmana, iż nie napróżno lat tyle na obczyźnie przepędził“. Mimo to hetman zauważył w nim pewien brak, który mu nasunęło na myśl bliższe rozpatrzenie się w owocach do-

[1]) Zdaniem prof. Brücknera, zajmują Tarnowscy, hetman i syn, w pierwszej fazie twórczości poetyckiej Kochanowskiego to miejsce niemal, które później Firleje objęli; niejeden wiersz lub poemat im poświęcony; można więc przypuścić, że większy zbiór swoich poezyi, dwie księgi elegij łacińskich, poeta, jako pierwociny talentu, również Tarnowskim poświęcił. *Ateneum*, 1891. *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego.*

tychczasowej twórczości poety: oto zapoznawszy się z jego utworami łacińskiemi (a można sobie wyobrazić scenę, gdy mu je Kochanowski odczytuje na głos), dostrzegł w nich nadmiar erotycznego żywiołu. Były to rzeczy ładne, jego zdaniem, ale błahe, i dlatego zwrócił uwagę poecie, że dopiero wtedy zasłuży sobie na rzetelną sławę wieszcza, gdy pióro swe przedmiotom podnioślejszym poświęci, zwłaszcza gdy po tematy zwróci się do dziejów własnego narodu, w których z pewnością znajdzie niemało wydarzeń, godnych przekazania potomnym. Życzliwą tę radę wziął sobie Kochanowski do serca, z tem zastrzeżeniem jednak, że jest jeszcze za młody, ażeby się wyłącznie porywać na tak poważne przedmioty. W tem przeświadczeniu napisał swoją elegię do hetmana, zaczynającą się od słów: „Nie wstydź się, Tarnowski, jeśli kiedy swe imię w książkach mych wyczytasz. Chociaż nie opiewam Teb, ni wysokiego Pergamu, jednak i mnie już Amor, zdjąwszy sajdak, splata wawrzynowy wieniec". Dlatego nie tracę nadziei, że kiedyś i starożytnych bohaterów wywiodę na boje. Wtedy i ciebie opiewać będę. „Teraz wszakże, póki jeszcze pierwszy ogień wre w piersi, pozwól mi iść w dotychczasowym kierunku; pozwól, zdala od obozu, zdala od dźwięku trąb wojennych, opiewać uczty nocne i zgiełk podchmielonych biesiadników". Tegoż zdania był i Mielecki, który także przybył — w ślad za poetą — do Wiewiórki [1]). Jego obecność tutaj, jako wnosząca ożywcze prądy młodości, była bardzo na rękę poecie, rozmiłowany bowiem w „ucztach nocnych",

---

[1]) Bron. Chlebowski w swem studyum o *Pobycie Kochanowskiego na dworach panów Małopolskich pomiędzy Wisłą a Sanem* w następujący sposób motywuje twierdzenie swoje, że poeta przed rokiem 1560 bawił w Małopolsce, głównie pozostając w stosunkach z rodziną hetmana Tarnowskiego. „Prowadząc ruchliwe życie, poświęcone zabiegom o uzyskanie stanowiska, a jednocześnie i wesołemu używaniu, ciążył poeta niewątpliwie ku dworowi Tarnowskich, gdzie go pociągało liczne i świetne grono znakomitości wszel-

trochę czuł się skrępowany dygnitarską powagą hetmana, a na dworze jego, złożonym z samych starych sług, niejednokrotnie tęsknił za „zgiełkiem podchmielonych biesiadni-

---

kiego rodzaju, zbierających się zarówno dla spraw politycznych, jak i dla miłego spędzenia czasu Stary hetman był dwukrotnie żonaty: z Tęczyńską i Szydłowiecką. Z tej ostatniej miał dwoje dzieci: Zofię i Krzysztofa. Z drugą Szydłowiecką (rodzoną siostrą) był żonaty Mikołaj Radziwiłł, zajmujący na Litwie potężniejsze jeszcze stanowisko, niż Tarnowski w Małopolsce. (Szydłowieccy należeli do rodu Odrowążów, z którego pochodziła także i matka poety. Stosunki rodzinne matki mogły więc ułatwić Kochanowskiemu wstęp na dwory Tarnowskich i Radziwiłłów, kiedy jeszcze nie zdobył sobie rozgłosu) Pokrewieństwo (przez Tęczyńskich) i sąsiedztwo majątków łączyło Tarnowskich z Mieleckimi. Młody Mikołaj Mielecki pobiera nauki razem z Krzysztofem Tarnowskim O stosunkach przyjaznych, nawet poufnych, naszego poety z obu tymi młodzieńcami świadczą dość liczne ustępy z pism.. Krzysztofowi Tarnowskiemu opisuje w łacińskiej elegii swe troski miłosne, daje mu przyjacielskie przestrogi w wierszu ku uczczeniu pamięci ojca skreślonym, dedykuje *Szachy*, pierwszy większego rozmiaru polski utwór. Z równą też poufnością i swobodą przemawia do Mikołaja Mieleckiego (syna wojewody, do którego zwróconą jest elegia łacińska). Jeżeli teraz przekonamy się z mapą w ręku, że siedziby Tarnowskich (zarówno hetmana, jak i wojewody sandomierskiego) mieściły się na obszarze między Wisłą a Sanem, tak wśród podgórza Karpackiego, gdzie spotykamy: Wiewiórkę (rezydencyę hetmana o 1½ mili od Dębicy), Gorliczyn nad dopływem Wisłoka (siedzibę Krzysztofa); Tarnów (w pobliżu Dunajca), jak i w nizinie wytworzonej przez zbieg dopływów Wisły i Sanu, gdzie leży: Wielowieś (naprzeciw Sandomierza, rezydencya Stanisława Tarnowskiego, wojewody sandomierskiego), Dzików (nad Wisłą), Rzemień, Rzochów nad Wisłoką (gniazdo Mieleckich) to przekonamy się, że wszystkie charakterystyczne rysy krajobrazów zebranych w pierwszej grupie: lesiste góry, górskie spławne rzeki, jeziora wśród błotnych nizin z gnieżdżącemi się żórawiami — znajdują się w otoczeniu powyższych miejscowości. Jeżeli również zwrócimy uwagę, że między Sandomierzem a Krzeszowem (nad Sanem) jest tylko 7-milowa odległość, wtedy nie będzie nas dziwiła dokładna znajomość okolic tej ostatniej osady, brzegów i dopływów Sanu i miejscowych tradycyi, jaką okazuje poeta w wierszu *Dryas zamechska*.

ków". Jakoż, po pewnym czasie, dosyć miał tego katońskiego nastroju, jaki panował w hetmańskiej Wiewiórce.

Zdaje się, że i Mielecki podzielał to zapatrywanie, gdyż niebawem obaj pożegnali pierwszego dostojnika korony, przenosząc się do Gorliczyna, gdzie w tej chwili rezydował młody Jan Krzysztof Tarnowski, świeżo ożeniony z Zofią Odrowążówną. Wprawdzie i tu obserwowano żałobę po „pani krakowskiej", ale inaczej w takich razach zachowuje się podeszły w lata wdowiec, a inaczej młode małżeństwo, gdzie mąż liczy sobie 21 lat, a żona 17. W takim domu, pomimo p. Hieronima Myszopada i statecznej „dwornej pani", którzy tu czuwali nad młodą parą, musiało być weselej, choćby dlatego tylko, że nie brakło młodego otoczenia obojej płci. Kto wie, czy poeta nie rozgorzał namiętnym afektem do jakiej nadobnej dworki z fraucymeru młodej pani Tarnowskiej, skoro Elegia I, księgi I, przypisana Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu, oprócz ustępu, gdzie poeta zwraca się wprost do niego, tak jest erotyzmem przesiąkła. Co pewna, to, że epiczna elegia o Wandzie, niewątpliwie napisana pod wpływem owych napomnień hetmana, odnosi się do tych czasów, kiedy poeta bawił w Gorliczynie. Pewno ją czytał młodym Tarnowskim i Mieleckiemu. Bądź co bądź, jest to poemacik epiczny, w którym Kochanowski po raz pierwszy osiągnął wysoki stopień przedmiotowości, a jeśli nie wiadomo, coby powiedział stary hetman, przeczytawszy elegię do swego syna, te można być pewnym, że za *Wandę* z pewnością pochwaliłby jej autora, zachęcając go, ażeby w dalszym ciągu hołdował epickiemu rodzajowi poezyi i

Służył ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym [1]).

W ten sposób upłynąłby Kochanowskiemu rok 1557. Z początkiem roku 1558 naglony różnemi sprawami do-

[1]) Zobacz *Omen* Kochanowskiego.

mowemi i rodzinnemi, powrócił do Sycyny. Tu przedewszystkiem drużbował bratu swemu, Piotrowi, żeniącemu się z Anną Odrzywolską, która mu wnosiła świetny posag w sumie 1.000 florenów, a kiedy po skończonem weselu zaczęło się normalne życie ziemiańskie, żył na wzór braci swoich, stawał po sądach, odwiedzał sąsiadów, przyjmował ich odwiedziny, a gdy przyszło do wypitki, za kołnierz nie wylewał.

Coprawda, nie zawsze się potrafił dostroić do poziomu tej prostaczej szlachty, której gruboskórność musiała razić jego wytworną naturę. Jakoż dowodzi tego Pieśń XVIII księgi I, zwrócona do jednego z tych sąsiadów-biesiadników, o których poeta trzymał, że „y tak we łbie rozumu potrzeźwu nie wiele, a ostatek chcą zalać“.

Czołem za cześć, łaskawy móy panie sąsiedzie,
Boże nie day u ciebie bywać na biesiedzie,
Każesz mi pić przez dzięki twe przemierzłe piwo.
Że do dna nie wypijam, patrzysz na mnie krzywo.

Jeślić o sławę idzie, kto więcey pić może,
Daięć przodek w tem męstwie...
Jeśli też tak rozumiesz, żebyś mię częstował,
Męczysz mię, nie częstujesz: tociem podziękował.

Cóż dopiero, gdy pijatyka kończyła się bijatyką, gdy kufle zaczynały „jako grad“ latać w powietrzu, gdy jeden i drugi, wziąwszy konwią „aż mu na łbie zostały obręczy“, jęczał pod ławą, inni zaś, „ułożywszy się“ po kątach, „ronili“ wypite piwo, nie przeciwni psom, jeżeli im „gębę ulizali“. Takie biesiady, na których niekiedy przychodziło do walki na ostre, nie mogły się podobać wykwintnemu humaniście i dworakowi, który lubił wesołą gawędę przy kuflu, ale w pewnych granicach. „A więc to biesiada? Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?“

To „u was“ pozwala wnosić, że Kochanowskiemu, w czasie tych biesiad z sandomierską szlachtą, mimowoli nasuwało się porównanie z zagranicą, z wesołemi biesia-

dami padewskich i paryskich studentów, gdzie piło i dokazywano, ale w sposób cywilizowany: tam uczta równała się przyjemności, nastręczała okazyę do miłej gawędy, a tu... Przypadek zdarzył, że w tych czasach więcej miał sposobności do poruszania tego tematu, niż kiedyindziej, mianowicie w rozmowach z Piotrem Kłoczowskim, z tym samym, z którym przed dwoma laty razem jechał do Włoch. Kłoczowski jeszcze studyował w dalszym ciągu, a teraz przyjechał tylko na letnie ferye. W końcu lata znowu wybierał się za Alpy. Kochanowski zazdrościł mu szczerze, a gdy go Piotr namawiał, ażeby jechał z nim razem, że ostatecznie traci czas, siedząc w Sycynie, gdzie jest niepotrzebny wobec oddalonego terminu podziału majątku, i że aż do tego terminu mógłby posiedzieć w Padwie, poeta miał do zwalczenia silniejszą pokusę, niż się to mogło zdawać Kłoczowskiemu. Ale przezwyciężył się wkońcu, a poetycznym śladem tej pokusy jest poważna fraszka *Do Piotra Kłoczowskiego* [1]).

[1]) Oto, co w danej kwestyi utrzymuje Plebański, który w recenzyi dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim tak pisał w *Bibliotece Warszawskiej*, 1888, tom IV, str. 272: „Prof. Tarnowski również nie uznaje powtórnego wyjazdu Kochanowskiego do Włoch i to swoje przekonanie popiera wierszem, napisanym do Kłoczowskiego, którym właśnie inni uzasadniają nietylko możliwość, ale i pewność powtórnego w Padwie pobytu. Jakoż zrozumienie tego wiersza nie zdaje się najmniejszej wątpliwości podlegać. Jeżeli poeta, do wybierającego się w roku 1555 w poselstwo Kłoczowskiego, powiada: Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić — to widoczna, że z nim kiedyś już podobną podróż odbywał. Gdyby tylko siebie i swój wyjazd w roku 1552 miał na myśli, byłby się inaczej wyraził. Tymczasem rząd słowa wskazuje, iż owo prowadzenie odnosi się do Kłoczowskiego. Wyjazd jednorazowy Kochanowskiego tylko wtedy dałby się uzasadnić, gdyby Kłoczowski wyjechał już w roku 1552 z nim do Włoch. Jeżeli jednak Kłoczowski w roku 1562 wybrany na rektora w Padwie, musiał mieć według statutów uniwersyteckich 22 lat skończonych, to przyszedłby na świat w roku 1540, zatem w chwili wyjazdu Kochanowskiego do Padwy liczyłby

Nie chcę cię, Pietrze, do Włoch drugi raz prowadzić,
Trafisz sam: a mnie też czas o sobie poradzić.
Jesli mi w rewerendzie, czy lepiej w sajanie,
Jesli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie.
Ty będziesz wczas do tego: a dokądeś młody
Użyj świata za czasu, i pięknej swobody.

Jemu już tego czynić nie przystoi. Nie znaczyło to przecie, ażeby Kłoczowskiego nie miał odprowadzić do Krakowa, tembardziej, że tam miał literacki interes: chciał znaleść nakładcę na swoją pieśń *O potopie*. Nie wątpił, że go znajdzie, zważywszy, że choć nie drukował żadnego ze swoich dotychczasowych utworów, ani łacińskich, ani polskich, jednak poezye te, krążąc w odpisach, zjednały mu poważny rozgłos w całym kraju [1]; ale chcąc w tej sprawie porozumieć się z księgarzem-drukarzem, należało udać się

dopiero lat 12. Czy więc chłopca w tym wieku mogli wysyłać do Włoch rodzice? to dopiero należałoby rozstrzygnąć". NB. Skoro jednak statut uniwersytecki padewski wymagał, ażeby wybierany na rektora liczył najmniej lat 22 skończonych, to można też łatwo przypuścić, że Kłoczowski w roku 1562 mógł mieć niekoniecznie lat 22, ale i więcej, choćby 25, a wtedy w roku 1552, jadąc do Włoch pod przewodem Kochanowskiego, liczyłby sobie lat 15, co już by w owych czasach było wiekiem normalnym.

Od drugiej połowy roku 1557 aż do połowy roku 1559 bawił powtórnie w Padwie na studyach Andrzej Patrycy Nidecki. Tęsknił za nim bawiący już wtedy w kraju Kochanowski: i dlatego to, żegnając wyjeżdżającego do Włoch Piotra Kłoczowskiego, temi słowy w zakończeniu swego wiersza do niego kazał mu pozdrowić swego oddalonego przyjaciela i kolegi z czasów padewskich:

A donieś to mojemu Jędrzejowi słowo:
Że dotąd go nie widzę, musi mię być teszno,
A tak łaskaw ci na mnie, niechaj bywa spieszno.

[1]) Już około roku 1550 zaczął Kochanowski zdobywać sobie uznanie, jako poeta, jako współzawodnik Reja, nad którym mu niebawem wszyscy — samego Reja nie wyłączając — zaczęli przyznawać wyższość. „Pomnię ja niedawno (czytamy w *Dworzaninie* Górnickiego), kiedy tu na Prądnik przyniesione było dwoje wierszy, jakoby miały być jedne p Reya, a drugie p. Jana Kochanowskiego:

do stolicy. Że nie pojechał napróżno, tego dowodzi fakt, iż jeszcze w roku 1558 pieśń *O potopie* ukazała się w drukowanej szacie, nakładem Siebeneichera. Był to pierwszy drukowany utwór Kochanowskiego [1].

Ale doglądając jego druku, poeta myślał nietylko o nim, lecz i o moralnej korzyści, jaką z tej pieśni osiągnąć może: nie wątpił bowiem, że w stosunkach, jakie przy sposobności pragnął pozawierać w Krakowie, książka, podpisana jego nazwiskiem, tylko mu może ułatwić ich nawią-

---

wszyscyśmy je z podziwieniem wielkiem chwalili, jako trefne, jako śmieszne, jako uczone". Górnicki odnosi to wspomnienie do roku 1549, z czego się w ten sposób tłómaczy w przedmowie do *Dworzanina*. „Lubo jego wiersze jeszcze się były nie wsławiły, ale to nic, bo jednak rychło potem p. Kochanowski wiersze pisać począł". Jeśli rychło po r. 1549, to w r. 1558 już się niemi wsławił.

[1]) Utworowi temu, z powodu odnalezionego egzemplarza pierwszej edycyi, poświęcił Józef Przyborowski w *Ateneum*, (1876, tom I, str. 606—673) osobne „studyum bibliograficzne" p. t. *Jana Kochanowskiego pieśń O potopie*. Autor dowodzi w tej rozprawce, że „pieśń *O potopie* jest utworem Jana Kochanowskiego, że była wydana przed zbiorowem wydaniem, a więc jeszcze za życia poety, że nie jest naśladowana z Kochanowskiego, ale raczej wydana niepoprawnie bez jego wiedzy".

O pieśni *O potopie* istnieje rozprawka Bron. Chlebowskiego, drukowana w Warszawie w roku 1884 w zbiorowem wydawnictwie na rzecz powodzian p. t. *Na pomoc*. Zdaniem Chlebowskiego, równocześnie z tą pieśnią *O potopie* napisał Kochanowski (jeszcze w okresie przedpadewskim) pieśń *O zburzeniu Sodomy*. Rzecz tę, jako nieznany utwór Jana Kochanowskiego, ogłosił Chlebowski, z kancyonału toruńskiego, w książce pamiątkowej *Z wieku Reja*, (Warszawa, 1905). Zdaniem Brucknera, autorem tej pieśni *O zburzeniu Sodomy* jest anonimowy minister-protestant. „A co do wiersza *O potopie* — słowa są Brücknera — to nie należy dla niego aktualności, t. j. spółczesnego wylewu Wisły (albo Wilii!) się doszukiwać: młody poeta potrzebował tematów rodzinnych dla wierszy łacińskich i polskich, n. p. jego elegia o *Wandzie* aktualnośc ą również nie grzeszyła; o wylewach Wisły, byle jakich, wiedział dobrze, więc odę Horacego śmiało naśladował, bez względu na to, czy właśnie tego roku Wisła wylała" *(Pamiętnik literacki*, 1905, str. 312).

zanie. A zależało mu na tych stosunkach, ile że czas już było „o sobie poradzić". W tym celu przypomniał się swoim dawnym profesorom uniwersyteckim, odwiedził Jakóba Górskiego, który się właśnie wybijał na godnego zastępcę po nieodżałowanym Maryckim, a że zarówno on, jak i inni poważni profesorowie wszechnicy, nie gardzili „pełną prze zdrowie", którą zresztą nie gardził żaden prawdziwy humanista, więc przyszło i do wesołych rozmów przy kuflu, które poecie przypomniały jego dawne studenckie czasy, kiedy to zachwycał się nietylko wykładami Maryckiego, ale i wdziękami „nadobnej" Zofii.

Przypadek zdarzył, że się z nią spotkał i teraz. Niestety, bardzo się zmieniła od czasu, gdy ją widział po raz ostatni! Zestarzała się, zbrzydła, a nawet i dowcipną być przestała. Co gorsza, to, że jeszcze nie straciła wiary w siebie, że próbowała przypodobać się swemu dawnemu wielbicielowi, który „przed siedmią lat" nie był obojętnym na jej wdzięki. Zato dziś zobojętniał tak dalece, że kiedy ona poczęła się mizdrzyć, on na te zaloty odpowiedział wesołą fraszką *Do Zophiey:*

> Nie tyś to, o Zophiia, nie ty na mą wiarę.
> . . . .
> Ciebie nie wiem jako zwać: co poczniesz, niegrzeczy
> . . . .
> Żartom nikt się nie śmieje, na gniew nic nie dbają
> A jeśli słowo rzeczesz, jeszczeć y nałają.
> Nakoniec, krom imienia, niemasz nic dawnego.
> Bierzmuy się, proście przebóg, a zbądź już y tego...
> O lata zazdrościwe, wszystko precz niesiecie,
> Zofiia nie Zofiią, kiedy wy przypniecie!

Tymczasem zanosiło się na sejm walny, zwołany na 20. listopada do Piotrkowa, sejm budzący wiele obaw i nadziei. „Stąd niezwykle było gwarno i rojno w Piotrkowie, którego szczupły, murami zewnętrznymi zacieśniony obręb, zaledwie mógł senatorów i małą liczbę posłów pomieścić; reszta musiała na przedmieściach, lub nawet po okolicznych

wsiach, szukać kąta dla siebie". Wraz z tłumami szlachty, przybył tu i Jan Kochanowski, wiedziony potrzebą ustalenia swego losu na przyszłość. Przyjechał z najlepszą otuchą, bo liczył na poparcie swych dotychczasowych protektorów: Tarnowskich, Tęczyńskich, Firlejów, Mieleckich, którzy tu wraz ze swemi dworami przybyli również, a których osobiste stosunki, bądź z królem samym, bądź z podkanclerzym, mogły mu miejsce w kancelaryi królewskiej, tak upragnione przezeń, wyjednać. Zrazu wszystko szło jaknajlepiej, choć tło było chmurne, choć burzliwy sejm świadczył o smutnym stanie kraju, w którym jakiś „wróg niewidomy" — a była nim waśń religijna — „mieszał ludzkie rzeczy". Ale poeta znajdował się w tem szczęśliwem położeniu, że stał po za tem wszystkiem, ludzie zaś, z którymi tu stykać się miał sposobność, w wysokim stopniu — niektórzy przynajmniej — odpowiadali jego usposobieniu. Niedość bowiem, iż się poznał z Rejem, który także zjechał do Piotrkowa, jako poseł ziemi krakowskiej, i że miał możność częstego obcowania z Mieleckim, z młodym Tarnowskim i wielu innymi, ale się poznał z Łukaszem Górnickim, w tej chwili sekretarzem podkanclerzego Przerębskiego, a również wychowańcem padewskim. O trzy lata starszy od poety, był to humanista rzetelny, cyceronianin pierwszej wody, serdeczny przyjaciel Nideckiego, a przytem osobistość wpływowa, dzięki przyjaznym stosunkom z Padniewskim. Wszystko to dodawało mu ogromnego waloru w oczach Kochanowskiego, który rozumiał, że jeżeli kto może go wprowadzić do kancelaryi królewskiej, to Padniewski właśnie. Wiedząc o tem, trzymał się Górnickiego, a tak się z nim zaprzyjaźnił w ciągu tej bytności w Piotrkowie, że go aż wspomógł pożyczką. W miarę jednak, jak sejm zbliżał się ku końcowi, t. j. ku zerwaniu, poczęły się rozwiewać nadzieje i złudzenia Kochanowskiego. Przekonał się, że jego sprawa wcale nie była na dobrej drodze, że mu wypadnie wracać z niczem. Na nic się zdała znajomość z Górnickim, na nic się zdały starania

o protekcyę Padniewskiego, ten bowiem, wskutek chwilowej konstelacyi politycznej, a głównie wskutek tego, że miał przeciwko sobie stronnictwo Przerębskiego, po którym otrzymał podkanclerstwo, znajdował się w tem fatalnem położeniu, że nikogo, pomimo najszczerszych chęci, do kancelaryi królewskiej, bez narażenia własnej godności, wprowadzić nie mógł. „W takich zaś okolicznościach trudno było forytować kogoś, zwłaszcza, że do kancelaryi królewskiej ciśniono się nietylko w widokach promocyi, ale i dla materyalnych korzyści. Za wszystkie bowiem czynności, jak wypisy, listy, przywileje, za każde niemal poruszenie piórem, pobierano grube opłaty. Każdy więc nowoprzybyły, niemile tu był witany, gdyż pomnażając liczbę pisarzy, umniejszał dawniej pracującym dochodów. Takich zaś zasiedziałych kreatur Przerębskiego był cały legion w kancelaryi królewskiej. Drażnić przeto to gniazdo, gdy ostrożność nakazywała myśleć o zabezpieczeniu własnego stanowiska, byłoby krokiem arcy niepolitycznym, a nawet samemu protegowanemu szkodliwym". Powyższe względy sprawiły, że poeta musiał zrezygnować z wielu aspiracyj, jeżeli nie na zawsze, to chwilowo przynajmniej. Zrezygnował, ale wyjeżdżając z Piotrkowa, wyjeżdżał rozgoryczony, bez wiary w siebie i w przyszłość.

W podobnym nastroju znalazł się z powrotem w Sycynie, gdzie mu dopiero niepowodzenie, zaznane w czasie tej wyprawy po złote runo, na dobre zaczęło się dawać we znaki. Przedewszystkiem starsi zaczęli „mądrzyć" nad tym wypadkiem. Ani im przez myśl przeszło, iżby mógł powrócić z próżnemi rękoma. Więc na to tak długo siedział za granicą, studyował po Wenecyach, Padwach, Paryżach, ażeby teraz nie mieć żadnych owoców z tej edukacyi, która tak była kosztowna! O, stanowczo zmalał w ich oczach! Do owego sejmu imponował im trochę, jako człowiek, co tyle nauk miał za sobą, a pozostawał w przyjaznych stosunkach z pierwszemi rodzinami w kraju, na których dworach przebywał. Ale po powrocie z Piotrkowa? Jużci, gdyby był tak

uczony, jak mówiono, z pewnością poznanoby się na nim, nie dano odjechać z niczem. I zaczęto powątpiewać o jego zdolnościach i mądrości, a gorszyć się życiem bezczynnem, jakie — zdaniem najbliższych — prowadził. Gospodarstwem nie zajmował się, część Sycyny, przypadającą na siebie, puścił w arędę Piotrowi, a pozatem czytał książki, pisał jakieś wiersze, z których, powątpiewano, ażeby mu co przyszło w życiu. Wszak już półtora roku ubiegło, jak wrócił do kraju, a czego dokazał! Tymczasem Piotr, choć także wyższych nauk świadom, ożenił się świetnie, a teraz uprawiał ojczysty zagon, wcale w tem nie widząc ujmy dla siebie. A cóż dopiero Kacper, który już zajmował urząd podstarościego, a korzystnemi zastawami pomnażał fortunę, nietylko swoją, ale i braci. To przynajmniej człowiek do rzeczy! A on nietylko majątku nie przysporzył, ale uszczuplał go swemi ciągłemi wyjazdami. Jednem słowem rozczarowano się nim.

W takiem usposobieniu zaczęto poruszać drażliwą kwestyę działów majątkowych, aż wkońcu postanowiono podzielić się rodzicielską spuścizną, tak, by odtąd każdy, gospodarując na przypadłej mu z prawa części, sam o dalszym swym losie stanowił. Była to nad wyraz przykra w życiu poety epoka; niedość bowiem, że wogóle czuł się zrażony do rodziny, którą stryjowie buntowali przeciwko niemu, ale musiał się użerać z niemi, targować o każdy kawał gruntu, jeśli nie chciał dopuścić, aby go skrzywdzono. I tak zasada, której postanowiono przestrzegać w tej sprawie, z góry była ukartowana na jego niekorzyść. Bo jakaż to była zasada? Oto obrano za punkt wyjścia, że ponieważ młodsi bracia mniej od starszych mieli sposobności korzystania z łask rodzicielskich, słuszna więc, by się im najlepsze części dostały. „Że zaś Jan (mówiono) otrzymał tak świetne, jak żaden z braci, wykształcenie, przeto tem samem utracił prawo do równego z nimi podziału: sumy bowiem, jakie pochłonęła zagranica, wartość nie jednej części, przypadającej do

podziału, przeniosły. To więc, co zdobył w nauce, powinno mu część należną w ziemi zastąpić, zwłaszcza, że przeznaczony przez rodziców do duchownego zawodu, miał przed sobą drogę otwartą do godności i bogactw, która przed innymi braćmi nazawsze była zamknięta". Może było nieco słuszności w tem rozumowaniu, sposób jednak, w jaki mu to poznać dawano, był tego rodzaju, że poeta „teraz dzień i noc nękany troską i pracą", musiał stać na straży swojego mienia, jeśli nie chciał, żeby mu je wydarto. Zapraszany do Krakowa, gdzie chwilowo bawił Andrzej Dudycz, świeżo przybyły z Nideckim i St. Fogelwederem, musiał sobie odmówić tej przyjemności zobaczenia się ze swymi padewskimi przyjaciółmi, „albowiem (jeśli godzi się małe porównywać z wielkiem), jako niegdyś na Ulissesa z dalekich krajów powracającego czychali zalotnicy, tak też są tacy (pisał w epigramacie do Jędrzeja Dudycza), co i moje, o ile tylko można, zrujnowaćby chcieli, gdybym tylko nie czuwał i gdybym, wieszcz Muzom poświęcony i więcej do pokoju przywykły, jakkolwiek ojcowskim nie bronił się orężem". W takich warunkach chodził koło tej nieszczęsnej sprawy podziałowej, z upragnieniem oczekując jej końca. Tymczasem sprawa przeciągnęła się aż do lata, jak o tem świadczy akt podziałowy, spisany w grodzie radomskim dnia 13. lipca 1559 roku „po należytej rozwadze i zasięgnieniu zdania przyjaciół", akt, z którego okazuje się, iż poeta, który koniecznie chciał dostać Sycynę (ostatecznie oddaną Mikołajowi i Jakóbowi) wywalczył sobie *arcu patrio* połowę Czarnolasu, wraz z młynem na rzece Grodzkiej.

Zostawszy właścicielem wschodniej części czarnoleskich obszarów, nie zwłócząc długo, przeniósł się do swojej „uszczyplonej" dziedziny, mającej odtąd stać się jego *Tusculum*, i zaczął się wdrażać do ziemiańskiego żywota, przeplatanego pracą na niwie poezyi. Czarnolas bardzo się nadawał do podobnych zajęć. Był to folwark niewielki, ale miły. Zwykły dworek szlachecki, położony na wschodnim

krańcu wsi, a „rozdzielony sienią na dwie połowy, tak, iż po jednej stronie mieściły się izby mieszkalne, po drugiej dymna czeladna“, zapewniał spokój i ciepły kąt podczas zimy: słowem, choć pochylony laty, nie pozostawiał, jako dach nad głową, nic do życzenia. Szczupły był, ale własny. A przytem stał w pięknym ogrodzie, w zieleni drzew odwiecznych, z tych zaś najpiękniejszą była stara lipa, rosnąca podedworem. Po przeciwległej stronie, od północy, ciągnął się dziedziniec, obramowany gumnami i oborami, a te dochodziły aż do drogi, prowadzącej od głównego traktu. Dokoła czerniał bór, odgraniczony obszarami pól uprawnych, łąk i nieużytków piaszczystych. Zdaje się, iż ostatnich było najwięcej, skoro sam poeta z właściwym sobie humorem przyzna niebawem w jednej ze swych wesołych fraszek, że na jego dziedzictwie obficiej rodzą się pieśni, „niż jęczmień i żyto“. O pszenicy nie było mowy. „W tem to ustroniu miał teraz poeta urzeczywistnić swe sielskie obrazy, o których marzył w Padwie. Tylko dziś brakło do posługi Amorka i p a n i s e r c a, która miała towarzyszyć pracom jego oraczym“. Bo, że mu się często dawało we znaki osamotnienie, z tem się nie taił. Oprócz stryja Filipa, który, jako mieszkający na zachodnim krańcu wsi, był jego najbliższym sąsiadem, a z którym, od chwili działów majątkowych wcale nie pozostawał w dobrych stosunkach, nie miał nikogo, z kimby się mógł podzielić myślami. Po za czeladzią, dla której pewno nie był złym panem, jedynym człowiekiem, z którym mógł pogawędzić przy kuflu, był stary włodarz miejscowy. Poeta, w braku innego towarzystwa, polubił bardzo tego sługę, a nietylko dopuszczał go do poufałości z sobą, ale polegając na jego doświadczeniu, wszystko, co było gospodarstwem, zdawał na jego rozum: ostatecznie wiedział, że gospodarując w ten sposób, lepiej wyjdzie na tem, aniżeli gdyby sam wziął na siebie obowiązek obmyślania i doglądania roboty. Jakoż skończyło się na tem, że włodarz gospodarował za niego, a on, bądź siedząc pod

lipą przed domem, bądź nie wychodząc ze swej komory, której największą ozdobą była jego *libraria*, służył Apollinowi i Muzom. Wieczorami zaś, po skończonej orce w polu, zapraszał włodarza, częstował go, wyciągał na rozmowę, a jedną z takich rozmów z nim, jako charakterystyczną przymówkę chłopską, nawet uwiecznił wierszem:

— Piy-że, Włodarzu.
— Panie, iużem podpił sobie.
— Piy ty przedsię. Dziękuję, jako panu, tobie.
— Mało już nie mam za swe, a człowiek się boi,
By słówkiem nie wyleciał, co więc chmiel rad broi.
— Piy-ty Włodarzu, i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, iako za naszych oyców więc bywało.
— Tak ci bywało, panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą:
Dziś wszystko już inaczej: wszystko spoważniało,
Jako mówię: postawy dosyć, wątku mało.

Osiadłszy w Czarnolesie, poeta nie zwątpił jednak o możności dostania się do kancelaryi królewskiej. Niestety, Zygmunt August ciągle przebywał w Wilnie, co za sobą pociągało konieczną odwłokę całej sprawy. Ale, co się odwlecze, to nie uciecze, myślał sobie Kochanowski, a skoro mu się nie poszczęściło dotychczas, to jeszcze nie dowód, iżby wątpić o wszelkiej karyerze. Swoją drogą dręczył się myślą, że inni jakoś dawali sobie rady w życiu, a jemu szło wszystko oporem. Oto Górnicki, obok sekretarstwa podkanclerskiego, został bibliotekarzem królewskim, a Nidecki, który mu o tem donosił, wszedł w stosunki z Myszkowskim, sekretarzem większym, który mu robił nadzieję, że go umieści w kancelaryi. On tymczasem, przy całej pewności, iż był zdolniejszy od tamtych, rdzewiał w ustronnym Czarnolesie, w dali od wszelkiej atmosfery humanistycznej, w dali od wszystkiego, co było cywilizacyą, a czem on tak nasiąkł za granicą. Co robić więc? Jak zaradzić temu położeniu? A żeby spróbować raz jeszcze? Żeby pojechać do Wilna, zbliżyć się do dworu, skorzystać ze stosunków Nideckiego i Górnickiego?

Wszak poprą go, gdy im wyjawi powód, dla którego przedsiębrał tę daleką podróż. W każdym razie, nie ruszając się z Czarnolasu, nic nie wskóra. W tem przeświadczeniu, z nadejściem jesieni, po ukończeniu zasiewów, gdy na wsi niema wiele do roboty, pojechał do Wilna.

II.

Jechałeś potym ziemią, tam gdzie Wilna cicha
Górę z wieku sadzoną potaiemnie spycha,
Czyniąc sobie gościniec cichy do siestrzyce,
Której szumny bieg słyszy przez wąskie granice.

Słowa te, wyjęte z *Pamiątki*, odnoszą się równie dobrze do Jana Tęczyńskiego, jak i do ich autora, który teraz przyjeżdżał do stolicy Gedymina. Gród ten, zaparty lesistemi górami, a uwieńczony dwoma zamkami, roił się właśnie — gdy w jego świeżo wzniesione mury wjeżdżał Kochanowski — od pocztów zbrojnych, zalewających wszystkie ulice i place, gdyż była to chwila, w której pospolite ruszenie, pod wodzą Hieronima Chodkiewicza, gotowało się na wyprawę do Inflant. Ta atmosfera wojenna, którą oddychała nietylko stolica Litwy, ale i kraj cały, odbiła się w elegii do Nideckiego, u którego poeta stanął kwaterą, a który, podobnie jak on, wcale rycerskim duchem się nie odznaczał. „Wojna grozi, Patrycy! czyż i my pójdziem na wojnę, czyż i nam wypadnie zapisać się do twardej żołnierki?“ Nie miał ochoty po temu — jak to wynika z dalszego ciągu elegii — a powtóre, nie po to zjechał do Wilna.

Co go tu sprowadzało, z tem pewno nie tail się przed Nideckim, skoro, ledwo przyjechał, zaraz wszedł w stosunki z wojewodą wileńskim, Mikołajem Radziwiłłem Czarnym, mającym, jako brat Barbary Radziwiłłówny, największy wpływ na króla. Jako zagorzały krzewiciel kalwinizmu, był to „najgorszy z heretyków“; mimo to, pałac jego, położony naprzeciw kościoła św. Jana, słynął ze swojej przysłowiowej go-

ścinności, na której się nie zawiódł i Kochanowski: był bardzo dobrze przyjęty. Co prawda, znajdował się w tem szczęśliwem położeniu, iż nietylko korzystał z przywilejów człowieka, który już zdążył się wsławić jako poeta, ale nadto zjawił się na dworze wojewody, jako od dawna znany jego żonie Elżbiecie, Szydłowieckiej z domu, a więc Odrowążówne. Ostatnia okoliczność była pewnem ułatwieniem dla Kochanowskiego, bo jako współherbowny z wojewodziną, a nawet pochodzący z tych samych stron, co ona, był dla niej, jako sandomierzanki, nadzwyczaj miłym i pożądanym gościem. „Przynosił z sobą, jakby woń ziemi rodzinnej i budził niejedno z lat młodocianych wspomnienie, które, bodaj czy w jej duszy nie świeciło jaśniej, niż blaski mitry książęcej i dostojeństw, które na nią przez małżonka spływały! Wychowana w tradycyach pobożności, wspólnych całemu rodowi Odrowążów, nagle ujrzała się pod wpływem antikatolickim małżonka, który zadając gwałt jej sumieniu, narzucał jej swe dogmata, aż wkońcu znękał jej umysł, złamał wolę i do odstępstwa przymusił". Jednem słowem była to kobieta nieszczęśliwa. Co innego mówi dedykacya *Zuzanny*, przypisanej przez Kochanowskiego „iey M. Paniey Elżbiecie z Szydłowca, na Ołykach y Nieświeżu Księżnie, etc.", w której poeta zapewnia swą protektorkę, iż szczęście jej dochodzi do kresu, „że nie wiem, jeśli prosić o więcej się godzi". Cóżkolwiekbądź, pierwsze słowa dedykacyi, poprzedzającej ten wdzięczny poemat biblijny, są piękną charakterystyką zacnej, a młodo zmarłej matki dzieci wojewody:

Wszystkich skarbów na świecie, y wszystkiego złota,
Godnaby, zacna pani, twa dobroć i cnota.

Co pewna, to, iż jak *Zuzanna* należy do pierwszorzędnych i najdoskonalszych dzieł poety, tak, ofiarując ją „poprostu przybraną", t. j. w rękopisie [1]), wojewodzinie, bardzo

[1]) Plenkiewicz p zypuszcza, że poeta *Zuzannę* osobiście „nie w druku, lecz w rękopisie" ofiarował Elżbiecie. Nie godzi się

liczył na jej dobroć i wpływ na męża, który go mógł polecić do kancelaryi królewskiej. Niestety, chwila, w której powierzał się opiece i protekcyi wojewody, była nieodpowiednia, gdyż była to chwila właśnie, w której Padniewski „brał górę" nad Radziwiłłem, gdy chodziło o wpływ na chwiejny umysł króla. Stąd poszło, iż Radziwiłł, choć mógł mieć najlepsze chęci, nie wiele mógł zdziałać dla poety; paraliżował go Padniewski, świeżo mianowany biskupem krakowskim.

Nie znaczyło to przecież, ażeby sam Padniewski nie chciał czegoś zrobić dla Kochanowskiego, ażeby mu nie zależało na pozyskaniu go sobie. Najlepszy dowód, że wtedy, gdy autor *Zuzanny* zaczął powątpiewać o możności dostania się na dwór królewski, on, Padniewski, zaprosił go — przez Nideckiego zapewne — na swój dwór biskupi. „Dostąpiwszy jednej z najwyższych w kościele polskim godności, pragnął teraz otoczyć się blaskiem, któryby zaćmił hulaszczą rozrzutność Gamrata, humanistyczną dworskość Maciejowskiego, wreszcie przepych wielkopański poprzednika, Zebrzydowskiego, słowem, postawić swój dwór na takiej stopie, iżby obok okazałości zewnętrznej, zajaśniał doborem co najpierwszych w kraju humanistycznych zdolności. Jeżeli zaś kto, to Kochanowski trafiał w rym owych chęci". Ale poeta, wbrew wszelkim oczekiwaniom biskupa, wcale się nie zapalił do roli dworzanina biskupiego, ostatecznie bowiem, choć tu chodziło o coś więcej, bo o rolę nadwornego poety biskupa, to jednak oficyalnie miał być tylko dworzaninem, a to mu nie wystarczało: poprostu nie

---

na to Brückner na stronie 663 swej recenzyi w *Pracach filologicznych*. Godząc się na wiele wniosków Pieńkiewicza, Mazanowski uważa, że napisanie *Zuzanny* podczas pobytu poety w Wilnie nie jest ściśle umotywowane. Prof. Brückner powątpiewa nawet, czy Kochanowski wogóle był kiedy w Wilnie, a przynajmniej nie uważa tego za rzecz pewną. Prof. Nehring nie idzie tak daleko w swym sceptycyzmie, przynajmniej w tym jednym punkcie, i pisząc pod rokiem 1560 o podróży Kochanowskiego do Wilna, nie stawia żadnych znaków zapytania (strona 15).

wyobrażał sobie, ażeby na tej drodze mógł zrobić jakąkolwiek świetniejszą karyerę. Innego zdania byli Górnicki i Nidecki, którzy go, jak się zdaje, przekonali wkońcu, że źle czyni, ociągając się z wstąpieniem na dwór Padniewskiego. „Jeżeli szło o kancelaryę królewską (tłómaczyli mu), to wstęp do niej przy protekcyi biskupa zawsze był dla niego otwarty; gdyby zaś obrał zawód duchowny, skądże, jeśli nie z jego dworu, najprostsza droga wiodła do beneficyów intratnych". A powtóre, służba w kancelaryi królewskiej, wymagająca całodziennej pisaniny, redagowania rozmaitych aktów, obrabiania najrozmaitszych spraw i t. d., nie była dla niego, kiedy służba na dworze biskupa, który pragnął zapewnić mu byt nieskrępowany ściśle oznaczonym obowiązkiem, byle tylko mógł tworzyć spokojnie, była jakby dla niego stworzona. Zdaje się, że te i tym podobne argumenty przekonały Kochanowskiego, gdyż wkońcu zdecydował się stać „w pacholczem kole" dworzan Padniewskiego. Jakoż wstąpił na jego dwór.

I nie żałował tego. Okazało się bowiem, że Padniewski był świetnym typem humanisty, „w którym wszystkie przymioty umysłu i właściwości charakteru zlewały się w całość harmonijną, tworząc z niego w pewnej mierze doskonałego człowieka".

Niezależnie od tego, musiał Kochanowski, w celu uregulowania swych interesów gospodarskich, zajrzeć i do Czarnolasu. Wrócił więc, a nie przypuszczał nawet, rozstając się z biskupem, że upłyną dwa lata, zanim go ujrzy znowu. Mimo to, zjechawszy do domu, gdzie bądź co bądź czuł się panem i pierwszą osobą, nie tracił czasu, przerabiał dawne utwory, pisał nowe, studyował Arata, a nawet nie gardził zwykłą dolą ziemianina, który, siedząc na roli, nie stroni od sąsiadów, od rodziny. Bo i z rodziną wolał żyć w zgodzie, aniżeli siebie i ich drażnić ciągłemi zatargami. Jednem słowem, prowadził żywot harmonijny, który jeżeli mu co zakłócało, to chyba zbyt obfite żniwo śmierci. Bo śmierć kosiła

jak zwykle, bez względu i na takich ludzi nawet, jak St. Tęczyński, zmarły w grudniu roku 1560, i hetman Tarnowski, który w dniu 16. maja 1561 roku w Wiewiórce,

Pełen wieku i przystojnej chwały,
Sam się prawie położył, jako kłos dojrzały.

Pod wrażeniem tej śmierci, a następnie wspaniałego, iście królewskiego pogrzebu, w którym wziął udział, napisał Kochanowski, zwracając się do Jana Krzysztofa Tarnowskiego, jako nadziei i podpory wielkiego domu, dwa wiersze: elegię łacińską, bardzo długą, w której opowiedział całe życie hetmana, i pieśń polską *O śmierci Jana Tarnowskiego*, która w tymże roku jeszcze, sumptem syna, wyszła w Krakowie.

Tymczasem w marcu 1562 roku, odbywał Padniewski „przy oklaskach i okrzykach ludu“ swój uroczysty wjazd do Krakowa, a poeta nietylko w tej chwili znajdował się w świeckiem otoczeniu biskupa, ale mu, jako „swej ozdobie i ulubieńcowi muz aonijskich“ ofiarował kwiecisty „wieniec z Helikonu“ w formie elegii łacińskiej, wychwalającej cnoty podkanclerzego [1]) i wyrażającej radość z jego przyjazdu. „Ciebie matka Wisła, w żółte włosy wplótłszy gałązki wierzbowe, już dawno, wynurzywszy się z nurtów przeźroczystych, radośnie przywołuje... Ciebie, w grodzie Krakusa, najpiękniejsza siedziba i poświęcane wieńce mające skroń twą ozdobić, oczekują; ciebie pragną oglądać dobrzy obywatele; tobie, w pełnych koszach, należne dary niosą wiślane Najady“. Od tego uroczystego dnia począwszy, przebywał stale Kochanowski w gronie dworzan biskupa, a choć nie brakło najróżnorodniejszych zajęć, które niezawsze były interesujące, to jednak nie skarżył się na swoją dolę. Wy-

---

[1]) Kto wie jednak, czy elegia ta nie została napisana wcześniej, niż przypuszcza prof. Plenkiewicz, bo właściwie jest ona, nie wyrazem radości z przyjazdu biskupa, lecz wyrazem niecierpliwego oczekiwania na jego przyjazd, od dwóch lat odkładany z dnia na dzień.

różniany przez Padniewskiego, którego sobie musiał ująć swą elegią, przykładał się do niektórych robót w kancelaryi, był używany n. p. do korespondencyi, tak z królem, jak z koronnymi panami, lecz wogóle nie przepracowywał się. Natomiast korzystał z miłego i kształcącego towarzystwa kilku sekretarzy kancelaryi królewskiej, którzy, przebywając na dworze biskupim, byli, jako *lumina* humanistyczne, jego prawdziwą ozdobą. Wedle słów Jakóba Górskiego, który sam również do tych *luminów* należał, stanowili to wybrane kółko: Andrzej Krajewski, wyćwiczony w akademii bonońskiej, a obecnie kanclerz biskupi; Stempowski, człowiek młody, nadzwyczaj biegły w naukach humanistycznych i piórze; i wreszcie „doktór Patriciusz" Nidecki, którego cycerońskie *Fragmenty* świeżo wyszły w Wenecyi. O Kochanowskim wyraża się Górski, że „niegdyś wiele zakosztowawszy nauk, teraz słodszej nad nie oddał się Muzie *(Musae mansuetiosi amantissimus)*". Oprócz tych *luminów*, z którymi poeta „w biskupiej komorze" niejedną pogodną chwilę przeżył, nie brakło i wesołych birbantów, jak doktór Montana, unieśmiertelniony w tylu *Fraszkach*, lub St. Złotnicki, którego pamięć przetrwa w *Foricoeniach*. W ich towarzystwie, sławiąc „wino, lutnię, podwikę", i sypiąc *Fraszkami*, jak z rękawa, spędzał czas poeta, niewiele myśląc o jutrze, jeno używając błogiego dzisiaj. Na mieście także miał mnóstwo znajomości, zarówno w sferach duchownych, jak mieszczańskich. Ze Stanisławem Porębskim, poetą, którego *Skotopaski* stawiał na wyżynie sielanek Teokryta, miał możność gawędzenia o literaturze; z Feliksem Kosem, służebnikiem kanonika krakowskiego, niejednokrotnie „weselił się" w miejscowych gospodach; a z mieszczańskiemi rodzinami Kirschsteinów i Glaców, należącemi do rodów patrycyuszowskich, żył na serdecznej stopie: tak dalece, że staremu Kirschsteinowi, zwanemu także Cezarynem, napisał piękny epigramat, nazywając go „czcicielem prawa i słuszności", a Josta Glaca aż trzy razy „włożył między fraszki".

W ten sposób, na przestawaniu z takimi ludźmi, upłynęło mu dwa miesiące. W czerwcu przeniósł się wraz z całym dworem Padniewskiego, rozpoczynającego objazd dóbr, do Kielc. Tutaj, w ulubionej rezydencyi letniej biskupów krakowskich, w obszernym dworze drewnianym, przez Piotra Tomickiego wystawionym, na tle uroczego pejzażu, na który składały się odnóża gór Świętokrzyskich, odwiecznemi lasami pokryte, oddychał Kochanowski, naprzekór swojej opinii człowieka „wolnomyślnego", nietylko ożywczem powietrzem górskiem, ale i atmosferą duchowną i księżą, „środkującą między kościołem a zakrystyą". Dwór roił się tłumem prałatów, kanoników i niższego duchowieństwa, ale poety nie wytrącało to z równowagi: umiał przystosowywać się do każdego otoczenia, mieniąc się, jak Proteusz, „to w smoka, to w deszcz, to w ogień". To sprawiało, że ciągle trwał w nastroju pogodnym, któremu dawał wyraz w licznych fraszkach i epigramatach, pisanych na różne osobistości z najbliższego otoczenia. Tymczasem, po krótkim pobycie w Kielcach, przeniesiono się do Bodzentyna, do zamku biskupiego, którego białe mury jaśniały na wysokiem wzgórzu, a z którego okien rozlegał się widok na wspaniały ogród, słynny ze swoich d zew owocowych i na kopiaste, lasami pokryte góry. O piękniejszej siedzibie marzyć było trudno. Jedyną okolicznością, zakłócającą ten błogi żywot, było przymusowe towarzyszenie Padniewskiemu, gdy zasiadał na sądach, ale i tak nie brakło czasu na humanistyczne *otia*. Cóż dopiero, gdy się po paru tygodniach przeniesiono do Iłży, do której już sama podróż „przez skały nieprzebyte" była nadzwyczaj przyjemną rozrywką w czasie skwarnego lata. W średniowiecznym zamku iłżeckim, zbudowanym na stromej górze, obronnym murami i basztami, a niedawno przekształconym w stylu renesansu, nie miało się wrażenia, że się przebywa w sępiem gnieździe, pomimo grożnego i posępnego wyglądu zamczyska. „U stóp bowiem kamiennego olbrzyma, od północo-zachodu, było miasto, którego domy,

widziane stąd, maleją do rozmiarów wyciętych z kart budynków, ludzie — do rozbiegłego za pożywieniem mrowiska. W okół zresztą rozłożyły się pola i łąki kwieciste, przerznięte łożyskiem Iłżanki; wszystko to zaś objęły kołem iglaste lasy. Podobne otoczenie, co prawda, nie wieleby jeszcze nęciło oko, pomimo urozmaicenia okolicy przez rozrzucone tu i owdzie wioski i młyny; ale właśnie ponad te lasy, opadłe w dół, wzrok mógł sięgać na południe w przestrzeń o rozległej a głębokiej perspektywie, w której na ostatnim planie, w przezroczu powietrznem, błękitniało pasmo gór Święto-Krzyskich". Kochanowski nie został obojętnym wobec tych gór, skoro w swojej *Pamiątce* powraca myślą, „tam, gdzie ku niebu patrzą Kazimierskie skały". Jakoż wspomnienia jego, wyniesione z pobytu w Iłży, były nader przyjemne, jak o tem świadczy epigram do Jakóba Górskiego. „Tu nawet, gdzie Iłża spoziera na żyzne pola, tu przez bystre potoki i skały nieprzebyte, doszła, Górski, wieść głosząca twoje czyny". I nie dziw, że doszła, bo gdzie było tylu wykształconych mężów, skupionych koło osoby biskupa, tam interesowano się wszystkiem, co wchodziło w zakres humanizmu, a takie zdarzenia, jak Górskiego spór z Herbestem, w którym Padniewski był uproszony na rozjemcę, najwięcej dostarczały tematu do rozmów w otoczeniu dworskiem. Że to otoczenie nie gardziło i winem, zwłaszcza, jeśli to było wino węgierskie z Muszyny, o tem świadczy fraszka *Do Starosty Muszyńskiego*, którego poeta obiecuje swemi „pijanemi rymy" aż do nieba wprowadzić, jeśli go i jego towarzyszów, chcąc się popisać swym „smakiem starodawnym", uczci dobrym węgrzynem.

Tak zeszło całe lato. Pod jesień wrócono do Krakowa, właśnie w chwili, gdy uniwersał królewski zapowiadał dokonanie „egzekucyi" w całej pełni, głosząc bez ogródki, że „dopóki się ten pień z drogi nie zwali, trudno się ma co o porządku jakimś mówić". Uniwersał ten, zważywszy, iż różnowiercy domagali się nietylko świeckiej egzekucyi, ale

i duchownej, stał się źródłem różnych obaw na dworze biskupim, przeczuwano bowiem, że się zanosi na zaciętą walkę z różnowiercami, podczas której Padniewskiemu, jako biskupowi, przyjdzie wystąpić w obronie Kościoła, co w danej chwili wcale nie było łatwe. Wiedziano również, że w tej walce musi przyjść do starcia między Padniewskim a Myszkowskim, a to starcie mogło pierwszego z nich zachwiać. Jednem słowem, zapanowała pewna konsternacya na dworze biskupim, co widząc Kochanowski, coraz częściej zaczął przemyśliwać o dostaniu się na dwór Myszkowskiego.

Tymczasem dnia 29. lutego 1562 roku rozpoczął się sejm w Piotrkowie, sejm, na którym różnowiercy, ośmieleni uniwersałem Myszkowskiego, chcieli przeprowadzić kościół narodowy. Walka toczyła się zażarta, napaści zaś zwrócone przeciwko biskupowi, były tak silne, że już 5. grudnia Padniewski złożył pieczęć podkanclerską. Była to klęska, którą i Kochanowski musiał odczuć bardzo żywo. Upływały miesiące, nadszedł luty, a protestanci nie tracili animuszu; przeciwnie, rozzuchwalili się do tego stopnia, że nietylko napadali na Zygmunta Augusta, nietylko piorunowali przeciw przywilejom duchowieństwa, domagając się równouprawnienia, ale poprostu zaczynali grozić biskupom. Ci ostatni, widząc, że się nie uporają z potężnem stronnictwem protestanckiem, wpadli na pomysł, ażeby wypuścić pismo przeciwko różnowiercom, któreby ich zdyskredytowało w oczach opinii publicznej. W ten sposób powstała *Zgoda* Kochanowskiego [1]), napisana z polecenia Padniewskiego, a będąca ciętą odprawą różnowiercom. Kij, wetknięty w mrowisko, mniej czyni zamieszania w pośród mrówek, aniżeli ta broszurka poety, w licznych odpisach rozrzucona pomiędzy posłów. Zakipiało w obozie protestanckim, a na Kochanowskiego — którego w tym obozie uważano za swego — po-

[1]) Zdaniem Antoniego Mazanowskiego, można, a nawet trzeba przyjąć tak dokładną, ścisłą i logiczną genezę *Zgody*, daleko pewniejszą od wywodu Bobrzyńskiego.

sypały się zarzuty, że został jurgeltnikiem biskupa, że się sprzeniewierzył idei protestanckiej. Ale poeta nic sobie nie robił z tego „świętego oburzenia" różnowierców, bo pisząc *Zgodę*, choć szedł za wskazówkami Padniewskiego, pisał zgodnie ze swemi przekonaniami. Nie znaczy to, żeby był zadowolony z tego pamfletu, (gdyż nie da się zaprzeczyć, że *Zgoda* była pamfletem): raz dlatego, że upragnionej zgody nie sprowadził, przeciwnie, jeszcze bardziej rozjątrzył zwaśnione żywioły, a powtóre, że *Zgoda* tak zaabsorbowała uwagę wszystkich, iż poemat jego *Szachy*, istne cacko artystyczne, do którego wiele przywiązywał wagi, przeszedł prawie niepostrzeżenie, choć wyszedł na krótko przed sejmem, a był przypisany Janowi K zysztofowi Tarnowskiemu. A jednak poeta zdawał sobie sprawę doskonale, że *Szachy*, choć były przeróbką poematu włoskiego, były prawdziwym klejnotem pomiędzy jego dotychczasowemi utworami, jako taki zaś, posiadały wartość pierwszorzędną [1]). Mimo to, nie poznano się na nich. To go dotknęło: o tyle boleśniej, że

[1]) Stanisław Witkowski w swem cennem studyum p. t. *Stosunek „Szachów" Kochanowskiego do poematu Vidy „Scacchia ludus"* nietylko dał syntezę dotychczasowych badań w tej materyi, uwzględniwszy i oceniwszy krytyczne poglądy Krasickiego, Bentkowskiego, Mickiewicza, Bandtkiego, Dzieduszyckiego, Korytyńskiego, Niedźwiedzkiego, Chlebowskiego, ale sam rzecz zbadał gruntownie, przyczem ostatecznie doszedł do następującego wniosku: „Poemat łaciński Vidy obudził w Kochanowskim myśl napisania, podobnie, jak Vida, poematu o grze w szachy w ojczystym języku. Inwencya poematu jako całości jest zupełnie oryginalną i w niczem od łacińskiego poety niezależną, tak, iż poematu polskiego nie można uważać nietylko za tłómaczenie, ale nawet za naśladowanie lub parafrazę. Natomiast w inwencyi szczegółów, mianowicie odnoszących się do przebiegu gry, poeta polski poszedł za utworem łacińskim, naśladując lub tłómacząc całe ustępy. Ale nawet na tłómaczonych miejscach wycisnął nieraz własne piętno, wzbogacając je z jednej strony drobnymi rysami oryginalnymi, z drugiej, pomijając to, czego nie uważał za zupełnie odpowiednie". Wkońcu Witkowski uzasadnia twierdzenie, że pod względem inwencyi całości utworowi Ko-

wogóle był rozdrażniony przez cały czas trwania owego fatalnego sejmu [1]); niedość bowiem, że go szarpano z powodu *Zgody*, ale nadto musiał się procesować ze swym stryjem, Filipem, który go teraz w Piotrkowie zapozwał do sądów asesorskich królewskich, że mu we właściwym terminie nie uiścił się z jakiegoś długu. Echem tej sprawy, która oburzyła autora *Szachów*, jest złośliwa fraszka *Na Stryja*.

Z tegoż czasu datują się dwa *Epitaphia* na śmierć Mikołaja Trzebuchowskiego, zmarłego w ciągu sejmu, a będącego jednym z najzacieklejszych przeciwników Padniewskiego. I Kochanowski, będąc jego sługą, napisał aż dwa „nagrobki" na śmierć takiego człowieka? Mogło to wydawać się tem dziwniejszem, że i Jan Krzysztof Tarnowski, któremu poeta przypisał *Szachy*, należał do antagonistów biskupa. Jak mógł poeta, nie chcąc się narażać swemu protektorowi, w ten sposób zaznaczać swoje sympatye dla jego przeciwników?

Tłómaczy się to tem, że autor *Zgody* powoli ostygał w swoim zapale do Padniewskiego. Ostatecznie przekonał się, że biskup, o ile hojnie wynagradzał niektórych z dworzan swoich, o tyle jego, jakby umyślnie, omijał. To poetę zrażało do niego. Zawiódł się w swych oczekiwaniach. A tymczasem Myszkowski, któremu po skończonym sejmie dostała się — po Padniewskim — pieczęć mniejsza, przeczytawszy *Zgodę*, odrazu poznał się na talencie jej autora, a że z Padniewskim był na wojennej stopie, więc tembar-

chanowskiego należy przyznać pierwszeństwo nad poematem Vidy. Zato pod względem formy, zwłaszcza, gdy chodzi o wykwintność i potoczystość stylu, Vida góruje nad Kochanowskim, co zresztą jest łatwo zrozumiałem: Kochanowski kształcił dopiero język poetycki polski, Vida zaś posługiwał się językiem już od kilkunastu wieków wyrobionym i do szczytu rozwoju dawno doprowadzonym.

[1]) Nie wierzy w to — niczem nieumotywowane — rozdrażnienie prof. Brückner, który również kwestyonuje i „niepopularność *Szachów*, zepchniętych niby na drugi plan przez *Zgodę*". *Op. cit.* strony 646—647

dziej zapalił się do myśli, ażeby mu odbić Kochanowskiego. Wszak i Nideckiego już zdołał pozyskać dla siebie. Czemużby mu się to nie miało udać z autorem *Szachów?* Człowiekiem, którego Myszkowski postanowił użyć w celu pozyskania sobie Kochanowskiego, był Nidecki. Przez niego zaczął działać na poetę: najprzód w Piotrkowie jeszcze, przed rozjechaniem się posłów, gdzie Nidecki — jak ongi w Krakowie w roku 1557 [1]) — starał się wytłómaczyć swemu przyjacielowi, jakie korzyści mógłby osiągnąć z udania się pod opiekuńcze skrzydła Myszkowskiego; a następnie, już po swym powrocie do Wilna, dokąd mu towarzyszył Nidecki, listami tegoż, wysyłanymi do Krakowa, dokąd poeta, po krótkich rekreacyach w Bodzentynie udał się wraz z całym dworem biskupim, listami, coraz usilniej nakłaniającymi Jana, żeby nie ociągał się ze zmianą protektora. W listach tych (z których, niestety ani jeden nie dochował się do naszych czasów) było — jak chce prof. Plenkiewicz — wiele mowy o kwestyach naukowych filologicznych, mianowicie .. kwestyi przekładu *Fenomenów* na język polski, nad którym to przekładem Kochanowski pracował w tym czasie [2]); ale niemniej w nich miejsca zajmowały formalne

---

[1]) Zobacz książki prof. Plenkiewicza strony 280 i 281, gdzie pod rokiem 1557 czytamy, co następuje: „Że poeta odwiedził Patrycego w Krakowie, przed jego wyjazdem do Wilna, to nie ulega wątpliwości". „Przedewszystkiem (już wtedy!) Nidecki musiał być niemało zdziwiony, iż Kochanowski, pragnąc się umieścić w kancelaryi królewskiej, dotąd nie zbliżył się do Myszkowskiego, który przecież jako sekretarz większy, bezpośrednio kancelaryą zarządzał i królowi od siebie kandydatów zalecał. Poeta musiał uznać trafność tych uwag, zwłaszcza, że jako u wychowańca padewskiego przyjaciela i kolegi Klemensa Janickiego, mógł się spodziewać najlepszego przyjęcia. Podążył więc z Patrycym na ulicę Kanonną".

[2]) „Kochanowski — pisze prof. Plenkiewicz na stronie 341 swego dzieła — porównywując tekst grecki *Fenomenów* i *Prognostyków* z ocalałym przekładem Cycerona, dopełnił go *proprio ingenio*, już to dorabiając brakujące w nim wiersze, już naprawiając tekst zepsuty własnemi konjekturami, z których kilka weszło nawet

układy z poetą, dotyczące jego przejścia do obozu Myszkowskiego, „który pragnął mu otworzyć szeroko wrota do przyszłego zawodu, *wyrabiając sekretarstwo królewskie*“. Dla poety „przedstawiało się to nader ponętnie, jako dobrodziejstwo, świadczone bez ubocznych widoków, zwłaszcza, iż w zamian nie wymagano nic więcej nad poparcie piórem dążności, które podkanclerzy miał na przyszłym sejmie wypowiedzieć w propozycyach od tronu. Krótko mówiąc, szło o napisanie czegoś podobnego do *Zgody*“. Gdy Kochanowski przyrzekł napisać coś w tym rodzaju, wtedy otrzymał z Wilna treść przyszłego orędzia podkanclerzego, oczywiście z postanowieniem swobody rozwinięcia jej według własnych pomysłów, i w ten sposób powstał jego *Satyr*[1], który, jak się okazało wkrótce, był w wielu miejscach dosłowną parafrazą owego orędzia.

---

do drugiego wydania *Fragmentów*. Nim jednak podług oryginału zrekonstruował tekst cyceroński i wydrukował w roku 1579 z poprawkami tekstu Nideckiego, wprzód zamierzył drukować przekład *Fenomenow* na język polski i właśnie nad jego wykończeniem pod koniec swego pobytu u Padniewskiego pracował“. W przedmowie swojej, pisanej dnia 13. września 1564 roku, a poprzedzającej wydanie fragmentów, Nidecki wspomina o Kochanowskim, że *Fenomena* „mowie polskiej przyswoił i prawom naszego wiersza poddane, potomności przekazał“.

[1]) O czasie napisania *Satyra* znajdujemy w recenzyi Antoniego Mazanowskiego następujące zastrzeżenia: Słabo motywuje p. Plenkiewicz swoją hypotezę o powstaniu *Satyra* przed 22 listopada 1563 roku. Ani bowiem brak wzmianki o zakończeniu sprawy wołoskiej, ani wyrażenie „Jedź do Trydentu“ nie obala zgoła twierdzeń prof. Morawskiego. Dlaczego koniecznie musiał szeroko wykładać całą sprawę wołoską spółczesnym, którzy ją znali doskonale i poprzestał tylko na wzmiance i to starczyło; a wyrażenie „Jedź do Trydentu“ niekoniecznie trzeba rozumieć literalnie. Mogły się obrady zbliżać do końca w Trydencie, a mógł poeta wysyłać innowierców do Trydentu, aby się nauczyli dogmatów wiary katolickiej, tak, jak i dziś z myślą o Trydencie łączy się myśl wzmocnienia jedności kościelnej. Materyalnego dowodu przeciw dacie 22 listopada 1563 roku te wyrazy nie dają. Ale dają ten dowód

Tymczasem poeta, pewny protekcyi nowego patrona, opuściwszy dwór Padniewskiego, z którym się w zgodzie rozstał, udał się do Warszawy, gdzie na listopad był zwołany sejm. Tutaj „kwapiony“ przez Myszkowskiego, przerobił i wykończył ostatecznie *Satyra*, i napisał dedykacyę, którą z porady Myszkowskiego, pragnącego ułatwić mu drogę do przyszłych zaszczytów, zwrócił do Zygmunta Augusta [1]). Tym sposobem już około 22-go listopada, w którym to dniu Myszkowski odczytał swoje orędzie, *Satyr*, przepisany w mnóstwie egzemplarzy, mógł być rozrzucony między posłów. Bo chodziło o to, ażeby tem pismem poprzeć i spopularyzować poglądy na sytuacyę polityczną, w orędziu podkanclerskiem wyrażone. Czy *Satyr* osiągnął ten rezultat? Zdaje się, że osiągnął, że był czytany skwapliwie, ponieważ Myszkowski nie taił się ze swem zadowoleniem, czego niebawem miał dać dowody.

Zato Padniewski, który także przybył na ten sejm warszawski, bardzo był niezadowolony z *Satyra* i jego autora. Czuł się nim dotknięty osobiście. Dlatego nie obeszło się bez wymówek, gdy się spotkał z poetą. Ale Kochanowski już nie dbał o biskupa, a na jego wymówki odpowiedział złośliwym epigramatem. „Nie służę tobie, niezrównany

---

słowa „kwapiona praca“, użyte przez poetę. Prof. Plenkiewicz usiłuje wytłómaczyć je odmiennie, niż prof. Morawski; jednak dowód p. Plenkiewicza — jak i dowód o czasie pisania jest wątpliwy — i geneza prof. Morawskiego musi się ostać, bo jest zupełnie naturalna i prosta. Jakże można n. p. przypuścić, aby sam Myszkowski „chcąc poecie otworzyć drogę do przyszłych zaszczytów“, zachęcał go do dedykowania Zygmuntowi poematu, w którym młody poeta radzi królowi, w myśl mowy Siennickiego, aby „zaczął rząd od siebie“ i t. d. Takie rady mogły chyba zamknąć poecie drogę do zaszczytów, nie zaś otworzyć.

[1]) Według Stan. Windakiewicza *(Życie dworskie Kochanowskiego)* poeta zjeżdża do Warszawy z Firlejem (jako jego dworzanin) i tutaj, porzuciwszy służbę u Firleja, oddaje się na usługi Myszkowskiemu.

kapłanie, ni konno, ni pieszo, lecz z tego powodu wstyd oblicza mego nie pokryje, nietylko gdybym żądał od ciebie, jakiej nagrody, lecz nawet gdybym się jej, wbrew mojej zasłudze, spodziewał. A przecież skrzętna mrówka, pomna na nadchodzącą zimę, latem wciąż zewsząd znosi zapasy, czem ludziom dobry przykład daje, by i oni, dopóki wiek służy a nogi zdrowe, opatrzyli sobie dom i przysposobili sobie chleb na starość skołataną. Wybacz tedy, że i ja, gdy już prawie zbliża się zima mego życia, jestem nieco troskliwy o zapewnienie sobie własnego kąta".

Tymczasem Myszkowski dotrzymał przyrzeczenia: poeta dostał się do kancelaryi królewskiej, a wstępując do niej, nie przypuszczał nawet, że był to tylko szczebel, z którego podkanclerzy umyślił go wynieść do jeszcze wyższej godności w hierarchii dworskiej. Jakoż w rok niespełna, wyrobił mu sekretarstwo królewskie z tytułem *Secretarius regius*, a prawie jednocześnie, dnia 7. lutego 1564 roku, odstąpił mu intratne probostwo katedralne poznańskie [1]).

III.

Zostawszy proboszczem poznańskim, musiał Kochanowski, w celu objęcia dóbr, przywiązanych do probostwa, udać się do Poznania, wrażenie zaś, jakie wyniósł stamtąd, nie mogło wypaść inaczej, tylko dodatnio i na korzyść Myszkowskiego; ofiara bowiem, którą podkanclerzy zrobił dla poety, zrzekając się tego probostwa, świadczyła zarówno o jego wspaniałomyślności, jak i o wysokiem uzna-

[1]) Że już w tym czasie sława poety była rozgłośną w Polsce, dowodzi tego wydany w roku 1562 *Zwierzyniec* Mikołaja Reja z Nagłowic, w którym to utworze znalazł się między innemi i następujący komplement dla Kochanowskiego:

Przypatrz-że się, co umie począć we ćwiczenie
Gdy szlachetne przypadnie k'niemu przyrodzenie,
Co rozeznasz z przypadków i z postępków jego,
Jego Kochanowskiego, szlachcica polskiego.

niu dla talentu twórcy *Satyra*. Dochody, jakie przynosiło to probostwo, były bardzo ponętnym kęskiem, a napływając z trzech kompleksów dóbr [1]), położonych w różnych okolicach Wielkopolski, dawały najkompletniejsze „zapewnienie sobie własnego kąta", na którem tak zależało autorowi epigramatu do Padniewskiego. To była ich największa zaleta. Ale była i druga, niemniejsza. Oto Kochanowski, otrzymawszy probostwo „tylko dla dochodów", nie potrzebował wcale (bo nie miał prawa, jako człowiek świecki), brać czynnego udziału w obradach i postanowieniach kapituły — warunek, który mu z pewnością bardzo był na rękę. Wystarczało, żeby się stawił osobiście przy akcie instalacyi na proboszcza kapitulnego, co nastąpiło w dniu 7. lutego 1564 roku, poczem mógł nie zaglądać do Poznania, poprzestając na regularnem pobieraniu dochodów. Było za co dziękować Myszkowskiemu.

Podziękował mu w Warszawie, gdzie, po powrocie z Poznania, odrazu zaczął pełnić obowiązki dworzanina-sekretarza przy osobie króla. Na czem polegały one? Przedewszystkiem wymagały odpowiedniego stroju, który na każdy występ musiał być inny, a przynajmniej nie razić je-

---

Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje
Co jego wiele pisma jaśnie okazuje.
Mógł ci umieć Tybullus piórkiem przepierować
Lecz nie wiem, umiał li tak cnotą zatarbować

W słowach tych, pięknie świadczących o poczciwym charakterze Reja, oddał jowialny twórca *Zwierzyńca* najwymowniejszy „w nauce dank przed sobą" Kochanowskiemu.

[1]) „Naprzód pierwszą ich grupę tworzyły dobra *Kicin* z przyległościami w północno-wschodniej stronie, niedaleko Poznania. Kicin obejmował wówczas połanków kmiecych 11, zagrodników 5, komorników 5, i łanów pustych 3. Do niego należała karczma *Zjawieniec*, oraz wsie: *Janikowo, Czerwonak, Kliny z Olendrami, Hamer* z młynem i karczmą, i *Darmosz*". Drugi kompleks dóbr, położonych na północno-wschód od miasta Środy, stanowiły wsie: *Środka, Mącznik* i *Szewce*. Trzeci kompleks wreszcie, pomiędzy Swarzędziem i Kistrzyniem, stanowiła wieś *Paczkowo*.

dnostajnością, dworzanie bowiem, pełniący służbę na pokojach królewskich, zawsze musieli występować w strojach świetnych, nie podpadających najmniejszej naganie. Tak nakazywała etykieta dworska. Kochanowskiemu, który zawsze był elegantem, „wonnemi olejkami skropionym" mogło się to podobać. Na głowie, krótko strzyżonej, z brodą zaokrągloną, a wąsem miernym, nosili dworzanie krągłą czapeczkę w formie fezu, kolorową lub w złotą łuskę, z naprzód podanem piórkiem przypiętem z boku; kaftany, aksamitne lub jedwabne, z kolorową podszewką, z futrzanemi wyłogami, z kołnierzem i bufiastemi, aż do łokcia porozcinanemi w pasy, rękawami, bywały najrozmaitszych kolorów, a zdobne białą fryzą dokoła szyi, oraz wspaniałym łańcuchem złotym, spadającym na piersi, wyglądały z pod białych, błękitnych lub karmazynowych żupanów, których ozdobę stanowiły olbrzymie guzy lub pętlice ze złotych sznurów; obcisłe, w ciżmy wchodzące spodnie, gładkie lub w pasy, również mogły być najrozmaitszych kolorów, choć najczęściej spotykanym był karmazynowy; u boku, na pasie rzemiennym, chwiała się prosta szpada z ozdobną rękojeścią, którą niekiedy zakrywał rąbek kolistego płaszcza włoskiego lub hiszpańskiego; lewa ręka zawsze była w rękawiczce, na prawej zaś, obnażonej, musiał błyszczeć złoty pierścień. W takim-to malowniczym stroju, w jakim zwykliśmy wyobrażać sobie Romea i tylu innych szekspirowskich bohaterów „miał teraz Kochanowski pełnić dyżury na pokojach królewskich, być każdej chwili, niezależnie od pory dnia lub nocy, gotowym do pisania listów, lub spełniania jakichś rozkazów, odczytywać królowi pisma urzędowe, towarzyszyć mu na posiedzenia senatu, gdzie dlań było miejsce po za tronem, spełniać od króla mniej ważne do ościennych dworów poselstwa, jeździć z listami do nieobecnych na dworze dostojników koronnych, należeć do komisyj granicznych dotyczących dóbr stołowych lub starostw, rozpatrywać osobiście wszelkiego rodzaju czyny, wymagające sprawdzenia,

a podpadające pod kompetencyę sądów królewskich, a przedewszystkiem stać u drzwi komnaty królewskiej, oraz wprowadzać posłów zagranicznych, lub inne dostojne osoby, na posłuchanie do króla, co nie zawsze było łatwem zadaniem ze względu na ciżbę dworską, przez którą nieraz wypadało przebojem sobie drogę torować". Ale nic nie dawało się tak we znaki Kochanowskiemu, jak ustawiczne wystawanie u drzwi komnaty królewskiej i „wycieranie boków o twarde ich podwoje", przyczem, nie mogąc ruszać się z miejsca, dopóki król nie udał się do stołu, nieraz i głodem przymierał. „Tu nie zważam na skinienie drugiego, tu progu nie pilnuję, ani też sobie o twarde podwoje czułego nie obrażam boku. Tu, gdym głodny, nie mam potrzeby wyczekiwać, aż się panu jeść zachce, ani też w ciżbie komuś na przebój torować drogi; tu sobie życie nie według obcej urządzam woli, lecz wolno mi wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania". W tak niekorzystnem świetle opisze kiedyś Kochanowski, „uprawiając łany ojczyste", te lata swego dworzaństwa, na to jednak, ażeby mu obrzydło w końcu, złoży się wiele. Tymczasem nie skarżył się na swoją dolę. Blizki osoby króla, pełnił służbę zaszczytną, a choć Zygmunt August, zamknięty w sobie, smutny, a przytem dbały o swą monarszą powagę, nikogo nie dopuszczał do poufałości ze sobą, wszystkich utrzymując w pewnem oddaleniu, to jednak człowieka tej miary, co jego sekretarz, mógł ujmować swem wykształceniem, wykwintnością w obejściu, wytwornym smakiem w rzeczach sztuki i nauki, oraz miłością dobra powszechnego, którego tak gorąco pragnął dla swych poddanych. Pozatem stanowili kontrasty, co nie wpływając na psychikę króla, na psychikę jego niepospolitego dworzanina, bardzo wrażliwego i drażliwego z natury, mogło niekiedy wpływać rozstrajająco. „Kochanowski, choć doznał wielu zawodów, właściwie dopiero wstępował na drogę, która go do sławy, a może i do wyższych miała doprowadzić dostojeństw. Tamten czarę ży-

cia oddawna do dna wychylił i po kilku kroplach słodyczy dopił się żółci; ten choć nieraz rozkosze czerpał z mętnego źródła, przecież tyle jeszcze miał w swej duszy zasobów młodości, że mógł się wszystkiego po przyszłości spodziewać. Więc też patrzy na świat okiem jasnem, pogodnem i zapewne nie rozumie upodobań Zygmunta do przesiadywania w komnacie czarnym kirem obitej, z takimiż kobierczykami, pokrywającymi ławy i stoły, a które tem więcej nadawały jej pogrzebowy charakter, że je zdobiły listwy białe, aksamitne, misternie haftowane czarnym jedwabiem".

Na szczęście, to, co miał w sobie żałobnego i ponurego stosunek z Zygmuntem, łagodził przyjemny stosunek z Myszkowskim, do którego z niekłamaną skwapliwością biegł po ukończeniu swej służby przy królu. Ale bo też Myszkowski, jako człowiek, posiadał przymioty nieocenione, nieskończenie pod tym względem przewyższając Padniewskiego. Tamten nigdy nie zapomniał wobec dworzan, czem jest w stosunku do nich; przeciwnie Myszkowski: ten ceniąc w Kochanowskim przedewszystkiem jego talent, uważał go za równego sobie i zachowując dygnitarską powagę dla innych, dla niego nietylko miał serce, ale i rękę otwartą (zwłaszcza tę, którą sięgał do trzosa). Przytem, był to człowiek wesoły, zamiłowany w ucztach i bachanaliach, podczas których — czego mu nie mogli darować niektórzy — najczęściej zapominał o swym charakterze kapłańskim. Opinia „wielbiciela nierządnic" nie była oszczerstwem, tak samo, jak nie kłamali ci, co go nazywali *il piu astuto e fallace uomo di Polonia*, a podejrzewali go o ateizm, zarzucali sprzedajność w rozdziale beneficyów, głosili o jego złem obchodzeniu się z księżmi, których bijał nierzadko, i wreszcie oburzali się na brak wszelkiej miary w biesiadniczej ochocie, którym nieraz gorszył nielicznych Tartuffe'ów swego hulaszczego i rozpustnego otoczenia. Do tych, którzy się nie gorszyli jego sybaryckiem, epikurejskiem ży-

ciem, ani jego przestawaniem z ludźmi, niezbyt ortodoksyjnych przekonań, ale owszem przyklaskiwali pogańskiemu prowadzeniu się podkanclerzego (nawet wtedy, gdy ten „dosięgał pięścią gęby“ grającego z nim w karty opata), należał i Kochanowski, któremu ten wesoły tryb życia na dworze Myszkowskiego wcale przypadł do smaku, jak o tem świadczą liczne fraszki i epigramaty z tej epoki.

Chcemy sobie być radzi?
Roskaż, panie, czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytem w złote gęśli, albo w lutnię grają.

W takim nastroju, przy biesiadnym stole, „gdy woniały fijołki“, a „pieniły się puhary“, powstała większość epigramatów, a powstała „nie ze źródła aganipejskiego, lecz ze dzbana“; Myszkowski bowiem, któremu z czasem zostały przypisane, „Muzom a tembardziej poecie zabraniał biesiadować w domu“. Nie gardził też „pjanemi rymami“, które rad „wśród kielichów krążących“ odczytywał, poeta zaś, urągając w takich chwilach „bajaniom o źródle skrzydlatego rumaka“, nie wahał się dowodzić, że „tylko wino stwarza poetów i wdzięczne poddaje piosenki“. Woda nie daje natchnień poetyckich. „Ja sam, mój Piotrze (a przez tego Piotra należy rozumieć Myszkowskiego), najlepiej to poświadczyć mogę: gdym trzeźwy, na nic się nie zdam, a tylko namyślam się, i zębami ogryzam paznogcie, co nic nie zawiniły. Lecz gdy sobię trochę podchmielę, a duch się winem rozgrzeje, wtedy czuję zaraz, jak w głębi piersi budzą się niezliczone szeregi wierszy, budzą się i rwą do lotu, wypuszczone zaś, hurmem walą, jak pszczoły nęcone ciepłem wiosennem“. Co prawda, to nietylko wino, ale i towarzystwo, w którem poeta dzielił te biesiady swego mecenasa, w niemałej mierze przyczyniało się do ożywienia weny poetyckiej; do tych bowiem, którym smakował słodki nektar z piwnic Myszkowskiego, a którzy stanowili jego ulubione grono biesiadne, należeli tacy ludzie, jak Nidecki

i Stanisław Fogelweder; a obok wielu innych, jak Piotr Kłoczowski, Mikołaj Firlej, Grzegorz Podlodowski i Jędrzej Trzecieski, brał udział w tych libacyach i Walenty Bacfark, znakomity lutnista, tak często wspominany we *Fraszkach*.

Ale choć tymi wesołymi biesiadnikami byli przeważnie księża, to jednak i kurtyzany miewały przystęp do tych humanistycznych agap. Trudno: przykład szedł z góry. Zygmunt August bowiem, niepocieszony po stracie Barbary, a czując fizyczną odrazę do swojej trzeciej żony, Katarzyny rakuskiej, z którą nie mógł uzyskać rozwodu, bynajmniej nie starał się o to, ażeby świecić przykładem dla dworzan. Przykład, z tak wysoka, nie dziw, że odpowiednio działał i na otoczenie, a że na dworze, oficyalnie składającym się z samych mężczyzn (od czasu separacyi z Katarzyną), uwijało się mnóstwo podejrzanych niewiast, więc i wśród dworaków, choćby tylko dla zabicia czasu, tkwił niezwykły kult pokątnych miłostek. Chodziło o wypełnienie próżniaczego życia, do tego zaś, w braku jakiegośkolwiek wędzidła moralnego, nic nie nadawało się tak dobrze, jak sute ofiary bez „sykonfancyjej“ na ołtarzu Bacha i Wenery.

Kochanowski, jak się okazuje z jego fraszki *O swych rymiech* (którym jakiś ksiądz zarzucał zbytnią rozwiązłość), nie był pomiędzy ostatnimi tam, gdzie szło o wino i podwiki.

Ja inaczej nie piszę, ieno iako żiię:
Piiane moie rymy, bo y sam rad piję.
Nie mierzi mię biesiada, nie mierżą mię żarty,
Podczas i czepiec, więc też pełne tego karty.

Zwłaszcza nie mierził go czepiec, a jeśli się zdarzyła biesiada, na którą każdy uczestnik przychodził ze *swoją*, wtedy — jak w jednej z pieśni — starał się być przewodnikiem tego rozbawionego chóru.

Miło szaleć, kiedy czas po temu,
A tak bracia przypiy każdy swemu:

Bo o głodzie nie chce się tańcować,
A podpiwszy łacniey już błaznować.

Ale to nowy zysk, że mię słuchacie,
A żadney mi pełney nie podacie.
Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczyni taki nic dobrego.
. . . .

Przedsię do mnie, a ja nie zawiodę:
Wy też drudzy co macie pogodę
Każdy swojej włóż w ucho leda co,
Nie macie tu oglądać się na co.

I żeby nie pozostać w tyle za innymi, sam nie oglądał się na nic, a zawsze miał jakąś Bogumiłę, Jadwigę, Magdalenę, Kachnę lub Pryszkę [1], którejby przy biesiadzie mógł „kłaść w ucho leda co", choćby tem *leda co* miało być coś takiego „czego by się przed panną czytać nie godziło". W żadnej nie kochał się na seryo, ale lubił wszyst-

[1]) W kwestyi tych miłostek i miłości Kochanowskiego, w które poeta przez cały czas swego kawalerskiego życia stale był uwikłany, tak pisze prof. Dobrzycki, który, choć nie chce iść zbyt daleko w „wyciąganiu z utworów poety danych biograficznych", to jednak wychodzi z założenia, że wszystkie fraszki i pieśni Kochanowskiego, mające charakter erotyczny, są rzeczywistem odbiciem przeżytych epizodów miłosnych, mniej lub więcej poważnych lub płochych. „Od Lidyi aż do ostatniej miłości przed ożenieniem przez pisma jego przesuwa się cała masa imion, które wszystkie świadczą o tem, że poeta nasz bardzo często bywał w więzach miłości, że bardzo często powtarzał sobie słowa mistrza: *Intermissa, Venus, diu rursus bella moves?* Miłości to rozmaite, *amore profano* mienia się z *celeste*, miłość wesoła ze smutną, głęboka z miłostką, ale poeta ciągle kochać musi, podobnie jak w dwa wieki później Göthe. Przesuwają się też przed nami liczne postaci: Lidya, Hanna, Bogumiła, Jadwiga, Anna, Neta, Reina, Magdalena, Zofia, Dorota, nie mówiąc już o bezimiennych. Choćby pewna część tych imion miała znaczenie czysto konwencyonalne, to i tak zostanie dosyć, aby świadczyć o miłościach poety. Stosunkowo też wielka liczba drobnych utworów poświęcona jest przejściom miłosnym". *Pieśni Kochanowskiego*, strona 82.

kie, a za niektóremi, jak za Magdaleną n. p., na którą patrząc „wszystkę władzę stracił swoią", szalał przez czas jakiś, uwiedziony ich zmysłowym powabem. Choć zdarzały się i takie, jak „harda Neta" n. p., u których nie miał powodzenia. I na Magdalenę mógł patrzeć tylko [1]).

[1]) Prof. Windakiewicz w swym *Erotyku Kochanowskiego*, mówiąc o tych miłostkach dworskich poety, zwraca uwagę na postać Anny, która w tych czasach była jego pierwszą poważniejszą miłością. „Jest to ta sama Anna, która dobre biesiady wydawała towarzyszom Kochanowskiego". Zdaniem Windakiewicza była to jedna z literackich znajomości Kochanowskiego, bo do niej zwrócony jest przekład namiętnego wiersza Safony, w którym śpiewaczka mitylenska wyraża omdlewającą rozkosz na wspomnienie chwil przepędzonych razem z kochankiem. „Bliżej jeszcze naturę tej miłości określa zgrabny bilecik — w formie niedokształconego sonetu — zawierający skargę na zawód w umówionem *rendez-vous*. W wierszach tych, wyraźnie do Anny skierowanych, odsłania nam się wcale zajmująco rodzaj tej nowej znajomości naszego poety. Annę z Kochanowskim łączyło widocznie szczere uczucie; cenili się nawzajem, sympatyzowali ze sobą, umysłowo byli do siebie zbliżeni. Kochanowski podziwiał jej przymioty towarzyskie, a że potem między tych dwoje ludzi wkradł się bożek miłości, to już było tylko naturalnem następstwem ich sposobu życia i sytuacyi społecznej... W nagrobku, napisanym po jej śmierci, wspomina poeta o jej grzeczności, uprzejmości i wesołem usposobieniu. Przymioty te nie zastanawiałyby nas szczególnie, gdyby się nie czuło, że Kochanowski tę kobietę naprawdę szanował. To uczucie nadaje ciepły ton całemu nagrobkowi; przy wyliczaniu jej zalet pojawiają się zaraz przymiotniki „dobra wola", „uczciwe biesiady", a za tem szczery żal, że ją śmierć nagle wyrwała z rąk jej prawdziwych przyjaciół i adoratorów" (strony 11 i 12). Z pośród kobiet, z któremi Kochanowski, za czasów dworskich, żył najbliżej, jak z prawdziwemi i niezawodnemi przyjaciółkami, Windakiewicz wyróżnia dwie: „piękną Zofię", którą „miłość nosi, że musi skakać, jako sarna w lesie", a którą Kochanowski namawiał w dość primitywnej piosnce, by korzystała z czasu i kwitnącej młodości; i Bogumiłę, którą zrazu przecie trudno przyszło zniewolić na kochankę, a z którą później żył na poutnej, szczerze przyjacielskiej stopie (strony 10, 11).

Z powodu Fraszek *Do Anny*, wspomina Plenkiewicz, że we fraucymerze królewny Anny była sławna ze swej piękności, Anna

Tymczasem z nadejściem dnia 22. listopada 1568 roku rozpoczął się sejm w Warszawie. Był to pierwszy sejm, na którym Kochanowskiemu wypadło stać za tronem królewskim. Dawało mu to możność uważnego przysłuchiwania się obradom, bardzo burzliwym z powodu egzekucyi i sporów religijnych.

Zamieszanie jednak, panujące w izbie sejmowej, wzmogło się jeszcze, gdy Orzechowski rzucił pomiędzy posłów *Quincunxa*, świeżo wydanego wraz z powtórnie wydrukowanym *Dyalogiem o egzekucyi*, a wymierzonego przeciwko władzy królewskiej, przeciwko Litwinom, nie mówiąc już o różnowiercach. Zapanowało powszechne wzburzenie, a że królowi i Myszkowskiemu zależało na uspokojeniu umysłów, więc, żeby naprawić zło, jakiego nawarzył Orzechowski,

---

Zajączkowska, szlachcianka z sieradzkiego województwa, którą później uwiódł król Zygmunt August, obałamuciwszy ją obietnicą małżeństwa. Zdaniem Plenkiewicza nie jest niemożebnem, że tą Anną, która taki czar wywierała na Kochanowskiego, była Zajączkowska. Przypuszczenie to nie trafia do przekonania Stan. Zatheyowi, który swój sceptycyzm w tej kwestyi motywuje w następujący sposób:

Jeśli wszystkie trzy wiersze *Do Anny* do jednej i tej samej się odnoszą, to ta Anna z Fraszki 88 księgi II obiecała raz poecie, że przyjdzie do niego do domu. Zawiodła go wtedy: on czekał niecierpliwie, nie wiedział, co z sobą ma począć (Fraszka 75, księgi II, *Do Anny)*, chciał czytać, ale nie rozumiał tego, co czytał, chciał grać, ale nie mógł rozpocząć, wreszcie zaczął pisać wiersze do tej, która go tak srodze zawiodła, ale sen wytrącił mu pióro z ręki i uspokoił gniewy. Dajmy na to, że „skandaliczna", jak ją p. Plenkiewicz nazywa, panna Zajączkowska mogła poecie dać obietnicę schadzki (na którą zresztą nie przyszła), i że ta fraszka do niej się odnosi, ale przecież nie do niej odnosi się Fraszka 95, księgi II, pod tytułem *Nagrobek Annie*, w której poeta mówi:

Za swoją dobrą wolę, którąś w domu twoim
Zawżdy okazywała Anno gościom swoim,
Godna byś przetrwać była trzystoletnie dziady.

Panna Zajączkowska przecież uczt w swoim domu nie urządzała, a umarła chyba wtedy, kiedy poeta był już stary albo po jego śmierci (król uwiódł ją w roku 1570)

polecono Kochanowskiemu, ażeby *stante pede* napisał coś, coby uciszyło namiętności. W ten sposób powstały *Wróżki*, napisane podczas sejmu na początku roku 1564, a które, artystycznie niższe od pomienionych pism Orzechowskiego, są jakby na nice wywróconym *Quincunxem* [1]. Obiegając w licznych odpisach, rozwijały tragiczny wykrzyk Orzechowskiego *Zginiemy!* a źródłem zguby, grożącej Rzeczypospolitej, mieniły *egzekucyą* oraz „niedostatek cnotliwych ludzi", którym upadły i inne mocarstwa. Wogóle były wyrazem przekonań Myszkowskiego, brały w obronę króla, nad którego Orzechowski wynosił prymasa, potępiały waśń religijną, której, jako przyczyny wszystkich rozruchów w kraju, radziły zaniechać, a różnowiercom przypisywały, że „wnoszą rozterki między ludzi, zaczym pewny upadek idzie Rzpltej".

Co na to mówił Mikołaj Radziwiłł, jako „najgorszy z heretyków?" Wszak on, nie kto inny, stał na czele tych, na których poeta zwalał przyczynę wszystkiego złego, dowodząc, że „kto wiarę zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza, fundamentów Rzeczypospolitej wzrusza, co mu tym więcej za złe ma bydź poczytano, iż czego Bóg Rzeczypospolitej ku iey naprawie użyczyć raczył, tego on swym niebacznym

[1]) *Wróżki* wyszły dopiero w roku 1585 w edycyi pośmiertnej dzieł Kochanowskiego, dokonanej przez Jana Januszowskiego.

Z powodu *Wróżek*, tak pisze w swej recenzyi w *Pracach filologicznych* Brückner: *Wróżki* nawiązuje Plenkiewicz do *Satyra*; powstały mu one „w ciągu sejmu 1564 roku" pod wpływem pamfletów Orzechowskiego, z inicyatywy Myszkowskiego, potępiającego drażniące wywody żurowickie; wskazałem na wzór Orzechowskiego (pleban do niego, nie do Myszkowskiego się odnosi) *Archiv* t. VIII, str 53, i wypowiedziałem mniemanie, że gdy śmierć rękę Orzechowskiego ubezwładniła, Kochanowski się roli jego (bez skutku) podjął; naznaczałem więc rok 1567 dla powstania *Wróżek*" (str. 649) Bobrzyński w rozprawie o *Stanowisku politycznem Kochanowskiego* odnosi napisanie *Wróżek* do roku 1569 To samo Tarnowski, który ich czas napisania opiera na tem, że w nich mowa o Zygmuncie Auguście, jako o żyjącym, a o Unii lubelskiej, jak o rzeczy dokonanej (strona 317).

postępkiem ku iey skazie używa". Był to zarzut ciężki, który Radziwiłł łatwo mógł wziąć go serca. Kto wie, czy nie dla złagodzenia tego potężnego magnata, Kochanowski poświęcił mu Elegię IX księgi III, którą mu wręczył osobiście.

Oprócz tego napisał teraz *Pamiątkę* na śmierć Jana Baptysty Tęczyńskiego[1]), o której smutną wieść otrzymano właśnie w czasie sejmu. Śmierć ta, zaszła w chwili, gdy młody wojewoda jechał do Szwecyi, ażeby tam poślubić córkę królewską, na wszystkich zrobiła wstrząsające wrażenie, a Kochanowski odczuł ją silniej jeszcze, niż inni, gdyż był przyjacielem „wszytkimi cnotami hoynie obdarzonego" hrabiego na Tęczynie. Po zatem, pilnując służby przy królu, nie często chwytał za pióro. Ciągłe posłuchania, przyjmowania posłów zagranicznych, uroczystości na dworze etc., wymagające jego obecności, a nie pozwalające wyręczać się kim innym, nietylko mu pochłaniały wszystek czas, ale jeszcze narażały na różne nieprzyjemne starcia, n. p. z butą magnacką. „Nieznany, nowy dworzanin, zapewne zbyt skrupulatnie pilnujący kolei, obrażał dumę niejednego panka, któremu się zdawało, że przed nim powinny się natychmiast otwierać podwoje komnat królewskich". Na szczęście, poeta umiał się odcinać, tak, że niejednemu „hardemu" dostało się jak we Fraszce VI księgi I, napisanej pod wpływem takiego zajścia u drzwi komnaty Zygmunta.

Nie chcę w tey mierze głowy psować sobie,
Bych sie móy panie miał podobać tobie...

Nareszcie, dnia 26. marca, skończył się sejm, posłowie się rozjechali. Znużony po trudach parlamentarnych, Zygmunt August postanowił odpocząć w Warszawie, co pociągało za sobą, że i Kochanowski był skazany na kilkutygodniowy pobyt w tem mieście. Czy był rad z tej decyzyi królewskiej? Czy nie wolałby, oderwawszy się od zwykłych

[1]) W *Pamiętniku literackim*, 1907, II, zamieścił Karol Badecki ciekawą rozprawkę o pierwszem wydaniu *Pamiątki*.

zajęć dworzańskich, pojechać do Sycyny, skąd mu donoszono o projektowanem małżeństwie brata jego, Mikołaja, i nalegano, ażeby koniecznie przyjechał na wesele? Cóż, kiedy nie zależał od siebie, a sytuacya była tego rodzaju — z powodu poselstwa od sułtana Solimana — że nie sprzyjała prośbie o urlop [1]).

Z nadejściem maja, gdy król zdecydował się na wyjazd z Warszawy, rozpoczęło się owo nużące, uciążliwe włóczenie się po całym kraju, włóczenie się rozmyślne, Zygmunt bowiem, nie chcąc żyć pod jednym dachem z Katarzyną, a nie chcąc również, żeby jej przymusowy pobyt

---

[1]) Tutaj Plenkiewicz występuje z hypotezą, która — jak i wiele innych zresztą w tem jego dziele — wydaje mi się wielce ryzykowną, a mało prawdopodobną historycznie. Hypoteza stoi w związku z owem poselstwem od Solimana. Poselstwo to domagało się zadosyćuczynienia w sprawie Olbrachta Łaskiego, którego, ażeby uspokoić sułtana, należało skłonić do ustąpienia z Chocima. W tym celu wyprawiono do niego naglące listy. Przez kogo? Plenkiewiczowi wydaje się prawdopodobnem i możliwem, że doręczenie tych listów powierzono Kochanowskiemu. „Pomyślne załatwienie tak ważnego poselstwa — powiada — otwierało mu najpewniejszą drogę do dalszych łask królewskich: cóżby więc było dziwnego (?!), gdyby Myszkowski, pragnąc zwrócić na Kochanowskiego uwagę Zygmunta, wskazał nań, jako na osobistość, nadającą się do tej sprawy?“ Wszystko to być może, jednakże dowodów na to, a nawet cienia dowodów, niema absolutnie. Wiemy tylko, że Kochanowski sympatyzował z Łaskim, o czem świadczą jego niektóre wiersze *Do Łaskiego*. Wiemy, że Kochanowski pod koniec życia przesłał Łaskiemu egzemplarz *Psałterza* z dedykacyą, ale to jeszcze żaden dowód, ażeby tak ważne i trudne poselstwo, jak owe do Łaskiego, powierzono Kochanowskiemu. Wtedy, gdy Łaski odwiedzi Kochanowskiego w Czarnolesie, poeta będzie znanym i sławnym w całej Polsce człowiekiem... Teraz jednak, w roku 1564, Kochanowski jeszcze nie był tem, czem z czasem stał się za Batorego, dzięki Zamoyskiemu. Tegoż zdania jest i Tarnowski w swej recenzyi o dziele Plenkiewicza, gdzie to poselstwo Kochanowskiego zalicza do wypadków „niedowiedzionych“ (str. 406). Brückner i Mazanowski również mają poważne wątpliwości w tej kwestyi.

w Radomiu był poczytany za więzienie, umyślnie miejsca nigdzie długo nie zagrzewał: to mu dawało możność tłómaczenia się przed Wiedniem, że jeśli nie mieszka razem z królową, to dlatego jedynie, że nie chce jej narażać na męczące trudy podróży. To ustawiczne zmienianie miejsca pobytu, motywowane najrozmaitszemi pozorami, zwłaszcza dawało się we znaki dworzanom, z których „niejeden chciałby uciec z dworu, gdzie, jak w kieracie, ciągle się mozolił". I nie można się im było dziwić, sposób bowiem, w jaki się odbywały ówczesne podróże dworskie, o ile mógł być mniej uciążliwym dla króla, jadącego w wygodnej karocy, o tyle był w najwyższym stopniu nużącym dla jego otoczenia. „Naprzód szły wozy z zapasami żywności, z beczkami wina i piwa; inne były pełne kotłów, naczyń kuchennych i przyborów do zastawy stołu królewskiego służących; a jeszcze inne uginały się pod mnóstwem skrzyń z szatnią, sprzętami do ozdoby komnat królewskich i sepetami należącemi do dworzan. Dopiero za tym taborem wyruszał król w otoczeniu konnych orszaków, poprzedzony oddziałem nadwornego wojska, które tworzyło straż przednią i torowało drogę, uprzątając zawady. Za królem znowu zdążali: podkanclerzy, podkomorzy, marszałek dworu, oboźny, łowczy i inni; za nimi zaś ciągnęły wozy z kancelaryjnemi aktami w skrzyniach, wreszcie służba niższa, zapasowe konie i oddział nadwornego żołnierza, tworzący straż tylną orszaku. Jeżeli sam jednak pochód odbywał się w znośnym porządku, to popasy i noclegi przedstawiały zamęt nie do opisania. Król, z towarzyszącymi mu dostojnikami, we wsi, czy miasteczku, zajmował co największe i najporządniejsze budynki; ale dworzanin każdy musiał przed innymi zdobywać sobie miejsce przebojem. Jeszcze latem — pół biedy: rozbijano namioty, lub zajmowano stodoły; zimą jednak, szczęśliwy był, kto choć w kurnej chacie znalazł kąt znośny dla siebie". Była to okoliczność, która człowiekowi takiemu, jak Kochanowski, mogła zbrzydzić służbę na dworze, bo w Czarnolesie,

latem i zimą mógł mieć wszelkie wygody. Rozumiał jednak, że tylko przy królu może zrobić jakąkolwiek karyerę, i ta myśl godziła go z trudami królewskiej włóczęgi.

Tymczasem pociągnięto ku Łomży, a stamtąd na kilka dni do Knyszyna, gdyż królowi przyszła ochota zapolować na niedźwiedzie. Tym razem wszakże, zarówno Kochanowski, jak i Nidecki, nie mieli nic przeciwko temu nadłożeniu drogi, w Knyszynie bowiem, położonym niedaleko od Tykocina, mieli sposobność zobaczyć się z Łukaszem Górnickim. Niestety, już po tygodniu musieli się rozstać z wytwornym naśladowcą Castiglione'a, ponieważ wypadało zdążać na zjazd do Bielska. Tutaj zabawiono dwa miesiące przeszło, a cały czas zajęły burzliwe obrady sejmowe, zakończone strasznym pożarem zamku od pioruna. „Krol, siedząc na koniu, przyglądał się od strony stajen niszczącemu żywiołowi, gdy z gmachów, objętych płomieniem, wynoszono wszystko, co tylko uratować się dało". Działo się to dnia 20. lipca 1564 roku. Na krótko przedtem przysłano Kochanowskiemu z Krakowa świeżo wydane dwa jego utwory, *Satyra* i *Zgodę*, wydrukowane razem w jednej książce[1]. Z Bielska, gdzie spalenie zamku nie pozwalało na dalsze obrady, orszak królewski, zwiększony zastępem posłów litewskich, podążył ku Parczowu, gdzie już zebrana szlachta niecierpliwie oczekiwała króla, a gdzie, po przybyciu tegoż, rozpoczął się głośny sejm parczowski. Tu zabawiono do końca sierpnia. Na wrzesień i październik przeniesiono się do Lublina, co Kochanowskiemu dało możność zaglądania do Czarnolasu i Sycyny, dla zobaczenia się z rodziną, oraz do Dąbrowicy, gdzie w tym czasie panowała żałoba z powodu zgonu pięknej wojewodziny lubelskiej. Poeta, patrząc

---

[1]) W liście, datowanym z Bielska dnia 6. lipca 1564 roku, a pisanym do kardynała Hozyusza, Andrzej Nidecki, przesyłając mu *Satyra*, jako dzieło świeżo wyszłe z pod prasy, nie szczędzi pochwał autorowi, któremu przyznaje pierwszeństwo nad wszystkimi poetami polskimi, piszącymi po łacinie, lub w narodowym języku.

na nieutulony żal młodego wdowca, skreślił dwa rzewne „nagrobki“ z tego powodu, wysławiając w nich

> Zofię Bonarównę, której żywot święty
> Godzien, aby wszem paniom za przykład był wzięty.

W połowie listopada przeniesiono się do Piotrkowa, dokąd Zygmunt August zwołał sejm na 18. stycznia. Tutaj, na początku marca, już w toku burzliwych obrad, przyjechało poselstwo Maksymiliana II, w którem, ku najwyższemu uradowaniu Kochanowskiego, znudzonego tym długim pobytem na Bugaju, znalazł się w roli świetnego „dyplomaty w fioletach“ Andrzej Dudycz, w tej chwili już biskup pięciokościelski. Była to nader miła niespodzianka dla poety. Miła i niemiła: Jan bowiem, jakkolwiek mógł być rad z tego przyjazdu swego dawnego kolegi padewskiego, nie mógł jednakże, mimo tę radość, oprzeć się pewnym refleksyom, opadającym go, niby naprzykrzone muchy. „Ten pusty, wesoły Jędrzej, czasów weneckich i padewskich towarzysz, był trzema laty od niego młodszy, nie miał daru poezyi, którym on w kraju imię swoje rozsławił, a pomimo to, jakże różne od niego stanowisko zajmował! W 28 latach, gdy poeta nie mógł się dobić do kancelaryi królewskiej, on już otrzymuje biskupstwo knińskie, następnie czanadzkie, wreszcie — jedno z najbogatszych — pięciokościelskie, a obecnie, jako poseł jednego z największych monarchów świata, otrzymuje należne swym godnościom na dworze polskim honory, gdzie najdumniejsi panowie starają się o jego względy, gdzie król w sprawach najważniejszych tajemne odbywa z nim narady, a on tymczasem, poeta, w tłumie dworzan, torując mu drogę z urzędu, całemi godzinami wystawał przy drzwiach komnat królewskich“. Mimo tę różnicę stanowisk, Dudycz nie myślał wynosić się nad swego przyjaciela i kolegę z czasów studenckich, a kiedy mu wypadło jechać do Radomia, na dwór królowej, wyraził życzenie, aby mu Kochanowskiego dodano do towarzystwa, jako przystawa

z urzędu. Z podróży tej wyniósł poeta bardzo miłe wspomnienie, raz dlatego, że w Dudyczu tkwił niepospolity humanista, który cztery razy całego Cycerona przepisał [1]) (zato z brewiarzem nie miał nic do czynienia!), a powtóre, że okoliczności, towarzyszące powstaniu jego wiersza *Do Reyny*, którą była Regina Straszówna, urocza dworka z fraucymeru królowej, wcale nie trąciły banalnością. Sytuacya była taka. Wystarczyło dwom młodym przyjaciołom, biskupowi i poecie, stawić się na dworze królowej, na którym poznali się z cudną Reginą, ażeby obaj ulegli czarowi jej niezwykłej urody, ażeby się przekonali osobiście, że wszyscy niedarmo Straszównę dla jej piękności uroczej nazywali „królową". Zwłaszcza zakochał się w niej Dudycz, który pod wpływem jej niesłychanego powabu poprostu tracił panowanie nad sobą. Sprytna dziewczyna, zoryentowawszy się w sytuacyi, postanowiła wyzyskać ten namiętny afekt płochego biskupa, a że była świadoma różnych arkanów miłości, więc zdecydowawszy się na złapanie go, wpadła na przewrotny, a wyrafinowany pomysł, ażeby do tego użyć poetę. W jaki sposób? Oto zaczęła kokietować go, on zaś, nie domyślając się podstępu i jakichś ubocznych zamiarów, odrazu połknął zarzucony haczyk. Taką jest psychologiczna geneza wiersza *Do Reyny*, w którym z niemałym wdziękiem zostały opisane „różowe usta" i „śliczne ręce" zalotnej Straszówny. Nadmienić wypada, że Straszówna pochodziła z rodu Odrowążów, co sprawiało, że Kochanowski był — przez matkę — jej stryjcem herbowym. Ale zakochany w cudownej „królowej", przekonał się niebawem, że go „tylko zabawiała próżnemi słowy", że jej chodziło nie o niego, lecz o Dudycza, który, podrażniony w swej miłości własnej, istotnie brnął coraz głębiej. Skończyło się na tem, że poeta, ulżywszy sobie wierszem *Do zalotnej*, „podziękował"

[1]) Prof. Brückner, opierając się na dziele Stieffa, kwestyonuje to twierdzenie prof. Plenkiewicza o trzy czy czterokrotnem przepisaniu „całego Cycerona" przez Dudycza.

Reginie, to jest wycofał się ze szranków, Dudycz zaś, zapomniawszy o swej powadze posła i kapłana, do reszty stracił głowę [1]). Kiedy wyjeżdżali z Radomia, Kochanowski wracał już zrównoważony zupełnie, a Dudycz szalał z miłości. Niedarmo w nim płynęła krew matki Wenecyanki!... W takim nastroju znaleźli się z powrotem w Piotrkowie, gdzie tymczasem zbliżał się koniec sejmu.

Po rozpuszczeniu posłów, w czerwcu 1565 roku, po półrocznym pobycie w Piotrkowie, wyruszył król, wraz z całym dworem, na Litwę, umyślnie omijając Radom. Zatrzymał się dopiero w Knyszynie, gdzie po sejmowych trudach wypoczywał przez cały lipiec. W tymże czasie Łukasz Górnicki ostatecznie wykończył swojego *Dworzanina polskiego*, który, dedykowany królowi pod datą dnia 18. lipca 1565 r., z wszelką pewnością — zanim został wysłany do druku w Krakowie — był odczytany przyjaciołom autora, Kochanowskiemu i Nideckiemu. Ta okoliczność wystarczała najzupełniej, ażeby poeta nie nudził się tym razem w Knyszynie. Czy się nudził w Grodnie, gdzie wraz z dworem zabawił przez cały sierpień i część września, a gdzie w tym czasie gromadziły się zbrojne zastępy, gotujące się na wyprawę do Inflant? Bądź co bądź, przyjechawszy do Wilna, dzięki towarzystwu Royzyusza, stale tu przemieszkującego przy kościele św. Jana, przeżył czas jakiś bardzo wesoło i hulaszczo, pojąc się nietylko „sokratycznemi rozmowami i dowcipem obfitym“ niepospolitego Hiszpana, ale i jego winem, które mu tak smakowało, „że wszystkie twe złote nauki (powiada do Royzyusza), wszystkie wdzięczne słowa wypadły mi z pamięci i nic więcej do domu nie przyniosłem oprócz cielska Bachem napojonego i od senności chwiejnego“. Cóż dopiero, gdy pod koniec października zjawił się niespodzianie w Wilnie prosto z Krakowa „rozstawnemi

[1]) Prof. Plenkiewicz nie twierdzi jednak, że tak było z wszelką pewnością, ale jest wielkie prawdopodobieństwo, że istotnie Kochanowski odbył tę podróż z Dudyczem.

końmi:" przybyły Dudycz, który, rozkochany w Straszównie, a starając się wejść w stosunki z jej rodziną, jeszcze nie zdążył wyjechać z Polski. Z jego przyjazdem rozpoczęły się najweselsze chwile w życiu poety, a ucztom i „pełnym prze zdrowie" nie było końca. Wogóle, nawet i po odjeździe Dudycza, trwał w pogodnem usposobieniu, zwłaszcza gdy w dowód uznania otrzymał prezentę od króla na świeżo opróżnione po śmierci Boryszewskiego probostwo zwoleńskie, co było znacznem powiększeniem jego dotychczasowych dochodów. Ażeby mu ułatwić otrzymanie tego *beneficium*, wyznaczono go do sprawowania poselstwa na sejmik ziemi sandomierskiej: mógł więc, choć na krótko, zajrzeć do swoich stron rodzinnych, oraz korzystając z pobytu biskupa krakowskiego w Iłży, tamże dnia 22. lutego 1566 r. instytucyę rzeczoną „z włożeniem rąk na głowę" od Padniewskiego otrzymać. Tymczasem król ściągnął do Lublina, ażeby wziąć udział w sejmie, zwołanym na kwiecień. Kochanowski podążył za dworem, a pod koniec sejmu, gdy posłujący nań Mikołaj Mielecki, udawał się na Litwę, ażeby tam poślubić córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego, poeta dał mu w miejsce kosztownego daru „parę wierszyków na drogę", ostatnie wiersze przyjazne, jakie Mieleckiemu poświęcił. Z Lublina udano się do Warszawy, gdzie poeta napisał dwa epitafia na śmierć Wojciecha Kryskiego, a stąd po krótkim pobycie znowu zawleczono się do Knyszyna. Tutaj przyszła kolej na łowy, co pociągało za sobą, że i Kochanowski musiał całemi godzinami, jako dworzanin, wystawać po kniejach, w śniegu, o chłodzie, a nieraz i o głodzie. Tak przeszła cała zima. Z powodu tych nieustannych łowów królewskich, poecie tak się uprzykrzyła służba na dworze, iż myślał o rzuceniu wszystkiego, o powrocie do Czarnolasu, do zacisznego życia ziemianina i poety. Jeśli nie uczynił tego, to jedynie z przyjaźni i wdzięczności dla Myszkowskiego. Swoją drogą nie tail się z tem, że o ile był zmęczony służbą przy królu, o tyle tęsknił za „wychowankami leśnego Heli-

konu", które zaniedbywał poprostu dla braku czasu i spokoju[1]). Kiedyż miał pisać, skoro nieustannie musiał się p zenosić z miasta do miasta, z sejmu na sejm! Ot i teraz n. p., jeszcze nie upłynęła zima, a już królowi, trapionemu pedogrą od zbyt długiego wystawania na śniegu, przyszła ochota wyjazdu do Warszawy. Pojechano tam. Na długo? W marcu przyjechano, a ledwo się zaczął kwiecień, już król kazał się wybierać do Piotrkowa. Tu zabawiono przez czas sejmu, a więc do czerwca roku 1567.

Sejm ten, na którym uchwalono znaczny podatek na wojnę moskiewską, o tyle stał się pamiętnym dla Kochanowskiego, że z jego okazyi poznał się z młodym Janem Zamoyskim, który teraz wstąpił do kancelaryi królewskiej, a przyjeżdżając do Piotrkowa, przyjeżdżał poprzedzony wielkim rozgłosem, zdobytym za granicą. Był to ten sam Zamoyski, któremu w swoim czasie „na iednym zieździe w sędomierskiej ziemi" tak się podobał wiersz Kochanowskiego *O dobrodziejstwach Boga*. Zażylszy stosunek z nim, poparty wieloma duchowemi łącznikami, mógł poecie wynagrodzić stratę Jana Krzysztofa Tarnowskiego, zmarłego w Gorliczynie dnia 1. kwietnia 1567 roku, tak, iż pogrzeb jego przypadł na czas, kiedy Jędrzej Dudycz, zrzuciwszy fiolety biskupie, w których czuł się tak skrępowanym, i przyjąwszy protestantyzm, ożenił się ze Straszówną. Był to skandal, który wywołał równe oburzenie w sferach katolickich, jak rozradował stronnictwa różnowiercze. A jednak rzecz dziwna: Kochanowski nietylko nie był oburzony tym postępkiem Dudycza, ale, przeciwnie, jakby solidaryzując się z różnowiercami, napisał elegię, w której z zapałem opiewa to odstępstwo swego przyjaciela. „Z wieścią do was przychodzę, posłuchajcie dziewice! Oto ozdoba młodzieży, człowiek pełen wiedzy i doświadczenia, wymowny i dzielny piórem,

[1]) Znakomitą illustracyą tego chwilowego usposobienia poety, jest jego Epigramat 57, w którym Kochanowski jakby się usprawiedliwiał sam przed sobą

Dudycz, poseł królów, przedmiot waszej nadziei i zajęcia, już ugiął karku pod słodkie jarzmo małżeńskie. Ciebie zaś, zacna dziewojo, czeka niepożyta sława, żeś ty jedna uznana za godną Dudycza. Dla ciebie on wzgardził bogactwy i świetną infulą, aż nazbyt bogaty tem, że twą miłością napawać się może".

A więc poeta pochwalał ten postępek Dudycza? [1]. Nietylko pochwalał, ale, rozmyślając nad nim, coraz bardziej zacietrzewiał się w swej nienawiści dla bezżeństwa księży:

[1]) O całej tej aferze Kochanowskiego z Dudyczem i Straszówną, opowiedzianej przez Plenkiewicza, St Tarnowski pisze z lekkim odcieniem ironii, co znaczy, że nie koniecznie wierzy, by rzecz miała się tak, jak ją przedstawiono w omawianej książce. Oto odnośny ustęp z recenzyi o dziele Plenkiewicza: „Tymczasem Dudycz, poseł cesarski (w sprawie królowej Katarzyny głównie) zwraca na siebie uwagę zachowaniem mało zgodnem z biskupią powagą, a widok ten utwierdza Kochanowskiego w tych wahaniach, jakiemi odpiera namowy Myszkowskiego, by się raz przecie na kapłana wyświęcił. Dudycz go razi, a sam boi się być księdzem tak złym, jak tamten. W stosunkach zażyłych jednak z nim zostaje, a nawet jedzie z nim do Radomia na dwór opuszczonej królowej. I tu dzieje się coś dziwnego: niby treść do komedyi czy romansu. Regina Straszówna, panna z fraucymeru Katarzyny, zakochuje się w węgierskim biskupie. Trudno mu to wyznać wprost, więc szuka ubocznych sposobów, żeby jego uwagę na siebie zwrócić. Bałamuci Kochanowskiego, w tej nadziei, że on będzie do niej pisywał wiersze, i te wiersze pokaże Dudyczowi, że Dudycz zacznie wtedy na nią patrzeć i o niej myśleć. Wszystkie wiersze *Do Reyny* mają być do tej Straszówny i w tym czasie pisane. Intryga się udała. Poeta zakochał się trochę, nie bardzo; a jego przyjaciel-biskup poszedł za nim, jak jeden z baranów Panurga i zakochał się tak, że aż został wywłoką, lutrem i żonatym. Elegia na to skandaliczne ożenienie (XVI, księgi III) jest podług p. Plenkiewicza, nie wyrazem szczerej myśli Kochanowskiego, tylko przeciwnie, srogą ironią na dawnego przyjaciela. Oby tak było. Usunęłaby się w ten sposób z życia poety jedna z rzeczy najbardziej gorszących i najtrudniejszych do zrozumienia". W innem miejscu swej recenzyi (str. 410) wraca jeszcze Tarnowski do tej „całej intrygi Reginy Straszówny, która pośrednio przez Kochanowskiego chciała rozkochać Dudycza" i uważa, że bio-

tak dalece, że sam więcej, niż kiedykolwiek przedtem, zaczął się zastanawiać nad wyborem stanu dla siebie. Miał dwie drogi do wyboru; duchowną, związaną z celibatem, i świecką, która z chwilą, gdyby się ożenił, pozbawiłaby go dochodnych beneficiów. A więc przyjąć święcenia, co się zarazem równało spełnieniu marzeń matki? Któż mu

graf Kochanowskiego poszedł tym razem w domyślności swej za daleko, co jest „o tyle gorzej, o ile sprawa ważniejsza".

Całkiem odmiennie, aniżeli Tarnowski, zapatruje się na sprawę Dudycza w stosunku do Kochanowskiego prof. Brückner, który w swej recenzyi dzieła Plenkiewicza bardzo namiętnie ujął się za Dudyczem, w którym widzi człowieka zasad. Gdy Plenkiewicz pisze o nim, że wywiedziony w pole przez Zygmunta Augusta „na wszystkich punktach pobity, zwątpiwszy o świetnych widokach, o jakich marzył, zrzucił fiolety i złożywszy tak duchowne jak poselskie godności, ożenił się z Reginą", prof. Brückner pisze bez ogródki, że „wszystko to są wierutne baśnie: Dudycz nigdy nie wątpił o świetnych widokach; gdyby się i poselstwo nie było powiodło, łaskę cesarza miał zawsze zapewnioną i najlepiej sam o tem wiedział; mimo to „dobrowolnie zrzekł się wszystkiego, dla zasad!!" W ogóle cały ustęp o Dudyczu w książce Plenkiewicza, który go „zna tylko z Szujskiego i z encyklopedyi" wydaje się prof. Brücknerowi nietylko mylnym w wielu szczegółach, ale pełnym „insynuacyi", co wynika z tego, że Plenkiewicz na sprawę Dudycza zapatruje się z punktu widzenia katolickiego. Oczywiście, że i cała intryga z Reginą Straszówną, odtworzona przez Plenkiewicza, również nie zyskuje aprobaty Brücknera, który to samo o niej myśli, co Tarnowski, tylko swe zdanie w tej materyi wypowiada nierównie bezwzględniej (strony 649—650). O elegii Kochanowskiego na ślub Dudycza tak pisze prof. Brückner. „Ślub uczcił Kochanowski elegią, bijącą mimo łacińskiej szaty nieco żywszem tętnem, zdradzającą sympatyę dla świeżej pary. Elegia ta stała się kamieniem obrazy dla niejednego; nie strawił jej i p. Plenkiewicz. Dla wywabienia tej plamy z „katolicyzmu" Kochanowskiego wymyślił on, że piękne słowa poety o Reginie, że życzenia pomyślności dla przyjaciela „raczej na *Schadenfreude* zakrawają, iż (Dudycz) przez własną lekkomyślność zeszedł do rzędu najpospolitszych ludzi" i t. d., wszystko to „należy wprost za ironię uważać". W ogóle, zdaniem Brücknera, Plenkiewicz za bardzo pragnie ocalić reputacyę Kochanowskiego, jako katolika, o co sam Kochanowski nie dbał wcale.

zaręczy jednak, czy wtedy, pnąc się na wysokie szczeble hierarchii, nie runie z nich, jak Dudycz. „I rozum, i sumienie, i poczucie własnej godności, ostrzegały go, by nie igrał z ogniem, który tylu innych już strawił, ale raczej obrał drogę pewną, bezpieczną, na której zgodnie z usposobieniem i sumieniem znaleźć mógł szczęście prawe przy boku wybranej sercem niewiasty". Pod wpływem tych rozmyślań „jakby życie swe urządzić i zdala od zawiści bezpieczny żywot prowadzić" powstał niby żartobliwy, a w gruncie rzeczy poważniejszy o wiele, niżby się zdawać mogło, *Carmen macaronicum* [1]), w którym poeta zastanawia się, czy zostać księdzem, co jest rzeczą praktyczną ze względu na karyerę, czy też nie uganiać się za chlebem duchownym, a natomiast „cnotliwą *ducere żonam*". „Nie złą jest rzeczą mnichem i kapłanem zostać, i dwory mają swoje dobre strony, ale ty pamiętaj obrać sposób życia, któryby zgodny był z twojem usposobieniem. Jeśli ci natura co innego wskazuje, jak święte kapłaństwo, nie żartuj z bogów i strzeż się srogiego pioruna". Pamiętaj, że przysięga, dobrowolnie złożona, obowiązuje na całe życie, a igrać z świętościami nie wolno, tak samo, jak „*solos* grzech *est* ożeniare kapłanos". Ale zdecydowawszy się na żywot świecki, należy się zdecydować jeszcze, czy być dworzaninem, czy ziemianinem? Zdaniem poety, przekonanego, że „swojus *res optima* kątus", żywot ziemiański zapewnia więcej szczęścia. „Nie patrz na to, co mówią, ale co czynią dworzanie. Bo choć nad inne przekładają swój żywot, prze-

[1]) Prof. Brückner nie przystaje na powyższe twierdzenie Plenkiewicza, odnoszącego napisanie *Carmen macaronicum* do roku 1567/8. „Jabym — powiada — cofnął go o jakie dziesięć lat wstecz, do roku 1558, do czasów, kiedy poeta rzeczywiście rozmyślał: Jeśli mi w rewerendzie, czy lepiej w sajanie. Jeśli mieszkać przy dworze, czy na swoim łanie?... do czasów, kiedy rzeczywiście najsroższy *gas* na księży o celibat podnoszono, kiedy on sam 27-letnim „młodzieńcem" *(juvenis)* mógł się jeszcze nazywać, co do 37-letniego męża (w roku 1567) mniej przystaje (str. 646).

cież, gdy się chełpliwie nasławią łaski królewskiej, do pługa w końcu wracają i zostają ziemianami". Bo czyż może być coś lepszego nad żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem. Nie wystawiam życia na wiatry, szukając dalekich zysków. Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie". Kto takie wygłasza zasady, temu widocznie sprzykrzyło się już jałowe życie dworskie, ten widocznie „za miłym domem tęskni" i tylko myśli o tem, jakby się wyrwać na wieś, do cichego „własnego kąta".

Że Kochanowski, pisząc tę „pochwałę stanu ziemiańskiego", wygłaszał teoryę, którą sam jaknajprędzej pragnął wprowadzić w życie własne, to nie ulega wątpliwości. Na razie jednak, choć przesycony służbą na dworze, był w takiem położeniu, że nie mógł myśleć o rychłem urzeczywistnieniu swych marzeń. Dlatego, nie przyznając się do podobnych rojeń, pełnił swe obowiązki przy królu, co pociągało za sobą, że znowu nigdzie nie popasał długo, że zamiast ziemiańskiego, który sobie tak idealizował w wyobraźni, prowadził żywot koczowniczy, cygański.

Z Piotrkowa, po skończonym sejmie, przeniesiono się do Grodna. Tu zabawiono przez sierpień, poczem zawleczono się do Wilna. Pod jesień, w 100.000 wojska, król pociągnął do Radoszkowic, „skąd się do Moskwy miał ruszyć" przeciwko Iwanowi Groźnemu. W Radoszkowicach powstał epigramat Kochanowskiego, poświęcony Padniewskiemu, a pełen wrzawy wojennej. „Teraz lutnia ma, przygłuszona bębny i hałaśliwemi trąbami, całkiem zamilkła, i zdaje się, że nie prędzej dawne dźwięki wyda, aż zwycięski August, nowymi wsławiony tryumfy, znamienity pomnik sławy wzniesie na ziemi nieprzyjacielskiej". Tymczasem „jako rycerz przypasany do miecza", kosztował odrębności życia obozowego, jako dworzanin jednak, najwięcej temu życiu przyglądał się z góry, z okien królewskiego za-

meczku, który położony pośrodku wielkiej równiny, otoczonej zewsząd lasami, panował nad całą okolicą, a w tej chwili wystrzelał pośrodku stutysięcznego obozu, pośrodku namiotów i taborów wojennych. W nocy, gdy obóz zaiskrzył się tysiącami ognisk, widok, roztaczający się z okien rezydencyi królewskiej, był tak malowniczy, że poeta, rozmarzony nim, napisał piękną *Pieśń* o tej wyprawie wojennej:

O piękna nocy, nad zwyczaj tych czasów,
Patrz na nas jasno w pośród tych tu lasów,
Gdzie, jako pszczoły, wkoło swego pana
Straż dzierżym, niecąc ognie aż do rana.
Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko wedle myśli swojej sprawił...

Jeszcze w listopadzie „siedziano jak na ledzie" w Radoszkowicach, aż skończyło się na tem, iż król, ku niesłychanemu zdumieniu wszystkich, rozpuściwszy większość rycerstwa, którego tylko część wysłano pod Ułę, zapowiedział koniec wyprawy, poczem sam wrócił na zimę do Wilna. Towarzyszący mu Kochanowski był smutniejszy tej zimy, niż kiedykolwiek; okolicznością zaś, która się do tego przyczyniła w niemałym stopniu, była wiadomość o śmierci biskupa Jędrzeja Noskowskiego, zmarłego w Płocku dnia 23. listopada. Poeta wiedział, że po Noskowskim zostanie mianowany na jego miejsce Myszkowski, że pewnie skończy się jego podkanclerstwo. Dla niego, który tak był przywiązany do Myszkowskiego, myśl, że mu się przyjdzie rozłączyć z dzisiejszym podkanclerzym, a natomiast być zależnym od innego, była przykrą nad wszelki wyraz. To też, choć Myszkowski jeszcze bawił w Wilnie, choć tu bawili Royzyusz, Nidecki i inni, mimo to, niepewny swej przyszłości, trapił się nieustannie, narzekał, ledwo mógł wytrzymać na Litwie. Z początkiem roku 1568 przeniesiono się do Knyszyna, dokąd znowu przyjechał z Tykocina Górnicki, a jak dawniej czytał Kochanowskiemu i Nideckiemu rozdziały ze swego *Dworzanina*, tak obecnie przeczytał im świeżo napisany przez

siebie rapsod wierszowany *O porażce Grunwaldzkiej*. Kochanowskiemu tak się podobał ten utwór, że nietylko w jednej ze swych elegij, gdzie mówi o poetach polskich, poświęcił dłuższy ustęp Górnickiemu „co pieśni godne Orfeusza liry składa, co do spraw marsowych liryczną nawiązując strunę, opiewa w srogiej walce Niemce pokonane“, ale sam, podniecony przykładem Górnickiego, poszedł w jego ślady, pisząc swój *Fragment bitwy z Amuratem u Warny*. Z końcem kwietnia wyruszył król do Warszawy, ale i tu nie mógł Kochanowski zabawić tak długo, jakby sobie tego życzył może, bo ledwo przyjechano, zaraz wyprawiono go, jako oratora, w sandomierskie, ażeby tam agitował wśród ziemian, których Zygmunt August pragnął pozyskać dla swych zamysłów co do unii z Litwą. Bo zanosiło się na pamiętny sejm lubelski. Jakoż, z końcem listopada 1568 r., król udał się do Lublina, gdzie 10. stycznia rozpoczęły się obrady. Sejm ten, na którym „Litwa z nami unią uczyniła strojną“, odznaczał się takim duchem inicyatywy, taką powagą i wyrobieniem politycznem, że Kochanowski, będąc jego świadkiem naocznym, mógł być najlepszej myśli co do przyszłości Rzeczypospolitej. Cóż dopiero, gdy dnia 19. lipca, już po dokonanej unii, książę pruski Albert Fryderyk, wobec „zacnego senatu koronnego“ i czoła rycerstwa, złożył trzeci hołd lenniczy. Kochanowski, pod wrażeniem tej doniosłej chwili dziejowej, w której

syn książęcy upadł na kolana
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana,

napisał swój *Proporzec*. Ale nie zawsze, przez czas swej kilkumiesięcznej bytności w Lublinie, był nastrojony na tak podniosłą nutę, jak ta, którą tchnie jego opis „hołdu pruskiego“. Ostatecznie, po za długiemi godzinami, spędzanemi w sali sejmowej, korzystał z lata, a mając wesołe grono przyjaciół, do którego także przybył pod koniec i Royzyusz, nie stronił od kielicha, o ile ten kielich nie był próżny. Na

podobnych zabawach, jak ta, którą poeta wzmiankuje we fraszce *O doktorze Hiszpanie*, opowiadając o dziwnej przygodzie Royzyusza, jak to jednego wieczoru „poszedł spać trzeźwo, a wstał pijany", upływały mu wszystkie chwile wolne od obowiązkowych zajęć, a że i Babin, stolica rozgłośnej *Rzeczypospolitej Babińskiej*, był blizko, więc nie obeszło się bez tego, ażeby raz po raz nie pojechano w odwiedziny do Imci Pana Pszonki. Wszak autor *Proporca*, choć go nie zawsze bawiły grube koncepty babińczyków, nosił tytuł poety babińskiego [1]), a często bywając w Lublinie, łatwo mu było zaglądać do tej wesołej rzeczypospolitej śmiechu i drwin? Tymczasem skończył się sejm, a dla poety miały się zacząć najsmutniejsze dni jego życia dworskiego. Jakim sposobem? Dość powiedzieć, że „wielce ulubiony Myszkowski" oddał pieczęć podkanclerską Franciszkowi Krasińskiemu, a sam udał się do swojej dyecezyi. Dla Kochanowskiego był to niemniejszy cios, niż dla Nideckiego, który pisał temi czasy, że „odkąd mnie Myszkowski opuścił, zdaje mi się, że mnie wszyscy opuścili". To samo mógł powiedzieć o sobie Kochanowski. Skończyły się owe poufne rozmowy sam na sam, skończyły się owe huczne biesiady z Myszkowskim, wszystko to przeminęło jak piękny sen, a przeminęło bezpowrotnie. To gorzkie przeświadczenie ścinało, jak mróz, wszelką pogodę w duszy poety, bo choć mu pozostał jeszcze Nidecki, to jednak i on, stęskniony za Myszkowskim, nie mógł odzyskać dawnego humoru. A tu, jakby na złość, król nie ruszał się z Lublina, tylko czekał na posłów cesarskich, łudząc się, że mu przywiozą przyzwolenie na upragniony rozwód z Katarzyną. W końcu, nie doczekawszy się, wyruszył do Knyszyna, gdzie już dnia 9.

[1]) W *Carmen de jure Babinensi antiquissimo* Bartłomieja z Wrześni, profesora i dziekana Uniwersytetu krakowskiego, znajduje się wzmianka o Kochanowskim:

Hic Kochanovius doctus regiusque faceto
Est vates calamo..

września stanął z całym dworem. Tutaj miano spędzić całą jesień, a może i zimę. Kochanowski ledwo się nie urwał. I on, i Nidecki mieli wrażenie, że są skazani na wygnanie. Do Krasińskiego nie mogli się przyzwyczaić. Jedyną oazą, w której cieniu odpoczywali na tej pustyni nudy, było towarzystwo Górnickiego, który, o ile tylko mógł oderwać się od swych zajęć, raz po raz wpadał z Tykocina. Tak upłynęły blizko cztery miesiące. W grudniu nastąpił wyjazd do Warszawy, gdzie tym razem Zygmunt miał zabawić czas dłuższy, bo dwa lata przeszło [1]). Na początku 1571 roku, około Wielkiejnocy, Kochanowski, nie zrywając z dworem, choć już był przesycony służbą przy królu, pojechał do Czarnolasu. W jakim celu? Przyczyną była kobieta.

IV.

Czytając, że epigramat, napisany w Radoszkowicach w roku 1567, poeta poświęcił Padniewskiemu, jest się zdziwionym niepomału, zważywszy oziębiony stosunek obu, tudzież okoliczność, że w chwili, gdy Kochanowski przebywał na Litwie, Padniewski przez ten czas, jako biskup krakow-

---

[1]) Do tej epoki odnosi prof. Plenkiewicz jeszcze jeden epizod miłosny Kochanowskiego, mianowicie jego romans z Anną Zajączkowską. Dowody jednak, które autor przytacza na uzasadnienie swej hypotezy, są nader wątłe. Tegoż zdania jest o nich i St. Tarnowski, który w swej recenzyi w *Przeglądzie Polskim* temi słowy daje wyraz swemu powątpiewaniu: „Po nie bardzo smutnej przygodzie ze Straszówną Kochanowski pisze dużo *Fraszek* i wpada znowu w sidła zdradliwego Amora. Tym razem to ta, co mu przyrzekła schadzkę, a nie przyszła (Fraszka 78, księgi II). Kto ona jest? Ni mniej, ni więcej tylko panna z dworu królewnej Anny, Anna Zajączkowska, którą sam król odbił swemu sekretarzowi-poecie, oczywiście nie samą sztuką młodości i wdzięku. Dlaczego ona? Że w innej fraszce poeta szczęśliwy mówi o sobie, że jest „królowi rówien“ (Fraszka 88, księgi II) czy to ma być dostatecznym dowodem, a choćby wskazówką?“

ski, najwięcej przebywał w Krakowie. Wobec tego, mimowoli nasuwa się pytanie: co wywołało ten epigramat poety? Prof. Plenkiewicz tak rozwiązuje tę kwestyę.

Kiedy się zanosiło na wielką wyprawę przeciwko Iwanowi Groźnemu, a król przebywał na Litwie, okazała się potrzeba wysłania kilku listów do wybitniejszych dostojników koronnych, a w tej liczbie do Padniewskiego i królewnej Anny. Skoro przyszło rozstrzygnąć, komu powierzyć wykonanie tej misyi, wybór padł na Kochanowskiego. Tym sposobem, niespodziewanie zupełnie, odbył on podróż do Krakowa. Tutaj doznał tak serdecznego przyjęcia na dworze biskupa, że wywdzięczając się za nie Padniewskiemu, uczcił go po powrocie na Litwę, pięknym epigramatem łacińskim. Lecz jadąc do Krakowa, musiał się zatrzymać i w Warszawie, dla oddania listu Annie Jagiellonce. Oddał go, ale innym wyszedł z apartamentów królewny, aniżeli w chwili, gdy wchodził w podwoje zamkowe. Wchodził spokojny, zrównoważony psychicznie, wychodził zakochany, z uczuciem w piersiach, któremu niebawem dał taki wyraz w elegii łacińskiej: „Znowuż, matko Amorka, wszczynasz bój ze mną? Nigdyż długiego nie chcesz mi dać pokoju? Zaledwie serce me z pierwszej wyleczyło się rany, oto znowu Amor strzałą mi je przeszywa“. Co się stało? Oto na dworze królewnej, w jej „fraucymerze“, ujrzał i poznał istotę, która odrazu zawładnęła jego sercem. Jak się poznali? w jakich okolicznościach? to nie grało prawie żadnej roli wobec niezwykłej urody Hanny, wobec czaru, jakim ją obdarzyła natura. Oto, jak ją opisuje poeta:

. . . Póki panuje wiosna w twarzy twojej,
Day się, Hanno, napatrzeć wdzięcznej twarzy swoiey,
Która nie da nic naprzód ani Phosphorowi,
Kiedy napiękniey z morza wynika ku dniowi.
A wy, malarze, y wy, co marmór cieszecie,
Jeśli przyszłemu wieku zachować sie chcecie:
Malujcie tę piękną twarz, y rzeźcie w kamieniu
Nie był iako żyw Zewxis w takim podziwieniu,

Ani zacny Phidias, iako wy możecie,
Z tey tylko samey sztuki, sławni być na świecie.

Zachwycony niepospolitą „gładkością“ tej „urodziwej“ dworki, przybranej w piękne suknie według mody włoskiej, uwierzył, że w tem pięknem ciele musi również mieszkać i wybrana dusza,

Bo nie leda, Bóg, jako swych darów rozdawa,
Temu łaskawszy, komu co nad ludzi dawa,
Przeto tusz dobrze, Hanno urodziwa, sobie,
Z twoich darów znać, że Bóg jest łaskawym tobie.

Dowodziły tego — w oczach zakochanego poety — i inne dary Hanny, nietylko jej „gładkość“. Inteligentna, wykształcona, odznaczała się i przymiotami umysłowemi, słowem, zasługiwała na pochlebne miano „nauczonej białogłowy“. Widocznie, że pod tym względem zaszczytnie wyróżniała się z pośród swoich towarzyszek. Ale choćby i nie tak była „nauczoną“, i tak by zdołała oczarować poetę. Za ładną była poprostu, ażeby swym powabem nie opętać tak wrażliwego na niewieście piękno, jak Kochanowski, mężczyznę. Powtóre, był skłonny do zakochania się, bo dawno już, jak się nie kochał w nikim [1]). Cóż dziwnego więc, iż czuł po-

[1]) Prof. Stanisław Windakiewicz w swym subtelnym studyum o *Erotyku Kochanowskiego (Pamiętnik literacki*, rocznik I, str. 3—13, 193—209) obszernie rozwodzi się o tym epizodzie w życiu poety, nazywając go miłością do Bezimiennej. Zdaniem autora monografii o *Padwie* miłość ta do Bezimiennej była od czasów padewskich pierwszą prawdziwą miłością w jego sercu, „z czego wynika, że równie obfity plon wydać mogła, jak poprzednia, a że się w Polsce rozegrała, więc plon ów już literaturze polskiej miał przypaść“ (strona 8). Miłość ta „pierwsza poważna i na gruncie moralnym nowoczesnym oparta“ wywołała też przełom w erotyku J. Kochanowskiego, wyprowadzając poetę z zaklętego koła wyłącznie klasycznych wzorów. „W Padwie pisał Kochanowski same długie, wymowne, na pół dydaktyczne, a przynajmniej erudycyjne elegie; w wierszach do Bezimiennej forma ta ginie. Spotykamy teraz najczęściej poemata krótkie, ujęciu wrażeń jednolitych poświęcone,

trzebę kochania, takiego zwłaszcza, któreby się mogło zakończyć małżeństwem. Miał lat 37, więc mógł mieć dosyć kawalerskiego życia. Byle tylko spotkał pannę odpowiednią, zarazby się ożenił. Hanna wydała mu się taką. Zaczął się tedy starać o pozyskanie jej względów, co mu — zdaje się — ułatwiły pomyślnie składające się okoliczności, a mianowicie możność spotykania Hanny nietylko na dworze, w orszaku królewny, ale i u wspólnych znajomych, zamieszkałych na dworze, do których panny z fraucymeru, o ile im czas na to pozwalał, chętnie wyrywały się w odwiedziny.

omal nie poemaciki nastrojowe, w których gra najczęściej jedno jasne i wyodrębnione uczucie, bez objaśnień i urozmaiceń erudycyjnych, jak to było w elegiach" W innem miejscu swego studyum, rozpatrując erotyki do Bezimiennej pod względem biograficznym, prof. Windakiewicz wyciąga z nich tylko jedną wskazówkę, a mianowicie, „że Bezimienna miała jakichś krewnych, zapewne braci, ciotki, które prawdopodobnie sprowadziły Kochanowskiego do tego domu, jego matrymonialnym zamiarom sprzyjały". Dodać należy, że prof. Windakiewicz, choć studyum jego ukazało się w cztery lata po wyjściu monografii Plenkiewicza, wcale nie zdaje się podzielać jego hypotetycznego twierdzenia, że Bezimienna była panną z fraucymery królowej. Nigdzie jej też nie nazywa Hanną. W swym szkicu o *Życiu dworskiem Kochanowskiego*, Windakiewicz, mówiąc o jego stosunku do Firlejów, a także i do niektórych rodzin mieszczańskich krakowskich, pisze między innemi, co następuje: „Czy w domu Łazickiego, czy mieszczan krakowskich (Glaców), czy też indziej, obrał sobie Kochanowski ukochaną serca swego, Hannę, trudno odgadnąć. To jednak pewna, że w czasie owym bardzo był zakochany i że się Trzycieskiemu skarżył na zawód w miłości. Okoliczność owa daje powód do wielu fraszek, pieśni i elegi', z którychby ułożyć można jeden wielki poemat miłości w jej drobnych przemianach" (str. 36). Nadmienić się godzi, że prof. Nehring, przy rozbiorze *Pieśni* Kochanowskiego, wcale nie zdaje się skłaniać do mniemania Plenkiewicza, jakoby „piękna Hanna" tak ważną rolę odegrała w życiu poety. Zdaniem Nehringa, „poeta zapewne wystawia tylko wyimaginowane sytuacye, podobnie jak w łacińskich elegiach". Kreśląc życiorys poety, Nehring odrazu po jego epoce dworskiej mówi o Dorocie Podlodowskiej, nic nie wspominając o żadnem niedoszłem małżeństwie z inną

Ale czy to było w domu ochmistrza, czy ochmistrzyni, czy burgrabiego zamku, fakt pozostanie faktem, że poeta, o ile w Warszawie bawił niedługo (bo długo bawić nie mógł), o tyle wyjechał pod urokiem pięknej Hanny, rozpaczający na myśl o przymusowem rozstaniu z nią, a co najgorsza, niepewny jej wzajemności. Wyjeżdżał dręczony pytaniem, czy Pazyfila (bo takiem klasycznem imieniem zdecydował się nazywać „urodziwą Hannę“ w swoich łacińskich elegiach do niej), czy Pazyfila pamiętać o nim będzie? czy choć drobny ślad został po nim w jej sercu? „Czy jaka tęsknota po mnie została? Czy też, jak z oczu, tak i z serca twego ustąpiłem i nie warto ci już nieobecnego wspominać?“ Niepewność tę czyniło jeszcze dotkliwszą przeświadczenie, że wyjeżdżał nie związany ani słowem, ani wyznaniem, bo jakkolwiek Hanna okazywała mu wiele uprzejmości, to jednak nic go nie upoważniało do poczytania tego za skłonność z jej strony. Były to zwykłe oznaki dobrego wychowania, Hanna zaś wiedząc, kim był Jan Kochanowski, tembardziej mogła się starać, ażeby na nim zrobić korzystne wrażenie. A nuż ją uwieczni jakim wierszykiem... To mogło się jej uśmiechać. Pytanie jednak, czy zgodziłaby się zostać jego żoną; nie łudził się bowiem, że „jeżeli go talent poetycki wynosi ponad ogół, to pod względem majątkowym z większością współzawodników mierzyć się nie może“. On w każdym razie, jeżeli pokochał Hannę, to dla niej samej. „Mnie nie ujęły ni sydońskie złotem tkane szaty, ni perły z morza czerwonego, lecz twarz, co obcej barwy nie pożycza, i obyczaje szlachetne, i rumieniec wstydliwy“. Jednocześnie wyrzucał sobie, że podobnemi podejrzeniami krzywdził swą ukochaną. „Jeżeli moje pismo w czemkolwiek obrazić cię może, przebacz! wszak miłość nigdy nie jest bez obawy, która zresztą, chętnie wierzę temu, jest płonną, a nawet sam nie umiem powiedzieć, dlaczego się obawiam, chyba tylko dlatego, że kocham“. Swoją drogą był niespokojny i pełen najboleśniejszych przeczuć, gdy pomyślał, że oto wyjeżdża

nie wiedząc na jak długo, a przez ten czas, któż zaręczy, azali inny nie zdobędzie jej serca. Wiadomo przecie, że nieobecnym zawsze dzieje się krzywda.

W takiem uczuciu opuścił Warszawę, w takiem uczuciu pędził wśród słoty i wichrów jesiennych na Litwę, do króla, a myśląc o Hannie, układał elegię do niej [1]). „Im więcej się oddalam, o moje życie, tem okrutniej dręczy mnie sroga miłość. A gdy mnie sen słodkiemi skrzydły obejmie, zdaje mi się, że smutna stajesz przed memi oczyma... Lecz jakże obawiam się tego, że mi tylko marne sny o tobie pozostały". I lękał się, że Hanna może zapomnieć o nim, i pod wpływem tego niepokoju, który go ścigał aż na Litwę samą, temi słowy kończył swą pierwszą elegię do Pazyfili: „A teraz, gdy przeziębły litewskie przebiegam kraje, nie zapominaj o nieobecnym i bądź pewna, że ja każdej chwili radbym powrócić do ciebie, choć i tak już znaczna część mej duszy pozostała przy tobie".

Nareszcie, po męczącej podróży, zawitał do Radoszkowic. I tu, wśród wrzawy stutysięcznego obozu, nie zapo-

---

[1]) Z powodu tej elegii, i jeszcze drugiej innej, tak pisze prof. Windakiewicz, rekonstruując przebieg miłości poety do Bezimiennej (która to nieokreślona nazwa lepiej zdaje się być tu użyta, aniżeli konkretne imię Hanny, trudno dające się uzasadnić): „Czwartą wreszcie seryę wiadomości o Bezimiennej zaczerpniemy z dwu elegij łacińskich, pisanych z Litwy, jak się powszechnie przypuszcza, podczas pochodu wojsk polskich na niedoszłą wyprawę moskiewską roku 1568 (Elegia III, księgi 1, 12). Stanowią one niejako listy poetyckie świeżego rekruta do kraju, z których jeden możnaby nawet uważać za zwykły list oświadczynowy. Bezimienna jest tu nazwana Pazyfilą, a więc pierwszem pewnem, choć po dzisiejszemu nie bardzo dźwięcznem imieniem; poeta przyznaje, że już wówczas znajdował się w dojrzałym wieku *(maturior aetas)* i objaśnia nas, że panna jego wielkiego posagu nie posiadała *(Erotyk Kochanowskiego*, str. 8). Natomiast, jak się domyśla Windakiewicz, panna pochodziła z wysokiego rodu,

Z herbu domów starożytnych
Zacne plemię dziadów bitnych

mniał o Hannie, a zapatrzony w gwiaździste niebo, układał nową elegię do Pazyfili: „Oto król mój wojnę opłakaną gotuje, sam kwiat północnej młodzi towarzyszy mu na tę wyprawę. Ale mnie w obce nie trzeba mieszać się wojny: mam ja ci wewnątrz wroga, co serce me rani. Ty wszakże, Pazyfilo, za którą sama Dyone wojnę prowadzi, przybądź, jako przyjaciółka pokoju". Marząc jednak, nie potrafił opędzić się jednej refleksyi, mianowicie, że dobiega czterdziestki, że tem samem nie powinien być tak skorym do szalenia z miłości, bo nie jemu wznawiać igraszki młodzieńczego wieku. „To kiedyś przystać mogło, ale wiek dojrzalszy innych już żąda zwyczajów, innych trudów". Ale od tego przeświadczenia, że „nie jemu już u zamkniętych drzwi odprawiać czaty", był tylko jeden krok do myśli o zapaleniu pochodni Hymenu. Do tego, ażeby tak szaleć, jak wtedy, kiedy był żakiem, był za poważny dzisiaj; przeciwko ożenieniu jednak, to jest przeciwko poważnemu traktowaniu miłości, nie miał żadnych niechęci: przeciwnie, chciałby się kochać w kobiecie, która byłaby jego żoną, a tą żoną pragnąłby mieć Hannę [1]). Ożenić się z nią, ach, czegóżby nie dał za to! „Ty, jeśli tylko miłością mą nie wzgardzisz, aż do grobu będziesz przedmiotem mych zabiegów: ty bądź panią w mym domu, tobie jednej niech służy ma chudoba,

[1]) Omówiwszy dworskie miłostki poety, poprzedzające jego zakochanie się w Bezimiennej, prof. Windakiewicz czyni następujące, bardzo trafne spostrzeżenie, wiele rzucające światła na psychikę Kochanowskiego w tym czasie: „Drobiazgowe badania tych romansów (z Zofią i Bogumiłą) posiada dla nas o tyle wartość, że pozwala nam zmierzyć istnienie pewnej dozy realnego podkładu w poezyi erotycznej Kochanowskiego: toż naturalna, że w znaczniejszej grupie poematów jednego nastroju (w wierszach mianowicie, natchnionych miłością do Bezimiennej) musi się także zawierać pewien osad rzeczywistości. Spostrzeżenie to nie jest dla nas bez znaczenia, bo niebawem zobaczymy, jak Kochanowski z donżuana czasów Odrodzenia przemienia się na poważnego erotystę czasów nowożytnych. Po tylu wyuzdanych objawach nagle

aczkolwiek tak malutka... Z tobą nie przykro będzie twardym pługiem przewracać glebę, ni bydełko pędzić na paszę. Z tobą Pazyfilo, obym mógł żyć, a kiedyś i życie złożyć na twem łonie!"

Tymczasem przeniesiono się do Wilna, ale zmiana miejsca, wobec tego, że Hanna była w Warszawie, w niczem nie wpłynęła na zmianę uczuć poety. Tęsknił za swą ukochaną, myślał o niej, pisał elegie o Pazyfili, w których opisywał różne fazy psychiczne, przez jakie przechodził od rozstania się z panią swego serca, i w ten sposób powstała Elegia III, księgi III, najprawdopodobniej napisana w Wilnie, a wyrażająca myśl, że dwie przeznaczone sobie istoty przeczuwają się wzajemnie i że każda z nich nosi w duszy swej obraz istoty drugiej, po którym się przy spotkaniu poznają. „Nigdyż ten dzień nie zawita, gdy ty, piękna dziewczyno, do swego przytulisz mnie łona? Czy też próżną żywię nadzieję, a ty innego staniesz się pieszczotą". Ta obawa, że Hanna może jest przeznaczona innemu, nie jemu, oraz pragnienie ażeby czemprędzej z nią się zobaczyć, to były dwie główne osi, około których krążyły jego myśli. Tęsknił, a był smutny i niespokojny, bo niepewny jutra: ale kochał wiernie, idealnie, a przytem po raz pierwszy na seryo myślał o małżeństwie. Tak przeszła zima. W lutym pojechano do Knyszyna, a przez całe dwa miesiące, które tu król spę-

zachodzi u Kochanowskiego radykalna zmiana. Miasto studenckiego szału i rozmarzenia, spostrzegamy u niego ogromne spoważnienie; zdobywca serc niewieścich i lekkomyślny dworzanin przemienia się w mężczyznę, umiejącego kochać spokojnie, poważnie i rozważnie; miasto bezmyślności, szukania w miłostkach podrażnienia nerwów, Kochanowski zaczyna pojmować to uczucie jako podnietę do życia i szukać w niem wzmocnienia energii osobistej; obojętność przemienia się u niego w rzetelność, lekkomyślność w szczerość a nawet w skrupulatność — i ni stąd ni zowąd w stołecznym wartogłowie powitamy senzata obywatela, drżącego ze wzruszenia wobec pani swego serca i z lękliwością wyczekującego przyjaznego słowa z jej ust". (*Erotyk Kochanowskiego*, str. 10)

dził, Kochanowski myślał o tem tylko, kiedy nastąpi projektowany wyjazd do Warszawy. W końcu doczekał się upragnionej chwili: pod koniec kwietnia, gdy „wiosna wróciła, a śnieżna zima uleciała", dwór przeniósł się do stolicy Mazowsza.

Tu zaczęły się dni szczęścia dla poety. Mógł widywać się z Hanną, ile chciał. Poeta był w siódmem niebie. W Hannie widział wierne „odbicie z daru bożego", miłość zaś, którą płonął ku niej, wyszlachetniona tęsknotą, wolna od pożądań zmysłowych, raczej Psychy, niż Afrodyty, szukała w ukochanej dziewczynie.

Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija,
Za jej stopami róża wstawa i lelija [1]).

[1]) W swem studyum o *Erotyku* Kochanowskiego prof. Stanisław Windakiewicz wykazuje dowodnie, iż wiersz ten, jak i inne erotyki, pisane pod wpływem miłości do Bezimiennej, nosi wyraźne ślady wpływu Petrarki, mianowicie jego *Canzoniere*. Wprawdzie i do niej pisał poezye na modłę klasyczną, nacechowane wpływem Horacego, Owidyusza i Propercyusza, ale niebawem wzory te nie miały już wystarczyć talentowi, rwącemu się w nieco wyższe i czystsze światy uczuć. „*Segretario antico* okazuje się już przewodnikiem bezsilnym i Kochanowski wciska się do *Segretario novello*, t. j do Petrarki. „Gdybyśmy w pieśniach (do Bezimiennej) wpływ petrarkizmu udowodnić chcieli — pisze Windakiewicz — to na to porównaniem całych sonetów nie poradzimy. Kochanowski w Polsce nie musiał mieć włoskich poetów pod ręką. W wierszach (do Bezimiennej) można wykazać wpływ Petrarki, ale jest to jakby Petrarka zbity, skondenzowany, a może nawet zbarbaryzowany. Kochanowski reprodukuje włoskiego pieśniarza z pamięci, w frazesie jednym skupia omal nie całe sonety i widocznie zna *Canzoniere*, ale o nim w danej chwili dokładnie nie pamięta". Według Windakiewicza, można przypuścić, że odświeżenie pamięci o Petrarce zawdzięcza Kochanowski raczej otoczeniu, a nie swojej świadomości, co naturalnie pod względem kulturalnym jest bodaj ciekawszem zjawiskiem, niż gdyby ów Petrarka objawił się u niego intencyonalnie. „*Canzoniere*, to musiała być dla niego książka, którą niegdyś w Padwie odczytał, a potem ją rzucił; zdawało mu się, że ta subtelna poezya nigdy mu się na nic nie przyda; tymczasem zaszły

i zakochany, nie mogąc oczu oderwać od swej lubej, wierzył, że

Taka jeszcze nie była za dawnego wieku
Aniołowi podobna bardziej, niż człowieku

i sławił jej „gładkość“ w łacińskich i polskich wierszach, które, zwrócone do Hanny, niemało mogły schlebiać jej próżności.

Wiele oczom powinien, o pani, kto ciebie
Oglądał, a nacieszył twym poyźrzeniem siebie [1]).
Dalszego czasu może niezamierzać sobie,
Iżby kiedy miał gładszą oglądać po tobie.

Niech się więc nie chlubią starodawne lata,
Z swoimi Helenami: jest za tego świata,
Która gładkością wszytki pierwsze tak minęła,
Aż y przyszłym nadzieję na wieki odjęła.

I „przybywało mu rymów“, kiedy na jej „wdzięczną twarz“ patrzał, a patrzał tak często, że aż napisał wierszyk

---

zdarzenia (miłość ku Bezimiennej), które pamięć o nim odświeżyły, wspomnienie o tej poezyi pomogło mu do skondenzowania swych własnych uczuć i w najwyższem wzmożeniu duchowej istoty, on, klasyk zabity, miał o nowoczesność zawadzić“.

W jednym, i to dość zasadniczym punkcie, nie podzielałbym zapatrywania prof. Windakiewicza: jakoby Kochanowski nie miał mieć w Polsce poezyi Petrarki pod ręką. Jeżeli tak, to musiał je z czasów padewskich umieć chyba na pamięć; zestawienie bowiem, uczynione przez tegoż prof. Windakiewicza, wykazujące cały szereg podobieństw między wierszami Petrarki a Kochanowskiego, zbyt jest uderzającem, by w danym wypadku o poważnym świadomym wpływie nie mogło być mowy. Zobacz *Erotyk Kochanowskiego*, w *Pamiętniku literackim*, rocznik I, str. 197—199.

[1]) Wiersz ten — jak to wykazał Windakiewicz — nosi wyraźne ślady nietylko wpływu Petrarki, ale i Dantego. W *Canzoniere* Petrarki czytamy: *Per divina bellezza indarno mira Chi gli occhi di costei giammai non vide* (108). W jednym z sonetów w *Vita nuova* Dantego znajdują się podobne słowa: *Che dà per gli occhi una dolcezza al core Che intender non la può chi non la prova.*

do Hanny, w którym ją błaga, ażeby go czasem wypychała lub nie przyjmowała u siebie, bo mu się w głowie miesza, gdy za długo napawa się jej widokiem. Ale niechaj przypadkiem nie widział jej parę dni, zaraz go zaczynała trapić tęskność, którą raz n. p. wyraził w takim czterowierszu:

A co wiedzieć gdzie chodzisz, moja dziewko śliczna,
A mnie tymczasem trapi tęskność ustawiczna.
Jakoby słońce zaszło, kiedy niemasz ciebie:
A z tobą y w pół nocy zda sie dzień na niebie.

Jednocześnie, kiedy byli razem, czuł się onieśmielonym w jej obecności; zapytany o coś, „odpowiadał niegrzeczy"; jeśli się na nią natknął niespodziewanie, bladł ze wzruszenia; a o ile „często wzdychał", przyczem niezawsze miał jej wiele do powiedzenia, o tyle „rzadko kiedy się rozśmiał".

To była jedna strona medalu, dodatnia. Niestety, była i druga, jeżeli nie ujemna, to przynajmniej dająca do myślena. Oto Hanna[1]), choć tak często widywała się z poetą, robiła wrażenie, jakby się nie domyślała jego uczuć dla niej, jakby nie rozumiała, „co znaczy twarz blada" poety, jakby

[1]) Bronisław Chlebowski, w swym szkicu o *Pobycie Kochanowskiego na dworach panów małopolskich*, wyraża przekonanie, że „dzieje długotrwałej miłości dla Hanny mają także za tło górski krajobraz":

Tu góra drzewy natkniona
A pod nią łąka zielona,
Tu zdrój przeźroczystej wody.

powiada w drobnym wierszyku do swej ukochanej... Gdy zniewolony rozstać się na czas jakiś z ukochaną wypowiada swą tęsknotę w pieśni (VII, ks. I) przepełnionej uwielbieniem i miłością, zwraca się tam i do górskiej przyrody:

Zajrzę wam, gęste lasy i wysokie skały,
Że przedemną będziecie taką rozkosz miały...

Nawiasem mówiąc, Chlebowski miłość tę do Hanny (zawsze pomimo protestów krytyki przekonany w głębi duszy, że tą Hanną była Hanna Tarnowska) odnosi do pierwszych lat pobytu poety w kraju po powrocie z za granicy (1557—1560), skoro powiada, że

nie przypuszczała nawet, że w nim mogła rozbudzić namiętną miłość ku sobie, jakby „nie wiedziała", że on nosi się z myślą proszenia o jej rękę, że tylko upatruje odpowiednią chwilę, ażeby jej uczynić wyznanie. Ta pozorna niedomyślność Hanny, idąc w parze z brakiem pewności siebie, gdy chodziło o poetę, którego jeszcze trapiło złowrogie przeczucie, że może być obojętny swej lubej, sprawiały, że się nie mógł zdecydować na krok stanowczy, że zwlekał i dojutrkował z oświadczynami.

Bał się zaryzykować, nie śmiał wszystkiego stawiać na jedną kartę.

W takich warunkach wypadło mu wyjechać z Warszawy, a choć niezawodnie dokładał wszelkich starań, ażeby tu powrócić jaknajprędzej, to jednak, przyjechawszy z powrotem, przekonał się, że tylko się spieszył do nowych trosk i udręczeń: Hanna bowiem, lubo dlań była uprzejma i grzeczna, nie robiła wrażenia, iżby tęskniła po nim: była chłodna, obojętna, nieprzystępna, tak, iż poeta, zamiast się posuwać w swych sprawach sercowych, przeciwnie, zaczął

---

w kilkanaście lat pierwej, niewątpliwe w roku 1574, gdy poeta po przebyciu bolesnych zawodów serca i ambicyi znalazł się ponownie wśród dawno niewidzianych gór, myśl jego mimowolnie zwróciła się do przeszłości. Wyrazem tego uczucia ma być wiersz:

> Wysokie góry i odziane lasy
> Jako rad na was i swe czasy
> Młodsze wspominam, które tu zostały
> Kiedy na statek człowiek mało dbały

Zdaje się, że ostatni wiersz jest aluzyą do wesołego życia poety w gronie „dobrych towarzyszów", co nie licuje z poważnem uczuciem, jakie żywił dla Hanny.

Nie chcę się tu spierać z Chlebowskim, ale mnie się zdaje, że wszystkie te wyrażenia w pomienionych wierszach Kochanowskiego, owe „góry drzewy natknione", owe „gęste lasy i wysokie skały", odnoszą się poprostu do okolic Krakowa, do Krzemionek i Panieńskich skał nad Wisłą, do gór na Bielanach. Że Kochanowski lubił błądzić po tych okolicach, dowodzi jego *Carmen macaronicum*, w którym początek jest opisem okolic „wysokiego Krakowa".

powątpiewać, zali mu się wogóle uda zmiękczyć kamienne serce tego „pięknego stworzenia". Czuł, że jego szanse zmiejszały się, że oporna dziewczyna nie miała skłonności ku niemu.

W tem smutnem przeświadczeniu wyjechał z królem do Lublina, a tutaj, podczas gdy wszystkich umysły były zaprzątnięte kwestyą unii, on, choć tak obarczony zajęciem, że nie miał czasu na pisanie wierszy do Hanny, wciąż myślał o niej, co robi? czy myśli o nim? i t. p. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że, korzystając z dwóch przerw całotygodniowych w 10-miesięcznych obradach sejmu, wpadł do Warszawy dla zobaczenia się z Hanną, ale i te wyjazdy — jeżeli miały miejsce — nie położyły końca jego wątpliwościom. W tem uczuciu napisał parę wierszy, które z czasem weszły do *Fraszek*, jakkolwiek były smutne raczej, niż wesołe:

Długoż masz, o miłości, frasować me lata?
Czy podobno przed czasem chcesz mnie zgładzić z świata?
. . . Tak li ty chcesz, tak li to niesie szczęście moje
Nie chcę przeć, mam czym cieszyć smutne serce swoje.
A ty przebóg niezajźrzy, gniew li to twóy czuię,
Łaskę li, niech do śmierci tę iednę miłuję.

Na domiar złego, z Lublina nie wrócono prosto do Warszawy, lecz przez Knyszyn, gdzie królowi podobało się zabawić aż do grudnia. Stąd nowe źródło trosk „nieuśpionych" dla poety, który wciąż myślał o swej wymarzonej Pazyfili. W końcu jednak, po miesiącach tęsknoty i niepokoju, znalazł się przy niej znowu, a że król zamieszkał na zamku pod jednym dachem z królewną, więc mogło się zdawać poecie, że teraz, mając tyle okazyi do widywania się z Hanną, potrafi przełamać jej obojętność. Niestety, mógł się przekonać niebawem, że wszelkie wysiłki z jego strony, czynione w tym kierunku, nie trafiały do serca dziewczyny. Ceniła jego talent, lecz nie kochała go, jako człowieka. Nawet przestała być zalotną wobec niego. Widząc

to, poeta cierpiał coraz sroższe katusze, bo miłość w nim, zamiast stygnąć w miarę napotykanych przeszkód, zapałała się coraz gwałtowniejszym płomieniem. Zrozpaczony, zaczął przemyśliwać o znalezieniu owej cudownej przepaski Wenery, co zdobywała serca i myśli uporne, a zwracając się do Afrodyty, która samym lwom i żubrom odejmuje srogość, błagał ją, ażeby ulitowała się jego cierpieniom, ażeby roznieciła iskrę uczucia w Hannie.

Ty mię ratuj, a swoją strzałą uzłoconą
Ugódź w serce, a obróć myśl nieunoszoną
Zapamiętałej dziewki, której ani skokiem
Człowiek dogonić może, ledwie zayźrzeć okiem.

Nie zrażał się jednak, a podniecony swem uczuciem, nie szczędził zabiegów, ażeby to oporne serce przełamać.

Jeśli to rada widzisz, a życzysz mi tego,
Abych przez cię używał frasunku wiecznego,
Cóż ci rzec, dziewko sroga: poprawdzie jam tobie
Inaczey to zadziałał, a co dziś na sobie
Odnoszę, dzieie mi się nad moje zasługi,
Ledwie taki na świecie niefortunny drugi.
Czego daley chcesz po mnie? czy jeszcze wątpliwa
Moja chęć przeciw tobie? noc w myślach tęskliwa
Y te ogniste gwiazdy rozsiane po niebie
Świadkiem, że nic milszego nie mam okrom ciebie.
. . . A ty, ieśli nadzieję chcesz o łasce swoiey
Zgasić we mnie, iuż dawno pragniesz śmierci mojej.

Więc doszło do tego, że Hanna, niewzruszona zaklęciami poety chciała w nim „zgasić nadzieję o łasce swojej", t. j. pragnęła, ażeby ją przestał prześladować swojem uczuciem?! Nie podobał się jej, i dosyć! Skoro go nie zdołała pokochać aż dotąd, to już nie pokocha nigdy. Dlatego, niech ją uwolni od siebie, niech się stara zapomnieć o niej, bo wszystko, coby jej jeszcze powiedział o swojej miłości, będzie grochem rzuconym na ścianę, nie znajdzie echa w jej sercu.

Widząc, że nie zdoła przełamać jej uporu, wszedł poeta w nową fazę: oto zaczął słuchać głosu obrażonej dumy, doradzającej mu, ażeby za obojętność zaczął odpłacać wzgardą, ażeby przestał być służką tak „niewdzięcznego pana". Czyż nie lepiej wyrzec się tak upokarzającej służby? I zaczął błagać bogini miłości:

Złolguy mi mało: owa się wyłamię
Z tej niepobożney niewoley, która mię
Tak zfrasowała, że y zdrowia nie mam,
Y o rozumie toż nakoniec mniemam.

I zdawało mu się, że byłby gotów „postawić palmę złotą" w kościele Afrodyty, byle mógł tylko „zbyć jarzma tak ciężkiego", byle mógł pokochać inną, skoro Hanna „co jest uprzejmość, nie czuje". Niestety, serce nie sługa, a choć rozum i podrażniona miłość własna nakazywały odwrócić się od tej „zapamiętałej dziewki", dusza wyrywała się do niej. Jakoż, pomimo wszelkich refleksyi i perswazyi rozsądku, tak się zawziął w swym afekcie, że choć nie kochany i wzgardzony, nie mógł się rozstać z swojem uczuciem. Blizki zwątpienia, złamany i wyczerpany, napisał rozpaczliwy wiersz *O miłości*, który najlepiej maluje jego ówczesne usposobienie:

Ma już pokóy Prometheus, lecz ja miasto niego
Jestem przybit na rogu Kaukazu śnieżnego.
Mnie orlica serce źrze, które na swe męki
Odrasta, y żywi zwierz łakomy przez dzięki.
Ma pokóy Andromeda, lecz ja przykowany
Do skały prze cudzy grzech podeymuię rany.
Do mnie płynie wieloryb rozwarłszy paszczękę:
Gdzie ja mam rady szukać? gdzie ja sie uciekę?
Ratuy mężny Herkules, ratuy Perseu sławny,
A odnów (jeno by wczas) na mnie przykład dawny.

Tymczasem życie toczyło się zwykłym trybem, a poeta, który dotąd widywał się z Hanną tylko na zamku, od niejakiego czasu — zdaje się w ciągu zapust — spotykał się

z nią jeszcze i w niektórych domach na mieście, skąd później wracał do domu z latarką i „bronią w późnych przygodach nieraz doświadczoną". Ale Hanna nie dała się wzruszyć. Nieszczęśliwy kochanek, choć mu to niepowodzenie opalało skrzydła, brał się na różne sposoby, ażeby trafić do serca swej umiłowanej, a między innemi, ufny w moc poezyi, pisał prześliczne „pieśni żałośliwe, na jakie się zdobyło serce nieszczęśliwe", które przez znajome osoby dochodziły do rąk Hanny. Ale i to nie pomagało.

Jam przegrał, ja, miłości, tyś plac otrzymała,
Tyś mię prawie do zimnej wody już dognała.

Znaczy to, że miewał chwile rozpaczy, w których myślał o samobójczem rzuceniu się do Wisły.

Widzę swóy błąd na oko, y próżne nadzieje,
A przed wstydem, y żalem serce prawie mdleie.
Ku temuż mię kresowi swem pochlebstwem wiodła,
Abyś mię czasu swego tak haniebnie zbodła.
Zbodłaś mię, a ten zastrzał twój nielutościwy
Mnie być pamiętny musi pókim jedno żywy.
Acz y żywot w twych ręku; a jeśli litości
Twey nademną nie będzie, jam zginął, miłości!
Zginąłem, a łzy moie dokonać mię maią,
Które mi z oczu płynąć nigdy nie przestaią.

Doszło do tego, że podobnie, jak niegdyś w Padwie, pod wpływem zawodów miłości ku Lydii, zaczął pić lub oszałamiać się hazardowną grą w karty, a kiedy jeszcze zdarzyła się sposobność, że w czasie sejmu 1570 roku mógł pohulać z Jędrzejem Trzecieskim [1]), zawsze do kielicha ochoczym, to tak dalece zapominał o przestrzeganiu miary

[1]) O roli, jaką w tej nieszczęśliwej miłości Kochanowskiego odegrał Trzecieski, tak pisze Windakiewicz: „Drugą wskazówkę biograficzną co do tego romansu uzyskamy z trzech fraszek do Jędrzeja Trzecieskiego, z których wynika, że po rekuzie użył Kochanowski Trzecieskiego za pośrednika do załagodzenia nieporozumień z Bezimienną, dwa razy odsyłał go z rozmaitemi propozy-

w trunkach, że raz po raz dawał się spoić swemu przyjacielowi. Jeszcze mu później dziękował za to!

Bóg żeć zapłać, Jędrzeiu, żeś mię dziś upoił:
Boś we mnie niepotrzebne troski uspokoił,
Które mi serce gryzły: jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że nie długo ze mną tey rozkoszy:
Bo to wszystko po chwili trzeźwa myśl rozpłoszy,
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku...

W końcu stracił nadzieję i zwątpiwszy, by zdołał zmienić „niewdzięczność“ Hanny, oddał się spokojnej rezygnacyi. Pijaństwa zaprzestał, bo mu szkodziło. Widział, że głową muru nie przebije, więc szukał zapomnienia — w pisaniu.

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,
Gra też częściej z utratą, niż z zyskiem przychodzi.
A nadzieie zaś niemasz wzaiemney miłości,
A owa na swą szkodę suszy bardzo kości.
Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze,
Piycie, graycie, miłuycie: Jan fraszki niech pisze.

Ale te frasunki poety nie uszły baczności jego znajomych, którzy, widząc, że, pomimo tylu przeciwności ze strony nieprzejednanej dziewczyny „opętanej niewdzięcznością“, nie przestawał jej kochać, zaczęli wpływać na Hannę, tłómacząc jej, że źle czyni, odrzucając miłość poety. Czy pod wpływem tych perswazyi, czy z innych powodów, dość, że z wiosną, a najpóźniej na początku lata 1570 roku, nastąpił pomyślny zwrot w zachowaniu się panny, pomyślny o tyle, że choć w niej serce nie zabiło goręcej, to jednak

---

cyami, zarzucał mu, że źle jego interes prowadzi, że perswazyami rodziny narzeczonej zbytnio się powoduje, a ostatecznie widząc, że niewiele poradzi, poszedł z nim do winiarni i smutek swój w butelce wina utopił. To pośrednictwo Trzecieskiego w załatwieniu nieporozumień z Bezimienną wskazuje, że on był właściwym pośrednikiem tej miłości“. *Erotyk Kochanowskiego*, str. 6.

dała się nakłonić ku swemu wielbicielowi. W duszę poety, jak gdyby złoty promień słońca do ciemnej komory, wstąpiła nadzieja. Widząc, że Hanna zmieniła się w stosunku do niego, iż staje się powolniejszą, w jednej chwili zapomniał wszelkich uraz, i niepomny wszystkiego, co wycierpiał z powodu tej „zapamiętałej dziewki", zanucił pieśń szczęśliwą:

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk y radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym Łabęciom zwierzony,
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twey czci ołtarz nowy
Stawię swą ręką darnowy.
. . . .
Tym cię błagam, o królowa
Bogatego Cypru, owa
Abo różne serca zgodzisz,
Abo y mnie wyswobodzisz.
Ale raczey nas oboje
Wzów pod złote jarzmo swoie,
W którym niechay ci służywa,
Póki ia, y ona żywa [1].

W końcu odbyły się zaręczyny, na które nietylko rodzice Hanny, ale i królewna dała swoje pozwoleństwo. Z powodu tych zaręczyn napisał Kochanowski krótki wierszyk, który najlepiej maluje, jak dalece „szczęśliwy" oblubieniec zdawał sobie sprawę z uczuć swej narzeczonej:

---

[1] Prof. Stanisław Windakiewicz uważa w swem studyum o *Erotyku Kochanowskiego* wiersz ten za pierwszy poemat, utworzony z myślą o Bezimiennej. Za twierdzeniem tem przemawia — nawet bardzo stanowczo — elegia do Pazylili, w której poeta zdradza się, że wierszyk, w którym wzywa Wenerę w kraje nadwiślańskie (Fraszka III, 12) odnosi się właśnie do tego romansu, czyli, że był napisany wcześniej od pomienionej elegii, a więc przed wyjazdem poety na Litwę.

Na palcu masz dyament, w sercu twardy krzemień:
Pierścień mi, Hanno, dajesz, już i serce przemień.

Ale choć się nie łudził co do jej uczuć, to jednak nie wątpił, że gdy ją powiedzie do ołtarza, a potem zawiezie do Czarnolasu, wtedy zdoła w niej wzbudzić przywiązanie, wtedy jej serce potrafi rozgrzać własnem uczuciem. W tej nadziei dokładał wszelkich starań, ażeby o ile możności przyspieszyć tę błogą chwilę, układał plany na przyszłość, którą sądził bardzo niedaleką, a tymczasem, rozkochany na zabój, korzystał z przysługujących mu praw narzeczonego, pracując nad wyrównaniem tej przepaści, która ich „różne serca" dzieliła. Znosił podarki, a czy to podarkami temi, czy swą gotowością na wszelkie usługi, czy skwapliwością, z jaką spełniał nawet kaprysy Hanny, dość, że tyle postąpił w pozyskaniu jej względów, że jeśli nie serce, to sobie przynajmniej zdobył uprzejmość pięknej dziewki. I w rozmowach stawał się śmielszy, może dlatego, że, czując pewny grunt pod nogami, więcej miał konkretnego tematu do rozmowy. Z pewnością najwięcej gawędzili o tem, jak sobie życie urządzą na wsi, jak będą zażywali swobody sielskiej, tak różnej od krępującej etykiety dworskiej, a można być pewnym, że poeta, rozmawiając ze swą lubą, nieraz zdobywał się na podobną czułość, jak ta, którą nacechował jedną ze swych elegii łacińskich do Pazyfili: „W nadziei twojej miłości, o serce moje, gotówem wzgardzić wszystkiem: tyś mi skarbem, ty sławą, ty jedynym zaszczytem. Wiele wprawdzie trzeba się troszczyć w nieszczęsnej miłości, lecz choćby i wcale się nie troszczyć, toć przecie samo czekanie jest przykrością. Kochankowie mierzą rok nie według biegu słońca lub przebytej ścieżyny zmiennego zodyaku; dla nich godzina, to jakby rok cały; nic też dziwnego, że wyglądają blado i przedwcześnie włos noszą siwy. Ty, dziewczyno, co jedna me cierpienie możesz ukoić, nie gubże mnie długiem zwlekaniem! Niech mi zazdroszczą, niech pękną zawistni, gdy tylko ty mi sprzyjasz,

już sprawa moja niczego się nie lęka. Ty jedna bądź mi przychylną. Napróżno walczyć z Amorem: ziści się wszystko, co tylko on zechce".

Na nieszczęście, nietylko Hanna trapiła poetę „ciągłem zwlekaniem", ale i okoliczności składały się w ten sposób, że chcąc nie chcąc należało odłożyć chwilę ślubu. Zaczęły występować trudności, których poeta nie przewidział na razie, a które nie pozwalały na przyspieszenie wesela. „Stary dwór czarnoleski, choć niepozorny i w ziemię zapadły, mógł wystarczać niegdyś poecie. Obecnie przecież, po ośmioletniem niezamieszkaniu stał się ruderą, wiejącą pustką i stęchlizną. Jakże tu do niego z królewskich komnat miłościwą panią wprowadzić?" Przedewszystkiem wypadało pomyśleć o wzniesieniu nowego dworu, o usłaniu w nim wesołego gniazdka, a to wszystko wymagało czasu i zachodu. Nie pozostawało nic innego, tylko przezimować w Warszawie, na wiosnę pojechać do Czarnolasu, wystawić dwór i dopiero potem wstąpić na ślubny kobierzec. Taki był plan poety, aprobowany przez narzeczoną. Tymczasem nadeszła zima, zapusty. Rozpoczęły się zabawy, tańce, biesiady. Hanna nietylko bywała na nich, ale bywając z narzeczonym, niejednokrotnie swem zachowaniem się jeszcze bardziej rozmarzała poetę. Raz pozwoliła mu zabrać sobie woniejący zioły *facolet*, t. j. chusteczkę od nosa; innym razem dała mu swój fiołkowy wianek z głowy, a starając mu się przypodobać, malowała się i bieliła... Wszystko to sprawiało, że poeta był najlepszej myśli, rozumiejąc, iż Hanna powoli przekonywa się do niego.

W tem błogiem przeświadczeniu, gdy nadeszła Wielkanoc 1571 roku, udał się do Czarnolasu. Tutaj, nie zwlekając, zaraz przystąpił do budowy domu, a miał to być piękny, gontem kryty dwór z dębów czarnoleskich, wzniesiony na podmurowaniu, z piwnicą, z obszerną sienią i kilką komnat. Budowa szła raźno, a poecie serce rosło, gdy patrząc na swą nową siedzibę, roił, że tu niebawem sprowadzi

Hannę. Z myślą o niej, zaczął przyozdabiać wykończone izby, a jeśli nie stać go było na obijanie ścian makatami, to nie znaczy to wcale, ażeby ich nie starał się przybrać w mniej kosztowne opony, ażeby stołów nie zamierzał ponakrywać dywanami, a ław i stołków — pokrowcami. „Jeżeli zaś kto, to poeta mógł ich nagromadzić niemało. Stosunki jego z możnowładcami opłacały mu się niejednym sutym podarkiem. Kosztowna broń i rzędy na konie, pierścienie, łańcuchy, roztruchany, kubki szczerozłote, nalewki i kobierce były nieraz jego wierszy nagrodą. Miał więc czem przystroić dom na przybycie Hanny". Gdy nareszcie dwór stanął gotowy, poeta, lubując się jego widokiem, napisał ów znany wiersz *Na dom w Czarnolesie*:

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoie:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoie.
Inszy niechay pałace marmurowe maią,
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, panie, niechay mieszkam w tym gniaździe oyczystem,
A ty mię zdrowiem opatrz, y sumieniem czystem.

W tymże czasie powstała i fraszka *Do poetów*, najprawdopodobniej Górnickiego i Trzecieskiego, którzy przyjechali zobaczyć nową chudobę Jana, fraszka, świadcząca o swobodnym nastroju umysłu autora, który, rad swoim gościom, wyobrażał sobie, jak to będzie rozkosznie, gdy oprócz serdecznych przyjaciół i Hanna zasiędzie do wieczerzy. „Będzie ser, będzie szołdra, będą wonne śliwy", a jeśli i muzyki nie zbraknie, wtedy i Hannie chyba nie uprzykrzy się z nimi... Tymczasem, oddalony od niej, co tydzień wyprawiał do Warszawy *tabellariusa* z listami do narzeczonej, pośrednikiem zaś, który mu ułatwiał to korespondowanie z panną, był ksiądz St. Fogelweder: na jego ręce szły listy z Czarnolasu, na jego ręce szły listy do Czarnolasu. A nietylko listy przywoził z Warszawy ów *tabellarius* Kochanowskiemu: zdarzało się, że mu przywoził i różne upominki od panny. Raz n. p. przywiózł mu od niej

lutnię, a poeta, otrzymawszy ten podarunek, ucieszył się nim podwójnie: przedewszystkiem dlatego, że był to dar ofiarowany mu przez Hannę z własnego popędu, a powtóre, że w samym wyborze podarku nietrudno było dopatzeć się głębszej myśli. „Jeżeli bowiem dotąd poeta starą swą lirę jedynie na smutne tony nastrajał, to z odmianą na lepsze, z nowem życiem, z nową nadzieją, czy nie było właściwem, aby, jak ton pieśni, i narzędzie muzyckie odmienił?" [1]).

A tymczasem na dworze promieniała wiosna rozkoszna, pola pokryły się zielonemi kobiercami zbóż, wszystko budziło się do życia, uśmiechało się, dążyło do rozkwitu. I w sercu poety panowała pogoda wiosenna, świeciło słońce, bieliły się wonne kwiaty nadziei. Rozumiał, że maluczko, a będzie szczęśliwy, że tylko patrzeć, jak Hanna zjedzie do Czarnolasu. I żył szczęściem, którego sądził się blizkim, i ciesząc się tą sielską teraźniejszością, którą uważał za krótki prolog do jeszcze piękniejszej przyszłości, napisał cudny wiersz do Hanny, który, bardzo być może, że jej wraz z listem, albo zamiast listu, wysłał przez owego *tabellariusa* do Warszawy.

. . . .

Hanno, tobie kwoli śpiewam,
Skąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amphiona
I lutnistę Ariona.

. . . .

Ty mię pochwal, moja pani,
Nie dbam, choć kto inszy gani.

A jeśli me niskie progi
Będą godne twoiey nogi:
Nogi piękney: nie potrzeba,
Dosięgę już głową nieba

---

[1]) Cały ten epizod z lutnią opiera prof. Plenkiewicz na Fraszce 33, księgi III, w której poeta między innemi pamiątkami, pozostałemi mu po Hannie, wymienia i lutnię. Mogła przecież Hanna tę lutnię ofiarować poecie równie dobrze w Warszawie, jak przysłać mu ją do Czarnolasu.

Samy cię ściany wołają,
Y z dobrą myslą czekają:
Lipa stoiąc w pośrzód dworu,
Wygląda cię coraz z boru.

Każ bystre konie zakładać,
A sama sie gotuy wsiadać:
Teraz naweselsze czasy,
Zielenią się piękne lasy.

Łąki kwitną rozmaicie:
Zająca już nie znać w życie,
Przy nadziei oracz ścisły,
Że będzie miał z czem do Wisły.

. . . .

Kwap się póki iasne zorze
Nie zapadną w bystre morze:
Po chwili ćmy czarne wstaną,
Co noc noszą nienaspaną.

Ta wzmianka o „ćmach czarnych“ była wyrazem różnych niepokojów, które niekiedy w noce „nienaspane“ obsiadały duszę poety, strasząc go różnemi przywidzeniami, przeczuciami. Obawiał się zawiści ludzkiej, która mu mogła pozazdrościć jego szczęścia, a niemniej lękał się intryg, które, praktykowane po wszystkich dworach, nie były obce i dworowi warszawskiemu. Wiedział, że nie jest bezpiecznie być nieobecnym przy narzeczonej, której uroda była oskomą dla tylu innych, a wiedział także, że bardzo szerokie koła interesowały się jego matrymonialnemi zamiarami (o których wieść doszła aż do Wiednia), gdyż byli tacy, którym mniej zależało na jego szczęściu, aniżeli na beneficyach. Ale te „ćmy czarne“, jakkolwiek go prześladowały chwilami, nie zawsze mogły się ostać wobec listów Hanny, z których stęskniony poeta czerpał otuchę. Że tak było, dowodzi Elegia II ks. III, przypisana Myszkowskiemu, z którym Kochanowski również, jak z Hanną i Fogelwederem, pozostawał w korespondencyi, elegia, napisana w jednej z tych błogich chwil, kiedy poetę nie dręczyły najmniejsze wątpliwości

o jego przyszłem szczęściu, kiedy był pewny, że każdy dzień zbliża go do Hanny. „Tu, Myszkowski, jeżeli kiedy zechcesz uniknąć wrzawy miejskiej, zawróć wartkie koła swej kolasy i nie gardź, bogaczu, progiem lichego domku, bo i ubogie chaty mają swe bóstwa opiekuńcze... Tu cię spokój miły, tu długie czekają wczasy, tu lekkie potrawy i wdzięczna rola, słodkie kwilenie ptasząt i powietrze zdrowe, przeźroczyste jeziora i cieniste gaje... Pazyfila zaś, cokolwiek na cały rok zgromadziła, zastawi przed tobą, kiedy skromną strzechę nawiedzisz, i bacznie przy obiedzie zważać będzie na twe skinienia i z winem napoczęte kielichy podawać; skromnie też poprosi, byś zechciał ubóstwu przebaczyć“ [1]). Tak sobie wyobrażał to swoje przyszłe szczęście, a im więcej myślał o niem, tem bardziej zniechęcał się do życia dworskiego, a zapalał do cichego żywota zie-

[1]) Zaliczenie elegii tej przez Plenkiewicza do seryi poezyi, pisanych do Hanny, i wogóle nadawanie tej Hannie imienia Pazyfili, które to imię łączono dotychczas z Dorotą Podlodowską, nie zyskuje aprobaty prof. Tarnowskiego, który w tej kwestyi ma niejedno do zarzucenia. „Nie widzimy powodu — czytamy w jego recenzyi — dla którego wiersze, odnoszone dawniej do Doroty Podlodowskiej, miałyby być przyznane tej Hannie; nie widzimy go tem więcej, że biograf jest czasem zbyt śmiałym w tych anneksyach na jej korzyść. Imię Pazyfila n. p. oznaczać ma ją wyłącznie, a nigdy Dorotę. Jednak, o innych argumentach nie mówiąc, trzeba przypomnieć Elegię II, księgi III, w której poeta, zapraszając Myszkowskiego do Czarnolasu, opowiada, jak Pazyfila będzie się krzątała około przyjęcia takiego gościa, i co najlepszego zebrała przez cały rok do swojej spiżarni, to jemu na stół postawi. Czy to o narzeczonej pisane?“

Na pytanie to dał odpowiedź prof. Brückner w swym artykule o *Nowych przyczynkach do dzieł Jana Kochanowskiego*. Z powodu Elegii III, 2, która jest ósmą w rękopisie Osmólskiego, profesor Brückner prostuje dotychczasowe mniemanie biografów Kochanowskiego, którzy ją odnosili do epoki czarnoleskiej w życiu poety: „Elegia nienajkrótsza — pisze Brückner — liczy 62 wiersze, powtarza się bez wszelkich zmian w obu redakcyach, jednę tylko nazwę zastąpił Kochanowski inną i zadrwił srodze z komentatorów

mianina. „Miła mi mierność moja (pisał w tejże elegii); jej rad jestem tak, jakbym twemi, bogaty Krezusie, władał królestwy. Czyja wola, niech oblega progi dojutrków królujących: ja, biedny, ubogi zagon lemieszem odwracać będę

W operetce *Nanon* i w innych utworach lekkiej muzy, pieśnią, złożoną pierwotnie w hołd bogdance, po zmianie nazwiska raczą poważne panie; podobnie i tutaj wszyscyśmy dotąd myśleli, że wierszem tym zapraszał Jan biskupa płockiego, czy krakowskiego, do Czarnolasu, gdzie zarumieniona Pazyfila-Dorota dygnitarza kościoła przyjmować miała; czerpaliśmy z tej elegii szczegóły o Dorocie, o biskupie-myśliwym Tymczasem czytamy w pierwszej redakcyi zamiast *Pasiphile in totum* i t. d. — *Lidia et in totum* i t. d. i cała nasza budowa runęła; więc już nie o biskupie, o żonie, o Polsce tu mowa, tylko o innym Myszkowskim, o Lidyi, o Padwie". Obacz *Ateneum*, 1891, II, 9. Nieco inaczej o tejże samej elegii pisze prof. Brückner w roku 1898 w swej recenzyi dzieła Plenkiewicza. Oto, co tam czytamy na stronie 653: „Nie będę wprawdzie teraz twierdził, że elegia ta dla samej wzmianki o Lidyi cała z Padewskich czasów pochodzić musi koniecznie; że już roku 1562 lub 1563 mógł poeta myśleć o uczczeniu Myszkowskiego, nic dziwnego; mógł go więc poeta prosić do siebie na wieś, by po gwarze miejskim z nim odpocząć, i tę wzmiankę o nim wstawić do elegii, napisanej choćby i wcześniej.. Nazwisko Lidyi zastąpione w późniejszej redakcyi (dla druku) przez Pasiphila-Hanna: lubował się poeta wedle własnego zeznania w Hannie, użył jego na przykład już w *Szachach*, jeśli nie wcześniej, i oddawał je w późniejszych utworach łacińskich przez zbliżone znaczeniem *Pasiphile*. Lecz że taka Pazyfila od Lidyi nie wiele się różniła, ani własnym stanem, ani uczuciami poety, dowodzi każda o niej wzmianka; n. p. w Elegii III, 1, napisanej roku 1567, wspomina o tem, że staremu już nie przystoi pukać nocą do drzwi, by go wpuszczono; we współczesnej elegii III, 12, przestrzega ją, aby się przekupić nie dała, i t. p. I to miała być panna fraucymeru królewny, z którą on miał się zaręczyć! Niemniej trafnie odnoszono dawniej wzmianki o tej kurtyzance do żony poety, Doroty Podlodowskiej!" Wszystko też, co napisano „o niepokalanej czystości tej miłości i jej uszlachetniającym wpływie na poetę" prof. Brückner odrzuca z całą stanowczością, wkłada do fraszek. Nadmienić wypada, że R. Löwenfeld w swojej pracy *Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen* przez Hannę zawsze rozumie Dorotę Podlodowską.

i ufną ręką pewne ziarno posieję". Tak nastrojony, czując przypływ weny poetyckiej, zaczął tłómaczyć psalmy Dawida. W ten sposób upłynęło mu lato roku 1571.

Tymczasem Hanna opuściła dwór królewny, ażeby czas jakiś „przy pani matce" pomieszkać, z czem w parze szło również i szykowanie wyprawy. Zdaje się, że poeta często odwiedzał Hannę, gdy przebywała u rodziców, bo inaczej nie pisałby, że wrota jej domu były „świadome jego częstych dróg". Cóżkolwiekbądź, był zadowolony ze swych konkurów, a po każdem widzeniu się z Hanną, ku której rozpłomieniał się coraz namiętniejszym afektem, z wrastającą lubością marzył o swem weselu. Wesele to, ze względu, że Hanna była dworką królewny, spodziewał się obchodzić nie gdzieindziej, jeno na zamku warszawskim, a więc i z pewnym przepychem. Szło tylko o wyznaczenie terminu, o to, by rodzice narzeczonej, po uprzedniem porozumieniu się z królewną, oznaczyli dzień zaślubin.

Nagle wybuchła zaraza w Warszawie, zaczem poszło, że musiano odłożyć gody weselne. Była to fatalność, ale poeta, już pewien swego, rad nie rad pogodził się z tą chwilową przeszkodą: skoro zwyciężył wszystkie przeciwności ziemskie — myślał sobie — to nie potrzebuje się lękać tej zawady ze strony nieba. Co się odwlecze, to nie uciecze! Tak rozumując, był dobrej myśli, ba, nawet mu nie zbywało na humorze: humoru dowodził jego list do Fogelwedera, pełen różnych łacińsko-polskich konceptów, elegia zaś, poświęcona temuż Fogelwederowi, świadczyła o niezamąconej pogodzie umysłu jej autora: z listu wynika, że poeta, oprócz tęsknoty za ukochaną, nie znał innych smutków, a w elegii „żartował sobie" na temat „poważnej u dworu pracy" swego przyjaciela i powiernika, którego przepraszał jednocześnie, że go „nudził" i „trapił" swemi sprawami osobistemi. „Jak młodzian miłością płonący, któremu dziewczyna z nadejściem zimroku kazała oczekiwać swego przybycia, pragnie, by jaknajprędzej złote słońce zaszło, sądzi bowiem,

że ono jedno przeszkadza jego życzeniom", podobnie i on tej jesieni czuł się w przededniu szczęścia. „Tak my tam na wsi (pisał do Fogelwedera), kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiądziemy, a lada co i mówimy i piszemy".

Nagle zapadło się wszystko: Hanna odesłała mu pierścionek. Właściwego powodu, który ją skłaniał do zerwania z niekochanym i po za czterdziestkę wybiegłym „proboszczem poznańskim", nie podała żadnego. Dopiero teraz zrozumiał Kochanowski, co leżało na dnie owego dziwnego zachowania się Hanny, gdy u niej był po raz ostatni. Rozżalony, chwycił za pióro, a pieśń, którą skreślił pod wrażeniem fatalnej wieści, najlepiej maluje jego chwilowy nastrój:

Nie za staraniem, ani prze mą sprawę,
Miła, po tobie znam taką postawę [1]):
Szukay, iako chcesz, nie naydziesz przyczyny,
Chyba żeć milszy podobno kto iny.

---

[1]) Prof. Brückner w swem doniosłem, a w literaturze o Janie z Czarnolasu prawdziwie epokowem studyum, przynoszącem na podstawie rękopisu Osmólskiego *Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego*, wszystkie te erotyki, które Pienkiewicz odnosi do Hanny a Windakiewicz do Bezimiennej, zalicza do czasów padewskich, jako pisane do Lidyi. Oto odnośny ustęp z pomienionej pracy, ustęp, mojem zdaniem, otwierający szerokie pole do dyskusyi:

Zaznaczmyż jeszcze — czytamy tam na stronie 21 — że miłość Lidyi stanowi treść i większej części pieśni erotycznych polskich. Szukano w nich mylnie wszystkiego, tylko nie tego stosunku, gdy tymczasem na podstawie porównania elegii łacińskich z wszelką pewnością szereg tych pieśni do Lidyi odnieść się daje. A więc na przykład wiersze: „Juno, porzuć swój gniew długi" i „Złota to strzała i krom wszego jadu była, którą mię niepochybna miłość uderzyła", i te wiersze o „Pannie wszech piękniejszej i jej świętych obyczajach", o których bajano, że Dorocie ofiarowane, to są to wiersze właśnie „nowotnej Muzy słowiańskiej", o których w elegii I, 6, mowa; dalej wiersz o podróży z opisem przygody Europy, wiersz na rozstanie się z „panią wszechpiękniejszą, co ich kolwiek przyniosła chwila teraźniejsza. Już mi z myśli wypadły te obecne twarzy" i t. d. (porównajmy „zgładzam już z myśli wręcz wszystkie kształty, które na różnych miejscach podziwiałem", elegia I, 6)

A ja co mam rzec? nie chcę się przeciwić:
Temu się iedno nie mogę wydziwić,
Zkąd tę niestałość białegłowy maią,
Że się, iako wiatr letni odmieniaią.

Niedawne czasy, gdy mię poczytano
W liczbę fortunnych, y za tego miano,
Który mógł wszystko otrzymać u ciebie,
A mnie się zdało, żem był wszytek w niebie.

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieią,
Straciłem wszystko zaraz y z nadzieią:
Nie wiem, co mię za wiedźma osypała
Y lichem zdradnych słów oczarowała.

i wiersz do nieobecnej, gdzie ją znowu zapewnia o swej wierze i miłości, a twierdzi „nietylkoś nad inne gładszą się urodziła, aleć i zwyczajmi twarzy nic nie zelżyła“. Oto kilka wierszy z epoki pierwszego niezamąconego większym żalem szczęścia, ale po jego użyciu gorycz została, a więc pierwsze otwarte wyznanie, że się zawiódł, we wierszu „Muszę wyznać, bo się już nie masz na co chować“, wymówki i przestrogi we wierszu „Nie za staraniem ani prze mą sprawę miła! po tobie znam taką postawę“, żale i wyrzuty we wierszach „Rozumie mój! próżno się masz frasować“ i „Nieźle czasem zamilczeć, co człowieka boli“, daremne wyczekiwanie pod furtką „Ty śpisz, a ja sam na dworze... cierpię nocne niepogody“ i t. d. i skargi tej furty „Zmiłuj się kto dobry a potłucz zawiasy“ i t. d., nakoniec sarkazmy i skargi przed przyjacielem Nideckim, w których otwarcie wyznaje, że zbyt schlebiał bogdance, że wstydzi się teraz tej przesady, bo ona ani tak piękną, ani jej obyczaje jakiej chwały godne, więc też jego nieprawdę fałszem mu oddaje: we wierszach „Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie“, „A cóż radzisz Jędrzeju“, „Który mój nieprzyjaciel“, „Bogini, która miłością szafujesz“ i inne. Porównanie tych piesni między sobą i z elegiami łacińskiemi, w których te same motywa lub nawet zwroty się powtarzają, wykazuje dowodnie, do kogo się wszystkie odnoszą. Tyle o Lidyi. Obacz *Ateneum*, 1891, II, 21. W swej recenzyi w *Pracach filologicznych* (na stronie 652) prof. Brückner podaje w wątpliwość cały „trzeci najobszerniejszy romans“ poety z Hanną z fraucymeru królewny Anny. Romans ten „zszyty z kilkunastu fraszek, paru elegii, kilku niby wskazówek“, a nadto ze „samych domniemań, hypotez, prawdopodobieństw“ robi na prof. Brücknerze wrażenie „zlepku“, „pełnego rażących sprzeczności“, słowem, czegoś „wymyślo-

Niech ci się, miła, wszystko dobre wodzi,
Z kimkolwiek przestać twoie serce godzi.
Ale rozeznać umiey przyjaciela,
A trudno naleźć masz jednego z wiela.

Nie dufay temu, kto gładkość miłuje,
Bo ten na słabym gruncie się buduje:
Słońce iednako y padnie y wschodzi,
Nam zawżdy z laty cokolwiek odchodzi.

A gdy czas przyydzie ostatniey potrzebie,
Ledwie się naydzie, kto ciało pogrzebie.
Takim ia chcę być przyjacielem tobie.
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie.

Przypuszczenie poety, że znalazł się ktoś inny, co pod jego nieobecność zdołał zawładnąć sercem Hanny, a przynajmniej był lepszą partyą od niego, okazało się słusznem. Mimo to, wzgardzony poeta nie odrazu dał za wygranę, lecz pojechał do Hanny, ażeby z jej własnych ust dowiedzieć się o przyczynie takiego obrotu sprawy. Pojechał, scena zaś, jaka się rozegrała pomiędzy nim a Hanną, nie obeszła się bez skarg i łez z jej strony; Kochanowski jednak, nie przekonany ani temi „łzami krokodylowemi" Hanny, ani „zmyślonemi skargami" jej rodziców, odjechał w tem przeświadczeniu, że mu za jego szczere uczucia odpłacono „niecnotą y fałeszną zdradą", a kiedy mijał wrota, prowadzące do posiadłości swych krzywdzicieli, patrząc na nie, pewny, że je widzi po raz ostatni, takie im rzucił pożegnanie:

nego", co się kwalifikuje do tej samej kategoryi zmyśleń w życiu Jana Kochanowskiego, co córka Stanisława Tarnowskiego ze studyum Chlebowskiego i margrabianka d'Aubusson z opowiadania Aëra (Rzążewskiego). Choć w nawiasie dodać należy, że wedle autora „Obrazka historycznego z XVI wieku", zatytułowanego *Jan Kochanowski dziedzic z Czarnolasu*, Hanna była panna Koniecpolska. Dlaczego Koniecpolska? Gdzie na to dowód, choć cień dowodu? Autor o tem milczy, dyskretnie... Wymaga, żeby mu wierzono na słowo, uważając widocznie, że nie potrzebuje tłómaczyć się przed czytelnikiem, a cóż dopiero przed krytyką!

Bóg was żegnay, niewdzięczne, y nieludzkie wrota,
Świadome mych częstych dróg, y mego kłopota:
Boday tu pajęczyna, y pleśń na was padła,
A te niewierne zamki rdza plugawa ziadła.

. . . .

Cierpiałem ia tak wiele, że mię wstyd powiadać,
A mógłby mi bezpiecznie każdy głupstwo zadać:
Żem sye dał za nos wodzić czas tak bardzo długi,
Bacząc, że w małey wadze były me posługi.

Chciałem złość jakokolwiek wytrwać uprzeymością,
A zwyciężyć niewdzięczność swoią stateczneścią:
Ale moia uprzeymość, y statek był próżny,
A iey niebaczny umysł zawżdy memu różny[1])

Do domu powrócił rozżalony i rozgoryczony, pełen zwątpienia o sobie. Ale dotkliwie zadraśnięty w swej miłości własnej, pocieszał się myślą, że „ludziom złym będzie swa zapłacona wina", a tymczasem choć „cierpiał, jako mógł" i „frasował się ustawnie", starał się przeboleć doznaną krzywdę, zapomnieć o płochej dziewczynie. „Mężem być trzeba"...

[1]) O ile w pierwszej, majorowej fazie miłości Kochanowskiego do Bezimiennej naśladownictwo Petrarki nie ulega żadnej wątpliwości, o tyle w fazie następnej, minorowej, poeta otrząsa się z pod uroku śpiewaka z Wokluzy. Jeżeli była chwila, że Kochanowski wiele miał do zawdzięczenia Petrarce, gdy w najważniejszym przełomie moralnym i twórczym autor *Canzoniere* dopomógł mu do przedostania się na znacznie wyższy stopień samoistności, gdy go nauczył klarować czysto liryczne uczucia, wskazał drogę do ujmowania ich w formę bardziej nowoczesną; to gdy ta błoga chwila minęła, wpływ Petrarki znika zupełnie. W pieśniach z tego dramatycznego okresu znać męską duszę poety, hart, trzeźwość, wytrawność, obcą Petrarce. „Widocznie — słowa są Windakiewicza — że Kochanowski dużo w tym czasie przebolał, przemyślał, i wśród tego bardzo zmężniał i wykształcił się. Miłość staje się bardziej samowiedną i osobistą, proces cały toczy się w głębi jego duszy spokojnie i rozważnie, a choć porusza najtkliwsze struny serca, poeta już nie szaleje obecnie, nad uczuciem swem osobiście panuje i sam się w sobie ukoić potrafi" (strona 201).

Ale jeszcze się nie zdążył uspokoić po odniesionej klęsce, kiedy go w kilka tygodni niespełna, bo jeszcze przed końcem roku 1571, doszła wiadomość z Warszawy, że Hanna wyszła za mąż, a wesele odbyło się na zamku, w obecności królewny i króla [1]). Choć to było do przewidzenia, jednakże na wieść o tem, poeta nie umiał ukryć swej boleści: dopiero teraz przekonał się, jak namiętnie kochał, jak się czuł nieszczęśliwy z powodu utraty tej dziewczyny:

[1]) „Cyrus, który wciąż na dworze polskim w charakterze posła cesarskiego przebywał i o najdrobniejszych szczegółach dotyczących dworu, do Wiednia na gorąco donosił, pisze pod dniem 26-go grudnia 1571 roku, iż na weselu, które królewna Anna wyprawiła dla jednej z panien, należącej do jej fraucymeru, obecnym był i król Zygmunt". Na tej informacyi, podanej przez Cyrusa, opiera się hypoteza prof. Plenkiewicza, że to właśnie Hanna była ową panną, której królewna w tych czasach wyprawiła wesele na zamku. Pewności jednak, że to było wesele byłej narzeczonej Kochanowskiego, niema żadnej. Stan. Tarnowski też się odnosi bardzo niedowierzająco do tej kwestyi. „Poseł cesarski Cyrus — czytamy w sprawozdaniu Tarnowskiego — donosi w relacyi z roku 1571, że królewna Anna wyprawiła jednej ze swoich panien wesele, na którem i król był obecny, i to za dyspenzą, bo w czasie niekanonicznym (w adwencie?). To oczywiście ta Hanna! Podobał się jej kto inny, zdradziła Kochanowskiego, a ślub brała w wielkim pośpiechu za dyspenzą, żeby się zdradzony nie dowiedział i nie stawiał przeszkód. Tak się tłómaczy żal i gorycz Kochanowskiego. Istotnie, żal i gorycz tłómaczą się doskonale; tylko co się nie tłómaczy, to tożsamość owej zaślubionej w adwencie bezimiennej panny, z tą, co zdradziła poetę, to związek owej relacyi Cyrusa z jego zerwanemi zaręczynami". Wogóle cała ta żałosna historya o Hannie wydaje się prof. Tarnowskiemu niedostatecznie w książce Plenkiewicza uzasadnioną. Oto, jak te swoje wątpliwości tłómaczy w recenzyi w *Przeglądzie polskim*: „Ostatnia przed ożenieniem wielka i smutna jego miłość, owa Hanna, która go zdradziła, to znowu kombinacya zbyt śmiała. Że był zaręczony, i zdradzony, i smutny, to dość z jego wierszy widoczne. Ale że jakaś panna z dworu królewnej wzięła ślub za dyspenzą, to musi być zaraz koniecznie ta sama panna? Jaki związek pomiędzy podstawą a wnioskiem? jakie ogniwo łączy te dwa fakta i czyni je za-

Muszę wyznać, bo sie już nie masz na co chować:
Nigdybych był nie wierzył, bych tak miał żałować,
Tego zwłaszcza, co nigdy mym własnym nie było:
Poprawdzie mi nie prawie źle serce tuszyło

Aleciem bardzo nagle wypadł z tey nadzieie,
A moiey sie przygodzie nieprzyiaciel śmieie:
Kto drugi ma bez prace, o co snadź dbał mało,
A mnie za me staranie złe szczęście podkało.

Samem swą własną ręką tę winnicę grodził,
Aby iey był ani zwierz, ani zły ptak szkodził
Polewałem, żeby iey słońce nie suszyło,
Nakrywałem, żeby iey zimno nie mroziło

---

leżnemi od siebie? Nie widzimy żadnego. P. Chlebowski w swoim czasie wiedział nawet, jak się ta niewierna nazywała (Tarnowska) i za kogo wyszła; u prof. Plenkiewicza domyślność jest na pozór mniej śmiała, ale naprawdę równie dowolna". Stan Zathey, w swem studyum o *Fraszkach* Kochanowskiego *(Rozprawy Akademii Umiejętności Wydziału filologicznego*, tom XXXIV) akceptuje wywody Plenkiewicza, odnoszące się do miłości ku Hannie, przyznając, że była to miłość prawdziwa, gorąca i wielki wpływ mająca na poetę. „Największa część jego miłosnych utworów do niej się odnosi. W tych utworach zawarta jest cała historya uczucia — brak tylko szczegółów, któreby nam ułatwiły poznanie nazwiska niewiernej Hanny" Streściwszy narracyę Plenkiewicza, Zathey stawia następującą konkluzyę, z którą trudno się nie zgodzić: „Tak mniej więcej opowiada nam dzieje tej miłości prof. Plenkiewicz. Czy opowiada zgodnie z rzeczywistością? Trudno o tem sądzić, gdy się rzeczywistości nie zna. W każdym razie w opowiadaniu jego za wiele jest nie dość uzasadnionych przypuszczeń czy hypotez. My na pewno twierdzić możemy tyle tylko, że poeta kochał się w jakiejś Hannie, że dostał od niej obrączkę, że ona później wzgardziła jego uczuciem. Czy to było w roku 1569, czy w innym, czy Hanna należała do fraucymeru królewny Anny, czy nie, czy król był na jej weselu, czy nie był, o tem trudno wyrokować, trudno dowodzić, że tak było, ale też nie łatwo dowieść, że było inaczej. Zresztą jądro opowiadania stanowią szczegóły zebrane z utworów Kochanowskiego, więc opowiadanie w głównych zarysach jest prawdziwe, a ma wartość przez to, że zręcznie składając szczegóły w całość, daje nam pojęcie o rozwoju uczucia i jego związku z twórczością poety" (strona 405).

A kiedy mię nalepsze miały podkać gody,
Nie wiem co za zły człowiek oberwał iagody.
Y używa z rozkoszą, czego dostał snadnie,
A mnie patrząc ieno się serce nie rozpadnie.

Bodayże nie przechował, a boday poleżał:
Nie wiem iako mię do gron tak pięknych ubieżał
Ja sobie tak dobrych lat doczekać nie tuszę:
Podobno, iako niedźwiedź, łapę lizać muszę.

Widząc przecież, że nie pomogą żadne gorzkie żale, a czując jednocześnie, jak ta boleść podkopywała jego zdrowie, usiłował nie frasować się dłużej, „być niepożytym we wszelkiem nieszczęściu“, zwłaszcza, że w jego ostatniej klęsce „jużci nie cnota traciła swe myto“.

Przeto choć drogo,
Szczęście się z tobą
Obchodzi, sobą
Nic nie trwóż,

sowicie bowiem „Bóg zwykł nagradzać temu, kto zdradzać nie zwykł nikogo“. Jednocześnie pocieszał się myślą, że Hanna nie była żoną dla niego: zakochana w sobie, próżna i płytka, była to pospolita dusza w pięknem ciele, a choć to ciało było powabnem rzeczywiście, to jednak nie w tym stopniu, jak to się wydawało Hannie. Bo nie wszystko było prawdą, co on, w uniesieniu miłosnem, wypisywał o jej piękności, kiedy się sadził na wierszowane pochlebstwa, których jej próżność tak była żądną.

Próżna twa chluba, nie kochay sie w sobie:
Nie wszytkoć prawda, com pisał o tobie.
Miłość mię zwiodła, y przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięcznieysza nie była.
. . . Teraz w mych oczach wszystko się zmieniło
Obłudne serce wszystko pokaziło...

Złudzenie pierzchło, ale bolesny cierń został w sercu. Poeta nie mógł spokojnie myśleć o Hannie, a kiedy sobie przypomniał o niej, czuł niesmak i gorycz.

Czego mi tedy stateczne namowy
Nie mogły wybić żadną miarą z głowy:
Czegom zbydź nie mógł, przez zioła, przez czary,
To sam dziś wyznam na sie z prawey wiary:
Żem był zabłądził w swey niemądrey sprawie,
A byłcim, jeśli komu, jak żyw prawie [1])
Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
Daley nie będziesz ze mnie sługi miała
To com ci służył, niech iuż w niwecz idzie,
Bo jednak ten czas kiedykolwiek przyidzie,
Że ty wspomniawszy na me powolności,
Musisz zapłakać nie raz od żałości,
A ia, bych ieno o tobie nie wiedział,
Y w pustych lesiech sam rad będę siedział [2]).

[1]) Byłem ci całą duszą oddany

[2]) W swym *Erotyku Kochanowskiego* zwraca prof. Windakiewicz uwagę jeszcze na jeden epizod tej nieszczęśliwej miłości poety, epizod, niezaznaczony przez prof. Plenkiewicza. „Najciekawszym momentem z całej historyi erotycznej Kochanowskiego w drugiej fazie jest zniszczenie erotyków do Bezimiennej po zerwaniu z nią stosunków. Po wyrzuceniu pamiątek od Bezimiennej, to jest po oddaniu tryumfującemu Amorkowi faceletu z obrączką złotą, szpady używanej do późnych powrotów po nieoświeconych ulicach, wreszcie próżnej sakiewki i lutni erotycznej, Kochanowski przystępuje w jednym z ówczesnych poematów do przeglądania swych erotyków i częściowego palenia tychże. Zdarzeniu temu poświęca osobny poemat, pisany w momencie, kiedy już przychodził do zupełnego ukojenia. Poeta nazywa w tym wierszu swą miłość „niemądrą sprawą“, wyrzuca kochance niewdzięczność, obłudne serce, a o swej poezyi powiada, że ją tworzył w zaślepieniu, kiedy go „miłość zwiodła“. Poemat ten powstał widocznie przy czytaniu takich pieśni, jak „Kto mi dać wiary nie chce“, albo „Złota to strzała była“, pisanych po pierwszem zbliżeniu, i miał na celu zniszczyć pamięć jego pierwszych uniesień w literaturze, o ile naturalnie stały się publiczną własnością. Tymczasem dla zatarcia tych wspomnień poeta rzuca dawne erotyki do ognia — „to, com ci służył, niech już w niwecz idzie“ — i tem całopaleniem zakończa smutną historyę swej miłości (Fraszka 34). Do tego ciekawego momentu targania i palenia rękopisów erotycznych odnosi się także jedna fraszka, w której wyraźnie oświadcza, że chce „zatłumić“ pamięć swej miłości i poezye swe nazywa „rymy głupie, rymy nie-

„Rad będę siedział". Rad, bo jeśli chodzi o klucz do psychologii poety w tym czasie, to należy go szukać w ostatnich słowach powyższego fragmentu: one zawierały cały program, jaki sobie Kochanowski, po swej matrymonialnej

obaczne", bo „szaleństwo jego jak w zwierciedle okazują" (Fraszka II, 74).

Pierwszym, który na podstawie utworów Kochanowskiego odkrył ten interesujący epizod miłosny w życiu poety, był Bronisław Chlebowski, w swej, bądź co bądź, nietuzinkowej pracy o *Janie Kochanowskim w świetle własnych utworów* (Warszawa, 1884). On też, na stronach 89—106, w treściwym zarysie opowiedział całą historyę tej dramatycznej miłości, tylko, że w swych subtelnych wywodach poszedł za daleko. Albowiem, opierając się na jednym z wierszów poety, gdzie powiedziano, „że ciernie inszy owoc prócz tarnki dać może", doszedł do przekonania, że owa Hanna, do której adresowane są namiętne erotyki Kochanowskiego, była jedna z sześciu córek podskarbiego koronnego, Stanisława Tarnowskiego, której również było na imię Hanna.

Hypoteza ta nie przyjęła się w literaturze: uważano, że dowód był zbyt subtelny... Cokolwiek bądź, w literaturze francuskiej niektórzy badacze uciekają się do podobnych konjektur, uważając metodę tę nie za gorszą od innych. Oto n. p. w jaki sposób biograf Ronsarda, zasłużony wydawca jego dzieł, p. Prosper Blanchemain, dowodzi, że druga z kochanek Ronsarda, opiewana przez niego, jako Marya, nazywała się du Pin.

„S'il m'était permis se hasarder une conjecture, ce nom serait Marie du Pin. Ne s'écrie-t-il pas:

> J'aime un Pin de Bourgueil, où Venus appendit
> Ma jeune liberté..

Et plus loin:

> Si quelque amoureux passe en Anjou, par Bourgueil,
> Voye un Pin eslevé pardessus le village...

Enfin, dans le voyage de Tours:

> J'irois jusqu'à Bourgueil
> Et là, dessous un Pin, couché sur la verdure.

Je ne crois pas qu'il en faille davantage pour justifier ma supposition aux yeux de qui connait l'esprit du XVI siècle".

Jakkolwiek Chlebowski mógłby o swojej hypotezie powiedzieć to samo, krytyka przeszła nad nią do porządku, przyjąwszy

porażce, ułożył na resztę życia. Rozczarowany, zniechęcony i zrażony do ludzi, a do niewiast zwłaszcza, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, które już raz wypowiedział w *Carmem macaronicum* [1], że nie ma jak żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem". Tylko, że wtedy, marząc o podobnem życiu, wyobrażał je sobie na tle życia rodzinnego. „Same dzieci podają mi

---

tylko sam fakt miłości do Hanny, który to romantyczny epizod wciągnęła do biografii poety. Uczynił to w pierwszym rzędzie Tarnowski w swem dziele o *Janie Kochanowskim*, gdzie miłość tę w taki sposób scharakteryzował: „Z tych wszystkich przytoczonych wierszy wyciągam mniemanie, że przed swojem ożenieniem, a na czas niedługi przed opuszczeniem dworu, Kochanowski przebywał miłość nieszczęśliwą, ze wszystkich dotąd może najsilniejszą, że przedmiotem tej miłości była panna, że chciał i miał nadzieję z nią się ożenić. Że jacyś niegodziwi ludzie stanęli między nim a jego szczęściem, z jakich powodów i co zrobili, dojść nie można, przypuszczał tylko, że był nie dość bogatym, nie dość świetnym pretendentem; wreszcie, że panna, czy zmienna z natury, czy też nieśmiała a zmuszona, odstąpiła go także, bo i do niej żal jest widoczny. Że wreszcie on cierpiał nad tem bardzo i że ta miłość była jednym z powodów, może głównym powodem tego zniechęcenia do ludzi, pragnienia samotności i spokoju, które sprawiły, że chciał zmienić miejsce pobytu i otoczenie, oderwał się od dworu, a wyrywał na wieś".

[1]) Bron. Chlebowski odnosi napisanie *Carmen macaronicum* do roku 1579, do czasów czarnoleskich, w parę lat po ożenieniu, a na krótko przed śmiercią Urszuli. Inaczej prof. Małecki, który ten utwór byłby skłonny odnieść do bujnej studenckiej epoki padewskiej. Do utworu tego bowiem dostarczyły mu formy gotowej wzory tego właśnie rodzaju, już wtedy istniejące we włoskiej literaturze, a właśnie z Padwą zostające w ścisłym związku. Szczególnie sławnym był wydany w końcu XV wieku poemat *Typhis Odaxii Patavini, Carmen macaronicum de Patavinis quibusdam arte magica delusis*. Treść utworu Kochanowskiego nie zostaje w żadnej zawisłości od tej włoskiej publikacyi, ale tytuł obydwóch podobny, a sposób i mięszanina językowa ta sama. Obacz *Jana Kochanowskiego młodość*, strona 24.

do stołu i żona cnotliwa, gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie". Teraz, pokosztowawszy zatrutych kołaczy białogłowskiej niestateczności, zrezygnował z rozkoszy ojca i głowy rodziny, a pisząc, że „w pustych lesiech sam rad będzie siedział", nie wątpił, że i samotny, siedząc na roli, będzie się czuł szczęśliwszy, aniżeli gdyby po tem wszystkiem, co zaszło, wrócił na dwór. Tylko by się naraził na złośliwe drwiny swych towarzyszów dworskich, którzy i tak, gdy się rozeszła wieść, że jego Hanna wychodzi za innego, a jemu dała odkosza, śmieli się z niego, jak dawniej naigrawali się z jego niefortunnych konkurów... Wiedział, że i tak „nieprzyjaciel śmiał się jego przygodzie". Toż musiano sobie stroić żarty, kiedy się odbywało wesele Hanny! I w takich warunkach miałby wracać na ten „zwodniczy" i „zawodny" dwór, po którym się tyle spodziewał niegdyś, a na którym wogóle zawiódł się tak boleśnie. A zresztą dosyć już miał tego czczego i próżniaczego życia, urozmaicanego plotkami i intrygami, pijaństwem i rozpustą! Gdyby nie Hanna, już by je dawno porzucił!

W takim nastroju ułożył Elegię XV, ks. III, streszczającą się w znamiennym wykrzyku: „Żegnaj dworze zwodniczy! Nie dbam o twoje wielkie obietnice. Wolność droższa mi nad perły". Równocześnie wrócił do pracy nad Psałterzem, tylko o ile z początku, gdy przystępował do tłómaczenia tych Dawidowych natchnień, nosił się z myślą dedykowania swego przekładu królowi (jak tego dowodzi list do Fogelwedera), o tyle teraz, ostatecznie zrażony do dworu, pozwalał dojrzewać innemu zamiarowi, który pomijał króla, a miał na celu zaszczytne wyróżnienie Myszkowskiego [1]).

---

[1]) Psychologiczną genezę przekładu *Psałterza* Kochanowskiego tak sobie wyobraża prof. Brückner: „Jak każdego humanistę-poetę, tak i Kochanowskiego zajmował *Psałterz;* i jego trapiła chęć przelewania hymnów hebrajskich we formy klasyczne; nie zadowoliło i jego płaskie, suche wykonanie pomysłu tego przez prze-

Prawie wszystko bowiem, co miał, co zyskał w ciągu swej służby dworskiej, zawdzięczał Myszkowskiemu, nie królowi. Bądź co bądź, nastrój psychiczny, w jakim obecnie zabrał

chwalonego Erbana Hessa. Lecz zjawiła się w druku roku 1565 *Paraphrasis psalmorum* Szkota Buchanana i raz na zawsze udaremniła nowe wysiłki innych odtwarzania Psalmów w szacie łacińskiej; zachwycił się nią i Kochanowski, złożył jej też winne hołdy w znanym epigramacie, lecz rozczytywanie się w Buchananie pobudzało poetę (który, jak Słowacki, miał coś z bluszczowej natury, chętnie o obce pomysły się zaczepiał) do tworzenia wedle miary jego, lecz naturalnie nie w łacińskim a w narodowym języku. I tak w ciągu sześciu lat 1566—1571 uzbierało się ze trzydzieści psalmów polskich, a gdy takim sposobem jedna piąta część całego psałterza wytłómaczoną została, powstała chęć zaokrąglenia całości, do czego i namowy przyjaciół skłaniały, i wykonał to poeta w ciągu następnego sześciolecia" (*Prace filologiczne*, tom V, str. 656). Pienkiewicz, choć uwzględnia wpływ Buchanana, nie kładzie w dziele swem na wpływ ten należytego nacisku. Może dlatego, że w chwili pisania swego dzieła nie znał, zdaje się, bardzo ciekawej w tym względzie rozprawy Antoniego Siennickiego o *Stosunku Psałterza przekładania J. Kochanowskiego do Paraphasis psalmorum Jerzego Buchanana* (sprawozdanie c. kr. gimnazyum w Samborze za rok 1893). Mówiąc o sposobie w jaki Kochanowski przekładał psałterz, że nie odrazu, lecz zrazu przygodnie, często z powodu rozmaitych okoliczności, do których poeta odpowiednio dobierał właściwe psalmy, prof. Brückner powołuje się na świadectwo Klonowicza, który pisze, że Kochanowski nowo przełożone psalmy luźnie puszczał w świat, w odpisach, Czernym i innym, skąd się rozchodziły dalej, przedostając się nawet między mieszczan w Lublinie. Wiersz Klonowicza, który o tem wspomina, brzmi, jak następuje:

Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów
Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
Potem też przy dobrej myśli czasem się przydało,
Że się też to, choć nie wszło, między gmin podało.

Wójcicki pisze w *Tygodniku illustrowanym* z dnia 14. listopada 1863 r., że znajdował kilka psalmów Kochanowskiego w zbiorowych księgach familijnych, t. zw. *Silva rerum*, należących do różnych rodzin, już pod latami 1568, 1569 i 1570.

W ogłoszonem niedawno (*Pamiętnik literacki*, 1905, tom IV, str. 499) studyum o *Psałterzu Kochanowskiego w stosunku do innych*

się do kontynuowania swej pracy, tak odpowiadał smutkowi, wiejącemu z psalmów króla-proroka, że poeta, przekładając je, znajdował niemałe ukojenie w przygnębiającym ucisku ducha. I on bowiem, jak psalmista, mógł powiedzieć o sobie:

Od wszystkiego świata opuszczony,
Pełne mam serce nieznośnej żałości.

I on, doznawszy krzywdy od ludzi, mógł skarżyć się, jak Dawid w psalmie XXXV: „Lecz oni, gdym ja chorował, weselili się i zbierali przeciwko mnie, jakoby byli dla mnie utrapieni, czegom ja nie spostrzegł“. I on, wspominając różne przykrości, których doświadczył od zawistnych dworaków, mógł wołać w oburzeniu: „Z obłudnikami, z naśmiewcami, z pochlebcami zgrzytali na mnie zębami swemi“. Jak dalece poeta nie mógł wyjść z siebie, nie mógł zapomnieć o doznanych krzywdach, kiedy mu wypadło tłómaczyć powyższe ustępy, o tem świadczy dowolność, z jaką je przełożył, a która mu dała możność napiętnowania swych krzywdzicieli:

A oni się w mej pladze weselili
I schadzki o mnie tajemne czynili,
Chasza nikczemna!

jego pism, St. Dobrzycki, wykazując wpływ przekładu tego na bardzo wiele utworów poety, twierdzi jednocześnie, że do tłómaczenia *Psałterza* nie skłoniło wcale Kochanowskiego uczucie religijne. Wywarła tu wpływ „literatura“, kierunek literacki: przekłady i parafrazy Psałterza należą w literaturze renesansu do faktów nadzwyczajnie częstych, a to samo było i w Polsce. Stąd pobudka do stworzenia psałterza polskiego była literacką, nie religijno-uczuciową. „Jednakże w ciągu pracy nad psałterzem rzecz się zmienia. Niepodobna zajmować się intenzywnie psałterzem przez kilka lat, aby nie uledz silnemu jego wpływowi, jeżeli się jest do tego poetą i jeżeli się ten psałterz tłómaczy. Wpływ ten objawił się wzmożeniem się uczucia religijnego, które odtąd w pismach Kochanowskiego pojawia się częściej“. „Na wszystkich tych utworach, w których poeta wypowiada swoje uczucia religijne, znać wpływ psalmów, w wyrażeniach, obrazach, myslach“.

Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmojadowie.

. . . .

Panie, kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz.
Widzisz, o Panie, jawną krzywdę moją —
Wstań a rozciągnij swój sąd sprawiedliwy,
A uznaj, kto z nas praw jest, a kto krzywy.

. . . .

Osądź mię według swej sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętej zazdrości
Pociechy ze mnie.

Te osobiste skargi nietylko przekształcały ton i formę oryginału, lecz wprowadzały „nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia“ [1]). Podobnie stało się z psalmem XXXVIII, w którym poeta-tłómacz jakby wyrzucał swym blizkim, że niedość współczuli jego nieszczęściu.

Bliscy moi zdaleka na mój ból patrzali,
Powinowaci zgoła wszyscy mnie nie znali,
A zły człowiek tymczasem czynił o mnie radę,
I mówił, co chciał, i zmyślał zdradę!...

Ale jak nie ma reguły bez wyjątków, tak i w tym razie, jeżeli chodzi o „blizkich“ i „powinowatych“ poety, znaleźli się tacy, którzy na jego „ból“ nie patrzyli obojętnie

[1]) Zobacz *Ateneum* za październik rok 1897: *Artyzm Jana Kochanowskiego* przez Bron. Chlebowskiego, za którego pracą *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów* idzie także i prof. Plenkiewicz. „Każda zwrotka w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie *crescendo* oburzenia czy protestu, przerwane, jakby potężnym akordem w innej tonacyi, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzyka, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć, od prosby pokornej do wybuchu gniewu i nienawiści“. Tak o tym psalmie pisze Bronisław Chlebowski, a prof Plenkiewicz, zestawiając jego tekst z oryginałem, dodaje: „Jak widzimy, podobnych epitetów, jak cha-

„zdaleka“, lecz głęboko brali go do serca. Do takich, oprócz niezamężnej siostry, Anny, która mu prowadziła gospodarstwo domowe, i oprócz Mikołajostwa Kochanowskich, z którymi, jako swymi najbliższymi sąsiadami, żył w przykładnej zgodzie i przyjaźni, należał przedewszystkiem Myszkowski, który ze swej rezydencyi w Płocku raz po raz przypominał się poecie. Kochanowski, wdzięczny z natury, umiał ocenić te dowody życzliwości ze strony swego dostojnego przyjaciela i mecenasa. Ujęty niemi, a pomny wszystkich dobrodziejstw, jakie zawdzięczał Myszkowskiemu, napisał *Muzę*, poemacik, w którym się poleca opiece mieszkanek Helikonu, prosząc je, aby mu pozwoliły opiewać szlachetne czyny biskupa. Bo kogóż miał unieśmiertelniać on, który „za cześć poczytał sobie, że się dróg innych, niż pospólstwo, chwytał“, on, który „sobie śpiewał a muzom“, a który, wzgardziwszy złotem, o to dbał tylko, aby po swej śmierci

był u ludzi w powieści właściwey,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwey.

Bo choć za życia mało znał takich, „coby serce ucieszyć chcieli jego pieśniami“, ale za to wielu takich, co „łapając grosza zewsząd, a podobno k rzeczy“, nie wahali się twierdzić, że z rymów nie ma żadnej korzyści, „krom próżnego dźwięku“, to jednak miał nadzieję,

---

sza nikczemna, głodni pochlebce etc., niema w obu wersetach, ani w żadnym ze znanych przekładów Biblii, nie wyłączając Psałterza Floryańskiego. Nie trudno też odgadnąć, kogo ową tłuszczą podłą nazywa poeta. Również tekst nic nie mówi o głodnych darmojadach dworskich: to już dodatek poety“.

Nie godzi się na powyższy wywód Plenkiewicza prof. Brückner, któremu „cała ta kombinacya“ wydaje się mylną, przedewszystkiem dlatego, że „oparta na katastrofie matrymonialnej, o której nic nie wiemy“, a powtóre na wyrazie dworni, który wcale nie musi oznaczać „dworskich“, a którego poeta wcale mógł nie mieć na myśli, lecz oznacza *petulantes* (dworować z kogo, dworny *curiosus* i t. d. bardzo częste w XVI wieku).

że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty:
A co mi za żywota uymie czas dzisiejszy
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek póżniejszy.

Lecz będąc pewnym, jako poeta, swej nieśmiertelności, pragnął „uczcić pieśniami swemi nad złoto droższemi", tych przedewszystkiem, którzy jego prace zaczęte „szczęścili swą przyjaźnią", a do takich należał przed innymi Myszkowski,

Który swą hoyną ręką podeprzeć mię raczył
Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczym kole,
Albo y przy nastółce ciągnął się przez pole,
Ale żebym wygnawszy niedostatek z domu,
Tym głośniey śpiewał, a nie podlegał nikomu.
Tę łaskę jego, proszę, siostry wiekopomne,
Pomnicie opowiadać na czasy potomne,

bo już Horacy powiedział, że tylko ten przejdzie do nieśmiertelności, kto znalazł swego poetę, opiewającego jego czyny.

Nie sama od przyjaciół, ni od matki łona
W obce kraie Helena morzem uniesiona.
Nie ieden Menelaus o żonę się wadził;
Nie pierwszy Agamemnon tysiąc naw prowadził.
Nie raz Troia burzona: przed Hektorem siła
Mężnych było, którym śmierć przy oyczyźnie miła.
Ale wszyscy w milczeniu wiecznem pogrążeni,
Że poety zacnego rymy przebaczeni.

Z tych pobudek zrodziła się *Muza*[1]), jedno z arcydzieł Kochanowskiego, utwór, w którym się wzniósł na wyżyny, i filozoficzne, i artystyczne, na jakich jeszcze nie przebywał dotąd. „Czy jednak sama wdzięczność dla Myszkowskiego, zapytuje prof. Plenkiewicz, na te wyżyny talent jego pod-

[1]) W swej recenzyi w *Pracach filologicznych* oświadcza prof. Brückner, powołując się na swój artykuł w *Archiv für slavische Philologie*, że właściwy tytuł tego poematu brzmiał *Muzy*, nie *Muza*. W wydaniu pomnikowem *Dzieł Jana Kochanowskiego*, t. II, str. 28, wydrukowano *Muza*.

niosła i w takiej go objawiła potędze? Wdzięczność bezwątpienia, o ile jest rzadkiem, o tyle silnem uczuciem, ale silniejszą od niej jest zawiedziona miłość, która, jeżeli nie złamie skrzydeł, do tym silniejszego lotu pobudza. *Solus amor docuit blandos me fingere versus*[1], powiada sam o sobie poeta; ale gdy zmysłowa miłość dla Lidyi trawiła go tylko ziemskim płomieniem; miłość dla Hanny, z samej swojej natury, nie mogła sprawić w jego duchu podobnych, jak tamta, spustoszeń. Pożar pierwszej spopielał w samym zarodzie każde podnioślejsze natchnienie; płomień drugiej przetopił tylko złoto jego serca i wydzielił z niego wszystkie żużle, które tam z lat dawniejszych osiadły. Więc też poeta z próby ostatniej wyszedł czysty, bez skazy, nie uroniwszy nic z swojej godności człowieka[2]. Dwie te miłości są epokowemi wypadkami w jego życiu; tylko pierwsza trzymała go przy ziemi, druga zaś podniosła na wyżyny, których już nie miał nigdy opuścić".

Nie znaczy to jednak, ażeby Kochanowski, oczyszczony w ogniu tej zawiedzionej miłości, łatwo i prędko przestał cierpieć z jej powodu. Tak nie było bynajmniej.

[1]) „Sama miłość nauczyła mię słodkie składać wiersze". Elegia I, księgi I.

[2]) Analizując erotyki z tej drugiej fazy miłości ku Bezimiennej, prof Windakiewicz czyni następujące spostrzeżenie, doskonale uzupełniające końcowe fazy tego żałosnego romansu, odtworzone przez prof. Plenkiewicza. „Kochanowski pisał swoje poezye w drugiej fazie swych stosunków z Bezimienną przeważnie w wierszu trzynastozgłoskowym i nadawał im formę urywkową, nastrojową. Była to wcale szczęśliwa kombinacya antyku z nowoczesnością. Przecież, żeby się nie zdawało, że wyłącznie klasycznym formom hołdował, napisał także w tej fazie jedną pieśń popularną, do śpiewu przeznaczoną. Śliczna ta piosnka stanowi rodzaj tęsknego podźwięku za niepowrotną przeszłością i rodzaj cichego westchnienia nad dawno przebolałą stratą. Pieśń ta zaczyna się od słów „Rozumie mój próżno się masz frasować" i jest kantyleną ludową w niedokształconej oktawie z refrenem co oktawę. „Co zginęło, trudno tego wetować". Kochanowski stwierdza w niej zupełne zerwa-

Zakopał się w swych „głuchych lesiech", a więcej oddany książkom, rozmyślaniu i poezyi, ludziom udzielał się jaknajmniej. Za towarzyszkę miał swą siostrę Annę, pod której dobroczynnym wpływem powoli zabliźniała się jego rana serdeczna, ale towarzystwo jej, choć umilało mu pustkę domową, łagodząc boleść, nie usuwało ciernia, który sercu dolegał[1]). Reszty miał dokonać czas, ów „doktór każdemu", lecz nie brakło także wypadków, które iskrę tej „opętanej miłości" rozdmuchiwały na nowo. Do takich wypadków, niewinnych napozór, należało wesele brata poety, Andrzeja, z Zofią Sobieską, wesele, które miało się odbyć zaraz po Trzech Królach roku 1572. Kochanowskiemu, jako jedynemu nieżonatemu bratu pana młodego, wypadło być starszym drużbą! Odmówić nie mógł, drużbować musiał, ale mu to drużbowanie mocno musiało iść nie w smak, zważywszy, iż w całej okolicy wiedziano o jego przygodzie. Mimo to

---

nie; wspomina, że niegdyś miał tak łatwy przystęp do panny, tak łatwo wszystko mógł uzyskać; teraz już wszystko się zmieniło: „W czem się kochasz, to cię daleko mija". Przypuszcza jednak, że nie jemu samemu żal tego zerwania; zapewne matka, brat, albo która ciotka tego żałują, choć ukryć swe uczucia usiłują; on nie potrafi grać komedyi: otwarcie wyznaje, że go to boli:

W szakoż widzę, że sye próżno frasować,
Co zginęło, trudno tego wetować

Myśli w tej Kantylenie są dosyć pokrewne z pieśnią, pisaną tuż po zerwaniu „Nie za staraniem ani prze mą sprawę"; ale porównawszy je, widać wielki odskok w uczuciu i zapomnieniu; Kochanowskiego ogarnęło już spokojne ukojenie, tylko ból pozostał cichy i pamięć tęskna, a sam się już stanowczo „przełomił" i przezwyciężył (P. I, str. 22) *Erotyk Kochanowskiego*, str. 206.

[1]) Scharakteryzowawszy po kolei wszystkie główniejsze erotyki Kochanowskiego, natchnione nieszczęśliwą miłością ku Bezimiennej, prof. Windakiewicz bardzo trafnie określa ich charakter ogólny. „Jest to, jego zdaniem, zbiorek pieśni zupełnie prostych i prawie naiwnych, utworzony przez tęgiego literata, żyjącego pełnią życia bieżącego, ale radzącego się nieraz rozmaitych autorów, z którego da się prawie odtworzyć dzisiejszy romans książkowy.

nie mógł nie brać udziału w weselu brata, musiał wystąpić publicznie, a tem samem narażać się na złośliwe uśmiechy bliższych i dalszych sąsiadów, wytrzymywać ich znaczące spojrzenia.

Pozornie niema w nim nic nadzwyczajnego. Obejmuje zwykłą historyę serca ludzkiego, opowiedzianą przez poetę, nie przetwarzającego życia w kierunku idealnym, tylko poetycznie odczuwającego swe przygody". Ten absolutny brak wszelkiej pozy, będący jedną z właściwości natury artystycznej Kochanowskiego, sprawił, że poecie tak trafnie udało się uchwycić własny proces psychologiczny, wyszukać sobie wzory stosowne do rozmaitych przejść duchowych i bez silenia się na wielką sztukę utworzyć wspaniały zbiorek erotyków. Naturalnie jest to wynik studyów nad wybornymi autorami dawniejszymi i nowszymi, ale wynik studyów wytrawnych i umiejętnie z istotą życia bieżącego spojonych. „Kochanowski — słowa są Windakiewicza — był poetą odrodzenia o tyle, że przez pryzmat realizmu patrzył na współczesność i to świetne dziedzictwo pozostawił naszej literaturze. A potem zastanawia, że całą tę historyę potrafił opowiedzieć tak dokładnie. Widocznie wśród walk wewnętrznych uzyskał świadomość, jak należy myśl swą klarować; przez sztukę współczesną i dawniejszą spoufalił się z środkami technicznemi, dowiedział się, co to znaczy artystyczne ujęcie przedmiotu i ekspresya, nauczył się wyławiać na dnie duszy żywe drgnienia uczuć, spajać je i tworzyć z nich poemata, pełne prawdy, życia i wyrazistości". *Erotyk Kochanowskiego*, strona 208.



ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572—1584).

Żywot ziemiański poety. I. Żniwo śmierci. Sytuacya polityczna. Kochanowski w Krakowie. Wybór Henryka. Nadzieje poety. Powrót do Czarnolasu. Rozmowy z siostrą. Dorota Podlodowska. Geneza *Sobótki* i *Dziewosłęba*. Wjazd króla Henryka. Znajomości. Rozczarowanie. Powrót do domu. Postanowienie ożenienia się. Ucieczka Henryka. Ślub poety. — II. Miodowe miesiące. Zjazd w Stężycy. Myszkowski w Czarnolesie. Odwiedziny Olbrachta Łaskiego. Odpowiedź Kochanowskiego na wiersz Desportes'a *Adieu à la Pologne*. Napad Tatarów. Na sejmie konwokacyjnym. Przekład *Psałterza*. Dzień 18. kwietnia 1576 roku. Jan Zamoyski w Czarnolesie. *Odprawa posłów greckich*. Ponowna praca nad Psałterzem. Śmierć Kacpra Kochanowskiego i mowa pogrzebowa Jana. Życie rodzinne. Zajęcie Inflant. Wojna. Dwa listy od Zamoyskiego. *Orfeus Sarmaticus*. Zaślubiny Jana Zamoyskiego. Nowe żądania Zamoyskiego. *Dryas* i *Pan*. Podróż do Wilna. Myszkowski mianowany biskupem krakowskim. Kochanowski w Krakowie. W Promniku. Powrót na wieś. Znowu u Myszkowskiego. Jasne dni w Bodzentynie. W domu. W Krakowie. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*. Druk Psałterza. Oblężenie i wzięcie Połocka. *Liryca* łacińskie. Przywilej królewski. Wojski ziemi sandomierskiej. Poeta oficyalny. Dostatek. Śmierć Urszuli. *Treny*. Trzy nowe utwory dla Zamoyskiego. Druk *Trenów*. Śmierć drugiej córki. Wojna na północnym wschodzie. Batory pod Pskowem. Smutny nastrój poety. Złe wiadomości polityczne. *Epinicyon*. Epitalamium na ślub Zamoyskiego z Batorówną. *Jezda do Moskwy*. Duchowy upadek. — III. Przeczucie śmierci. Rok 1583. Zbiorowe wydanie dzieł. Układy z Janem Januszowskim. *Fraszki*

Śmierć Jakóba Podlodowskiego. Ostatnia podróż do Lublina. Śmierć. Ogólna charakterystyka Jana Kochanowskiego, jako człowieka i poety. Jego stanowisko w poezyi polskiej. Zakończenie.

„Łany ojczyste uprawiam". Temi słowy zaczyna się Elegia XV, księgi III, napisana w chwili, gdy już poeta zdecydował się osiąść na wsi, gdy się utwierdził w przekonaniu, że więcej ma w sobie danych na ziemianina, aniżeli na królewskiego sługę, lub na opata klasztoru Benedyktynów w Sieciechowie, którą to godność, ofiarowaną mu po zgonie opata Rogawskiego, również po namyśle odrzucił [1]). Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: życie wiejskie, spokojne, niezależne, nadzwyczaj odpowiadało jego charakterowi, jego dążeniu do psychicznej równowagi i harmonii, a jeśli chodziło o poezyę, o pracę umysłową, to na wsi, gdzie mu było wolno „wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania", mógł pracować o wiele lepiej, niż na dworze, w rozstrajającej atmosferze zawiści i intryg. To też, odkąd powrócił do Czarnolasu, pisał więcej, niż kiedykolwiek. Przekonał się również, że gospodarzowi, doglądającemu pracy w polu i gumnie, nic nie przeszkadza być wykształconym humanistą i poetą, rozmiłowanym w pisarzach greckich i rzymskich. „Więc albo się Sokratesa naukom przysłuchuję (pisał we wspomnianej elegii), by duch nawykał z nich własnych pozbywać się błędów; albo składam pieśni, zgodne z tworami łacińskiej Muzy, które mój Sarmata miękim głosem śpiewać będzie; nie wstyd mi też płodnych hodować owieczek; większy wstyd, sądzę, czyimś mienić się sługą". Wieś, jego zdaniem, była początkiem wszystkiego, z niej wyszła cywilizacya, ona jest rozsądni-

[1]) O tym okresie życia tak pisze pierwszy Kochanowskiego biograf: „Utrzymywał go król przy sobie różnemi sposobami: ofiarował mu wiele znacznych Prelatur: nad to postarał się, że go Sieciechowskim opatem obrano, ale on nieporuszony w swojem przedsięwzięciu, i z tych, które już miał, dochodów duchownych wyzuwszy się, powrócił do wsi swojej *Czarnolesia*". Przekład Bohomolca.

kiem cnót, podobnie, jak pańskie i królewskie dwory szerzą zgorszenie i złe obyczaje. „Wprzód były wsie, niż grody obwiedzione murami; bez nich cierpianoby głód po miastach wieżonośnych". Dlatego wolał żyć na wsi. W tem uczuciu, podobnie, jak przed paru laty napisał w *Carmen macaronicum* „kilka słów na pochwałę żywota ziemiańskiego", tak obecnie, tylko patrzeć, jak napisze w *Sobótce*:

Wsi spokoyna, wsi wesoła,
Który głos twey chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki,
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twey pieczy uczciwie,
Bez wszelakiey lichwy żywie:
Pobożne iego staranie
Y bezpieczne nabywanie.

Inszy sye ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżey niż na piędzi.

Oracz pługiem zarżnie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruie swóy dobytek.

I.

Ale i na wsi życie nie bywa całkiem wolne od utrapień: wystarczy mieć przyjaciół, rozrzuconych po różnych stronach kraju, i otrzymywać smutne wiadomości o ich zejściu ze świata. A zdarzyło się właśnie, iż poeta, odkąd na stałe osiadł w Czarnolesie, takich żałobnych wieści otrzymał cały szereg: umarł Royzyusz, umarł Jan Leopolita, umarł Stanisław Grzepski, umarł Padniewski. Pod wrażeniem tych smutnych nowin, zwłaszcza pod wrażeniem dwóch ostatnich, Kochanowski napisał trzy epigramaty: jeden na śmierć „wymownego" Grzepskiego, na którego złotoustą mowę „za-

równo Grajowie, jak i Auzonowie, nadstawiali uszu", i dwa na zgon biskupa krakowskiego, w którym bądź co bądź widział swego pierwszego protektora.

Niebawem jednak, bo już w połowie lipca 1572 roku, przyszła kolej na zgon donioślejszego znaczenia: w Knyszynie zmarł Zygmunt August. Cały kraj przywdział żałobę po ostatnim z Jagiellonów, spodziewając się może, iż ta bolesna strata wywoła jakie podniosłe *requiem*, skreślone natchnionem piórem czanoleskiego wieszcza, ale niedawny sekretarz nieboszczyka, rzecz szczególna, jakoś nie uderzał w swój poetyczny bardon. I nie uderzył. Tymczasem zaczęło się pamiętne bezkrólewie, podczas którego, gdy się zastanawiano nad pytaniem: w jaki sposób dokonać obioru króla? niepopularny dotychczas Zamoyski, ogłosiwszy zasadę wolnej elekcyi *viritim*, odrazu stał się najpopularniejszym mężem w całej Polsce. Kochanowski, jak się okazuje z jego *Marszałka*, był przeciwny temu pomysłowi; mimo to, zjechawszy na sejmik wiślicki, dał się unieść przeważnemu prądowi, tak, że gdy zwołano sejm konwokacyjny do Warszawy na dzień 15. stycznia 1573 roku, ruszył do stolicy Mazowsza. Tu zetknął się z Myszkowskim, a że ten pospołu z Jędrzejem Dudyczem i Janem Firlejem, usilnie pracował nad przeprowadzeniem kandydatury rakuskiej, więc i poeta, jako serdeczny przyjaciel wszystkich trzech, odrazu przejął się sympatyami dla arcyksięcia Ernesta, wotując przeciwko jego współzawodnikom. Obrano jednak Henryka Walezego, królewicza francuskiego. Gdy poselstwo wyruszyło do Paryża po króla, Kochanowski wrócił do domu, a niebardzo ubolewając nad upadkiem swego kandydata, niemało spodziewał się po owym „panu Gawęckim" (jak Henryka nazywała gardłująca za nim, a przekupiona przez Montluca, szlachta mazowiecka): zdawało mu się, że nietylko Rzeczpospolita, ale i on, jako poeta, mógł nie wyjść źle na wyborze Walezego. „Ten młody książę wyrósł w tradycyach, które od czasów Franciszka I starannie pielęgnowano na dworze fran-

cuskim. Od kolebki żył w atmosferze poezyi. Czemużby, powołany na tron nad Wisłą, nie miał tu podnieść nauk, zaopiekować się młodą muzą słowiańską?“ Ożywiony podobnemi nadziejami, proboszcz poznański, ledwo się znalazł pod dachem swego czarnoleskiego dworku, odrazu został nagabnięty przez cały chór ciotek, sióstr i bratowych, aby się żenił. Być może, iż wszystkie szturmy, które te zacne białogłowy przypuszczały do niego, rozbiłyby się o jego niemożność zdecydowania się na ten krok ryzykowny, gdyby nie siostra Anna, która, mieszkając przy poecie, miała niemałą przewagę nad nim: jej namowy, żeby porzucił stan kawalerski, nie pozostały bez wpływu. „Poeta żywił dla niej nietylko głębokie przywiązanie, lecz miał i ufność w jej rozum, oparty na doświadczeniu i instynkcie niewieścim. Jeśli też w radach innych widział zwykłą niewiastom chęć swatania, to w jej namowach odgadywał siostrzaną troskę o zapewnienie mu szczęścia“. Cóż, kiedy różnili się zasadniczo w poglądach na kwestyę małżeństwa: poeta, choć sam nie młody, chciał żony młodej i pięknej, któraby go pociągała swoim powabem, a przytem i materyalne względy brał w rachubę: mianowicie nie chciał brać panny ubogiej, wiedział bowiem, że ożeniwszy się, utraci swe beneficya duchowne, że będzie musiał zrzec się lwiej części swoich dotychczasowych dochodów, a żyć z tego tylko, co mu przyniesie gospodarka, lękał się. Wbrew przeciwnego zdania była Anna, która dowodziła w ten sposób:

— A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba:
Jako wstydu, a cnoty...
Bo acz to wszytko dobre, y ma swe przysmaki,
Ale z cnotą złożywszy, póydzie między braki
Cnota tedy ma przodek, iako w każdey rzeczy,
Tak y w małżeństwie, y tę naprzód miey na pieczy.
Bo gdzie ta iest, by dobrze nic więcey nie było,
Człowiekowi z nią samą żyć na świecie miło.

Gdzie tey nie masz, tam wszytko swoją cenę traci:
Zacność precz, a uroda przez niey już niepłaci [1]).

Jakkolwiek niełatwo, to jednak, rozważywszy argumenty siostry, poeta dał się przekonać w końcu, ale w połowie tylko. Zgadzał się, że dla cnotliwej i zacnej żony można się wyrzec posagu; zgadzał się nawet i na to, co mówiła siostra, że „jeżeli chcesz mieć dostatek przy żonie, to wyórz go z roli, a ostatek Bogu poruczaj"; ale poczyniwszy tyle ustępstw, jednej rzeczy wymagał bezwarunkowo: musi mieć *piękną* żonę. Innej nie pojmie.

— Proszę cię, miało li-by kiedy przyyść do tego,
Niechaj nic nie miłuję, co jest szkaradnego.
Ostatek na twą łaskę puszczam. Niemieć złota
Jeszcze nie szkoda, ale szkoda co sromota.

Usłyszawszy podobną gotowość z ust brata, Anna podsunęła mu myśl ożenienia się z Dorotą Podlodowską. Była to panna jakby stworzona dla niego. Nie pierwszej ale i nie przekwitłej młodości, bo 26-letnia, pochodziła z zacnego i znanego gniazda, o którem Rey wspomina w swoim *Zwierzyńcu*, nazywajac ród Podlodowskich „mnożnym, jak zające, choć się z ich obyczajami nigdy nie rodzili", a ojciec jej Stanisław przydomku *Lupa*, dokładnie znany z *Dworzanina* Górnickiego, cieszył się, jako podstoli sandomierski, wielką popularnością wśród okolicznej szlachty. Niezmiernie prawy i uczciwy, był to namiętny konserwatysta, przeciwnik obyczajów włoskich, a rubaszny i jowialny w sposobie wysławiania się; wszystko, co miał na sercu, miał i na języku.

[1]) Zobacz *Dziewosłąb* Kochanowskiego, napisany — jak przypuszcza Plenkiewicz — na krótko przed ożenieniem poety, a który jakoby powstał pod wpływem rozmów z Anną. Pozwala się tego domyślać zakończenie poemaciku, gdzie poeta wskazuje na siostrę:

Tom ia pisał na siostry swey miley żądanie,
Które u mnie tak ważne, iako rozkazanie.
Y sama się do tego dobrze przyłożyła;
Naleść rym, to nawiętsza moia praca była.

Serce miał poczciwe, szczeropolskie! Żona jego, Elżbieta Bijejkowa z Falęcic, Mazurka z ziemi Czerskiej, była kobietą religijną, a jako Mazurka, wcale nie skłonną do przyjmowania nowinek. Stąd poszło, że Dorota otrzymała wychowanie w duchu ultra-katolickim. Nadto, od dziecka wychowywała się w zasadach uległości, prostoty obyczajów, surowego przestrzegania uczciwości i cnoty. Czy zasługiwała, jak Hanna, na miano „uczonej białogłowy?“ W ogóle pani Podlodowska bardzo dbała o wykształcenie swych dzieci. Młodszy z jej synów, Grzegórz, kształcił się w uniwersytecie, współcześnie z Kochanowskim. W tej chwili gospodarował na paru wsiach ojcowskich, dzierżąc urząd starosty radomskiego. Z Kochanowskim, z którym także kolegował z kancelaryi królewskiej, sympatyzowali zawsze, a ponieważ jeden z jego stryjów, Wawrzyniec, był ożeniony z Katarzyną Białaczowską, więc ich łączyło nawet pewne dalekie powinowactwo. Jak stały sprawy majątkowe Podlodowskich? Podstoli sandomierski, umierając, zostawił dość znaczny majątek, bo oprócz rodzinnego Przytyka, był posiadaczem kilku mniejszych i większych wsi i folwarków, z których jednak kilka, jako królewszczyzny, zakwestyonowano po jego śmierci. Mimo to nie była Dorota panną bez grosza: tyle tylko, że wiano, które mogła wnieść swemu przyszłemu mężowi, nie było wielkie. Zdaniem jednak Anny, przemawiało to raczej za Dorotą: bo nie trzeba brać żony znacznie bogatszej od siebie, lub świetniejszej pochodzeniem: najlepiej niech się żeni równy z równą.

Podlejszą [1]) żonę poymiy, tak ja radzę tobie,
Bowiem inaczej równi nie będziecie sobie

Ale poeta, godząc się w zasadzie na rozumowania siostry, miał różne argumenty, któremi motywował swoją niemożność zdecydowania się na krok stanowczy. Przede-

[1]) Niższego stanu

wszystkiem nie znał Doroty, nie mógł wiedzieć, czy mu się spodoba dostatecznie. Powtóre nie miał pewności, czy przez pannę będzie dobrze przyjęty. To go odstręczało od występowania w roli jawnego konkurenta. Następnie, zapominać nie należało, nie był już młodzieniaszkiem, miał lat 42, a wszyscy wiedzieli o jego narzeczeństwie z Hanną. To także nie była okoliczność zachęcająca do ponownego próbowania szczęścia. „Gdyby zresztą ową Dosię gdzie spotkał przypadkiem, zawiązał znajomość bez nasuwania ludziom domysłów, że o nią się starać zamierza, ha! to rzecz inna. Ale zalecać się bez pewności, czy go nowy zawód nie spotka", nie bardzo by mu się uśmiechało.

Anna tedy, przyzwawszy na pomoc Mikołaja i Barbarę Kochanowskich, uciekła się do fortelu. Z końcem czerwca przypadał dzień św. Jana Chrzciciela. W dniu tym, według prastarego zwyczaju, palono Sobótki po wsiach. W Czarnolesie także. A nużby tak, z powodu tej uroczystości, sprosić bliższych i dalszych sąsiadów, a w tej liczbie i Podlodowskich z Dorotą. „O to, by się panna przybyć wzdragała, nie było chyba obawy. Nie poeta podejmować miał gości, lecz państwo Mikołajowie; nie jedna Dorota miała być zaproszona, lecz wiele panien z sąsiedztwa: wszystko więc tak się składało, że spotkanie młodych ludzi w tych warunkach mogło łatwo nastąpić". Jakoż gdy nadszedł dzień św. Jana, odbyło się ukartowane przyjęcie u Mikołajów, na które ku niemałemu zdziwieniu poety, pomiędzy zjeżdżającemi się gośćmi, przybyli i Podlodowscy „z panną uderzającej urody". Kochanowski z ciekawością przyglądał się Dorocie, wrażenie zaś, jakiego doznał, kiedy się zbliżył do niej, odrazu wypadło na jej korzyść. Gdy ją porównywał z innemi pannami, tylko zyskiwała na tem porównaniu.

Nieprzepłacona Doroto,
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami
Toś ty jest między dziewkami

Była to panna słusznego wzrostu, ślicznie zbudowana, o rysach regularnych, rasowych, a oczy jej czarne, jak węgle, ocienione ciemnemi rzęsami i brwiami, tem większą były ozdobą jej pięknej twarzy, że była to świeża twarz złotowłosej blondynki.

Twoia kosa rozczosana,
Jako brzoza przyodziana:
Twarz iako kwiatki mieszane,
Leliowe, y różane.

Nos jako sznur upleciony,
Czoło iak marmor gładzony:
Brwi wyniosłe y czarnawe:
A oczy dwa węgle prawe

Usta twoie koralowe:
A zęby szczere perłowe:
Szyia pełna, okazała:
Piersi iawne, ręka biała [1]).

Wobec tak niepowszedniej urody, cóż dziwnego, że poeta, zbliżając się do panny, przystępował z jaknajlepszem usposobieniem, skłonniejszy do odkrywania zalet, aniżeli wad jej charakteru, a nawet do uwierzenia, że tych wad nie posiada zgoła. I nie rozczarował się pod tym względem: Dorota, nietylko nie straciła przy bliższem poznaniu,

[1]) Prof. Nehring w swej książce o Kochanowskim (*Jan Kochanowski. Życie i dzieła*, Petersburg, 1900) idąc za Chlebowskim, powątpiewa, czy na podstawie tego opisu Doroty w *Sobótkach* można wnioskować o jej zewnętrznej postawie: „Domyślają się, że poeta wielbił ją w wierszach polskich jako nauczoną białogłowę pod imieniem Hanny, ale nie wszystkie wiersze do Hanny potwierdzają ten domysł, pieśń zaś XI w *Sobótce* o pięknej Dorocie jest tłómaczeniem portretu Alcyny w *Orlando furioso*, więc do żony Kochanowskiego odnieść się nie da", (strona 17). Mnie by się zdawało, że okoliczność ta niczego jeszcze nie dowodzi i że Kochanowski dlatego właśnie do opisu Doroty użył aryostowego wizerunku Alcyny, ponieważ wizerunek ten odpowiadał zewnętrznemu wyglądowi panny Podlodowskiej. Bardzo trafnem w tej kwestyi jest

ale, przeciwnie, zyskiwała ogromnie, im dłużej się z nią przestawało. W rozmowie była przyjemna, swobodna, pełna wdzięku, a to, co mówiła, świadczyło o umyśle wykształconym, a duszy prawej i szlachetnej. To też poeta, zachwycony rozmową z nią, omal nie powiedział jej, jak w *Sobótce*:

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemney rozprawie.

Nadto przekonał się, że urocza podstolanka, choć obdarzona tak niezwykłą urodą, nic nie miała tej zbytniej pewności siebie, która tak często cechuje kobiety piękne.

A co cię skutniejszą czyni:
Nie masz w tobie nic hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tą skromnością, z którą jej tak było do twarzy, był ujęty najbardziej:

Tymeś ludziom wszystkim miła
I mnieś wiecznie zniewoliła:
Przeto cię me głośne strony,
Będą sławić na wsze strony.

Okoliczności, na których tle oglądał dnia tego Dorotę, niezmiernie sprzyjały rozbudzeniu się w nim uczuć miłosnych. Bo jeśli piękna podstolanka już i w biały dzień czarowała go swą urodą, to przy świetle rozpalonych Sobótek, gdy goście i domowi „sypali się ku ogniowi", mogła mu się wydać jeszcze piękniejszą. Jakoż doznał błogiego uczucia, że „w tę noc świętojańską znalazł kwiat cudowny paproci, który mu wszelkie skarby otworzy, nie

spostrzeżenie prof. Windakiewicza, który twierdzi, że „o Kochanowskim raz to sobie musimy powiedzieć, że choć często powtarza rozmaite obce zwroty dosłownie, jednak powtarza je tylko do rzeczy i tylko takie, które mu się istotnie w danej chwili podobały, podobnie, jak my nieraz cytujemy rozmaite wiersze, które według naszego wyobrażenia piękniej i pełniej nasze myśli wyrażają". (*Erotyk* Kochanowskiego, strona 7)

w klejnotach i złocie, ale w sercu zacnej, nad wyraz pięknej duszą i ciałem niewiasty".

Pod wrażeniem tej nocy, mającej stanowić epokę w jego życiu, napisał swoją *Sobótkę* [1]), poemat, o którym powiada prof. Plenkiewicz, że przezeń Kochanowski daleko więcej zbliża się do Göthego, niż przez *Odprawę posłów greckich* [2]). W tym czasie powstał *Dziewosłąb*, który, jako echo rozmów poety z siostrą, może służyć za dowód, że jego autor dużo przemyśliwał teraz o małżeństwie w ogóle, a o Dorocie w szczególności [3]).

[1]) Z tym poglądem Plenkiewicza, który napisanie *Sobótki* odnosi do roku 1574, nie godzi się prof. Brückner, którego zdaniem, „*Sobótki*, bo tak się pierwotnie zwały, powstały może w roku 1571, na co dosłownie z nich powtarzający się ustęp w liście do Fogelwedera z 6. października 1571 roku wskazywać się zdaje.

[2]) Na powyższe twierdzenie Plenkiewicza nie godzi się Antoni Mazanowski, który swe odmienne zapatrywanie tak motywuje: „O Sobótce n. p. wypowiada (autor) zdanie: przez *Sobótkę* daleko więcej zbliża się on do Göthego, niż przez *Odprawę posłów greckich*, jak to powszechnie mniemano. Otóż to powszechne mniemanie upowszechnił Mickiewicz w *Literaturze słowiańskiej*, zestawiając *Odprawę* z *Ifigenią*, Mickiewicz jednak miał argumenta; ale dlaczego przez *Sobótkę* swą tak się zbliża Kochanowski do Göthego? Na to p. Plenkiewicz wyjaśnień nie udziela".

Ze studyów o *Sobótce* zasługują na wyróżnienie prace Chmielowskiego z roku 1875 (porównanie *Sobótki* Kochanowskiego z *Sobótką* Goszczyńskiego, drukowane w *Tygodniku illustrowanym*, następnie przedrukowane w *Studyach i Szkicach)*, Rymarkiewicza studyum z roku 1876 drukowane w *Ateneum*.

[3]) O *Dziewosłębie* Kochanowskiego czyni prof. Windakiewicz następujące przypuszczenie, które, choć śmiałe, to jednak psychologicznie daje się usprawiedliwić bardzo łatwo. „Zdaje się, że znajomość poety z przyszłą żoną trwała dosyć krótko, że się prędko pobrali i że dlatego tak mało poematów, odnoszących się do tego narzeczeństwa, posiadamy. Otóż w *Dziewosłębie*, poemacie dydaktycznym, napisanym przez Kochanowskiego z namowy siostry, prawdopodobnie na to, żeby nowy krok w życiu usprawiedliwić, spotykamy wzmiankę, że konkurent przy wyborze powinien się mniej oglądać na majątek żony, ale bardzo zważać na dobry ród i paren-

Nie mało też myślał o Henryku Walezym, którego przyjazdu oczekiwał z niecierpliwością, tusząc, że nowy król, jako rozdawca przywilejów, wynagrodzi mu stratę beneficyów duchownych na wypadek jego ożenienia się: bo nosząc się z matrymonialnymi zamiarami, poeta nie rezygnował z dostatku, w jakim żył, będąc proboszczem poznańskim. Niedostatku się lękał. Temi pobudkami powodowany, pragnąc w chwili przyjazdu nowego monarchy polecić się jego łaskawości i szczodrobliwości, napisał odę łacińską *Do Henryka Walezego bawiącego we Francyi*, wzywając tego „największego z królów, na najpiękniejsze powołanego królestwo", ażeby nie zwlekał, lecz wyrwawszy się z tkliwego uścisku stroskanej matki, uciekł przed łzami zasmuconych sióstr i jaknajprędzej „na dzielnym rumaku pokazał się na sarmackich równinach, pośród orszaku matek z pacholętami i śród pospólstwa, zbiegającego się w zbitych

---

telę. Nie naciągając zanadto ani nie upierając się zbytecznie, odniesiemy ten frazes do otoczenia Bezimiennej. Nam *Dziewosłąb*, podobnie jak *Sobótki*, wydaje się utworem intencyonalnym, pełnym aluzyj do zerwanego romansu; odważylibyśmy się nawet twierdzić, że cała oryginalność *Pieśni Świętojańskiej* wypłynęła z tego, żeby na cześć żony napisać poemat, któryby przewyższył erotyki do Bezimiennej. W drugiej pieśni do Hanny znajdujemy znów wzmiankę o wysokim rodzie jej poprzedniczki w sercu poety:

Mnie sama twarz nie uwiedzie.
Y choć d r u g a na plac jedzie
Z herby domów starożytnych,
Zacne plemię dziadów bitnych.

Ja chcę podobać się w mowie
Nauczonej białeygłowie:
Ty mię pochwal, moja pani,
Nie dbam c h o ć k t o i n s z y gani.

Zwrotki te są dosłowną powtórką z elegii Propercyusza do Cyntyi, mimo to wobec równoczesnego nacisku na tę okoliczność w *Dziewosłębie* nie bardzo byśmy się wahali upatrywać w nim aluzyi osobistych". *Erotyk* Kochanowskiego, strony 6—7.

tłumach, by zobaczyć nowego króla". W tej nadziei, z początkiem roku 1574, wyruszył do Warszawy. Tutaj przyłączył się do żałobnego orszaku 60-ciu dworzan jadących — konno — za trumną Zygmunta Augusta, i po dwutygodniowym pochodzie, w dniu 14-go lutego, stanął wraz z całym konduktem pogrzebowym w Krakowie, gdzie śmiertelne szczątki ostatniego z Jagiellonów złożono w grobach na Wawelu. Kochanowski, biorąc udział w tym pogrzebie, miał podwójne wyrachowanie: przedewszystkiem, za dawną służbę, zwłaszcza za ostatnie lata, przypadała mu należność. „Liczył też i na to, że król nieboszczyk, pomnąc na jego 7-letnie zasługi, obdarzył go w testamencie jakim zapisem. Wypadało przeto wraz z innymi się stawić, by nie powiedziano, że do brania jest, a obowiązku nie pełni". Nadto zależało mu i na tem jeszcze, ażeby, żegnając swego dawnego pana, jednocześnie być przy powitaniu nowego, być obecnym przy jego wjeździe do stolicy. Wjazd ten, nadzwyczaj uroczysty, odbył się przy słonecznej pogodzie dnia 16. lutego 1574 roku. Kochanowski, kiedy pospołu z innymi dworzanami „uzarskim strojem przybranymi" jechał konno za pocztami senatorów, jechał z tem błogiem przeświadczeniem, że nowy król okaże się hojniejszym od starego, że inaczej oceni poetę. Nie wątpiąc o tem, napisał epigramat *Do króla Henryka Walezego przybywającego do Krakowa*, w którym opisał tę chwilę „gdy całe miasto wysypało się na powitanie wielkiego króla, gdy lud i senat i rycerstwo z okrzykami go przyjmowało"; a pewność ta wzrastała w nim, gdy niebawem znalazł się wraz z innymi dworzanami w orszaku koronacyjnym. Cóż dopiero, gdy mu się udało za pośrednictwem biskupa poznańskiego, Konarskiego, być przedstawionym młodemu monarsze, gdy wręczył mu swoje utwory, sławiące jego dostojną osobę. Jak wielką wagę przywiązywał Kochanowski do tej prezentacyi, świadczy wiersz dziękczynny *Do Jadama Konarskiego*, napisany pod świeżem wrażeniem przyjazdu Henryka.

Ciebie rzesza, y uszy cesarskie słuchały,
Swieżo y król francuzki sławny, z którey strony
Przywiodłeś nam Monarchę pod zimne Triony.

Jednocześnie wszedł w stosunki z Francuzami, przybyłymi z Henrykiem, a w tej liczbie i z poetą francuskim, Filipem Desportes, cieszącym się pewną sławą, należącym do słynnej Plejady, zaprzyjaźnionym z Ronsardem.

Lecz płynęły dni i tygodnie, upłynął marzec, a spodziewane łaski jakoś nie spadały na poetę. Na nic się nie przydały znajomości z Francuzami, z którymi tyle wina wypił podczas uroczystości koronacyjnych. „Przy kielichu *les bons camerades* obiecywali przypomnieć go swojemu panu; lecz po wytrzeźwieniu każdy myślał o tem, by swe przy nim stanowisko na własną korzyść wyzyskać". I królem także się rozczarował, widząc, że jako sekretarz królewski nie miał co robić przy boku nowego pana: Henryk bowiem, po za urzędowemi stosunkami, w których zaledwo senatorów przypuszczał do siebie, jaknajściślej zamykał się w otoczeniu dworaków francuskich. Niemniejsze rozczarowanie czekało poetę, gdy się dowiedział, jak zadecydowano wykonać testament Zygmunta Augusta. Testament zawierał ustęp o dworzanach „którzy ustawicznie służb naszych pilni byli", ale gdy przyszło do spełnienia legatu, skończyło się na tem, że ani Kochanowskiemu, ani innym dworzanom, nic się nie dostało.

Zawiedziony, boleśnie dotknięty w swej dumie, że „on, wieszcz poświęcony, nie znalazł należytego uznania", wrócił do Czarnolasu, a już w czerwcu zrzekł się prelatury poznańskiej, co się pozwala domyślać, że się w tym czasie zaręczył z Dorotą. Zadowolony ze swej doli, do czego najwięcej przyczyniało się błogie przeświadczenie o wzajemności ze strony panny, napisał swego *Marszałka*, który „w takim samym stopniu daje klucz do wyrozumienia w jego życiu nowego zwrotu, polegającego na umiłowaniu złotej mierności, jak *Carmen macaronicum* do wyjaśnienia pobudek, które go do obrania stanu świeckiego skłoniły".

To tylko krótko powiem: dochody szczupleysze,
Ale myśl bezpieczniejsza, y serce wolniejsze.

W tych słowach zamykała się jego teraźniejsza filozofia życia. Nie dbał „o pompę, ani o infuły“, jak Nidecki (który niedawno, gwoli intratnych beneficyów, przyjął święcenia kapłańskie), a wzgardziwszy bogactwem, miłował „żywot spokojny i miarę“, nie wzbraniając się „pługu jąć czasem albo y woły poganiać“. Być może, iż rozumowałby inaczej, gdyby nie był zakochany w pięknej podstolance. Ale faktem było, że tylko marzył o tem, ażeby Dorotę jaknajprędzej wprowadzić pod dach czarnoleskiego dworu. W końcu nadeszła owa upragniona chwila: oblubieńcy stanęli na ślubnym kobiercu. Stało się to w połowie roku 1574 [1]). „Poeta przebył ostatnią przemianę, sięgającą najgłębszych podwalin jego istoty, stworzył ognisko domowe, którego czci strzedz miała odtąd szlachetna, podniosłych uczuć niewiasta. Jako głowa przyszłej rodziny, wnosił w nią stoicki pogląd na życie i ducha, wypróbowanego w zapasach ze zmienną losów koleją. Zarówno błędy młodości, jak i zasoby i rozczarowania wieku męskiego, tak często ze strun jego lutni odzywające się jękiem bolesnym, podnosiły go coraz wyżej ducho-

---

[1]) Jest powód do mniemania, że ślub ten odbył się dopiero w roku 1575. Z ogłoszonych bowiem przez Windakiewicza *Nieznanych szczegółów o rodzinie Kochanowskich* okazuje się, że poeta, otrzymawszy w roku 1566 instytucyę na probostwo zwoleńskie, złożył je dopiero w roku 1575. „To ostatnie odkrycie — słowa są Tarnowskiego — to nowy kłopot, a prawie klęska: zdawało się, że złożenie probostwa poznańskiego oznaczało stanowczo rok ożenienia poety, tymczasem znaleziony dokument obala tę datę, i trzeba znowu wszystko prostować i zmieniać, i ślub ten jeszcze o jeden rok dalej posuwać“. *Co u nas o Kochanowskim pisano*, strona 268. W swej książce o *Janie Kochanowskim* na str. 335, mówiąc o ożenieniu się poety, Tarnowski liczy się z tą okolicznością i dlatego nie odnosi ślubu jego stanowczo do roku 1574, lecz przypuszcza również i rok 1575. Plenkiewicz usiłuje dowieść, iż pomimo tego ślub mógł się odbyć już w roku 1574.

wo, aż stał się godnym istoty, mającej odtąd być najczystszem źródłem jego natchnień i głowy jego koroną. Wreszcie w zgodnem z nią pożyciu, opromienionem miłością, miał odnaleźć wewnętrzną równowagę duchową, której dotąd szukał napróżno, ową harmonię, która jego utworom, w tym okresie życia poczętym i dokonanym, tak wysokie piętno artystyczne nadaje, słowem, osiągnąć najwyższą doskonałość, do jakiej u nas wzniósł się wiek XVI w poezyi".

II.

Tymczasem, kiedy kosztując słodyczy miodowych miesięcy, każdego dnia odkrywał nowe skarby w duszy Doroty, kiedy rozkochany w swej pięknej małżonce, uśmiechał się na myśl, że nietylko sam kocha, ale i jest kochany na wzajem, skołatana Rzeczpospolita, odbieżana przez Henryka, przechodziła przez ciężkie terminy, na które poeta, żywo interesujący się sprawami publicznemi, nie mógł patrzeć obojętnie. Rozpoczęła się nowa licytacya na opuszczony tron polski, który w końcu, po długich sporach, ogłoszono za wakujący. Odbył się zjazd w Stężycy, a w zjeździe tym, naznaczonym na 12. maja 1575 roku, uczestniczył i Kochanowski. Stąd oda łacińska *Na zjazd stężycki*, w której, obok opisu, jak „naród z twardych Sarmatów złożony, lekkomyślnego Walezego odjazdem czy też ucieczką zawiedziony, na obszernej rozłożył się równinie i rozbił namioty", taka jeszcze pod adresem owych „opuszczanych Sarmatów, poszukującym sobie sternika do zbłąkanej łodzi" znajdowała się nauka polityczna: „Lecz wy, zacni współobywatele, odrzućcie hojne obietnice książąt ubiegających się o tron: dzielnością bowiem, a nie podstępnem bogactwem, sięga się po wysokie zaszczyty. Potem zaś, w czem was bardzo a bardzo upominam: jeżelić nam król potrzebny, toć nauczmy się słuchać i wyzujmy się z butnej chęci przewodzenia. Na cóż bowiem zdadzą się dobre ustawy, jeżeli nikt do

nich stosować się nie myśli, jeżeli wszystkim wolno rządzić Rzecząpospolitą i błahe prawa wedle upodobania stanowić?" Pod Stężycą spotkał się poeta z Myszkowskim, a jest wielkie prawdopodobieństwo, że teraz właśnie, ze Stężycy lub z poblizkiego Sieciechowa, biskup „zwrócił koła swej kolasy" w stronę czarnoleskiego dworu, gdzie gościnnie podejmowany przez państwa Kochanowskich, zabawił dni parę.

Ledwo odjechał Myszkowski, kiedy nowy zaszczyt spadł na „lichy domek" poety: odwiedził go Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, ażeby mu podziękować za zaszczytną wzmiankę w jednej elegii [1]). Kochanowski, wzruszony temi odwiedzinami swego „starego druha", nietylko przyjął go serdecznie, ale mu za ten wielki splendor podziękował czułym epigramatem łacińskim, w którym mu za najwyższą cnotę poczytał, iż choć „wielki człowiek, nawet wyższy nad swe stanowisko, biegły w radzie, a dzielny w boju", to jednak nie wzgardził „skromną chatą i lichą jarzynką ubogiego ogrodnika" [2]).

Wkrótce po odjeździe tych dwóch dostojnych gości przysłano poecie wiersz Desportes'a p. t. *Adieu à la Pologne*, wiersz obelżywy, jadowity, przedstawiający cały naród polski w najgorszem świetle, jako naród opojów i barbarzyńców. Kochanowski, któremu przysłano ten wiersz, żeby nań odpowiedział imieniem Polaków, niepozostał dłużnym odpowiedzi, wierszem zaś, zatytułowanym *Gallo crocitanti Amoibh* — Francuzowi *krakającemu* replika — dowiódł, że posiadał sztukę płatania na odlew. Niechęć jednak, którą w tej chwili pałał ku Francuzom i Henrykowi, była tak wielka, że nie poprzestał na tym jednym wierszu, ale niebawem

[1]) „Łaski, druh mój, niechaj ją (Sarmacyą) w łupy bogate przystroi, niech toczy bój ze Scytami, z którymi niemasz przymierza".

[2]) Dowodu, że odwiedziny Łaskiego w Czarnolesie istotnie przypadają na pierwszą połowę roku 1575, nie posiadamy, o ile mi wiadomo, żadnego. Prof. Plenkiewicz przypuszcza, że Łaski zawadził o Czarnolas, wracając ze zjazdu Stężyckiego.

napisał drugi, jeszcze złośliwszy: *De electione, coronatione et fuga Galli*, w którym w jaskrawych barwach schłostał ukoronowanego zbiega.

Tymczasem, dnia 8. września, Tatarzy wpadli na Podole, i spaliwszy mnóstwo wsi i miast, uprowadzili 55.000 jeńców, nie licząc zabitych. „Była trwoga na ten czas po Polsce tak wielka, że ludzie wszędzie uciekali, Tatarów nie widząc, i do Krakowa był zbieg wielki". Pod wrażeniem tej klęski, oburzony niezaradnością tych, co powinni czuwać nad nietykalnością Rzeczypospolitej, napisał Kochanowski swą słynną, pełną goryczy, a Juwenala godną Pieśń V, księgi II, malującą i piętnującą nierząd ówczesnego społeczeństwa.

Wieczna sromota y nienagrodzona
Szkoda, Polaku: ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żałosny.
. . . .

Zbóyce, niestety, zbóyce nas woiuią,
Którzy ani miast, ani wsi buduią:
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne! iedzą.

Wkrótce po napisaniu tego wiersza, z którym prawie jednocześnie powstały dwa inne, mianowicie Pieśń XIX, księgi II, wzywająca do służenia „poczciwej sławie" i łacińska oda *Do zgody*, będącej „zbawieniem państw", wybrał się poeta w połowie jesieni, do Warszawy, na sejm konwokacyjny. Tutaj, wpadł w wir walki przedelekcyjnej, idąc ręka w rękę z Myszkowskim i Dudyczem, którzy znowu, jak przed elekcyą Henryka, agitowali za kandydatem austryackim. Ale, jak i poprzednim razem, tak i teraz, nie byli pewni zwycięstwa, pomimo, że ostatecznie stronnictwo ich wraz z potężnem stronnictwem Piasta zdystansowało inne. Cóż, kiedy szlachta, głosująca za Piastem, za Janem Kostką, wojewodą sandomierskim, lub Jędrzejem Tęczyńskim, woje-

wodą bełzkim, stawiwszy się zbrojno, niczem pospolite ruszenie, zaległa całe pole elekcyjne, w wojennem pogotowiu, grożąc wszystkim, ktόrzyby nie chcieli głosować na rzecz Piasta. Wobec tego, a zwłaszcza wobec popularności, jaką się cieszyła ta kandydatura, niezmiernie kłopotliwem było położenie tych, co popierali innych kandydatów. Jeszcze trudniejsze było zadanie Myszkowskiego, który dnia 18. listopada, przemawiając w senacie, usunął wszystkie kandydatury, a zalecając jedynie cesarza, jako monarchę, mogącego zadosyćuczynić potrzebom Polski, rozprawił się także i ze stronnictwem Piasta, wykazując, że król-polak nie na wiele się przyda Rzeczypospolitej. W tym duchu należało działać na koło rycerskie, uparcie obstające za Piastem, na to zaś, ażeby działać skutecznie, wypadło działać przez kogoś, którego głos mógłby znaleźć posłuch u szlachty. Nikt, zdaniem Myszkowskiego, tak dobrze nie nadawał się do tej roli, jak Kochanowski. Namówił go więc, ażeby agitował na rzecz rakuszanina, a zwalczał Piasta. Poeta zgodził się, lecz przyrzekł popierać nie starego cesarza, stojącego nad grobem, ale dwóch kandydatów młodych: arcyksięcia Ernesta, syna Maksymiliana, i carewicza Fiedora. Widocznie Myszkowski przystał i na ten warunek, skoro niebawam Kochanowski wystąpił z wielką oracyą do szlachty, oracyą, której, jak powiada Orzelski, „przez uszanowanie dla jego osoby, wysłuchano powolnem uchem", która jednak „zdawała się nieodpowiednią jego wziętości". Różne były przyczyny, że to publiczne wystąpienie poety, powszechnie uważanego za „człeka niegłupiego", przybrało tak niefortunny obrót. Przedewszystkiem stanął wobec zgromadzenia, które widząc w nim wysłańca Myszkowskiego, z góry było dlań uprzedzone niechętnie. Powtóre, stawał przed szlachtą, przeważnie z inowierców złożoną, która go uważała za odstępcę od różnowierczego obozu. Dlatego, kiedy poeta, chcąc sobie ująć swych słuchaczów-protestantów, zaraz na samym wstępie powołał się na Pismo Święte, wyrażając się,

że „całe chrześcijaństwo, zrodzone z siemienia Abrahamowego zostało", przerwał mu Mikołaj Siennicki, podkomorzy chełmski, że „różne jest to duchowe królestwo, o którem mówi Paweł święty, od ziemskiego królestwa monarchów świeckich". Ta opozycya Siennickiego, który, jako wieloletni marszałek izby poselskiej, posiwiały w walkach sejmowych, był znakomitym mowcą, a nadto znał wszystkie arkana dyalektyki, głównie się przyczyniła do niepowodzenia tego oratorskiego występu poety; Siennicki bowiem, stary gracz w walce na słowa, chwycił się znanej taktyki, polegającej na ciągłem przerywaniu mowcy, nękał poetę, nieobytego z życiem parlamentarnem, nieustannemi wycieczkami, raz po raz zbijając jego słowa. Kiedy Kochanowski, godząc w elekcyę Piasta, dowodził, że „wstyd będzie Polakom, że po haniebnej od nich ucieczce jednego króla, musieliby aż ze swego narodu obierać nowego, bo żaden obcy nie chce u nich panować", Siennicki przerywając mu, zrobił złośliwą uwagę, że „głos niechętnych umilknąć musi, bo oto cudzoziemce t a k i c h starań i intryg używają, ubiegając się o koronę". To słowo t a k i c h wyraźnie godziło w poetę. Ten jednak niezbity z tropu, dorzucił śmiało, że „każdy polski szlachcic będzie się puszył nadzieją zostania królem", na co mu odpowiedział Siennicki: „Jeżeli go wszyscy uznają godnym korony i jeżeli będzie wola boska, być może, że tronu dostąpi". Znużony tą podjazdową walką, z której nie wychodził zwycięzcą, lecz zwyciężanym, zastrzegł sobie Kochanowski, pozostawiając Piasta na stronie, że nie myśli popierać cesarza, któremu zgromadzeni są tak przeciwni, lecz proponuje arcyksięcia Ernesta lub carewicza Fiedora. „Obaj młodzi — mówił — przywykną słuchać senatu, jako młode źrebce, które biegły jeździec ujeżdża". Ale i te kandydatury nie znalazły uznania, raz dlatego, że „Piast we łbach wszystkich czwałował", a powtóre, że poeta nie znalazł odpowiedzi na argument Siennickiego, który podchwytując jego porównanie, rzekł: „Panowie nasi, są to jeźdźce

bardzo różnej fantazyi i humoru, a wyłączne przewodzenie jednego z nich, o ile trudne, o tyle niebezpieczne". Poeta umilkł, a gdy ani jeden głos nie podniósł się za nim, nie pozostawało mu nic innego, tylko opuścić zgromadzenie [1]).

Kogoż wybrano ostatecznie? Wybrano dwóch: senatorowie „obwarowawszy się i dobrze opatrzywszy strzelbą" w dniu 12. grudnia obrali królem Maksymiliana, a stronnicy Piasta, kiedy ich obaj kandydaci, wobec tumultu i obawy wojny domowej, dobrowolnie cofnęli się z elekcyjnych szranków, poszli za myślą Zamoyskiego, który zaproponował wybór Anny Jagiellonki, przeznaczając jej na małżonka Stefana Batorego, kandydata stronnictwa Zborowskich. Dnia 14. grudnia, gdy Siennicki wybór ten ogłosił, całe pole elekcyjne rozbrzmiało imionami Anny i Stefana; Kochanowski, kiedy mu wypadło przyłączyć się do jednego z dwóch stronnictw, z których oba były mu wstrętne, wolał głosować za kandydatem Myszkowskiego, niż popierać kandydata Siennickiego, i dlatego dnia 18. grudnia 1575 r. wbrew przekonaniom wygłoszonym w kole rycerskiem, położył swój podpis — obok podpisów Mikołaja Firleja i Piotra Kłoczowskiego —

[1]) Świadek tej sceny, starosta radziejowski Orzelski, dodaje w swej relacyi, że „mowa Jana Kochanowskiego, człeka niegłupiego, zdawała się nieodpowiednią jego wziętości, jednak przez uszanowanie dla osoby poety wysłuchano ją powolnem uchem". Z powodu tej relacyi Orzelskiego tak pisze Kazimierz Bartoszewicz, w swem doskonałem „treściwie zebranem" *Życiu Jana Kochanowskiego*: „Świadectwo wziętości Kochanowskiego u współczesnych, więcej mówi, niż wszelkie domyślania się i frazesy jego biografów. Orzelski notuje tę wziętość, choć jest przeciwnikiem politycznym poety i podnosi wysłuchanie mowy powolnem uchem przez uszanowanie dla poety. Kto zna dzieje walki elekcyjnej po ucieczce Henryka, kto wreszcie zwróci uwagę na to, że chwila, w której Kochanowski przemawiał, była zaledwie o kilkanaście dni oddaloną od podwójnej elekcyi, a więc namiętności i spory wrzały w całej pełni, ten dopiero zrozumie znaczenie owego powolnego ucha i uszanowania, a co za tem idzie, pozna stopień wziętości Kochanowskiego u współbraci.

na akcie elekcyi Maksymiliana. Swoją drogą, w głębi przekonania, był przeciwny zarówno Maksymilianowi, jak Batoremu, zarówno stronnictwu cezarianów, jak stronnictwu batoryanów. „Pierwsze, kierowane rachubą, miało na celu jedynie frymark korony; drugie, złożone z najróżnorodniejszych żywiołów, mogło być narzędziem polityki Zamoyskiego, który, jak na pierwszym sejmie konwokacyjnym, tak i obecnie, zdawał się mieć jakieś osobiste cele na oku. Dla poety, który po ucieczce Henryka wciąż o tem marzył, by porzuconą przezeń koronę osadzić na głowie potężnego dynasty, któryby przyćmiony blask jej podniósł i w oczach świata poszanowanie dla niej nakazał, co mógł znaczyć król wybrany nawet nie z książąt dziedzicznych, ale wojewoda, osadzony na księstwie, położonem gdzieś na szarym końcu Europy, i nie hołdownik, jak dawniej cesarza, ale sułtana, od którego swoją godność otrzymał. Wprawdzie mówiono, że był dzielnym, bogatym, że choć lennik Porty, dał jej uczuć potęgę swego ramienia; ale czyż starczyło to, by wobec butnego możnowładztwa zachował przynależną królewskiemu majestatowi powagę? Samo małżeństwo z Anną, zaszłą już pod pięćdziesiątkę, zatem niezdolną do wydania potomstwa, wydawało się jedynie środkiem do wprowadzenia na tron człowieka, który ani królewskością rodu, ani powagą stanowiska, z którego sięgał po koronę, nie mógł potężnym imponować sąsiadom. Zamiast takiego króla, stokroć już lepiej było popierać cesarza, którego wybór mógł przynajmniej budzić poszanowanie dla państwa". Te względy sprawiły, że z dwojga złego — jak mniemał — głosował za mniejszem, byle oszczędzić ojczyźnie dalszych rozterek wewnętrznych. Boć nie o siebie chodziło mu, ani o postawienie na swojem, gdy się angażował do polityki, która zresztą była zupełnie obca jego harmonijnej i poetyckiej naturze, ale o szczęście i pomyślność Rzeczypospolitej, której był wiernym i przywiązanym synem. W tem uczuciu obywatelskiem, na krótko przed ukończonym sejmem,

napisał swą Odę VI, w której ogłosił takie osobiste zapatrywanie na chwilową sytuacyę polityczną: „Ja, kapłan Muz i klaryjskiego Apolina, mało się o to troszczę, czy potężny cesarz władać będzie Sarmacyą, czy też berło dzielnemu Batoremu się dostanie. Kogokolwiek ojciec bogów i ludów na tron Augusta wyniesie, o to go tylko błagam, by wybór ten przyniósł szczęście mej ojczyźnie".

Po napisaniu tej ody, zatytułowanej *Na zjeździe warszawskim*, a przeznaczonej dla licznych uczestników tego burzliwego zjazdu, dla których zawierała szereg nauk moralnych i wskazań politycznych, poeta wrócił do Czarnolasu, do stęsknionej za nim Doroty, i tu zająwszy się gospodarstwem, jednocześnie wziął się do pracy nad *Psałterzem*. Polityce dał za wygrane, a na zjazd w Jędrzejowie, naznaczony na 14. stycznia 1576 roku, choć na ten zjazd stawiły się tysiące szlachty, nie pojechał. Wolał zostać w domu, przy żonie i córce Ewie — bo już mu Bóg dał córkę — i stąd, pilnując wiosennych zasiewów, śledzić bieg wypadków, tembardziej, że to, co się działo, nie odpowiadało jego aspiracyom politycznym. Oto Maksymilian, za którym on wotował w Warszawie, coraz bardziej tracił szanse utrzymania się przy tronie, a szanse te, gdy przyszło do zjazdu jędrzejowskiego, zmalały do tyla, że poseł cesarski Rozenberg, widząc słabość stronników swego pana, zniechęcony powrócił do Wiednia, a tymczasem szlachta wyprawiła poselstwo po Batorego, który, odbywszy uroczysty wjazd do Krakowa, w dniu 3-go maja koronował się wraz z świeżo poślubioną Anną Jagiellonką. Tymczasem Maksymilian, także jadący na koronacyę do Polski, wybierał się tak wolno, że nie dojechał w końcu. Zniecierpliwiony jego kunktatorstwem, które ostatecznie popsuło całą sprawę, Kochanowski, nie mogąc strawić koronacyi Batorego, napisał epigram łaciński, tak w nim upominając cesarza: „Potężny Batory już nosi królewską koronę, a ty, wielki cesarzu, wybacz: jeszcze zwlekasz. Jeden tylko człowiek zwle-

kaniem sprawę ocalił, dla innych prawie wszystkich zwłoka zgubną była".

Ale łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i zakłopotanie poety, gdy wkrótce po koronacyi Stefana, który Zamoyskiego mianował swoim podkanclerzym, tenże Zamoyski któregoś dnia zajechał z nielicznym pocztem przed dwór Czarnoleski, a przyjeżdżał, jak się okazało, umyślnie, ażeby się rozmówić z poetą, i tak dla siebie, jak i dla króla pozyskać, przyczem ofiarował mu — na początek — kasztelanię połaniecką. Ale tu doznał zawodu, poeta bowiem, widząc, że kasztelaństwo o ile jest zaszczytnem, o tyle pociąga znaczne koszta, a dochody przynosi niewielkie, podziękował za ten zaszczyt, gdyż — jak się miał wyrazić do swego dostojnego gościa — „nie chciał wpuszczać do swego domu pysznego kasztelana, którýby zjadł to, co Kochanowski zarobił" [1]). Nie znaczyło to jednak, ażeby wymawiając się od przyjęcia kasztelanii, nie był gotów ofiarować swego pióra królowi i Rzeczypospolitej, jeśli ten król — jak mówił Zamoyski — istotnie jest mężem rzymskiego hartu, rwącym się do czynu, snującym wielkie projekty w celu podniesienia upadającej powagi i potęgi Rzeczypospolitej. Wtajemniczony w daleko sięgające zamysły królewskie, Kochanowski, choć do tej chwili niechętny Batoremu, wyraził gotowość uczynienia wszystkiego, co będzie w jego mocy,

---

[1]) Wkrótce po odjeździe Zamoyskiego, a w każdym razie — jak przypuszcza prof. Plenkiewicz — pod wpływem wyrzutów ze strony niektórych osób, zarzucających mu, że nie przyjął kasztelaństwa, napisał poeta najprzód Pieśń V, księgi I, a następnie Fraszkę IV, księgi III. We fraszce tej, będącej wolną przeróbką z Anakreonta, powiada Kochanowski:

Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

O *Kasztelanii połanieckiej Kochanowskiego* obacz studyum Juliana Bartoszewicza, w jego *Studyach historycznych i literackich*, tom II.

a coby królowi mogło ułatwić prowadzenie nawy państwowej; nie wiedział tylko, czy on, poeta, nieświadomy spraw politycznych, zdoła przydać się na wiele. Jeżeli miał jakie wątpliwości pod tym względem, to je Zamoyski rozprószył natychmiast, żądając od niego, aby czemprędzej napisał utwór, „w którymby naród mógł się jak we zwierciedle zobaczyć, poznać kardynalne swe wady i przerażony ich skutkami wszedł w samego siebie i o poprawie pomyślał". Ponieważ chodziło o to, ażeby te wady nietylko wytknąć, ale je unaocznić w działaniu, tak, by dochodząc do świadomości narodu przez zmysły, wstrząsnęły jego uczuciami i oddziałały na wolę, utworem więc, jakiego obecnie Zamoyski żądał od Kochanowskiego, była tragedya, możliwa do odegrania, n. p. podczas jednego z najbliższych sejmów. „Zadanie to jednak musiało wprawić w niemały kłopot poetę. Naprzód pisanie tragedyi stawało na poprzek wykończeniu *Psałterza;* powtóre, on sam, uprawiając dotąd przeważnie lirykę, dydaktykę, i próbując eposu, czuł, że nie był mistrzem po temu; wreszcie samo wynalezienie przedmiotu wymagało dłuższego rozmysłu. Tymczasem Zamoyski nie należał do ludzi, którzy coś robią w połowie. Na samej obietnicy napisania tragedyi poprzestać nie chciał, ale pragnął upewnić się i co do wyboru osnowy i — jak się okazuje z listu poety — dopóty nie ustąpił, aż mu ją ten podał w głównych zarysach".

Zamoyski odjechał, a poeta, odłożywszy przekład *Psałterza*, nie zwłócząc, zabrał się do pisania *Odprawy posłów greckich*, bo taki miał być tytuł przyrzeczonej tragedyi. W jakim nastroju przystępował Kochanowski do tej pracy? Przedewszystkiem był rad z siebie, że się nie połakomił na owo kasztelaństwo; bo

Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości,

a „serca nie zleczą żadne złotogłowy". Zdziwił się jednak, gdy ukończywszy pisanie swej sztuki, próżno czekał na ja-

kieś wezwanie podkanclerzego, aby mu przysłał rękopis. Tymczasem Zamoyski — według szczęśliwego wyrażenia Plenkiewicza — nadto wiele miał na swej głowie rzeczywistych tragedyi, ażeby się mógł jeszcze grecką zajmować: sprawy się wikłały, sejm nie radził o niczem, ale odmówił podatku na wojnę przeciw Gdańszczanom, którzy, obstając za Maksymilianem, nie chcieli uznać Batorego: słowem, sytuacya była trudna. Te były powody, dla których *Odprawa posłów greckich* tak długo musiała leżeć pomiędzy papierami poety. Ostatni, widząc, że Zamoyski jakoś nie zgłasza się po nią, i myśląc już, że dzieło pójdzie ostatecznie „mólom na pokarm albo na trąbki do apteki", wrócił do przerwanej pracy nad *Psałterzem*, a równocześnie przywdział żałobę po najstarszym z braci, Kasprze, zmarłym na samym początku roku 1577. Na pogrzebie, wobec licznie zebranych ziemian i członków rodziny, wystąpił z mową, w której podnosząc cnoty nieboszczyka, między innemi wyraził się o nim, że nietylko był bratem dla całego rodzeństwa, ale mu jakby zastępował ojca. „Bo po zeszciu rodziców naszych — mówił — mając on nietylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią (pierwszeństwo), wszystkie trudności nasze wspólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospolicie przypadają, wziął był na swoją pieczę i tak się z nimi sprawiał, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swej nie wzięli. A nietylkoć w młodszych leciech i w niebytności drugich nam był radzien i pomocen, ale przez wszystek wiek swój trudności naszych wszelakich przestrzegał i bronił". Ale życie lubi kontrasty: wkrótce po tym pogrzebie wypadło urządzić chrzciny: urodziła mu się trzecia córka, Urszula. Wprawdzie życzeniem rodziców, a zwłaszcza ojca, było, aby im Bóg dał syna, ale skoro dał córkę, cieszyli się i z córki, tembardziej, że „był to sobie taki sam robaczek, jak inne noworodki, tylko jakiś cichy, nie skrzeczący, bez zwykłych im lamentów". Jakby w przeczuciu, że „przyszło to, jak gwiazdka spadająca w noc le-

tnią, jak aniołeczek, na czas tylko, na nietrwałe pociechy rodzicom pożyczony od Boga", poeta miał dziwną słabość do tej dzieciny: żadnej z poprzednich córek, ani Ewy, ani Polikseny, nie kochał tak, jak Urszulkę. Swoją drogą pragnął mieć syna, a jeśli prawdą jest, co mówi stary Gerwazy w *Panu Tadeuszu*, że w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą, to mógł się spodziewać męskiego potomka, ile, że był to czas wojny. Dzielny Batory, wyzwany oporem Gdańszczan, wyruszył przeciwko nim wojenną wyprawą, a gdy pod Elblągiem i Gdańskiem toczyły się krwawe walki, jednocześnie — w sierpniu 1577 roku — nadeszła złowroga wieść, że car Iwan Groźny zajął Inflanty. Wobec tak trudnego położenia Batorego, zrozumiał Kochanowski, że „za temi czasów odwłokami (t. j. wojną gdańską) i jego tragedyi odwlec się miało", gdy nagle, dnia 21. grudnia, zjawia się posłaniec z dwoma listami od podkanclerzego, w których tenże prosił o natychmiastowe wysłanie przyobiecanej tragedyi, gdyż chciał nią uświetnić swoje zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną. Tymczasem *Odprawa* wymagała jeszcze przepisania na czysto. Poeta, przysiedziawszy fałdów, uskutecznił to w ciągu jednego dnia [1]), tak, że już nazajutrz, wyprawiając posłańca z powrotem, mógł pisać do Zamoyskiego: „Wczoraj dopiero oddano mi dwa listy naraz, któreś W. M. do mnie około tey Traiediey pisał", a już dzisiaj „dwudziestego wtórego dnia grudnia", odsyłał mu *Odprawę*, niespokojny, zali odpowie oczekiwaniom. „Jakom listy W. M. przeczytał, nie było czasu poprawować: bom wszytek miał *insumere* na przepisanie. *Quidquid id est*, a baczę że błazeństwo, y W. M. sam podobno rzeczesz: posyłam W. M. tym śmieley, chocia nie masz co, żem to ieszcze z przodku W. M. opowiedał, że to nie miało być *ad amussim:* bo mistrz nie po temu. Bardzobych to był rad uczynił, żebych był sam *praesens* W. M. teraz służby swe ofia-

[1]) Streszczam tu tylko Plenkiewicza.

rował, ale mi złe zdrowie nie da". Złe zdrowie! Coraz częściej zacznie się skarżyć na nie, aż w końcu, stęskniony za owemi błogiemi czasami, kiedy to nic mu nie szkodziło, napisze swój melancholijny wiersz *Do zdrowia*:

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

I jemu zaczynało się ono psuć coraz bardziej! Tymczasem, ledwo wyprawił swą tragedyę, kiedy w parę dni później otrzymał nowy list od podkanclerzego, naglący o napisanie utworu, któryby wobec już postanowionej wojny przeciwko Iwanowi „uderzał silnie w struny bojowe i wstrząsnął odwykłym od orężnej walki narodem". Chodziło o obudzenie wojennego zapału w szlachcie. *Odprawa posłów greckich*, jako mająca na celu powstrzymanie od wojny, nie odpowiadała potrzebom chwili. Co innego było przed rokiem, przed zajęciem Inflant, gdy szło jedynie o uplastycznienie wad i narowów społeczeństwa, a co innego dziś, gdy dach płonął nad głową. Zrozumiał to Kochanowski i, czyniąc zadość wezwaniu, napisał wiersz p. t. *Orpheus Sarmaticus*. Napisał go po łacinie, ponieważ chodziło o to, ażeby i król, obecny na uroczystości weselnej, zrozumiał treść utworu, w którym poeta wskazywał dwa główne cele narodowi: wojnę z Turkiem, zagrażającym całej Europie, i obronę najechanych Inflant. Dnia 12. stycznia 1578 roku, w Jazdowie, odbyło się wesele Zamoyskiego. Gdy przyszła kolej na teatr i śpiewy, naprzód odegrano *Odprawę*[1]), która *a nobilissimis*

[1]) O *Odprawie posłów greckich* istnieje cała literatura. Do najcenniejszych rozpraw o tym dramacie, nie mającym, wedle słów Mickiewicza, nic równego sobie w literaturze powszechnej XVI w., należy studyum prof. Józefa Kallenbacha o „wzorach i genezie" *Odprawy posłów greckich Jana Kochanowskiego* (Kraków, 1883, odbitka z tomu X Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umie-

quibusque adolescentibus acta fuit, poczem Krzysztof Klabon odśpiewał *Orfeusza*. Wrażenie, zwłaszcza na młodzież, było ogromne. A nietylko na młodzież, lecz i na posłów, którzy, uniesieni zapałem patryotycznym, zgodzili się zarówno na wypowiedzenie wojny, jak i na dwuletni podatek. Wkrótce

jętności). Autor rozróżnia w dramacie wpływy greckie i rzymskie, ostatnie silniejszę i liczniejsze od pierwszych, z wpływu poetów łacińskich najwięcej Seneki i Owidyusza, z greckich Homera i Eurypidesa. Lecz o ile wzory są starożytne, o tyle popęd i geneza są polskie. „Pokazuje się — pisze Tarnowski, streszczając tę rozprawę Kallenbacha — że *Odprawa*, jak w swoim czasie *Satyr* była przedsejmową broszurą, obliczoną na to, by na umysły działała w myśl króla i kanclerza, i do wojny zaczepnej je zapaliła. Autor zestawia wszystkie te ustępy tendencyjne *Odprawy* (Ulisses, Antenor, Rotmistrz) z mową Myszkowskiego podkanclerzego na sejmie roku 1578, i pokazuje się z porównania, że jedno prozą a drugie wierszem, ale mówią to samo. Co więcej: sejm ów otwierał się 14-go stycznia; 12 stycznia grany był w Jazdowie dramat. Dramat kończył się wyraźnie wezwaniem do wstępnej zaczepnej wojny: o takiej wojnie mówią instrukcye rozesłane z kancelaryi królewskiej do wszystkich sejmików przed tym sejmem w listopadzie. W grudniu Zamoyski dwa razy pisze do Kochanowskiego, żeby prędko przysyłał *Odprawę*: znać pilno mu, znać potrzebuje jej i na nią liczy. Związek między jednem a drugiem ukazuje się jasno jak na dłoni, bije w oczy: cel *Odprawy* widoczny". *Co u nas o Kochanowskim pisano*, strony 266—267. To samo stanowisko wobec *Odprawy* zajmuje Tarnowski w dziele o *Janie Kochanowskim*, gdzie też zaznacza nadto, „oprócz swojej piękności, swego znaczenia pierwszej a na długo jedynej tragedyi, jest *Odprawa* może najbardziej, najmądrzej politycznem z dzieł Kochanowskiego" (strona 378).

Odmienne zapatrywanie w tej sprawie wypowiada prof. Nehring, który w recenzyi dzieła Tarnowskiego o Kochanowskim nie może się zgodzić na ocenę *Odprawy posłów* jako „broszury politycznej" w formie dramatu. „W rozprawie mojej o wymienionej tragedyi zająłem inne stanowisko, nie przecząc i teraz, że polityczne myśli odzywają się ze słów patryotów greckich i trojańskich; niech mi też wolno będzie przypomnieć, że współcześni, co prawda, ocenili *Odprawę posłów* jako rzecz napisaną i przedstawioną *excitendorum animorum iuventutis ad bellum contra Russos causa* (Heidenstein, *Vita Zamosci*, strona 41). Jest więc pewna podstawa do

potem, bo jeszcze przed 6. marca, oba utwory, i *Odprawa posłów greckich*, i *Orfeusz*, wyszły w Warszawie, wydrukowane sumptem podkanclerskim. Ale Zamoyski, widząc, jakim atutem były pisma Kochanowskiego, gdy chodziło o wpływ na umysły, wnet pospieszył z nowem żądaniem. Oto zależało mu na dwu utworach łacińskich, któremiby mógł króla, wybierającego się do Lwowa, uczcić w Zamchu podczas łowów. W ten sposób powstały *Drias Zamchana* i *Pan Zamchanus*, utwory, które lubo zatrącały o politykę, jednak i poetycznych ustępów zawierały sporo. Jakoż, dnia 8. maja odśpiewane wobec króla, zyskały ogólny aplauz, poeta zaś, przywiązując szczególną wagę do zapatrywań politycznych,

---

ocenienia takiego, jakie przeprowadził prof. Tarnowski (za którym także idzie i Plenkiewicz), tylko wątpię, aby Kochanowskiemu głównie o myśl polityczną chodziło, aby z Zamoyskim naradzał się co do treści i tendencyi i t. d., owszem, prawdopodobną jest rzeczą, że poeta na ślub Jana Zamoyskiego chciał napisać dramat, w którym miała kobieta odegrać rolę przeważną (z tego powodu zaczął tłómaczyć *Alcestis)*; zamiar taki poeta wykonał, a kiedy „po długich czasów przewłokach" otrzymał od Zamoyskiego naraz dwa listy z upomnieniem się o tragedyę, wtedy już tylko czas starczył na to, aby poemat przepisać i podkanclerzemu w liście się wytłumaczyć, że tam nie wszystko tak jest, jak być powinno, wedle tragedyi greckiej. *Kwartalnik historyczny*, 1889, strona 280

Z innych prac o *Odprawie posłów greckich* godzi się wymienić: 1. Studyum Nehringa (w *Studyach literackich)*; 2. Plenkiewicza *Geneza i rozbiór Odprawy posłów greckich* w *Bibliotece Warszawskiej*, 1896, III, 231; 3. P. Chmielowski, rozdział w *Naszej literaturze dramatycznej* poświęconej Janowi Kochanowskiemu; 4. estetyczny rozbiór tragedyi J. Kochanowskiego w dziele Tarnowskiego o *Janie Kochanowskim* (jeden z najlepszych ustępów w książce); 5. H. Biegeleisen *Geneza Odprawy posłów greckich*, usiłująca dać syntezę dotychczasowych badań w tym kierunku *(Muzeum*, 1897)

Na powtórzenie zasługuje tu uwaga Felicyana o *Odprawie posłów greckich*: „W chwili, gdy Kochanowski napisał ten dramat, Lope de Vega miał w owej porze lat dopiero piętnaście, a Szekspir trzynaście, w Niemczech zaś sztuka dramatyczna tak dobrze, jakby wcale nie istniała". *Pogadanka o Fraszkach Kochanowskiego.*

wypowiedzianych w *Dryadzie*, sam ją przetłómaczył na język polski, ażeby z nią i szerokie koła zapoznać.

Ale zanim się wziął do tego tłómaczenia, naprzód, w końcu kwietnia mniej więcej, pojechał na Litwę, nie mogąc odmówić zaprosinom Mikołaja Radziwiłła Rudego, którego syn, Krzysztof, miał zawrzeć nowe związki małżeńskie z Katarzyną Ostrogską. I ojcu i synowi bardzo zależało na tem, ażeby Kochanowski, którego obaj uważali za swego serdecznego przyjaciela, był obecny na uroczystości zaślubin. Poeta jednak, mimo najszczerszej chęci, nie mógł zostać tak długo, zważywszy, że wesele miało się odbyć dnia 27. lipca, on zaś, jeśli o tyle wcześniej z domu wyjechał, to dlatego, że chciał — a do pewnego stopnia musiał — być obecnym w Krakowie, na uroczystości ingresu Myszkowskiego, który po śmierci Franciszka Krasińskiego, został mianowany biskupem krakowskim. Widocznie, że Radziwiłłowie uwzględnili położenie poety, bo kiedy się miała odbyć pomieniona uroczystość, znalazł się przy boku Myszkowskiego, w Krakowie, gdzie swą obecność zaznaczył w Elegii X, księgi III. „Myszkowski! pośród tylu orszaków konnych i pieszych, co tłumnie naprzeciw biskupa swego wystąpiły, pragnąc oblicze oglądać i słodkie twoje słowa usłyszeć, i mnie także przez rozkoszny Bug, przez twoje wody, o Wisło wspaniała, miłość przywiodła". Tutaj, na dworze biskupim, w otoczeniu dawnych znajomych, a przedewszystkiem w miłem towarzystwie Myszkowskiego samego, który go, jako wierny, wypróbowany przyjaciel, wyróżniał na każdym kroku, jako pierwszorzędnego poetę [1]),

[1]) Bardzo ładną charakterystykę Myszkowskiego, jako protektora Kochanowskiego, skreślił w swem studyum o *Pieśniach Kochanowskiego* prof. St. Dobrzycki (str. 136—137). „I w pieśni: *Niezwykłym i nie leda piórem opatrzony*, i we wstępie do *Psałterza* i w *Muzach*, wszędzie spotykamy się z nazwiskiem Myszkowskiego To zaszczytne miejsce należy mu się. Należy mu się zwłaszcza tam, gdzie Kochanowski mówi o swojej poezyi". Bo jeśli chodzi o takich

kosztował słodkich wczasów. „Ten biskup, książę siewierski, gdy innych, znużony ceremoniałem przyjęcia, rad był co najrychlej pożegnać, jego, jako powiernika swej myśli, zatrzymywał w swym domu, tak, że obydwom zdawać się mogło, że znowu wróciły te chwile, które niegdyś spędzali razem na dworze Zygmunta". Ale Król-dojutrek już odpoczywał w swej trumnie, a tymczasem o Batorym, właśnie przebywającym we Lwowie, dochodziły tak zadziwiające wieści, o jego dzielności, przedsiębiorczości i energii, że nawet taki rozgorzały rakuszanin, jak Myszkowski, przedzierżgnął się w zapalonego wielbiciela Stefana. I nietylko sam zmienił się, ale i na Kochanowskiego, z którym wiele rozmawiał o królu, wywarł stanowczy wpływ w tym kierunku. O czem także mówili często, to o *Psałterzu*, który już był doprowa-

mecenasów, jakim dla Horacego był *dilectus Maecenas*, to dla Kochanowskiego jedynym takim mecenasem był Myszkowski. „Gdy inni, jak Zamoyski, patrzyli na jego poezyę, jak na środek do osiągnięcia celów pozaliterackich, Myszkowski jedyny bezinteresownie ją podziwiał. Miał zrozumienie dla prawdziwej, własnej poezyi Kochanowskiego, podziwiał ją, a poecie był prawdziwym przyjacielem. Takie rzeczy się odczuwa. To też gdy Zamoyskiego Kochanowski podziwia, jako polityka, i cieszy się, że Polska ma takiego człowieka, Myszkowskiego kocha całem sercem. Gdy na cześć Zamoyskiego pisze urzędowe wiersze, Myszkowskiemu wystawia najpiękniejszy pomnik, jaki mógł wystawić. Myszkowskiego imię związał ze swą poezyą. To też dopóki ta poezya trwać będzie, znanem będzie i imię „wielce ulubionego Myszkowskiego". Historya dyplomatycznych zabiegów XVI wieku pamiętać będzie o podkanclerzym; historyk kościoła polskiego nie zapomni biskupa płockiego i krakowskiego; historyk rodów szlacheckich wspomni twórcę ordynacyi Myszkowskiej. Ale dla ogółu imię to pozostałoby nieznane, gdyby nie pomnik, jaki mu zbudował Kochanowski. Po prostu wdzięczni jesteśmy poecie za to. *Kein Augustisch Alter blühte, Keines Medicäers Güte...* można śmiało rzec o polskiem piśmiennictwie. Przykra jest dla nas obojętność ostatnich Jagiellonów wobec literatury polskiej. Magnaci dbali o nią tyle, o ile ona ich lub ich dom uświetniała. Na takiem tle piękniej odbija Myszkowski, zwłaszcza, że jego protegowanym był nie kto inny, jak Jan Kochanowski".

dzony tak daleko, że można było teraz, korzystając z pobytu w Krakowie, wejść w układy z drukarzem, Łazarzem Andrysowiczem. Na druk łożył Myszkowski. Tymczasem, z nadejściem lata, rozpoczynając objazd swych dóbr biskupich, udał się do letniej rezydencyi w Promniku, a poeta[1]) pojechał z nim razem. W Promniku, w rozkosznej renesansowej willi, niegdyś wzniesionej przez Samuela Maciejowskiego, a unieśmiertelnionej przez Górnickiego w *Dworzaninie*, powstała Oda X *Na wieś Promnik*, dowodząca niezbicie, że się tu nie przykrzyło poecie: „Witaj mi, wiosko, co kosztem szczodrego Maciejowskiego wzniesiona, dziś w Myszkowskim, podporze dostojnego senatu, otrzymałaś nowego pana, nieustępującego poprzedniemu właścicielowi! Witaj mi, ustronie pracy, rodzicielko ciszy, pokoju duszy, odpoczynku po troskach, matko wczasów, gościno muz! Witajcie mi i wy, łąki, na których nigdy nie wysychają strumyki!“ Dobrze mu było w Promniku. Nie zapomniał przecież, że w domu tęsknie wyczekiwała żona. Wróciwszy do niej, ledwo cokolwiek zagrzał miejsce, którego mu i tak długo zagrzewać nie pozwalały częste wycieczki do przyjaciół i możnych sąsiadów, kiedy po krótkim czasie znowu otrzymał list od Myszkowskiego, gwałtem zapraszający go do Bodzentyna. Cóż miał robić? Pojechał. Ale zbliżał się czas żniw, a Dorota, wogóle nierada jego wyjazdom, naglıła, żeby wracał. Wzruszony jej czułemi listami, poeta pożegnał się z biskupem, a na wyjezdnem, dziękując za gościnę, wywzajemnił się następującym wierszem:

[1]) Na jednej z takich wycieczek, które zawsze odbywał konno, w towarzystwie pachołka, o mało co nie postradał życia. Mianowicie koń jego, którego był sobie kupił niedawno, potknął się, a tak fatalnie, że poeta, wysadzony z siodła, zleciał i potłukł się boleśnie. Rozgniewany na swego wierzchowca, sprzedał go jakiemuś dostawcy koni do żup solnych w Bochni czy Wieliczce, gdzie biedne konisko musiało „do śmierci kręcić maszynę, ustawioną ponad ciemnym szybem i ciężko się z bryłami soli mozolić“.

Jaką rozumiesz zazdrość ziednałeś sobie,
Zacny Biskupie, w moiey małey osobie:
Żeś mię z domu wyciągnął w te dalsze strony,
Od małych dziatek, y od teskliwey żony?

Nie myślić ona o tym, że ia przy tobie
Głowy nie ufrasuię bynaimniey sobie:
Że w twym pałacu mieszkam, że przy twym boku
Siadam: koń móy, sługa móy, na twym obroku...

Rychley, niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, frasuie swe serce doma:
Żebych iakiey choroby nagłey nie użył,
Nie maiąc ktoby mi iey sercem służył.

Ciężar także domowy społeczny nama
Teraz w mey niebytności musi nieść sama:
Strzegąc w domu porządku, waruiąc szkody,
Dziatek lichych pilnując, zakładów zgody

. . . .

To, y czego jest więcey, zawżdy w miłości
Serca trapi, chocia też zstawa ufności.
A ty nie bądź przyczyną, biskupie drogi,
Niczíiey, lubo słuszney, lub płoney trwogi.

Ale złącz, iakoś rozwiódł, bo acz oboie
Twóy urząd niesie, wszakże wyroki twoie
Na ludzkiey chęci wiszą: y ia, y ona,
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.

Na wsi wrócił do normalnego trybu życia, a to życie układało się pomyślnie, bezkłopotliwie. „Stodoły z każdym dniem coraz bardziej pod ślemiona wypełniały się zbożem; w sadach pięknie dojrzewały owoce, a wszystko to budziło uczucie zadowolenia i dosytu w duszy ziemianina-poety, który z pod swej cienistej lipy mógł ogarniać wzrokiem swoje dziedzictwo, i cieszyć się widokiem córek, biegających w ogrodzie, lub wiodących ku niemu spragnioną pieszczot Urszulkę". Pod jesień przybyła mu czwarta córka, a kiedy się uporał z drobniejszemi pracami, jak n. p. *Epitalamium* na ślub Krzysztofa Radziwiłła, zabrał się do osta-

tecznego wykończenia *Psałterza*, aż wreszcie, dokonawszy całkowitego przekładu tych natchnień króla-proroka, skreślił dedykacyę, w której swe dzieło przypisał Myszkowskiemu.

Żniwa swego pierwszy snop tobie ofiaruię,
Cny Myszkowski, ktorego dobrodzieystwem czuię
Uwiązane swe serce...
Tym, żeś mi serca dodał, żem sye rymy swemi
Ważył zetrzeć z Poěty coznakomitszemi,
I wdarłem sye na skałę piękney Kalliopy,
Gdzie dotychczas nie było znaku polskiey stopy,
Y teraz ci z Libanu niosę Dawidowe
Złote gęśli, a przy nich Polskie pieśni nowe...

W grudniu, mając cały skrypt gotowy do druku, pojechał do Krakowa. Przybywszy tu, nietylko stykał się z Myszkowskim, któremu przedstawił rękopis ukończonego dzieła, ale i z Zamoyskim, który mu wyjednał posłuchanie u króla, a następnie skłonił do podjęcia pracy z zakresu ortografii, ażeby zapobiedz prostemu widzi mi się drukarzów. Poeta zgodził się i sporządził referat w tej kwestyi p. t. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*, referat, który jednak nie musiał zadowolnić Zamoyskiego, skoro go zaraz nie wydrukował [1]). Tymczasem rozpoczął się druk *Psałterza*, a poeta wrócił do Czarnolasu, ażeby tam zażywać spokoju u domowego ogniska. Ale nie wszędzie było tak spokojnie, jak w zacisznym Czarnolesie. Już upłynęło parę miesięcy, jak król wyruszył pod oblegany w tej chwili Połock. Niestety, oblężenie szło nie tak, jak przewidywano z początku. Miasto broniło się zaciekle, tak, iż wobec niepomyślnych wieści, nadchodzących z królewskiego obozu, zaczęto przebąkiwać, iż król zamyśla zwołać pospolite ruszenie. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła poetę, wiedział bowiem, że

---

[1]) Pracę tę, już po śmierci Kochanowskiego, wydał w roku 1594 Jan Januszowski, zeznając, że jej rękopism z rąk Jana Zamoyskiego otrzymał.

jako osiadły ziemianin, był obowiązany, po rozesłaniu trzecich wici, stanąć w rynsztunku bojowym. Nie uśmiechało mu się to, wogóle bowiem, jako wykwintny humanista, nigdy nie czuł pociągu do hazardów wojennych, a dziś, jako ojciec rodziny, coraz bardziej podupadający na zdrowiu, tem mniej miał ochoty do wojaczki. To też, gdy nie ustawały się szerzyć pogłoski o pospolitem ruszeniu, a w województwie zawakował urząd wojskiego ziemi sandomierskiej, Kochanowski wystąpił ze swą kandydaturą, wojscy bowiem, nawet wówczas, gdy wszystkich powoływano do obrony krajowej, jeszcze nie potrzebowali służyć wojskowo. Tymczasem nadeszła radosna wieść o zdobyciu Połocka. Upojony tem zwycięstwem Batorowego oręża, poeta uderzył w struny lutni, pisząc polską Pieśń XIII, ks. II, i łacińską Odę XII.

Znowu tedy, skąd był wyszedł,
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana, króla polskiego.

Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste,
Puściły żelazne brony.
A ty królu niezmożony,

Nietylko zamki budowne,
Y twierdze bierzesz warowne:
Ale, co chwalniejsza tobie,
Jesteś silen y sam w sobie.

Wiersze te nie były jedynemi, które poeta pisał w onym czasie. Gdy umarł kardynał Hozyusz, Kochanowski, podkreślając swe uwielbienie dla tego filaru katolicyzmu w Polsce, napisał epigramat, w którym z entuzyazmem podnosząc Hozyuszową „żarliwość w obronie wiary", stawiał go za „wzór obyczaju i cnoty". Równocześnie przygotowywał do druku rozpoczętą już w roku 1562 pracę filologiczną *M. T. Ciceronis Aratus*, która wyszła jeszcze w tym roku, oraz krzątał się około wydania swoich utworów łacińskich, ma-

jących w roku 1580 p. t. *Lyrica* wyjść z oficyny Łazarzowej. *Aratus* był poświęcony Zamoyskiemu, od którego poeta miał przyrzeczony przywilej u króla na wydanie *Psałterza*. Przywilej ten, zabraniający przedruku danej książki „pod groźbą kary tysiąca grzywien i utraty nakładu", podpisał Batory w Wilnie dnia 8. października 1579 roku, nazajutrz zaś, najwidoczniej za wstawieniem się kanclerza, usankcyonował nominacyę Kochanowskiego na wojskiego ziemi sandomierskiej [1]). Lecz nie tu miała się zakończyć łaska królew-

[1]) Nominacya ta, podpisana w Wilnie przez króla, wracającego z pod Połocka, tak brzmi w przekładzie łacińskiego oryginału: „Stefan z Bożej łaski król polski i t. d. Oznajmiamy wszystkim i każdemu z osobna komu o tem wiedzieć należy. Po usunięciu urodzonego Andrzeja Gołuchowskiego na podkomorstwo sandomierskie, gdy urząd, który sprawował, wojskiego sandomierskiego, komu innemu dać trzeba, zauważyliśmy, że przy osadzeniu go szczególny wzgląd mieć powinniśmy na urodzonego Jana Kochanowskiego z Czarnolasu. Tego bowiem jego liczne i szlachetne przymioty *(praeclarissimae virtutes)*, jego dla kraju zasługi, jego przezacne i wyborne zdolności *(nobilissimum ac praestans ingenium)*, tudzież niezwykła nauka, od nas zdają się wymagać i niejako kryjomo dopominać, aby jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i użytek, tak nawzajem od niej zaszczyty i godności odbierał. Urząd zatem wojskiego, który według naszego zdania najlepiej przypada do jego usposobienia i do trybu życia, dać mu postanowiliśmy; jakoż go przez obecne pismo nasze dajemy i zlecamy: ze wszystkiemi jego prawami i dochodami, jakie poprzednio wojskim służyły, a to dożywotnio lub do czasu dostąpienia, czy to wyższego jakiego urzędu, czy dostojności. O takowem zaś daniu przez nas tego urzędu powiadamiamy wogóle dygnitarzy, urzędników, panów stanu rycerskiego i wszystkich, którzy o tem wiedzieć powinni, rozkazując tu wymienionym, aby rzeczonego Jana Kochanowskiego za prawego wojskiego sandomierskiego mieli i jemu miejsce, prawa i przywileje służące, oraz dochody do tego urzędu przywiązane, według przyjętego zwyczaju, tudzież uległość, jaką mu kto winien, zapewnili. Na wiarę czego pismo to ręką naszą podznaczyliśmy i pieczęcią urzędową rozkazaliśmy opatrzeć. Dano w Wilnie, dnia 9. października r. p. 1579, panowania naszego czwartego roku, Stefan, król, podpisał".

ska! Wiedząc o „szlachetnych przymiotach" poety, o jego „zasługach względem kraju, przezacnych a wybornych zdolnościach, tudzież niezwykłej nauce" i pragnąc, aby „jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i pożytek, tak nawzajem od niej zaszczyty i godności odbierał", mianował go swoim poetą nadwornym, przyczem mu wyznaczył 1.200 florenów rocznej pensyi [1]).

Te i tym podobne okoliczności znakomicie poprawiły stan majątkowy poety. Dość powiedzieć, że już w roku 1580 będzie mógł pożyczyć Mikołajowi Firlejowi z Dąbrowicy 7700 florenów! Świadczyło to, że poeta-humanista miał zmysł i do rzeczywistości (najwidoczniej odziedziczony po ojcu), że nietylko przestawał z muzami, ale umiał i gospodarować należycie. Coprawda, było o kim myśleć. Wszak był ojcem czterech córek, dla których musiał składać posagi.

Cóżkolwiekbądź, żadnej z nich nie miłował tak wielce, jak Urszulki. Ale

> Bo też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
> Coby łaski rodziców swych tak godne było.

„Ta dziecina ze złotemi kręcącemi się włoskami, rozwijała się szybko, jak roślinka, wystawiona na słońce pod szklanem nakryciem. To nic, że umiała różne figielki, których nikt jej nie uczył, ale że przez te duże, błękitne jej oczęta, patrzące powłóczyście, szeroko, zdawała się przezierać nad wiek rozumna duszyczka, jakby uwięziona w ciałku dziecię-

[1]) Fakt ten o przyznaniu J. Kochanowskiemu pensyi rocznej 1200 florenów i mianowaniu go przez króla poetą nadwornym, zapisany jest u Starowolskiego. Przyborowski nie wierzy w owe 1200 złotych od Batorego, przenosząc to podanie na czasy Zygmunta Augusta (1567). Bronisław Chlebowski pisze w tej kwestyi: „Podany przez Starowolskiego szczegół o proponowanem przez Batorego miejscu na dworze z pensyą 1200 złotych (bardzo wysoką na owe czasy), może być prawdziwym; uwydatniałby on tem jaskrawiej ironię kaprysów losu". *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów*, strona 194.

cem, w którem jej było za ciasno". A kiedy zaczęła chodzić i mówić, wszystkich zastanawiała swą nadzwyczajnością. Nie dość, że była posłuszna i usłużna, wolna od wszelkich grymasów i wad dziecięcych, ale się odznaczała jakimś przedziwnym darem naśladowczym, który jej pozwalał odtwarzać ukłon każdego, ruchy i postawę, lub powtórzyć usłyszaną piosenkę. Cóż dziwnego tedy, że ojciec, słuchając jej szczebiotu, widział w niej „Safonę słowiańską" w przyszłości, że gwoli tej duszy poetyckiej, którą, jakby odbicie swej własnej, widział w Urszulce, więcej lgnął do niej, aniżeli do jej starszych siostrzyczek. I tamte były miłemi dziewczynkami, ale Urszula miała jakiś szczególny wdzięk, była „najmilszą" ze wszystkich. A gdy jęła zawodzić swe piosenki, „ustek nigdy nie zamykając", to była podobna do „słowiczka w krzaku zielonym, co przez noc całą pieści słuch gardłkiem uciesznem". Ale

Tak wiele cnót jej młodość i takiej dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swej bujności.

Nad wiek rozwinięta, choć z początku była zdrowa, powoli zaczęła jakby niknąć w oczach, słabnąć, szczupleć, aż w końcu stało się widocznem, że była skazana i na smierć przedwczesną. W przeczuciu jej, na krótko przed zamknięciem powiek, żegnając matkę, mówiła, że już jej chyba przyjdzie z domu rodziców precz jechać i nazawsze z nimi się rozstać. Wreszcie umarła [1]).

Jeszcze się zrozpaczony ojciec nie zdołał uspokoić po jej stracie, gdy nagle zjawił się posłaniec od Zamoyskiego, z natarczywem żądaniem, ażeby poeta czemprędzej nadesłał

[1]) Prof. Plenkiewicz dość obszernie rozpisuje się o chorobie Urszulki, przyczem pisze, że zmarła na *meningitis*. Prof. Tarnowski bardzo niedowierzająco odnosi się do tej dyagnozy. „Skąd wiadomość, że była skrofuliczna, że miała czoło zbyt wypukłe, że umarła na *meningitis*? Mogła tak samo umrzeć na krup, na szkarlatynę, na ospę, na każdą inną chorobę, bo żadnej żadne współczesne podanie nie oznacza".

parę utworów, któreby, odpowiadając obecnym okolicznościom, we wskazany sposób mogły oddziałać na umysły zebranych posłów: chodziło o to, ażeby w nich rozbudzić zapał dla króla, który wróciwszy zwycięzcą, gdy zwołał sejm do Warszawy, raptem spotkał się z sarkaniem na uciążliwość wojny, które to sarkanie było tylko wyrazem niechęci ku energicznemu władcy, zaczynającemu budzić obawy wśród szlachty, czy nie zechce ukrócić jej samowoli. Poruszywszy wszystkie sprężyny, ażeby zażegnać grożącą burzę, Zamoyski napisał do Kochanowskiego, jako oficyalnego poety, ażeby przysłał utwór, w którymby wojenne czyny Batorego ukazały się oczom narodu w całym blasku. Poeta jednak, złamany boleścią po stracie Urszuli, nie miał „aspektu" do pisania, więc tylko rozszerzył trochę napisaną już *Pieśń o wzięciu Połocka* i pieśń tę, wraz z dwoma innemi wierszami, z wierszem *O statecznym słudze Rzeczypospolitej*, na który się zdobył z wielkim wysiłkiem, i wierszem *O uczciwej małżonce*, którym uczcił Dorotę, posłał Zamoyskiemu, dołączywszy do nich listowne wytłómaczenie się, czemu nie posyła nic więcej. „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczej gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. I jam tegoż mało nie uczynił, wprawdzie nie tak doskonały strzelec, jeno że łaska W. M. droższa u mnie, niż wszystka *poetica*. Jeśli co nie grzeczy, a bodaj nie wszystko, któż winien? Ja naprzód, W. M. też po części, *qui scribere cogis*, chociaż zły aspekt. Chcesz li mię W. M. na świecie mieć dłużej, nie każ mi W. M. teraz nic pisać".

Nie znaczyło to jednak, ażeby, nie będąc usposobionym do pisania na urząd, nie czuł dusznej potrzeby dania wyrazu swej osobistej boleści po stracie ukochanego dziecięcia, boleści, która mu się raz po raz wyrywała z piersi okrzykiem: „Nie masz cię, Urszulo moja!" To dało początek *Trenom*.

W poemacie tym, pisanym krwią serca ojcowskiego, odbiło się jak w żadnym innym — zdaniem Plenkiewicza — piętno indywidualności autora. Jest to, obok przekładu *Psałterza*, nietylko arcydzieło wieszcza z Czarnolasu, ale i arcydzieło liryki, doskonałe pod względem formy, jakkolwiek pełne reminiscencyi z całego szeregu pisarzy starożytnych. Jako takie, są te nieśmiertelne lamentacye i medytacye, natchnione niepowetowaną stratą dziecka, jakby słupem granicznym, oznaczającym pewien zwrot w twórczości Kochanowskiego. „Po raz pierwszy — powiada Chlebowski — otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzewniające swą szczerością i prostotą. Po raz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mówca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi-ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wiela“ nieszczęśliwych. Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam!“ tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował.

Nietylko do *Werthera* jednak, lecz i do niektórych filozoficznych utworów autora *Fausta* można porównać *Treny* Kochanowskiego, wszystko bowiem, co poeta przemyślał, co stanowiło jego pogląd na życie, na wiedzę ludzką, znalazło swój poetycki wyraz w tem lirycznem *requiem*. Oto, co w tej mierze pisze Plenkiewicz: „Nietylko stoicyzm, na tak wątłej jak siła woli zbudowany podstawie, ale i wiedza rzeczywista, choćby najgłębiej pojęta, nie może przynieść w podobnych razach (w cierpieniu) człowiekowi pociechy [1]). To

[1]) W rozprawie o *Filozofii Jana Kochanowskiego* Kallenbach podkreśla u poety w epoce pisania *Trenów* widoczny bardzo wpływ Seneki, a zwłaszcza jego *Consolationes*. Tak na przykład pomysł

też poeta biada tylko, że tej mądrości żywot swój cały poświęcił, bo dziś, gdy mu całego hartu ducha potrzeba, znalazł się wobec nieszczęścia równie słabym, jak najostateczniejszy z prostaczków". Jako dzieło sztuki, są *Treny* jednym z najdoskonalszych utworów Jana, pomimo że może żadne z jego dzieł nie było pisane z tak gorączkowym pospiechem, jak one właśnie. Dość powiedzieć, że Urszulka umarła w roku 1579, a w roku 1580 *Treny* były już wydrukowane.

Śmierć atoli, zabrawszy Urszulę, nie poprzestała na niej jednej. Wkrótce po niej, właśnie, gdy poeta „nad dziećmi pióro swe zabawiał", umarła mu czwarta córka, Hanna. Ledwo zdążył napisać krótkie *Epitaphium* pod wpływem tego nowego ciosu, musiał się zdobyć na napisanie innego, na zgon wojewodziny sandomierskiej, dla której, gdy jeszcze była za Janem Krzysztofem Tarnowskim, tyle żywił uczuć sympatyi. W tymże czasie doszła go z pod Wielkich Łuk, gdzie właśnie Batory gromił wojska moskiewskie, wieść o bohaterskiej śmierci Piotra Kłoczowskiego, tego samego, którego on niegdyś „do Włoch prowadził". Wkrótce potem, bo na początku roku 1581, umarł brat poety, Mikołaj, a prawie jednocześnie Dorota utraciła swego starszego brata, Grzegorza.

Przybity tyloma ciosami, nie dziw, że pomimo pomyślnego zakończenia wojny z Moskwą, zakończonej odzyskaniem Inflant, poeta czuł się wyczerpany i nie skory do pióra. A jednak musiał chwycić za nie znowu! Ledwo skończył się fatalny sejm z roku 1582, jeden z tych licznych sejmów, które zerwano, gdy nadbiegł posłaniec od Zamoyskiego, który, pragnąc w jakikolwiek sposób dać zadosyćuczynienie królowi, „a przedewszystkiem odwołaniem się od sejmu do narodu przywieść do upamiętania obałamucone umysły i za-

---

rozmowy matki z synem w Trenie ostatnim, do wzoru Senekowego odnieść należy.

rzutom opozycyi przeciwstawić czyny dokonane w ciągu sześcioletnich rządów Stefana", znowu się zwrócił do poety, z żądaniem, by napisał coś, coby w całym blasku wojennej chwały uprzytomniło narodowi panowanie dzielnego króla. Choć i teraz, jak wkrótce po śmierci Urszulki, znajdował się w „złym aspekcie" do pisania, to jednak przezwyciężył się i ułożył długą pieśń zwycięską p. t. *Epinicion*, w której znalazło się wszystko, co można zdziałać rutyną i biegłością pisarską, ale też i nic nadto. Znać na tym wierszu, że autor, gdy pisał te strofy łacińskie, niemało utracił ze swej duchowej mocy. Tymczasem, jakby na przekór temu chwilowemu odpływowi poetyckiej weny, był zniewolony do ciągłego płodzenia nowych utworów, co oczywiście nie wychodziło na ich korzyść. Zaledwo się uporał z *Epinicionem*, musiał zadosyćuczynić nowemu żądaniu Zamoyskiego, który, żeniąc się z Gryzeldą Batorówną, chciał swe wesele uświetnić nietylko odpowiedniem *epitalamium* łacińskiem (łacińskiem, bo zarówno król, jak i jego synowica, nie rozumieli po polsku), ale gorąco zapraszał poetę, ażeby osobiście przybył na tę uroczystość. Kochanowski spełnił tylko pierwsze życzenie kanclerza, pisząc swój *Epitalamion*, do Krakowa jednak, z powodu „niesposobnego zdrowia", nie pojechał. Tym sposobem, nie będąc świadkiem wielkich fet na zamku królewskim, nie słyszał, jak Krzysztof Klabon odśpiewał podczas uczty jego pieśń weselną, ani jak tenże nadworny śpiewak, w dniu następnym, gdy młodej kanclerzynie składano podarunki ślubne, wykonał z towarzyszeniem liry jego *Epinicion* na cześć obecnego króla. Zamoyski jednak, choć w roli pana młodego, nie zapominał o polityce, czego dał dowód wymowny, zwracając się z nowym żądaniem do poety, a mianowicie: żeby nie zwlócząc wziął się do napisania polskiego wiersza, opiewającego waleczne czyny Krzysztofa Radziwiłła, który się tak w wojnie ostatniej odznaczył. Wraz z listem w tej sprawie nadesłał mu dyaryusz ze szczegółowym opisem wszystkich wypadków,

w których Radziwiłł brał czynny udział. Widocznie, iż kanclerzowi bardzo zależało na pozyskaniu litewskiego potentata, skoro go sobie kaptował aż poezyami Jana Kochanowskiego. W ten sposób, według Plenkiewicza, powstała *Jezda do Moskwy*[1]), utwór, który pospołu z dwoma poprzedniemi, miał się złożyć na całkowity obraz wielkiej wojny północnej, który przecież, słaby pod względem formy, świadczy nietylko o znużeniu ducha poety, ale i o jego słabnącem poczuciu artystycznem.

III.

Już w Trenie III, gdy pisał, że mu się trzeba gotować w drogę za Urszulą, i w *Epitaphium* na śmierć jej młodszej siostrzyczki, gdy mówił, że musi „zaraz odżałować wszystkiego, a na trwalsze rozkosze się chować", poeta dawał poznać wcale niedwuznacznie, że często myśli o śmierci, że przeczuwa jej zbliżanie się ku niemu. Jakoż „niesposobne zdrowie", które mu się psuło coraz bardziej, upoważniało do tak złowrogich przeczuć.

Poeta jednak, pogodny z natury, i o śmierci myślał z filozoficznym spokojem: tyle tylko, że zaczął więcej dbać o siebie, że mniej się wychylał z domu, że unikał męczących podróży. Choć był i drugi powód, dla którego wolał nie ruszać się z Czarnolasu: tym był wzgląd na Dorotę, która, troskliwa o męża, nie lubiła rozstawać się z nim, choćby na krótko.

[1]) O pierwszem wydaniu *Jezdy do Moskwy* istnieje ciekawe studyum A. Pawińskiego, p. t. *Jan Kochanowski, przyczynek do bibliografii roku 1583. Tygodnik illustrowany*, 1884, str 75. Zdaniem Pawińskiego, Kochanowski nie pisał swej *Jezdy* w roku 1581 i pisać nie mógł. „Prawdopodobnie wieszcz nasz z Czarnolasu dopiero w następnym 1582 roku miał sposobność zebrania tylu ciekawych szczegółów o wyprawie Radziwiłła, jakie w swym poemacie podał, i wtedy też złożył owe pieśni pochwalne na cześć swego bohatera. I utwór ten niebawem ukazał się w druku, w Krakowie,

Ale mię (czego taić zgoła nie mogę),
Niewiasta smutna trzyma: której gdy drogę
Wspomionę, wnet twarz blednie, oczy łzy leją,
A mnie patrząc, y serce, y członki mdleją.

A zresztą, poco miał wyjeżdżać, kiedy mu nigdzie — nawet w gościnie u Myszkowskiego — nie było tak dobrze, jak w domu, przy Dorocie, przy dzieciach. Tych miał czworo, bo po śmierci Urszuli i Hanny, jeszcze mu przybyło dwoje: dwie córki, Halszka i Krystyna. Mimo to nie tracił nadziei, że go w końcu Pan Bóg obdarzy synem. Bo syna chciał mieć koniecznie.

Tymczasem, dopóki mu się rodziły córki, a sił nie przybywało, lecz przeciwnie, ubywało, troszczył się o zabezpieczenie bytu rodzinie, ale myśląc o tych ziemskich sprawach, nie zapominał i o podnioślejszych, bardziej nieuchwytnych, do których mianowicie należała ojcowska troska o jego dzieci duchowe. „Ponieważ musi zniszczeć ciało, więc trzeba w dziełach trwały ślad zostawić po sobie". A że te dzieła mogły mu zapewnić nieśmiertelność, o tem nie potrzebował wątpić; powodzenie, jakiem się już teraz cieszyły wśród społeczeństwa, upoważniało do podobnych nadziei. Na początku roku 1583 wyszły z oficyny Łazarzowej — sumptem Zamoyskiego — *Epitalamion*, *Epinicion*, i *Jezda do Moskwy*, a jednocześnie ukazało się drugie wydanie *Trenów* i *Psałterza*. Świadczyło to, że oba utwory cieszyły się poczytnością, że znalazły oddźwięk w duszy narodu. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, można być pewnym, że tak znakomity muzyk, jakim był Mikołaj Gomółka, nie dorobiłby

---

1583 roku, w drukarni Łazarzowej, w 410 wierszach, p. n. *Jezda do Moskwy y posługi z młodych lat na y przez wszystek czas przeszłey woyny z Moskiewskim* i t. d. Ten dodatek w tytule „przeszłey woyny" jest wskazówką, że właśnie niedawno co się owa wojna skończyła. To zatem wydanie za pierwsze, zdaniem Pawińskiego, uważać należy. Jedyny dziś znany egzemplarz tego pierwszego wydania znajduje się w bibliotece hr. Tarnowskich w Dzikowie

swoich *Melodyi* do *Psałterza*, czem go jeszcze bardziej spopularyzował. Wszystko to świadczyło o uznaniu, jakiem się cieszyły jego poezye.

A nie brakło i innych dowodów, stwierdzających to wybitne stanowisko, jakie poeta zdobył sobie na Parnasie polskim. Oto Jan Januszowski, księgarz-wydawca, okazał się bardzo skorym do zbiorowego wydania pism Kochanowskiego, a układy, w które z nim wszedł już w roku 1579 po wydrukowaniu *Psałterza* i *Siedmiu psalmów pokutnych*, przybrały tak pomyślny obrót, że wypadło czemprędzej dostarczyć materyału na tom pierwszy. Poeta zaczął od *Fraszek*. Ale tu zdarzył się szkopuł, który wywołał dość długie pertraktacye pomiędzy autorem a wydawcą. Ten ostatni, otrzymawszy rękopis *Fraszek*, kiedy je przeczytał, zgorszony nieprzyzwoitością niektórych, zaproponował poecie, ażeby je usunąć. Poeta się temu sprzeciwił, a choć uznawał, że ich „pannom czytać się nie godzi“, że je ludzie za wszeteczne uznać będą mieli wszelkie prawo, to jednak oparł się wszelkim opuszczeniom, twierdząc, że mu się to nie zda, „bo to jest jakoby dusza ich“. Skończyło się na tem, że *Fraszki* zostały wydrukowane w całości. Zaraz po nich przystąpiono do druku utworów łacińskich p. t. *Carmina latina*, obejmujących cztery księgi elegii, tudzież *Foricoenia sive Epigrammata*.

I *Fraszki* i *Carmina latina*, w których nie brakło i niemniej nieprzyzwoitych epigramatów, niż we *Fraszkach*, wyszły na początku roku 1584. Jednocześnie zabrał się poeta do kompletnego wydania swoich utworów polskich. Właśnie przystępował do tej pracy, gdy nagle spadła nań, jak piorun z jasnego nieba, żałobna wieść o śmierci Jakóba Podlodowskiego. Był to najmłodszy z braci Doroty, Benjaminek całej rodziny. Wkrótce po wstąpieniu na tron Batorego, poeta, korzystając ze swych stosunków z głównymi dygnitarzami Rzeczypospolitej, umieścił go na dworze królewskim. Później, gdy wybuchła wojna z Moskwą, Jakób podążył do

Inflant, przyłączył się do rycerstwa, a w drugiej wyprawie wsławił się dzielnością pod Toporcem. Po skończonej wojnie, wrócił na dwór królewski, a niedawno został przez Batorego wyprawiony do Turcyi, w celu zakupu koni do stajni królewskiej. W czasie przeprawy przez Bałkany, napadnięty przez opryszków, został przez nich dla ograbienia z pieniędzy zamordowany sromotnie. Wiadomość o tem, tem straszniejsza, że niespodziewana, gdy dotarła do Czarnolasu, mogła się stać przyczyną nowego nieszczęścia, bo właśnie Dorota była w stanie odmiennym. Ale dzielna niewiasta potrafiła zapanować nad wzruszeniem, tak, że zniosła cios spokojnie i z prawdziwie macierzyńskiem bohaterstwem. Poeta jednak, który widział, ile ten pozorny spokój kosztował nieszczęśliwą kobietę, postanowił upomnieć się o zadosyćuczynienie dla niej, uważał bowiem, że to zabicie królewskiego wysłańca, dla którego najlepszym glejtem powinien być sam urok potęgi Rzpltej, nie mogło ujść bezkarnie, że należało się domagać przykładnego skarcenia Turków, nie przestrzegających najprostszych zasad prawa międzynarodowego. Zabili posła polskiego, a wszak to był wystarczający powód do wypowiedzenia wojny. Ta myśl, że gwoli pomszczenia tej śmierci, tak obrażającej powagę i majestat Rzpltej, król powinien wypowiedzieć wojnę Turcyi, czepiła się poety, jak pijawka, poprostu opętała go. Wmówił w siebie, że Batory powinien wypowiedzieć wojnę, że inaczej skrzywdzi jego, Kochanowskiego, który mu jako poeta, opiewający jego czyny, służył tak wiernie, że mu się należy to zadosyćuczynienie etc. Tymczasem Batory bawił na Litwie, więc należało czekać, dopóki nie zjedzie bliżej, na to bowiem, ażeby odbywać daleką podróż do Wilna, poeta czuł się zbyt podkopany na zdrowiu. Na szczęście nie potrzebował czekać długo, ponieważ Batory rozesłał listy do senatorów koronnych, z żądaniem, by na sierpień stawili się do Lublina, gdzie się z nimi w sprawach pierwszorzędnej wagi porozumieć pragnął. Było to Kochanowskiemu na rękę.

Jakoż, z nadejściem sierpnia, wyruszył z domu, pełen otuchy, że król wysłucha jego uzasadnionych pretensyi, a wysłuchawszy, sprawi, aby słuszności stało się zadość. „Król (rozumował sobie poeta) zabezpieczony od północy na przeciąg kilkoletni, miał ręce rozwiązane zupełnie, mógł wszystkie siły przeciwko Islamowi obrócić, zgnieść wroga chrześcijaństwa i stąd sobie na sławę nieśmiertelną zarobić. Kto wie, czy go nawet te same myśli nie ożywiają w tej chwili, czy z deliberacyi nad otrzymaniem rozejmu (w której to sprawie przybyło do Lublina specyalne poselstwo z Moskwy), nie wyniknie wojna z pohańcem, zwłaszcza, że do niej nadarza się tak ważna, jak zabicie posła królewskiego, przyczyna". W tem przekonaniu wyjednał sobie audyencyę u króla. Nie przeczuwając zgoła, że w ogóle trafia na moment, gdzie Batory z konieczności był daleki od myśli o wojnie z Turcyą, stawił się przed jego obliczem, pewny, że dopnie swego. Stefan jednak, wysłuchawszy wywodów poety, nie podzielał jego zapatrywań. „Sprawa Podlodowskiego nie dawała jeszcze przyczyny do wojny. Nie był on posłem, lecz dworzaninem królewskim, wysłanym prywatnie w celu zakupu koni; zabójstwa na nim nie dopuściła się Porta, lecz nieznani jacyś złoczyńcy; najwyżej można było żądać wynagrodzenia i ukarania winnych, ale nadto nic więcej". Powyższe argumenty wszakże, tak przekonywające dla każdego nieuprzedzonego, nie przekonały poety. Opuściwszy komnatę królewską, wzburzony i dotknięty do żywego, że wychodził z niczem, padł nagle, rażony apopleksyą. Stało się to dnia 22. sierpnia 1584 [1]) roku.

---

[1]) Plenkiewicz w opisie tej sceny pomiędzy Kochanowskim a Batorym, pisze, że król dał szorstką odpowiedź poecie. Nie wydaje się to prawdopodobnem Antoniemu Mazanowskiemu, który, podkreśliwszy „kapitalne zalety dzieła", zaznacza również, że „częstokroć domyślność prof. Plenkiewicza przekracza miarę, źródłami wskazaną, i sięga sfery wyobraźni". Do takich miejsc zalicza recenzent: ustęp o wycieczkach młodego żaka do Dubia, o korzyściach

Nagła śmierć poety, tem senzacyjniejsza, iż nastąpiła w komnatach królewskich, obiła się głośnem echem w sercach całego społeczeństwa. „Na tejże konwokacyi w Lublinie (pisze Joachim Bielski, zapisując pod rokiem 1584 wiadomość o zjeździe króla z senatorami) umarł Jan Kochanowski, herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się takiego drugiego spodziewać możem". Że tego zdania był nietylko Jan Bielski, ale i naród cały, tego dowodzi chociażby ten fakt, że zaraz po śmierci poety, prawie jednocześnie, a w każdym razie w roku 1585, ukazały się dwa utwory, natchnione wieścią o zgonie Czarnoleskiego wieszcza, utwory, tem godniejsze uwagi, że każdy z nich „reprezentuje jeden ze stanów, które lubo pod względem politycznym nie jednakowe miały w Rzeczypospolitej znaczenie, zawsze przecież pod względem umysłowym przedstawiały godnie u nas wiek XVI, idąc o lepsze na tem polu w zawody" [1]). Pierwszy reprezentował Sebastyan Fabian Klonowicz, napisawszy *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego*; drugi wyobrażał Kasper Miaskowski, jako autor *Lutni Jana Kochanowskiego.* A jeżeli cały naród tak głęboko odczuł stratę autora *Psałterza Dawidowego*, to o ileż głębiej musiała ją odczuć jego „nieprzepłacona Dorota!" W każdym razie, lubo cios był bardzo ciężki, zniosła go mężnie, tak, iż uratowała życie dziecka.

z powodu pobytu na dworze Tarnowskiego, o charakterze posiedzeń studenckich w Padwie, o wrażeniu, jakie sprawiło na rodzinę oblicze poety, kiedy wrócił z Włoch z niewygasłą jeszcze w sercu namiętnością ku Lidyi, o tajemnych pobudkach Myszkowskiego, które go skłoniły do popierania poety, o podróży Kochanowskiego z Dudyczem do Radomia. Nie ulega wątpliwości, że recenzentowi nikt nie odmówi słuszności w tym względzie.

[1]) Pierwszym, który śmierć Kochanowskiego uczcił wierszem, był jego przyjaciel serdeczny Andrzej Trzycieski. Wiersz ten — łaciński — ogłosił w roku 1883 w *Ateneum* (tom I, strona 498) Rafael Löwenfeld, w nader ciekawym i ważnym artykule p. t. *Andrzeja Trzycieskiego wiersz na śmierć Jana Kochanowskiego.*

które już nosiła w swem łonie, a którem miał być syn. Niestety, kiedy się urodził, ojciec już się nim nacieszyć nie mógł. Przez pamięć na swego ukochanego małżonka, Dorota, gdy przyszło do chrzcin jego ostatniego dziecięcia, dała mu na imię Jan, jednocześnie zaś, wybrawszy sobie na opiekunów Jana Podlodowskiego i Piotra Kochanowskiego, oddała się całą duszą wychowaniu dzieci i pielęgnowaniu sławy mężowskiej, zbierając skrzętnie pozostałe po nim prace i przesyłając je Januszowskiemu do druku. „Jakoż już w grudniu 1585 roku wydaje on dzieła polskie Jana, zarówno ogłaszane drukiem, jak i pozostające dotąd w rękopiśmie, z wyjątkiem *Psałterza* i *Fraszek*, które stanowić miały osobne, po wielekroć powtarzające się wydania. Wreszcie ogłaszając w roku 1590 resztę nie wydanych utworów, objętych tytułem *Fragmenta*, dał narodowi całość dzieł poety, stanowiących artystyczny wieku XVI dorobek“ [1]).

---

[1]) Dorota, po śmierci męża, odnosiła się z niezwykłą, niemal religijną czcią do wszystkiego, co było pozostałością po nim: tak dalece, iż nawet kopce graniczne, które pokopano za życia poety, chciała widzieć nienaruszone, a gdy je inni zburzyć chcieli, ona wyraziła stanowcze życzenie, „iż to wszystko, cokolwiek nieboszczyk pan Jan Kochanowski wykopał, ma w pokoju zostać“. O jej dalszem życiu wiemy niewiele. Oddana wychowaniu córek, dwie z nich, Ewę i Poliksenę, jeszcze sama wydała za mąż: pierwszą za Filipa Owadowskiego, drugą za Łukasza Lędzkiego. Przedtem, we dwa lata po śmierci męża, pochowała jego pogrobowego syna, Jana, zmarłego w końcu roku 1586. „Dziecię to poczęte w smutku, oczekiwane wśród najstraszniejszych katastrof, jakichby nie przeniosło wiele niewiast bez szwanku, i urodzone w sieroctwie, musiało pójść za ojcem niedługo“. W końcu roku 1599, lub na początku 1600 poszła za nim i matka, osierocając swą śmiercią dwie córki najmłodsze. Te w kilka lat po jej zgonie wyszły za mąż, obie bardzo dobrze: Halszka za Stanisława Witowskiego, dziedzica Jedlińska, z czasem kasztelana brzezińskiego; Krystyna za Wojciecha Michowskiego, łowczego lubelskiego.

Tak się przedstawia całokształt żywota Jana Kochanowskiego, odtworzony z olbrzymim nakładem pracy przez prof. Plenkiewicza, który tą monografią, cokolwiek jej zarzucić można, wystawił sobie bądź co bądź *monumentum aerae perennius*. Jest to nietylko jeden z najbardziej wyczerpujących życiorysów, jakiemi pochlubić się może nasza literatura monograficzna, ale i jeden z najsumienniej opracowanych, nie mówiąc o tem, że temat jest jednym z najsympatyczniejszych dla polskiego czytelnika. Bo nie da się zaprzeczyć, że Kochanowski należy do najpiękniejszych postaci naszej narodowej przeszłości. „Wychowaniec wszechnicy krakowskiej, dość wcześnie odczuwa naukowe jej braki i szuka podstaw gruntowniejszej wiedzy w Wenecyi, w klasycznej Padwie i starożytnej Lutecyi. Wreszcie po latach kilku wraca do kraju, jako humanista wykształcony gruntownie, z zadatkami pierwszorzędnego talentu. Wśród swarów politycznych i religijnych rozterków, wśród namiętności targających sercami, stoi on zawsze spokojny, poważny, niekiedy uśmiechnięty z wdziękiem atyckim, niby posąg na niewzruszonej, granitowej podstawie, duchem „ponad próżne troski ludzkie“ wzniesiony, szybujący myślą w obłokach. I przez pierś jego, zasobną w skarby uczucia, przepływają te same prądy, które w piersiach innych nurtują; ale choć żywo odczuwa i własne bole i klęski lub tryumfy narodu, nigdy przecież nie daje się porwać wirem wypadków, ani zaprządz w usługi sekty lub politycznego stronnictwa. On nie wniesie, jak tylu innych współczesnych mu pisarzów, do społeczeństwa rozkładowych żywiołów, ale owszem, owe sprzeczności epoki, jak mistrz dysonanse w muzyce, we własnem życiu i w pieśni do harmonii sprowadzi. Nie propaganda religijna jego gwiazdą przewodnią, ale idea piękna, zaczerpana ze źródeł greckich i rzymskich, które on po mistrzowsku wcieli w kształty mowy ojczystej. Słowem, czego wszechnica jagiellońska z posiewu Kazimierza W. nie umiała urzeczywistnić w nauce, tego on świadomie na polu poezyi

dokonał". Jako taki, „jest on jednym z najwyższych przedstawicieli cywilizacyi zachodniej pomiędzy pisarzami XVI stulecia u nas i najdzielniejszym krzewicielem ducha humanitarnego, który był jej wykwitem".

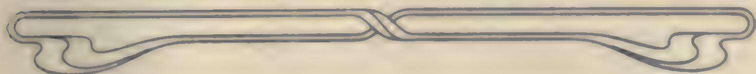
Jako człowiek, niepospolity i szlachetny z gruntu, był wdzięcznym synem, dobrym bratem, czułym i kochającym mężem i ojcem. Rodziców kochał i poważał, zarówno ojca, o którym wspomina w *Muzie*, jak i matkę, którą unieśmiertelnił w *Trenach*; o tem zaś, jak czcił pamięć obojga, świadczy ich nagrobek w Zwoleniu, na którym aż po dziś dzień czytać można między innemi, że „gdy po zgonie dobroczyńców, dla okazania im wdzięczności nader szczupłe pozostały środki, Jan Kochanowski, rodzicom najczulszym ten kamień, długo wylewanemi łzami skropiony, położył". Jako brat, był zgodny, a choć duchem wyższy od swego rodzeństwa, nie wynoszący się ponad nie. Dość wspomnieć o jego mowie na pogrzebie najstarszego z braci Kacpra, lub o *Dziewosłębie*, rzucającym nie małe światło na jego stosunek do sióstr. Z żoną żył w idealnej harmonii, a jak ją nietylko kochał, ale czcił i poważał, o tem świadczy jego wiersz *O dobrej żonie*. Ale bo też i zasługiwała na to! „Ona i matka jego, to — według pięknego wyrażenia Plenkiewicza — jakoby dwa białe opiekuńcze anioły, które zlewają ubłogosławienie na jego laurem uwieńczoną głowę. Jedna z zaraniu żywota czuwa nad jego kołyską i pierwsze jego kroki prowadzi, rozbudza w jego duszy drzemiącą iskrę poezyi, a potem wysyła go po wiedzę do zaczarowanych krain południa, by wyrósł jej na pociechę, a ojczyźnie na chlubę. Wreszcie do lat najpóźniejszych wpływ nań dobroczynny nawet z za grobu wywiera. Druga, sercem przezeń wybrana, opromienia miłością zachód jego żywota, i duszą jasną, jakby słonecznej natury, staje się źródłem jego natchnień i głowy poświęconej koroną. A jak tamta nad kolebką opiekuńcze skrzydła roztacza, tak ona we wdowiej szacie chyli swą głowę nad jego mogiłą

i po kres żywota przechowuje wiernie pamięć po zmarłym". Dzieci kochał nadzwyczaj: nie przeszkadzały mu nigdy, nawet wtedy, gdy pisał w cieniu swej ulubionej lipy: owszem, widząc je bawiące się nieopodal, odkładał pióro, ażeby się pobawić z niemi, popieścić je, lub używać do drobnych posług. Dla przyjaciół był wylany i szczery, a w przyjaźni stały, jeśli nim być przestał, to wtedy tylko, jeśli swego przyjaciela, jak Nideckiego n. p. musiał przestać szanować, jeśli go widział sprzeniewierzającego się swoim zasadom lub ideałom, jeśli w nim dostrzegł instynktów, któremi gardził w człowieku wyższym. Uważał, że jeśli się wyznaje pewne *credo* moralne, to winno się postępować tak, ażeby z niem nigdy nie być w rozterce. To była jego zasada, której przez całe życie przestrzegał święcie. Jej zawdzięczając, żył tak skromnie, że, jak sam się wyraził w *Trenach*, ledwie kto wiedział o nim, co wobec rozwijającego się pieniactwa było niemal wyjątkowem zjawiskiem. A jak był szczerym w przyjaźni, z którą jeszcze łączył tak rzadkie uczucie wdzięczności za wyświadczone przysługi lub dobrodziejstwa, tak był dobrym sąsiadem: od objęcia Czarnolasu aż po ostatni kres życia niema z nikim żadnego zatargu. „W gorączkowym pościgu za fortuną i on z początku szedł za innymi i przyszłość swą budował to na względach możnych, to na łaskach królewskich; w końcu jednak wzgardził tem wszystkiem, skoro przekonał się, że ani fortuny, ani wyższych dostojeństw nie zdobędzie bez poniżenia własnej godności. Gdy mu wreszcie życie postawiło dylemat: albo dostatki w stanie duchownym bez powołania, albo szczęście rodzinne w ożenieniu się z panną bez posagu: bez wahania wybrał to ostatnie, poprzestając na tych skarbach jedynie, które znalazł w sercu ukochanej przez się niewiasty". Wszystko to, razem wzięte, upoważnia do wniosku, że Kochanowski, jako człowiek, stoi wysoko ponad poziomem moralnym ówczesnego ogółu, że był nietylko poetą znamienitym, ale i charakterem nieposzlakowanym.

A jako poeta? I pod tym względem zdobył sobie pierwsze miejsce pomiędzy współczesnymi, a jedno z najpierwszych w całej poezyi swego narodu. Przedewszystkiem jest to poeta-artysta w najrozleglejszem znaczeniu tego słowa, poeta, o duszy poetyckiej, wykształcony na wiecznie pięknych wzorach poezyi starożytnej, a obdarzony poczuciem artystycznem, jak nimi było tylko niewielu po nim. To jego pierwszy tytuł do chwały. Drugim jest niewątpliwie ogromny wpływ, jaki wywarł na dalszy rozwój poezyi swego narodu, poezyi, której słusznie może być nazwany ojcem. Bo nie należy zapominać, a godzi się podkreślić, że nietylko poeci XVI i XVII stulecia, tacy, jak Górnicki, Miaskowski, Szymonowicz, Zimorowicz i wielu innych, ale i wszyscy poeci XIX wieku, poczynając od Brodzińskiego, a kończąc na Mickiewiczu i Słowackim, kształcili się na utworach autora *Trenów*, czerpiąc z dzieł jego, niby z przebogatej skarbnicy, mnóstwo pereł swego poetycznego języka. Wszystkie rodzaje i gatunki poezyi greckiej i rzymskiej, a nadto włoski sonet i canzonę on mowie polskiej przyswoił, na jej jałowy grunt z obcych niw przeszczepił, a jeśli się zważy ówczesny stan poezyi czysto polskiej, która do jego wystąpienia chlubiła się jedynie Rejem i Trzecieskim, to bardzo łatwo jest się gotowym podpisać pod pytaniem Plenkiewicza, zali Kochanowski nie dokonał większego przewrotu w poezyi ojczystej, niż romantyzm XIX wieku. „Ten przynajmniej miał bogate zadatki z przeszłości: język wyrobiony przez pisarzów XVI i XVIII stulecia, no, i jakby zaczątki nowego zwrotu w poezyach Karpińskiego i Kniaźnina. Do czasów zaś Kochanowskiego nie było nawet języka, któryby godnie mową bogów przemawiał. On to wszystko, co istotę poezyi stanowi, albo wysnuł z własnego ducha, albo z pod nieb obcych sprowadził". Ale choć można powiedzieć o Kochanowskim, że stworzył język poetycki polski, język, który aż po dziś dzień, po trzech wiekach, nie traci swej piękności i woni, to jednak nie tu kończą

się niespożyte zasługi jego, jako poety. Bo zaprzeczyć się nie da, że wcale nie mniejszą rolę, niż ta, jaką gra w dziejach naszej poezyi, gra on i w dziejach naszej narodowej cywilizacyi. „Jak Kopernik dowiódł, że nie słońce około ziemi się obraca, ale ona jego prawom podlega, tak Kochanowski, stając na gruncie wszechświatowym, wytknął dla poezyi polskiej nieomylne drogi dalszego jej rozwoju. Zamiast zasklepiać się wyłącznie w narodowym partykularyzmie, ma ona ciążyć ku słońcu cywilizacyi powszechnej i od niego, dla rozwinięcia w pełni swych czysto swojskich pierwiastków, przejmować ciepło i życie". To piętno europejskości, które Kochanowski wycisnął na wszystkich swoich utworach, to jedna z jego największych zasług: on pierwszy wprowadził „młodą muzę słowiańską" na europejski Parnas, a uczyniwszy to, nie należy wyłącznie do polskiej poezyi jedynie. Jakie jest jego stanowisko w poezyi wszechświatowej? Zdaniem Plenkiewicza, „nie zajmuje on w literaturze powszechnej stanowiska, jakie się geniuszom należy; owszem, jest ono skromne, co najwyżej środkujące pomiędzy Horacym a Ronsardem, boć i oni urośli przyswajaniem obcych pierwiastków, każdy dla poezyi swego narodu; ale pomimo to, jest on wielki w tych ograniczonych dążeniach, bo co zamierzył, na wielką stopę dokonał: stąd wart *czegoś więcej* nad skromny pomnik w kaplicy kościoła parafialnego w Zwoleniu" [1]).

[1]) Tem „czemś więcej" jest — jak na teraz — Wydanie pomnikowe „dzieł wszystkich" Jana Kochanowskiego, tudzież bogata o nim literatura monograficzna, z wyczerpującemi monografiami Tarnowskiego i Plenkiewicza na czele.



TREŚĆ.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Dworzanin (1557—1571).

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572—1584).


APR
1984

